

ZESZYT SIĘDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1987

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 424

ISBN 2-7168-0089-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

SPRAWA BERGU

OD REDAKCJI

Zamieszczając poniżej materiały dotyczące tzw. „Sprawy Bergu”, kierujemy się nie tylko chęcią wyjaśnienia nieznanych czy mało znanych ogółowi społeczeństwa faktów z najnowszej historii Polski. Od szeregu lat ożywia się coraz bardziej działalność opozycji niepodległościowej — przede wszystkim w Kraju, ale również na Zachodzie, gdzie powstało wiele organizacji i ośrodków zajmujących się współpracą z opozycją w Polsce, a w pierwszym rzędzie zbieraniem funduszy na pomoc Krajowi. Niestety, od samego początku brak koordynacji tych wysiłków. Spowodowane to jest w dużej mierze narastającym rozbiciem, ambicjami personalnymi i organizacyjnymi, a przede wszystkim nieinformowaniem opinii publicznej. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy obciąża w pierwszym rzędzie władze podziemia. Miały one wystarczająco dużo czasu dla wypracowania planu działania — specjalnie na tak drażliwym odcinku finansowym. Niewątpliwie tego rodzaju działalność wymaga konspiracji, ale nie należy z tym przesadzać. Ostatnie wydarzenia w Kraju grożą powstaniem chaosu.

Mamy nadzieję, że opublikowanie „Sprawy Bergu” nie tylko wywoła dyskusję, ale także przyczyni się do wyciągnięcia wniosków i będzie przestrogą.

Do tej sprawy wrócimy w najbliższym czasie na łamach Kultury.

REDAKCJA

SPRAWOZDANIE KOMISJI DO ROZPATRZENIA SPRAW ŁĄCZNOŚCI Z KRAJEM

W wykonaniu uchwały Tymczasowej Rady Jedności Narodowej z dnia 1 września 1954 roku Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego powołała Komisję dla rozpatrzenia całokształtu spraw łączności z Krajem. Komisja zakończyła swe prace 28 stycznia 1956 roku i złożyła Egzekutywie swe sprawozdanie.

Komisja pracowała w składzie: przewodniczący — p. Stanisław Krause, adwokat, b. sędzia i b. członek Sądu Dyscyplinarnego Rady Adwokackiej w Poznaniu, prezes Sądu Obywatelskiego w latach 1951-1954; członkowie — p.p. Jan Baliński-Jundziłł, prezes Instytutu Polskiej Akcji Katolickiej; płk Józef Smoleński, b. szef Oddziału II, b. zastępca szefa sztabu poza granicami kraju, Tadeusz Sulimirski, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, dziekan Wydziału Humanistycznego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie; płk Karol Ziemiński, b. zastępca dowódcy Korpusu Warszawskiego w 1944 roku, obecny prezes Rady S.P.K.

Komisja była ciałem niezależnym i samodzielnym.

W swym sprawozdaniu Komisja podaje materiał dowodowy, który zebrała w toku dochodzeń. Niektóre dokumenty zostały udostępnione Komisji dopiero w grudniu 1955 roku; był to jeden z powodów, dla których prace Komisji się przeciągały.

Trzeba podkreślić, że członkowie Komisji pełnili swe funkcje honorowo, w czasie wolnym od pracy zarobkowej, dając przez to dowód należytego zrozumienia obowiązku obywatelskiego. Mimo trudnych warunków pracy wywiązali się z przyjętego na siebie zobowiązania.

Wyniki swych dochodzeń Komisja ujęła w obszernym sprawozdaniu, które złożyła jako dokument tajny Egzekutywie Zjednoczenia Narodowego.

Rozumiejąc zaniepokojenie opinii publicznej, wywołane broszurami omawiającymi tzw. sprawę Bergu oraz biorąc pod uwagę atmosferę wytworzoną dokoła tej sprawy, Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego zdecydowała podać do publicznej wiadomości wyniki dochodzeń Komisji.

Tekst sprawozdania przeznaczony do publicznej wiadomości jest odpisem oryginalnego sprawozdania tajnego, w którym dokonano pewnych skrótów ze względu na bezpieczeństwo i nienarażanie ludzi w Kraju. Nazwiska, których ujawnienie uznano za

niewskazane, zastąpiono inicjałami, w miejsce zaś szczegółowych oznaczeń osób i instytucji zastosowano bardziej ogólnikowe określenia. Przez dokonanie skrótów i omówień istota sprawozdania w niczym nie została zmieniona. Zasada, że maksimum winno być podane do publicznej wiadomości, została utrzymana.

Podając sprawozdanie Komisji do publicznej wiadomości Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego pragnie podkreślić, że ujawnianie spraw tego rodzaju jak łączność z Krajem nie powinno zasadniczo mieć miejsca. Gdy walka o wyzwolenie naszego Kraju spod obcej przemocy toczy się nadal i gdy wróg nie przebiegający w środkach wykorzystuje każdą okazję do rozprawiania się z wszelkimi przejawami działalności niepodległościowej zarówno w Kraju jak i poza jego granicami, zasada nieujawniania spraw z istoty swej tajnych winna być tym bardziej rygorystycznie przestrzegana. W konkretnym wypadku, reżym komunistyczny pierwszy ujawnił tzw. sprawę Bergu i nadał jej tę właśnie nazwę. Akcja, której reżym starał się nadać duży rozgłos, miała na celu zohydzenie emigracji w oczach Kraju i wprowadzenie zamętu w polskiej opinii publicznej na Zachodzie.

W ślad za reżymem garstka ludzi nieodpowiedzialnych lub złej woli podjęła dalszą kampanię w tej sprawie, wykorzystując ją dla wewnętrznej rozgrywki politycznej. Doprowadziło to do takiego podniecenia umysłów, że podanie do publicznej wiadomości sprawozdania Komisji stało się konieczne.

Londyn, 22 marca 1956.

EGZEKUTYWA ZJEDNOCZENIA NARODOWEGO

ZASADY OGÓLNE

Komisja w celu wykonania zleconej jej funkcji uznała za niezbędne ustalić pojęcie łączności z krajem oraz zasady pozwalające na ocenę działalności polskiej w tej dziedzinie z punktu widzenia zadań i celów politycznych emigracji.

I. Konieczność utrzymania przez emigrację łączności z krajem jest bezsporna i nie nasuwa, jak dotąd, zastrzeżeń z żadnego środowiska emigracyjnego. Niektóre wszakże środowiska, uznając, że łączność z krajem jest konieczna, potępiają nabieranie przez nią cech wywiadu politycznego. Jest to oczywiste nieporozumienie. Gdyby Polska obecna była krajem rządzonym we-

dług zasad i obyczajów przyjętych na zachodzie, utrzymywanie z nią łączności mogłoby się odbywać w ten sam sposób, w jaki się odbywa między wolnymi krajami demokracji zachodnich. Polska jest jednak odgradzona od bezstronnych wiadomości z zachodu, zachód zaś — od obiektywnych wiadomości z Polski. Nie trzeba tłumaczyć, że prasa i radio w kraju, choć mogą być pewnym źródłem informacyjnym, są źródłem niedostatecznym, korespondencja zaś prywatna z krajem i wizyty w Polsce gości zagranicznych — źródłem przypadkowym i jeszcze mniej pewnym. W tych warunkach uzyskiwanie wiadomości o wydarzeniach i nastrojach w kraju oraz przesyłanie działaczom krajowym wiadomości z zagranicy musi się odbywać w sposób nielegalny, każde zaś nielegalne zbieranie i przesyłanie informacji podpada pod pojęcie wywiadu. Pojęcie łączności z krajem mieści więc w sobie z konieczności w obecnych warunkach element wywiadu.

Nie świadczy to jednak, aby terminy „łączność z krajem” i „wywiad” były identyczne; łączność z krajem jest pojęciem szerszym. Wywiad jest zazwyczaj jednostronny, obejmuje jedynie zbieranie informacji, łączność jest dwustronna, obejmuje bowiem także dostarczanie krajowi informacji. Co ważniejsze, w pojęciu łączności mieści się także pomoc emigracji dla kraju w pieniądzu lub naturze; pomocy tej tylko częściowo, zwłaszcza dla osób zagrożonych, można dostarczać legalnie. Łączność z krajem zawiera zatem w sobie trzy elementy: a) uzyskiwanie wiadomości z kraju nie dających się uzyskać z innych źródeł, b) przesyłanie wiadomości do kraju, c) pomoc dla ludzi w kraju.

II. Drugim zagadnieniem wymagającym rozpatrzenia jest sprawa, kto na emigracji ma prawo do utrzymywania łączności z krajem. Pogląd, że prawo to służy wyłącznie rządowi, Komisja uznała za błędny. Rząd jest uprawniony do utrzymywania łączności z obcymi państwami, Polska jednak nie jest dla emigracji obcym państwem. Stronnictwa polityczne, mające swe historyczne powiązania z krajem, nie pozbawione nadal w kraju swych ukrytych zwolenników, mają równe tytuły do utrzymywania łączności. Sprawa przez okres wojny i długi czas po wojnie była całkowicie bezsporna: stronnictwa miały łączność z krajem obok rządu i były nawet w tym celu przez rząd subwencjonowane.

III. Z powyższych rozważań wynika, że element wywiadu zawarty w pojęciu łączności z krajem nie jest sam przez się bynajmniej karygodny, lecz nawet nieunikniony. Ten element wywiadu musi wszakże odpowiadać jednemu zasadniczemu warunkowi, w którego braku działalność wywiadowcza staje się kary-

godną: warunkiem tym jest działanie w interesie polskim. Kto określa, co leży w interesie polskim? Trzeba przyjąć, że określenie interesu polskiego w tej dziedzinie należy do reprezentacyjnego organu politycznego. Ten czynnik reprezentacyjny ustala interes polski i jego granice generalnie; stronnictwa i aparat łączności powinny działać jedynie w ramach tych ustaleń.

IV. Utrzymywanie łączności z krajem wymaga poważnych środków finansowych, których emigracja nie posiada. Powstaje kwestia, czy uzyskiwanie tych środków ze źródeł obcych wyłącza możliwość działania aparatu łączności w interesie polskim. Kto daje pieniądze, ten żąda jednak świadczeń wzajemnych, mając na względzie przede wszystkim interes własny. W razie całkowitej rozbieżności interesów strony finansującej i strony finansowanej sprawa jest jasna: ta druga strona staje się agenturą. Inaczej jest wszakże, gdy obie strony łączy, w pewnych przynajmniej granicach, wspólność interesów. Wspólność ta pozwala stronie biorącej pieniądze działać w interesie obopólnym, bez narażenia na szwank interesu polskiego. Wspólność może się jednak skończyć w pewnym punkcie, za którym zaczynają się interesy rozbieżne; przekroczenie tego punktu czyniłoby ze strony polskiej agenturę.

V. Fakt więc, że strona polska jeszcze w czasie wojny utrzymywała łączność z krajem za obce pieniądze, nie uprawnia bynajmniej do wniosku, że narażiła przez to interesy polskie. Ocena, czy interesy polskie nie doznały uszczerbku, zależy od stwierdzenia innych okoliczności, a mianowicie: 1) czy strona polska utrzymywała swą działalność w granicach nakreślonych przez reprezentacyjny organ polityczny, 2) czy miała dostateczny stopień samodzielności pozwalający jej na uchylenie się od działań sprzecznych z interesem polskim, 3) czy aparat łączności i jego metody działania stały na poziomie zapewniającym należyłą ochronę ludzi związanych z działalnością aparatu.

Punkt 1) wymaga rozważenia na tle uchwał odpowiednich organów politycznych. Punkt 2) wymaga zdania sobie sprawy: a) czy strona obca miała wpływ na obsadę aparatu łączności, b) czy miała wpływ na działalność tego aparatu w postaci stawiania żądań, wydawania dyrektyw i instrukcji bądź domagania się sprawozdań z działalności. Punkt 3) wymaga rozważenia: a) stopnia fachowości kierownictwa i personelu, b) sprawy doboru środków działania zapewniających możliwy stopień bezpieczeństwa, c) stopnia pewności politycznej i poziomu etycznego personelu, d) przestrzegania zasad konspiracji. Zagadnienia związane z pkt. 3) lit. a, b i d wymagają oceny biegłych.

Fakt, że akcja łączności pociągnęła za sobą ofiary, nie dyskredytuje aparatu, jeżeli jego skład i metody działania odpowiadały warunkom wyżej wymienionym.

VI. Istotna dla danej sprawy jest też kwestia dobrego imienia partnera polskiego w stosunkach ze stroną obcą. Dobre imię partnera polskiego wymaga lojalnego wykonywania umowy zawartej ze stroną obcą i otwartego postawienia sprawy w razie kolizji interesów polskich i obcych. Innymi słowy, umowa musi być wykonywana w dobrej wierze. Byłoby wykonaniem umowy w złej wierze, gdyby umowa służyła jedynie za pretekst do osiągnięcia pewnych celów ubocznych, bez wiedzy i zgody drugiej strony. Każda jednak umowa, zwłaszcza ujęta w sposób ogólnikowy, może otwierać drogę do różnych interpretacji. Zarzut złej wiary odpada, gdy można się domniemywać, że strona obca godziła się na pewną interpretację umowy. Bliższa analiza badanych spraw powinna wykazać, w jakiej mierze istnieją podstawy do takiego domniemania.

Wymaga też rozważenia, czy i w jakim stopniu interes polski i dobre imię partnera polskiego doznały szkody przez fakt ogłoszenia przez pewne polskie ośrodki emigracyjne szczegółów akcji łączności pod pretekstem spełnienia obowiązku obywatelskiego.

VII. Pozostaje do rozważenia kwestia zbierania informacji natury wojskowej przez organy cywilne. Należy stwierdzić, że wywiad wojskowy jest sprawą czynników wojskowych i stronniczość wkraczać w tę dziedzinę nie powinny. Trzeba też jednak zauważyć, że w toku akcji łączności mogą wpływać od czasu do czasu do placówek cywilnych informacje natury wojskowej i że ścisłego rozgraniczenia przeprowadzić się tu nie da.

Komisja przystąpiła do zbadania sprawy łączności z krajem okresu lat 1945-1952 pod kątem widzenia nakreślonych wyżej zasad.

OKRES LAT 1945-1950

Działalność czynników polskich w dziedzinie łączności z krajem po cofnięciu uznania rządowi polskiemu rozpada się na dwa okresy. Okres pierwszy obejmuje lata 1945-1950, drugi — lata 1951 i 1952. Komisja nie ma informacji o istnieniu zorganizowanej łączności z krajem w latach późniejszych.

ORGANIZACJA AKCJI

Aparat łączności zorganizowany w czasie wojny stał na wysokim poziomie technicznym. Potężna radiostacja na „Mill-Hill” pozwalała na codzienne komunikowanie się z krajem, a niezależnie od tego łączność utrzymywali kurierzy zrzućani na spadochronach i ludzie zabierani przez lądujące w kraju samoloty. W miarę jednak zajmowania terytorium Polski przez wojska sowieckie utrzymywanie łączności stawało się coraz trudniejsze, aż wreszcie, po cofnięciu rządowi uznania, władze brytyjskie łączność utrzymywaną przy ich pomocy przerwały.

Aparat łączności zmontowany w czasie wojny nie rozpadł się wszakże całkowicie i pozwolił na dalsze jej utrzymywanie przy pomocy innych dróg i środków. Dróg wówczas było wiele. Nieuporządkowane w pierwszym okresie powojennym stosunki w kraju i niezbyt sprawne jeszcze działanie organów nadzoru politycznego pozwalały na przenikanie do kraju kurierów, przesyłanie pieniędzy i wiadomości. Powstały drogi morskie i lądowe oraz placówki łączności w Szwecji, w Niemczech i w Rzymie. Placówki te przez tworzenie melin i szkolenie kurierów organizowały drogi do kraju.

Cele akcji

Łączność z krajem w tym okresie miała przede wszystkim na celu udzielanie pomocy ludziom i organizacjom w kraju, następnie informowanie kraju o sytuacji w świecie oraz uzyskiwanie obiektywnych wiadomości o położeniu kraju. W połowie roku 1946 zaczęto wydawać w Londynie miesięcznik informacyjny pt. „Przegląd Polski”. Egzemplarze tego miesięcznika przesyłano, nieraz w ilości do 2.000, do Polski, gdzie cieszył się dużym wzięciem. Z końcem marca roku 1949 wobec braku funduszków wydawnictwa zaniechano.

Dyrektywy polityczne, jakie otrzymywał wówczas kraj, miały na celu powstrzymywanie organizacji krajowych od wystąpień czynnych i poprzestanie na biernym oporze.

Brak funduszków

Łączność zorganizowana na zasadach powyższych działała po-

czątkowo bardzo dobrze. Nie wpadł ani jeden kurier, a z przekazanych do kraju wielkich sum pieniężnych wpadło w ręce władz komunistycznych tylko 10.000 dolarów. Stronnictwa na emigracji otrzymywały od rządu dotacje na swe potrzeby w kraju. Dotacje obejmowały nie tylko stronnictwa biorące udział w rządzie, lecz pozostały w kraju w pierwszym okresie powojennym.

Z upływem czasu jednak sprawy zaczęły się psuć. Komunistyczny aparat terroru zaczynał działać coraz sprawniej, utrzymywanie łączności przy pomocy kurierów stawało się coraz trudniejsze, fundusze zaś były na wyczerpaniu. Łączność ograniczono, aż wreszcie w roku 1949 ustała ona niemal zupełnie.

Inne rodzaje łączności

Obok łączności, o której była wyżej mowa, istniał jej drugi tor, połączony z pierwszym na szczeblu kierowniczym, odseparowany natomiast, ze względu na bezpieczeństwo, na szczeblu wykonawczym. Celem tej łączności było otrzymywanie informacji z kraju oraz przysyłanie instrukcji i zaleceń organizacjom, jakie pozostały w kraju w pierwszym okresie powojennym.

Łączność powyższa, początkowo rozbudowana, uległa w roku 1947 znacznym ograniczeniom. Postanowiono poprzestać na tych tylko spośród dawnych informatorów, którzy informacji nadal zechcą udzielać, nowych zaś werbować, podobnie jak kurierów, jedynie spośród ochotników. Organizacje w kraju otrzymywały zalecenia likwidowania swych szeregów. W roku 1948, gdy trudności przenikania do kraju stawały się coraz większe, postanowiono przenieść całą pracę poza granice kraju do punktów informacyjnych, których głównym zadaniem było przesłuchiwanie uciekinierów z kraju. Wysyłanie kurierów ograniczono do rzadkich wypadków i na krótkie okresy. System ten niewiele wpłynął na zakres informacji uzyskiwanych z kraju, pozwolił zaś uniknąć strat. Zdarzyła się w tym czasie tylko jedna wpadka.

WIN

W roku 1946 nawiązano kontakt z organizacją powstałą na gruzach Armii Krajowej i występującą pod nazwą „Wolność i Niezawisłość”, a w skrócie WIN. Łączność z tą organizacją utrzymywano za pośrednictwem jej przedstawicieli przebywających poza granicami kraju. Współpraca trwała do końca 1952 roku. WIN dysponował własną siecią łączności z krajem.

Współpraca z WIN-em nie układała się pomyślnie. Zastrzeżenia nasuwały organizacja WIN-u oraz niechęć do ujawniania personalii jego kierownictwa. Jeszcze w roku 1948 przedstawiciel WIN-u, zapytany o nazwisko komendanta organizacji, odpowiedział tylko, że jest nim jeden z profesorów uniwersytetu. Ta konspiracja nie wywarła korzystnego wrażenia; podejrzewano, że WIN mógł być spenetrowany przez U.B., był on jednak w tym czasie prawie jedynym źródłem informacji z Kraju. Nieufność w stosunku do WIN-u spotęgowało wykrycie, że jego pełnomocnik przekazywał swym władzom w kraju poufne wiadomości uzyskiwane na wspólnych konferencjach w Londynie.

WIN żądał stale dużych sum pieniężnych na swą działalność. Gdy wpłaty ze źródeł polskich ustały, zawarł w roku 1950 lub 1951 umowę o współpracę z czynnikami zainteresowanymi jego działalnością.

Organizacja WIN-u przestała istnieć w końcu roku 1952, gdy po wielu innych wypadkach wpadli w ręce władz warszawskich dwaj jej wysłannicy, którzy przekazali tym władzom swe tajemnice organizacyjne i milion dolarów. Likwidacja WIN-u, do której przyczyniły się powyższe wypadki, pociągnęła za sobą liczne aresztowania i procesy w kraju.

Komisja nie zdołała zebrać wiadomości o działalności stronnictw politycznych w zakresie łączności z krajem. Wiadomo tylko, o czym już wspomniano, że stronnictwa otrzymywały dotacje na działalność w kraju. Z dotacji tych wyliczały się wobec NIK.

F u n d u s z e

Fundusze na utrzymywanie łączności z krajem pochodziły z pozostałości sum uzyskanych w czasie wojny przez rząd polski na pomoc dla kraju i AK. Pieniądze te wynosiły w końcowym okresie wojny ok. 5.000.000 dolarów i znajdowały się w zarządzie generała Tatara (pseudonim Tabor). Generał Tatar, który przebywał przez okres wojny w kraju, był wysłany do naczelnego wodza, generała Sosnkowskiego, przez dowódcę AK, generała Bora-Komorowskiego. Przybył on do Londynu pierwszym samolotem, który odleciał z Włoch do Polski i zabrał stamtąd przedstawicieli kraju. W kraju był on „szefem operacji” i zajmował trzecie miejsce po generałach Komorowskim i Pełczyńskim. Wódz naczelny mianował go „zastępcą szefa sztabu do spraw krajowych” i podporządkował mu Oddział VI Sztabu. W tym charakterze kierował on techniką rzutów i rachunkowością pieniężną w tym dziale. Jego pomocnikiem był ppłk Utnik.

Po zakończeniu działań wojennych wydało się, że gen. Tatar zataił ponad dwa miliony dolarów i ukrył je we Francji. Ponieważ był on w tym czasie przeniesiony do Szkocji na stanowisko dowódcy artylerii 1-go Korpusu, gen. Bór wysłał do niego gen. Montera-Chruściela w celu przeprowadzenia dochodzeń. W wyniku dochodzeń gen. Tatar został zwolniony ze stanowiska.

Pieczę nad pozostałymi pieniędzmi objął ppłk Kamiński. Suma przez niego przejęta wynosiła w listopadzie 1946 roku ponad 2.240.000 dolarów. Ppłk Kamiński miał jako oficer dobrą opinię; był on wysłany do kraju z ramienia naczelnego wodza przed powstaniem warszawskim, po powstaniu brał nadal udział w pracy konspiracyjnej. Był dwukrotnie jako kurier w kraju, zanim znalazł się ostatecznie za granicą. Wydawało się, że powierzona mu funkcję strażnika pieniędzy rządowych wypełni bez zarzutu. Okazał się jednak złym przedsiębiorcą i opornym płatnikiem, odmawiając nieraz wypłat lub uzależniając je od dopełniania stawianych przez siebie warunków. Lokował powierzone mu pieniądze w nierentownych przedsiębiorstwach, powodując przez to poważne straty.

Bilans gospodarki ppłk. Kamińskiego przedstawia się jak następuje. Po dokonaniu przez niego zleconych mu wypłat pozostałość przypadająca do zwrotu ustalono na 699.754 dolarów i ponadto na równowartość pewnej ilości monet złotych objętych ogólną sumą przejętego w roku 1946 funduszu. Na pokrycie tej pozostałości ppłk Kamiński zobowiązał się przekazać pełnomocnictwa na szereg obiektów majątkowych bądź udziałów w spółkach znajdujących się w stanie upadłości, w których lokował powierzone mu pieniądze, z zobowiązania tego jednak się nie wywiązał.

Pozostałości omawianego funduszu służyły nie tylko na utrzymanie łączności z krajem, lecz także na potrzeby związane z działalnością poza granicami kraju, subsydia dla instytucji społecznych, działalność kulturalną itd. Trudności czynione przez ppłk. Kamińskiego wywołały już w drugiej połowie roku 1948 brak środków na dalszą działalność. Łączność z krajem uległa wówczas niemal całkowitej likwidacji.

Wnioski

Rozważając podaną powyżej historię łączności z krajem w latach 1945-1950 Komisja dochodzi do wniosków następujących:

1. Łączność z krajem w omawianym okresie nie nasuwa za-

strzeżeń z punktu widzenia interesu polskiego. Łączność ta miała charakter samodzielny i informacyjny; dyrektywy polityczne, jakich udzielano wtedy ludziom i organizacjom w kraju, miały na celu powstrzymywanie ich od wystąpień czynnych i aktów dywersji, porzucenie zaś jedynie na oporze biernym.

2. Brak szczegółowych danych co do działalności aparatu łączności w omawianym okresie nie pozwala na ocenę stopnia fachowości tego aparatu i obiektywnych wyników jego działalności. Wiadomo jednak, że ofiar ludzkich w tym okresie było niewiele.

3. Jednym z niewątpliwie dodatnich elementów działalności w tym czasie było przekazanie znacznych sum pieniężnych na pomoc dla kraju. Dokładnej wysokości tych sum Komisja nie miała możliwości ustalić; elementem równie dodatnim było przesyłanie do kraju miesięcznika „Przegląd Polski”, zawierającego właściwe oświecenie polityki władz komunistycznych i sytuacji politycznej za granicą.

4. Akcję łączności z krajem prowadzono od początku za pieniądze sojusznice, co wszakże nie ograniczało jej samodzielności. Komisja widzi w tym potwierdzenie tezy, że nie każde korzystanie z pomocy czynników obcych przekształca aparat polski w agenturę i że rygorystyczne stanowisko wobec obcych funduszy prowadziłoby, przy braku środków własnych, do zaniechania wszelkiej łączności z krajem.

5. Komisja nie dysponuje elementami pozwalającymi na dokładną ocenę gospodarki pozostałościami wojennego funduszu. W ocenie tej trzeba też wziąć pod uwagę nieuporządkowanie i płynność stosunków w końcowym okresie wojny i pierwszym okresie powojennym, trudno jednak nie zauważyć, że gospodarka tą nie była dostatecznie kontrolowana. Generał Tatar miał, jak wynika z zeznań, całkowitą swobodę w rozporządzaniu funduszem i mógł bez większych trudności ukryć ponad dwa miliony dolarów i wywieźć je do Francji. Zorganizowanie kontroli mogącej zapobiec nadużyciom było w ówczesnych warunkach niewątpliwie trudne, nie mniej jednak konieczne. Wskazana była nieufność, zastąpiono ją natomiast całkowitym zaufaniem.

Doświadczenie z generałem Tatarem nie wystarczyło wszakże i w roku 1946 opiekę nad funduszem objął znowu jeden człowiek, nad którym nie zorganizowano należytej kontroli. Z postępowania ppłk. Kamińskiego wynika, że umieszczał on samowolnie powierzone mu pieniądze w nierozsądnych a nawet naiwnych inwestycjach. Nie zbywało mu, być może, na dobrej woli, wyka-

zał jednak całkowity brak obycia ze sferą działalności przemysłowo-handlowej, ulegając podszeptom złych doradców. Co więcej, brakło mu nawet świadomości, że czynienie jakiegokolwiek użytku z depozytu bez woli i wiedzy depozytariusza sprzeciwia się prawu i dobremu obyczajom.

Braki w organizacji przechowywania i kontroli funduszu obciążają nie tylko ówczesną administrację wojskową, lecz i cywilną. Fundusz ten otrzymał rząd; był to fundusz przede wszystkim polityczny. Niedostateczna jednak znajomość okoliczności, w jakich gospodarowano funduszem i niemożność ich odtworzenia po dziesięciu latach, uniemożliwiają, jak już zaznaczono, ustalenie i rozgraniczenie odpowiedzialności w tej dziedzinie.

OKRES LAT 1951-1952

Łączność z krajem, która zamarła w poprzednim okresie, uległa ożywieniu w drugiej połowie roku 1950 po zawarciu przez Dział Krajowy Rady Politycznej umowy o współpracę z partnerami zachodnimi. W wyniku tych umów zaczęły działać w Niemczech dwie placówki łączności: jedna, dawniej już istniejąca, z siedzibą w Oerlinghausen a potem w Muelheim, druga z siedzibą w Rotach koło Tegernsee w Bawarii, następnie w Monachium i wreszcie w miejscowości Oeberberg (Berg) pod Monachium. Placówki te miały swoje ekspozytury. Pierwszą z tych placówek określano nazwą „Północ”, drugą — nazwą „Południe”. Kierownikiem pierwszej był Tychota, a po jego zwolnieniu W. Z., drugiej — K., a po jego wyjeździe do Ameryki — W. F. Obie placówki podlegały Działowi Krajowemu Rady Politycznej, pozostającemu pod kierownictwem E. Sojki.

Ponieważ sprawa umów oraz działalność Działu Krajowego i obu placówek będzie przedmiotem szczegółowych rozważań w dalszym ciągu niniejszego sprawozdania, Komisja poprzestaje na tym miejscu na nakreśleniu powyższych ogólnych zrzębów nowej organizacji łączności.

Współpraca z partnerami zachodnimi rozpoczęła się w końcu roku 1950 i trwała przez okres lat 1951 i 1952. W końcu roku 1952 partnerzy wysunęli pod adresem polskim propozycje, które dalszą współpracę postawiły pod znakiem zapytania, do nowego układu jednak nie doszło wskutek zdekonspirowania obu placówek po ucieczce do kraju pracownika placówki „Południe”. Ostaszewskiego (Chomy) i przebywającej na tejże placówce Macińskiej (Weberowej). Cały aparat łączności wszedł w roku 1953

w stadium likwidacji. Placówka „Północ” została zlikwidowana z końcem marca 1953 roku, „Południe” — w lipcu 1953 roku. Likwidacji uległy również biura Działu Krajowego R. P.

O ucieczce Ostaszewskiego i Macińskiej rozgłosiła prasa komunistyczna w kraju. Potem przyszedł proces krakowski i publikacje b. kierownika placówki „Północ”, Tychoty. Powstała tzw. „sprawa Bergu”.

Sprawa Bergu

Sprawa Bergu nabrała rozgłosu na emigracji wskutek ogłoszenia przez Tychotę w latach 1953 i 1954 dwóch listów otwartych, jednego do prezesa Stronnictwa Narodowego, T. Bieleckiego i drugiego pt. „Stosunek Prezydium do kraju” oraz broszury pt. „Ostatni Raport”. Materiał zawarty w tych publikacjach oraz inne materiały dostarczone przez Tychotę czynnikom rządowym dały St. Mackiewiczowi podstawę do ogłoszenia dwóch broszur: „O handel śmiercią” i „O sąd obywatelski nad handlarzami śmiercią” oraz poruszyły opinię publiczną na emigracji.

Nie poprzestając na ogłoszeniu listów otwartych i broszury, Tychota złożył przedstawicielowi rządu R.P. w Niemczech Zachodnich oskarżenie przeciwko J. Zdziechowskiemu, E. Sojce, F. Białasowi, T. Zawadzkiemu, T. Bieleckiemu, Z. Berezowskiemu, A. Demideckiemu i W. Kańskiemu, uzupełnione kilkunastoma załącznikami zawierającymi dodatkowe zeznania oskarżyciela i powołanych przez niego świadków. Minister Sprawiedliwości po otrzymaniu powyższych materiałów rozszerzył oskarżenie na osoby Al. Sierza i samego Tychoty oraz przesłał rzecznikowi Sądu Obywatelskiego w Wielkiej Brytanii wniosek o wszczęcie postępowania przeciwko wymienionym osobom. Postępowania przeciwko Demideckiemu i Tychocie nie wszczęto z uwagi na niewłaściwość sądu. Do pozostałych osób rzecznik skierował pisma wzywające ich do poddania się sądowi obywatelskiemu. Na pisma te wszyscy adresaci odpowiedzieli umotywowanymi listami odmownie, wobec czego Sąd Obywatelski zawiesił postępowanie. Wówczas p. K. Okulicz, jako Minister Sprawiedliwości, ogłosił tekst swego wniosku do rzecznika S.O. w broszurze pt. „Zbiór dokumentów w sprawie Bergu”, uzupełniając go 20 fotokopiami dokumentów dostarczonych przez Tychotę, z których 10 jest całkowicie nieczytelnych, z pozostałych zaś 10 tylko część jest możliwą do całkowitego odczytania.

Wniosek K. Okulicza nie precyzuje zarzutów przeciwko ża-

nej z 9 osób w nim wymienionych, lecz oskarża wszystkie te osoby sumarycznie o działanie, firmowanie, pokrywanie lub tolerowanie działalności mającej na celu:

1. „Angażowanie ludzi w kraju do akcji wywiadowczej na rzecz czynników obcych, pociągającej za sobą bezużyteczne lecz ciężkie i krwawe ofiary, tym większe im bardziej — jak w danym wypadku — akcja prowadzona była po dyletancku i z karygodną lekkomyślnością;

2. Firmowanie i wykonywanie przez działaczy politycznych nie licujących z ich rolą i pozycją społeczną płatnych usług wywiadowczych dla czynników obcych niczym wobec praw i interesów polskich nie zobowiązanych;

3. Ciąglenie z tych usług zysków materialnych za pomocą niedozwolonych procederów, zwiększających przy tym stopień narażania bezpieczeństwa osób angażowanych w kraju;

4. Podkopywanie tego rodzaju postępowaniem godności dobrego imienia polskiego wobec czynników urzędowych państw obcych;

5. Podrywanie zaufania w kraju do emigracji polskiej przez działania o charakterze agenturowym powszechnie przez uchodźstwo potępiane i nieliczenie się z życiem, wolnością i bezpieczeństwem wciąganych do tych działań w kraju”.

Tryb postępowania

Przystępując do rozpatrzenia tej sprawy Komisja stwierdza, że nie ma uprawnień sądowych i że przyjęty przez nią tryb postępowania nie ma charakteru kontradiktoryjnego. Zadaniem Komisji jest ustalenie faktów w dziedzinie łączności z krajem oraz ich ocena w oparciu o kryteria wynikające z zadań i celów emigracji. Ze względu jednak na wagę zarzutów podniesionych przez K. Okulicza i Tychotę, Komisja nie uznała za możliwe rozpatrywać sprawę w oderwaniu od tych zarzutów, lecz brała je pod uwagę w celu ustalenia ich słuszności lub bezzasadności.

Świadkowie: A. K. Tychota

Rozpoznanie „sprawy Bergu” wymaga przede wszystkim ustalenia poglądu na charakter występujących w niej osób. Zarzuty

zawarte w publikacji K. Okulicza opierają się niemal wyłącznie na materiałach i zeznaniach Tychoty, Komisja uznała więc za niezbędne zająć się charakterystyką jego osoby i oceną tych materiałów pod kątem widzenia ich wiarygodności. Ponieważ Tychota odmówił stawienia przed Komisją, oceny tej można było dokonać jedynie na podstawie akt i zeznań świadków.

W ciągu całego niemal badanego okresu Tychota zajmował stanowisko kierownika placówki „Północ” i, jakkolwiek twierdzi, że protestował przeciw dyspozycjom swych przełożonych, nie wyciągnął ze swych protestów konsekwencji i pozostawał dalej na swym stanowisku. Co więcej, w liście do E. Sojki z 10 listopada 1952 roku, przytoczonym w orzeczeniu sądu organizacyjnego Stronnictwa Narodowego, oświadcza, że jest „na posterunku narodowej walki o wolność” i nie ma zamiaru rezygnować z tego posterunku. W innym ustępie tegoż listu grozi Sojce szantażem w razie zwolnienia go ze stanowiska. „Piszę, aby wam raz jeszcze przemówić do rozsądku, bo obawiam się, że wy w zaciętrzewieniu swoim możecie zrobić w stosunku do mnie głupstwo, które zmusi mnie do zrobienia skandalu, mogącego się bardzo ujemnie odbić na waszej dalszej karierze”. Przystąpił do swej akcji dopiero wtedy, gdy został wydalony z pracy i gdy zapadło niekorzystne dla niego orzeczenie sądu organizacyjnego Stronnictwa Narodowego.

Zapytany, czy nie chce złożyć zeznań przed Komisją, odpowiedział w liście z 30 marca 1955 roku, że „jako lojalny obywatel państwa polskiego, wychowany na zasadach głoszonych przez R. Dmowskiego i St. Głębińskiego, muszę konsekwentnie stać na gruncie państwowego porządku prawnego, na którego straży stoi Prezydent i Rząd przez niego powołany, a zatem nie wolno mi w żadnej formie, nawet pośredniej, łączyć się z czynnikami występującymi przeciwko konstytucyjnemu porządkowi państwowemu... Dlatego też Komisji, będącej organem TRJN, nie tylko nie uznaję, ale nie wolno mi nawet na jej listy i wezwania odpowiadać”. Natomiast we wspomnianym liście do Sojki z 10 listopada 1952 roku Tychota pisze: „Zapominacie drogi Kolego, że tu na emigracji w naszym polskim świecie wszystko polega na dobrej woli, boć te wszystkie nasze „władze” to lipa, tak samo jak „ciągłość władz państwowych”.

Gdy w grudniu 1952 roku został zawiadomiony o zwolnieniu go ze stanowiska kierownika placówki, nie przyjął tego zarządzenia do wiadomości, lecz stawiał opór i — jak sam zeznaje — zwolnił pracowników placówki z przysięgi wobec Rady Politycznej (?) po czym udał się do czynników obcych z prośbą o inter-

wencję. Czynniki te zmuszone zostały w ten sposób do pośrednictwa w gorszącym sporze wywołanym przez pracownika, który kurczowo, za wszelką cenę, wbrew woli swych przełożonych, chciał się utrzymać na swym stanowisku. Powstaje pytanie, dlaczego to robił. W swym oskarżeniu oskarża wszak wszystkich swych przełożonych o działalność występłą; w liście do przewodniczącego Komisji z 30 marca 1955 roku wyraża opinię, że „sprawa Bergu ze względu na swój charakter przestępczy w zasięgu państwowego interesu należy wyłącznie do prokuratora państwowego”. Uczestnicząc w tej działalności stawiał się więc, w konsekwencji swych własnych zarzutów, współuczestnikiem przestępstwa. A jednak nie tylko nie zrezygnował z tego uczestnictwa, lecz stawiał opór przeciw zwolnieniu go z pracy.

Wzewany przez Komisję w charakterze biegłego P. wystawia Tychocie, jako kierownikowi placówki, ujemne świadectwo. Jeden z pracowników służby łączności, N., charakteryzuje go jako człowieka o chorobliwej i zawiedzionej ambicji. Pracownik placówki „Północ”, R. Z., określa Tychotę jak człowieka bez charakteru, pozbawionego kwalifikacji na stanowisko kierownika placówki. Tychota, według tego świadka, prowadził wystawny tryb życia, nie przestrzegał zasad konspiracji placówki, zapraszając do jej siedziby osoby postronne jako swych gości, a jego małżeństwo z kobietą mającą przed zamążpójściem obywatelstwo niemieckie, wywołało bardzo nieprzychylnie komentarze. Niemniej Tychota nie miał przed swą żoną tajemnic zawodowych. Świadek podaje, że ponieważ odnosił się krytycznie do osoby Tychoty i jego zarządzeń, był stale przez niego szykanowany. O zeznaniach tego świadka będzie jeszcze mowa w dalszym ciągu niniejszego sprawozdania.

Sposób, w jaki Tychota atakuje swoich przeciwników, powracając w różnych wersjach do tych samych spraw i gmatwując przez to swe zeznania, nienawiść wreszcie do swych byłych przełożonych i epitety, jakimi ich obrzuca, nakazują traktowanie jego zeznań z nieufnością.

Nieufność jest tym bardziej wskazana, że źródła wielu informacji Tychoty są nieznane. Był on kierownikiem placówki „Północ”, a ponadto do dnia 1 lutego 1952 roku prowadził rachunkowość obu placówek. Z racji kierowania placówką północną mógł mieć bezpośrednie informacje o jej działalności, nie mógł natomiast mieć takich informacji o działalności placówki południowej; zeznania jego wszakże dotyczą w przeważnej mierze tej drugiej placówki. Twierdzi on, że „z kwitów orientował się najlepiej, co się na tamtej placówce (tj. placówce „Południe”)

dzieje i co się tam robi”. Nie wydaje się, aby kwity mogły stanowić wystarczającą podstawę do informacji o działalności drugiej placówki, lecz co więcej i to źródło informacyjne powinno było stać się dla niego niedostępne po 31 stycznia 1952 roku. Tymczasem zeznania Tychoty sięgają poza ten okres, aż do likwidacji aparatu łączności. W broszurze swej „Ostatni raport” podaje on wprawdzie, że zbierał informacje od pracowników łączności, nigdzie jednak nie wymienia swoich informatorów, jedynie w zeznaniach złożonych czynnikom rządowym powołuje pewne osoby na świadków. Komisja zbadała trzech spośród powołanych przez niego świadków; dwóch z nich zaprzeczyło jego zeznaniom całkowicie, trzeci zaś przypomniał sobie tylko jeden szczegół z rozmów z Tychotą. O zeznaniach tych świadków będzie jeszcze mowa.

Niezależnie od tego przedstawiciel rządu polskiego w Niemczech zachodnich, Kobylański, przesłuchiwał trzy osoby spośród powołanych przez Tychotę świadków, Wojciechowskiego, Marcola i Dachana, b. pracowników placówek. Przy przesłuchiwaniu jednego z nich, jak to stwierdza protokół przesłuchania, był obecny sam Tychota, jest rzeczą możliwą, że asystował on także przy badaniu dwóch pozostałych. Sojka i F. wyjaśnili w sposób wyczerpujący okoliczności stanowiące treść zeznań wymienionych świadków; w świetle tych wyjaśnień należy przyjąć, że zeznania złożone wobec Kobylańskiego były nieścisłe, niepełne i pozbawione obiektywizmu. Będą one rozpatrzone w dalszym ciągu niniejszego sprawozdania.

B. Inni świadkowie

Dążąc do możliwie wszechstronnego wyjaśnienia działalności Działu Krajowego R.P., Komisja uznała za konieczne przesłuchać wszystkie osoby mogące rzucić jakiegokolwiek światło na tę działalność, o ile osoby te były dla Komisji dostępne. Wartość zebranych w ten sposób zeznań jest różna. Niektóre z nich wnoszą wiele elementów faktycznych do badanej sprawy, wartość innych jest znikoma. Komisja opierała się w ocenie zeznań na swym przekonaniu o stopniu ich wiarygodności, biorąc też pod uwagę rolę świadka w działalności aparatu i wysunięte przeciw niemu zarzuty. Z istoty badanej sprawy wynika, że osoby nie biorące udziału w pracach Działu Krajowego i jego placówek nie mogły mieć o nich bezpośrednich wiadomości.

Dowody na piśmie

Tychota złożył czynnikom rządowym na poparcie swych zarzutów ponad 60 fotokopii zapisów buchalteryjnych, instrukcji, listów i innych dokumentów. Część tego materiału reprodukuje broszura „Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” w formie nieczytelnej, co, jak wyjaśnia wstęp do wspomnianej broszury, było wynikiem technicznych wad reprodukcji. Ogłoszenie dokumentu w sposób uniemożliwiający jego odczytanie nie ma wartości dowodowej, nie pozwala nawet na ocenę, w jakiej mierze dokument wiąże się ze sprawą; nie wiadomo zatem, czego chciano dowieść przez zamieszczenie w broszurze nieczytelnego materiału. Nasuwa się przypuszczenie, że chodziło nie o poparcie publicznego oskarżenia dowodami, lecz o wytworzenie domniemania, że oskarżyciel jest w posiadaniu kompromitującego oskarżonych materiału niewiadomej treści.

Nieczytelność przeważnej części fotokopii zamieszczonych w „Zbiorze dokumentów” oraz brak w tej broszurze całości posiadanego przez czynniki rządowe materiału fotograficznego skłoniły Komisję do zwrócenia się na 43, Eaton Place o umożliwienie zbadania oryginalnych fotokopii. Pismo w tej sprawie z 13 sierpnia 1955 roku pozostało bez odpowiedzi, na pismo z dnia 1 października 1955 roku nadeszła odpowiedź podpisana przez T. Bugayskiego jako „kierownika Ministerstwa Sprawiedliwości”. W odpowiedzi tej Bugayski oświadcza m.in.: „Rząd R.P. świadomy faktu, że z chęci zysku osobistego prowadzona, tragiczna akcja na kraj, znana powszechnie pod nazwą „sprawy Bergu” spowodowała niezliczone ofiary w kraju, jest gotów udostępnić fotokopie dokumentów stanowiących dowody tej zbrodni każdej instytucji, nawet prywatnej, czy indywidualnym osobom, należącym do polskiego obozu niepodległościowego, które pragną naocznie zapoznać się z tymi faktami. Odnośne fotokopie będą dostępne do wglądu w biurze Ministerstwa Sprawiedliwości przy 43, Eaton Place, S.W.1., w godzinach urzędowych w obecności referenta, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym daty i godziny przybycia zainteresowanych petentów”.

Komisja wzięła pod uwagę niewłaściwy ton listu oraz fakt, że „kierownik Ministerstwa Sprawiedliwości” wydał już wyrok w sprawie będącej dopiero przedmiotem dochodzeń, lecz, w założeniu, że nie należy pomijać żadnego dostępnego materiału dowodowego, uchwaliła wydelegować dwóch swoich członków celem zbadania fotokopii. Wydelegowani członkowie Komisji przejrzeni

oryginały udostępnionych im około 65 fotokopii i sporządzili notatkę z wyników swych badań. Spostrzeżenia zawarte w tej notatce będą omawiane we właściwych częściach niniejszego sprawozdania, na tym miejscu Komisja poprzestaje na ogólnej charakterystyce przejrzanego materiału.

Fotokopie zaopatrzone są w numery bieżące od 1 do 65, lecz w niektórych wypadkach oznaczono jednym numerem po dwie kopie lub różnymi numerami części tej samej sprawy. Niektóre fotokopie zawierają urywki listów bez adresu, daty i podpisu, treści zupełnie obojętnej lub nie wiążącej się z badaną sprawą. Całość nie czyni wrażenia materiału starannie przejrzanego i poddanego odpowiedniej selekcji.

Wszystkie fotokopie są na ogół czytelne, choć niezbyt wyraźny charakter pisma utrudnia odczytywanie wpisów rachunkowych. Fotokopie od 2 do 18 obejmują 9 stron podwójnych — „amerykanki”; pierwsze kolumny podają tytuł obrotu, datę i sumę obrotów, następne — rozbitcie ich na poszczególne konta. Wpisy są dokonane jedną i tą samą ręką. Pierwszy wpis ma datę października 1950 roku, a ostatni — 31 sierpnia 1952 roku. Wpisy nie zawierają zamknięć miesięcznych lub rocznych, jest jedynie zamknięcie końcowe. Karty amerykanki musiały być luźne, nie oprawione w książkę, gdyż na fotokopiach wyraźne są ślady pluskiewek, którymi przytwierdzano je do fotografowania. Całość robi wrażenie pisanej jednorazowo; nie są to wpisy dokonywane w różnym czasie na przestrzeni blisko dwóch lat.

Cyfry są wpisywane bez oznaczenia waluty, na którą opiewają. Według wyjaśnień Tychoty, cyfra na pierwszym miejscu oznacza dolary, pod nią — marki niemieckie, a pod markami złote. Podsumowane w ten sposób wpisy obrotów dają w przeliczeniu na dolary sumy znacznie niższe od podawanych przez Sojkę i zawartych w budżetach Działu Krajowego, wpisy muszą być zatem co najmniej niepełne. Nazwy niektórych rachunków są niejasne.

Fotokopie 19-35 zawierają potwierdzenia odbioru kwitów, protokół kontroli sprawozdania finansowego sporządzonego przez Tychotę za czas od 1 października 1950 do 31 stycznia 1952 roku, wymieniacząc salda placówek na dzień 31 stycznia, protokoły zdawczo-odbiorcze, w których „Paweł” (Tychota) przekazuje N. kwity miesięczne, instrukcje prowadzenia kont rachunkowych, wyjątek z listu Sojki do Tychoty, instrukcje rachunkowe ogłoszone w „Zbiorze dokumentów”, o których będzie jeszcze mowa, wreszcie sprawozdanie finansowe „Wypożyczalni” za czas od 1 lipca 1951 roku do 31 grudnia 1951 roku. Sprawozdanie to zawiera cyfry wpływów i wydatków placówek za okres półroczny, lecz ze

względem na nieregularność wpłat dokonywanych przez stronę drugą i różną w różnych okresach wysokość wydatków placówek nie daje ono poglądu na całokształt gospodarki finansowej Działu Krajowego.

Dalsze fotokopie obejmują tekst instrukcji technicznej dla „PI” oraz odpisy korespondencji Tychoty z Sojką, Bieleckim i W. bez znaczenia dla rozpatrywanej sprawy. Wyróżnia się wśród tej korespondencji list Tychoty do Bieleckiego, w którym Tychota skarży się, że Ostaszewski, S. i F. rzucają oszczerstwa na jego narzeczoną. Narzeczona złożyła Tychocie swój życiorys i fotokopie różnych dokumentów świadczących o jej niewinności, nie widzi on zatem przeszkód do zawarcia z nią małżeństwa.

Zwracają też uwagę fotokopie 39-43, zawierające niepodpisany i niedatowany projekt umowy o współpracę między Polską Organizacją Informacji Antykomunistycznej a oraz plan działalności tej organizacji. Był to okres roku 1948, umowa nie doszła do skutku.

Fotokopie 50-55 zawierają sporządzone przez Tychotę opracowanie procesu warszawskiego z 7-8 stycznia 1952 roku oraz jego wnioski z tego procesu. Podaje on tam również statystykę wypraw kurierskich zorganizowanych przez obie placówki w roku 1951. Wreszcie wśród fotokopii znajdują się odpisy orzeczeń sądu organizacyjnego Stronnictwa Narodowego w sprawie przeciwko Tychocie z oskarżenia Sojki i przeciwko Sojce z oskarżenia Tychoty.

Przejrzenie fotokopii na miejscu, bez możliwości okazania ich świadkom, nie pozwoliło stwierdzić, kto był autorem wpisów buchalteryjnych dokonywanych ręcznie ani ustalić, gdzie i kiedy fotokopie zostały sporządzone. Sprawa nie jest jasna, a w broszurze K. Okulicza nie ma próby jej wyjaśnienia.

Tychota został zwolniony z prowadzenia rachunkowości obu placówek z dniem 31 stycznia 1952 roku, w grudniu zaś tego roku całkowicie zwolniony z pracy. Obowiązany on był zatem zdać akta rachunkowe do dnia 1 lutego 1952 roku, a wszystkie inne, z wyjątkiem swej prywatnej korespondencji z prezydium Stronnictwa Narodowego, z chwilą zwolnienia z pracy. Ponieważ wśród fotokopii znajdują się oryginalne instrukcje rachunkowe podpisane przez Sojkę i Sierza, trzeba przyjąć, że Tychota bezprawnie je zatrzymał lub też sporządził z nich fotokopie na długo przed zwolnieniem go z pracy. Jedno i drugie wydaje mu świadectwo złej wiary.

Nie wiadomo też, skąd Tychota czerpał wiadomości o wpływach i wydatkach placówki „Południe” po 1 lutym 1952 roku.

Oświadcza on wprawdzie, że miał dostęp do rachunkowości tej placówki również po tej dacie, gdyż wprowadzał nowego buchaltera, N., „w system księgowania i pomagał mu księgować zaległości”, lecz świadek N. stwierdza, że przy tej nauce posługiwano się jedynie dowodami kasowymi placówki „Północ”; księgowość placówki „Południe” prowadził w tym okresie Ostaszewski. Tenże świadek stwierdza, że zamknięcia wpływów i wydatków były sporządzane miesięcznie, tymczasem fotokopie „amerykanki”, jak już stwierdzono, nie zawierają zamknięć miesięcznych ani nawet rocznych, lecz jedynie podsumowanie końcowe.

N. zeznaje dalej, że dostęp do rachunkowości placówki „Południe” po 1 lutym 1952 roku miały jedynie trzy osoby: F., on sam i Ostaszewski, płatnik placówki. Ostaszewski został przeniesiony z placówki „Północ” na placówkę „Południe” wskutek ostrego zatargu z Tychotą, trudno go zatem posądzać o współdziałanie. Nie ma też podstaw do posądzania o to F. Z zeznań N. wynika, że mogły go w pewnym czasie łączyć bliższe stosunki z Tychotą (spędził u niego święta Bożego Narodzenia), lecz zaprzecza on kategorycznie, aby udzielał Tychocie jakichkolwiek informacji lub umożliwiał mu robienie fotokopii. N. robi wrażenie człowieka dalekiego od skłonności do intryg.

W sumie Komisja stwierdza, że bliższego zbadania wymagają instrukcja techniczna, instrukcje z 10 listopada i 27 grudnia, ogłoszone w „Zbiorze dokumentów” oraz opracowanie procesu warszawskiego. Pozostałe fotokopie zawierają informacje znane skądinąd i przez nikogo nie kwestionowane, jak np. że kierownikiem Działu Krajowego był Sojka, a jego zastępcami Białas i Zawadzki (vide „Zbiór dokumentów” str. 9), bądź materiał fragmentaryczny nie dający podstaw do wniosków ogólnych, bądź też materiał nie potwierdzający zarzutów Tychoty, jak np. zarzutu prowadzenia księgowości rzeczywistej systemem amerykańskim i księgowości fałszywej systemem włoskim. Wśród fotokopii nie ma wpisów prowadzonych systemem włoskim. Nadto wiarygodność niektórych fotokopii wydaje się wątpliwa.

Przeświadczenie o małej przydatności materiału dowodowego zawartego w fotokopiach podzielali widocznie autorzy „Zbioru dokumentów”, skoro cyfry dotacji dla Działu Krajowego i wydatków tego Działu przytoczyli na str. 11 i 12 „Zbioru” nie na podstawie wniosków z fotokopii, lecz przepisali je po prostu z tekstu oskarżenia złożonego przez Tychotę rządowi.

Od Działu Krajowego Komisja otrzymała dwa protokoły kontroli dowodów kasowych „Wypożyczalni”, przeprowadzonej przez Sojkę, Białasa i Zawadzkiego w dniu 14 września 1951 i 27 grud-

nia 1953 roku oraz podcyfrowane przez członków Działu Krajowego odpisy dwóch preliminarzy budżetowych tego Działu.

Pierwszy protokół kontroli obejmuje okres od 1 października 1950 do 31 stycznia 1951 roku i stwierdza zgodność dowodów kasowych z zapisami w księgowości; drugi obejmuje okres od 1 lutego 1951 do 30 czerwca 1953 roku, zawiera to samo stwierdzenie zgodności dowodów z zapisami oraz ustala niewielkie salda gotówkowe „Wypożyczalni” na dzień 30 czerwca 1953 roku. Oba protokoły zaopatrzone są w oryginalne podpisy i zawierają wzmiankę o zniszczeniu dowodów kasowych po zbadaniu.

Z dwóch preliminarzy budżetowych pierwszy zawiera miesięczne zestawienie wydatków Działu Krajowego, zredukowanych przez stronę drugą w dziale dotacji dla stronnictw i w niektórych innych pozycjach. Preliminarz ten, według wyjaśnień Sojki, obowiązywał w ciągu pierwszych 9 miesięcy działalności Działu Krajowego, od 1 października 1950 do 30 czerwca 1951 roku. Drugi preliminarz obejmuje drugie półrocze 1951 roku; był on zaakceptowany w całości przez drugą stronę. Według wyjaśnień tego samego świadka, na pierwsze półrocze 1952 roku prelimitowano wydatki w tej samej wysokości jak w drugim półroczu 1951 roku, w ciągu zaś następnych 6 miesięcy w 1952 wydatki były mniejsze; dokonywano ich na podstawie miesięcznych prowizoriów budżetowych. Z końcem listopada wypłaty ustały.

Oba preliminarze będą rozpatrzone w rozdziale poświęconym gospodarce finansowej Działu Krajowego.

Na żądanie Komisji dostarczenia innych dokumentów, jak protokołów zebrań Działu Krajowego, protokołów przyjęcia umowy z partnerami zachodnimi, oryginałów preliminarzy budżetowych, raportów placówek i ich ksiąg rachunkowych, Sojka wyjaśnił co następuje:

1. Protokołów zebrań Działu Krajowego nie prowadzono, poprzestawano na notatkach niewiele mówiących niewtajemniczonym, a i te notatki po wykonaniu powyższych uchwał niszczone. Nie sporządzano protokołów przyjęcia umowy, są jednak świadkowie rozmów przeprowadzonych z drugą stroną.

2. Oryginałów preliminarzy budżetowych nie przechowano. W papierach osobistych świadka znalazły się dwa podcyfrowane odpisy tych preliminarzy, przedstawione Komisji.

3. W korespondencji między Centralą a placówkami ograniczono się do spraw natury ogólnej, nie podawano, ze względu na cenzurę listów, szczegółów działalności technicznej lub finansowej. Łączność między Centralą a placówkami miała charakter bezpośredni, świadek jeździł do Niemiec przynajmniej raz na mie-

siąc, dwaj zaś pozostali członkowie Działu Krajowego uzupełniali od czasu do czasu te inspekcje.

4. Rachunki i rozliczenia wydanych sum niszczone po przeprowadzeniu kontroli w obecności osób, które kontroli dokonały. Po zarządzeniu likwidacji Działu Krajowego i jego placówek zniszczono resztę materiałów i dokumentów.

Zasadę nieprzechowywania pisemnych dowodów działalności Działu Krajowego przyjęto ze względów bezpieczeństwa, wychodząc z założenia, że dowody te, nawet przy odpowiednim zabezpieczeniu, mogą się dostać do rąk niepowołanych. Ostrożności tej domagali się również kontrahenci.

Wynikiem braku archiwum Działu Krajowego była niemożność podania Komisji ścisłych i szczegółowych cyfr buchalteryjnych z zakresu gospodarki finansowej tego Działu. Specyfikacje pozycji budżetowych świadek mógł podać jedynie w cyfrach zaokrąglonych, posługując się pamięcią i własnymi zapiskami.

Jak wynika z przedstawionego w powyższych rozdziałach stanu materiału dowodowego, którym dysponowała Komisja, materiał ten wykazuje pewne braki, nie mniej jednak całokształt przeprowadzonych przez Komisję badań pozwala, jej zdaniem, w oparciu o przyjęte na wstępie zasady ogólne, na wyświetlenie istotnych dla rozpatrywanej sprawy momentów. Obraz tej sprawy jest następujący.

Organizacja

Pierwszym zagadnieniem, którym się zajęła Komisja, była konieczność wyjaśnienia, w czym imieniu i pod czym kierownictwem była prowadzona akcja łączności z krajem okresu lat 1951 i 1952 oraz w jakiej mierze odpowiadała ona obiektywnie pojętemu interesowi polskiemu.

Jak wynika ze streszczonej poprzednio organizacji akcji łączności w badanym okresie, kierownictwo tą akcją należało do Działu Krajowego R.P., powołanego przez Radę. Dział Krajowy pozostawał pod nadzorem Komisji Krajowej. Obie te instytucje, ze względu na konieczność przestrzegania konspiracji, miały kompetencje autonomiczne. Dział Krajowy uzgadniał swe plany działalności z przewodniczącym Komisji Krajowej i wiceprzewodniczącym tej Komisji oraz składał okresowo sprawozdania plenum Komisji. Przewodniczący Wydziału Wykonawczego miał prawo wstępu na posiedzenia Komisji Krajowej. Plenum Rady było informowane od czasu do czasu przez przedstawicieli Działu Krajowego o ogólnej sytuacji w kraju.

W skład Działu Krajowego wchodził przedstawiciele trzech stronnictw — założycieli Rady Politycznej: E. Sojka (SN), jako kierownik Działu, F. Białas (PPS) oraz T. Zawadzki (NiD) jako członkowie. Placówkami łączności kierował Sojka, dwaj pozostali brali udział w opracowywaniu budżetu łączności, kontrolowali okresowo działalność finansową placówek i sprawowali nadzór nad przydzielonymi im referatami w Centrali.

Umowa z partnerami zachodnimi o finansowanie akcji łączności i udzielanie pomocy technicznej w prowadzeniu tej akcji została zawarta we wrześniu 1950 roku przez kierownika Działu Krajowego i zaaprobowana przez Dział Krajowy w pełnym składzie oraz przez przewodniczącego Komisji Krajowej. Umowę zawarto ustnie.

Przedstawione wyżej powiązania organizacyjne Działu Krajowego z Komisją Krajową i Wydziałem Wykonawczym Rady Politycznej oraz tryb i okoliczności zawarcia umowy pozwalają na stwierdzenie, że akcja Działu Krajowego była prowadzona w imieniu Rady Politycznej i za jej aprobatą. Niezależnie od tego stronnictwa wchodzące w skład Rady utrzymywały łączność z krajem we własnym zakresie, korzystając ze swoich powiązań i dróg łączności, o czym świadczą pisemne zeznania Białasa i Zawadzkiego. Starania o utworzenie wspólnej sieci łączności okazały się bezowocne, lecz Dział Krajowy udzielał doraźnej pomocy stronnictwom w ich akcji łącznościowej w postaci dokumentów i środków finansowych. Poza tym Komisja nie ma bliższych wiadomości o działalności stronnictw w tej dziedzinie.

Uchwała Rady Politycznej

Rada Polityczna powzięła w dniu 23 listopada 1950 roku uchwałę określającą interes polski w utrzymywaniu łączności z krajem i granice tego interesu. Uchwała ta brzmi:

„Celem pracy Działu Krajowego jest utrzymanie łączności z Krajem, obrona duchowa wartości narodu polskiego, jego odrębności cywilizacyjnej i przynależności do zachodniej kultury i związanych z nią form życia zbiorowego.

„Dział Krajowy w obecnej chwili wypowiada się przeciw stawianiu czynnego oporu wobec reżymu komunistycznego — przeciw podejmowaniu przez społeczeństwo polskie aktów represji wobec terroru komunistycznego — przeciw aktom dywersji i sabotażu, które w obecnych warunkach nie przynoszą żadnych korzyści politycznych w walce z sowiecką przemocą, a tylko pociągają za sobą zbędne ofiary.

„Dział Krajowy największy nacisk kładzie na informowanie społeczeństwa polskiego o rzeczywistej sytuacji w świecie, na objaśnianie właściwego znaczenia postępu sowieckiej polityki zdążającej do unicestwienia odrębności narodu polskiego we wszystkich dziedzinach życia i nawet wtedy, gdy pozbawionemu obiektywnych wiadomości mogłoby się wydawać, że zmiany narzucone przez rządy komunistyczne mogą wyjść na korzyść narodowi polskiemu.

„Dział Krajowy uwzględnia konieczność współdziałania z sojusznikami na zachodzie, uważa jednak, że oddziaływanie na Kraj powinno się odbywać za pośrednictwem Działu Krajowego Rady Politycznej lub za jego aprobatą, ponieważ wywieranie wpływu na wewnętrzne stosunki w Polsce przez organy działania obcych mocarstw uznawane by być musiało tak w Kraju jak na emigracji jako bezpośrednia ingerencja obcych czynników”.

Uchwała kładzie zatem nacisk na informowanie społeczeństwa w kraju o sytuacji w świecie i właściwych zamierzeniach polityki sowieckiej w stosunku do Polski, lecz wypowiada się przeciwko propagowaniu czynnego oporu, aktom sabotażu i dywersji. W warunkach, jakie się wytworzyły po wystąpieniu w roku 1949 Stronnictwa Narodowego z rządu i powstaniu Rady Politycznej, złożonej z trzech a potem z pięciu stronnictw, trzeba przyjąć, że uchwała powyższa była wyrazem polityki polskiej w stosunku do kraju. W uchwale nie ma niczego, co by się sprzeciwiało obiektywnemu pojmowaniu interesu polskiego w nakreśleniu zadań łączności z Krajem. Treść uchwały nie odbiega pod tym względem od zasad stosowanych w latach 1945-1949, jest raczej tych zasad kontynuacją. Dział Krajowy obowiązany był przestrzegać tej uchwały.

W materiale, którym dysponuje Komisja, nie ma zarzutów, aby działalność Działu Krajowego wykraczała poza granice wymienionej uchwały, to znaczy poza zakres wzajemnej wymiany informacji i pomocy dla kraju. Zarzuty dotyczą raczej zbyt niskich wyników działalności w tej dziedzinie. Nie było wszakże w tej działalności ani propagowania czynnego oporu, ani organizowania aktów sabotażu i dywersji. Komisja przyjmuje zatem, że działalność Działu Krajowego w latach 1951 i 1952 pozostawała w granicach uchwały Rady Politycznej i że z tego punktu widzenia zastrzeżeń nie nasuwa.

Samodzielność

Stwierdzenie powyższe stwarza domniemanie samodzielności

aparatu, lecz wobec licznych zarzutów podnoszonych w tym względzie Komisja uznała za konieczne rozpatrzyć sprawę szczegółowo.

Zależność od strony obcej mogła się wyrazić: a) we wpływie tej strony na obsadę aparatu łączności, b) w jej wpływie na działalność tego aparatu (patrz zasady ogólne pkt. V). Zbadania wymaga przede wszystkim, czy treść umowy z partnerami zachodnimi stwarzała formy takiej zależności.

Umowa, według zeznań Sojki, potwierdzonych przez Zarembe i Białasa, miała charakter bardzo ogólny. Strona druga wyraziła gotowość zapewnienia Działowi Krajowemu pomocy technicznej i finansowej na akcję łączności, nie uzależniając tej pomocy od jakichkolwiek warunków w zakresie doboru personelu, metod jego pracy i nadzoru nad jego działalnością. Zobowiązanie wzajemne Działu Krajowego polegało na utrzymywaniu łączności z krajem z wyłączeniem podejmowania akcji dywersyjnej i sabotażowej i na dzieleniu się z drugą stroną informacjami uzyskiwanymi z kraju, z możliwością wszakże selekcji tych informacji.

Inną wersję tej umowy, rzekomo na podstawie wynurzeń Sojki, podaje Tychota. Wersja ta, zawarta w oskarżeniu skierowanym do rządu i sporządzonym przez Kobyłańskiego, ma brzmienie następujące:

„Strona... zobowiązała się dostarczać środki pieniężne według ruchomej skali uzależnionej od rozmiaru działalności. Umowa nie została spisana i zawarta była ustnie, a jej przedmiot według informacji Sojki przeze mnie zanotowany w dzienniku był następujący: 1. Współdziałanie w wojnie psychologicznej, 2. przekazywanie informacji krajowych, 3. uruchomienie przez... specjalnej stacji na kraj dla celów tej pracy, 4. organizowanie pomocy materialnej dla zagrożonych w kraju, 5. pomoc materialna dla ruchów podziemnych w kraju”.

W zeznaniach złożonych wobec K., Tychota podaje, również na podstawie rzekomych wyjaśnień Sojki, inną, znacznie obszerniejszą wersję powyższej umowy. Wersja ta ma brzmienie następujące:

„Rada Polityczna zobowiązuje się do: 1) współdziałania z akcją zimnej wojny, 2) podtrzymywania w kraju ducha oporu, 3) rozbudowania w kraju sieci rezydentów i informatorów (tzw. PI), 4) przygotowania sieci stacji radionadawczych w kraju. W zamian za to druga strona dostarczy R.P. funduszy na: 1) utrzymanie aparatu łączności z krajem, 2) rozbudowę i utrzymanie grup informacyjnych w kraju, 3) podtrzymywanie ducha oporu w kraju przez akcje ulotkowe, afiszowe oraz zasilanie ludzi

w kraju pomocą pieniężną, 4) utrzymanie centrali w Londynie, 5) pomoc materialną akcjom podziemnym. Wysokość dotacji miała być ustalona na podstawie uzgodnionego przez obie strony półrocznego budżetu”.

Pomiędzy obu wersjami nie ma znaczniejszych różnic, wydaje się jednak wątpliwe, czy umowa zawarta ustnie mogła zawierać tak szczegółową punktację. Kobylański obecny przy składaniu obu zeznań, nie wyjaśnił tej wątpliwości, K. zaś nie podpisał protokołu złożonych wobec siebie zeznań, nie wiadomo więc, czy był w ogóle obecny. Teksty podane przez Tychotę nasuwają przypuszczenie, że musiał on je ułożyć *ex post*, dla celów dochodzeń rządowych, opierając się na informacjach uzyskiwanych o działalności placówki „Południe” i podając te informacje w sposób nieścisły, a nawet przesadzony. W pierwszej wersji np. mówi on o zobowiązaniu drugiej strony do budowy specjalnej stacji radionadawczej na kraj, w drugiej o zobowiązaniu tym nie wspomina, mówi natomiast o zobowiązaniu Rady Politycznej do przygotowania sieci stacji radionadawczych w kraju; w świetle zeznań innych świadków, zobowiązania te nie istniały. „Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” podaje drugą wersję Tychoty bez żadnych zastrzeżeń i omówień.

Brak ograniczeń

Istota rzeczy polega wszakże na tym, że w żadnej z trzech wersji nie ma postanowień uprawniających do wniosku, że umowa stwarzała zależność organizacyjną strony polskiej od strony obcej. Zależność istniała z konieczności w dziedzinie pomocy technicznej i finansowej, lecz pomocy tej nie warunkowały żadne stypulacje umożliwiające czynnikom obcym bądź wpływ na obsadę aparatu łączności, bądź na jego działalność. W żadnej z trzech wersji kontrahenci nie zastrzegają sobie prawa kontroli, udzielania dyrektyw, żądania sprawozdań lub wkraczania w inny sposób w działalność aparatu; co więcej, nie zastrzegają sobie nawet prawa do otrzymywania całości materiału informacyjnego nadchodzącego z kraju. Treść umowy nie ograniczała bynajmniej samodzielności Działu Krajowego w kierowaniu akcją łącznościową.

Kwestia wykonania

Analiza treści obu umów nie wyczerpuje wszakże zagadnienia. Ogólnikowy charakter umów mógł umożliwić niejednołitą ich

interpretację, zasada niezależności aparatu polskiego wynikająca z umów mogła ulec ograniczeniom w toku ich wykonywania. Zarzuty Tychoty w tej materii są liczne, posuwa się on aż do twierdzenia, że aparat polski stał się narzędziem obcego wywiadu, a na poparcie swych zarzutów powołuje świadków. Tak więc świadkowie Demidecki i F. mają stwierdzić, że z końcem lutego 1952 roku powstały nieporozumienia pomiędzy Sojką a przedstawicielem drugiej strony. „Odtąd stale urzędował w biurze placówki, wszystkie planowane akcje i operacje musiały być dawane do aprobaty, wszystkie szczegóły sieci łączności musiały być ujawnione”.

Zapytany w tej sprawie Demidecki oświadczył, że stosunki między przedstawicielem strony zachodniej a Sojką były jak najlepsze, cechowała je osobista przyjaźń i zaufanie aż do końca, tzn. do odwołania przedstawiciela na inne stanowisko. Nigdy żaden przedstawiciel obcy nie urzędował w biurze placówki, „wszystkie plany i akcje operacyjne odbywały się wyłącznie w ramach naszych własnych decyzji bez ingerencji czy aprobaty czynnika obcego”. Zeznania te potwierdza F., oświadczając, że „bywały różnice zdań co do poszczególnych konkretnych zagadnień, różnice te jednak nie przybierały nigdy formy nieporozumień, ani też tym bardziej nie miały wpływu na formy organizacyjne naszych stosunków z obcymi”. Oświadcza on dalej, że twierdzenie o przedstawicielu drugiej strony jest od początku do końca nieprawdziwe.

F. miał też, według Tychoty, zaświadczyć, że „Sojka w szeregu wypadków kazał pracownikom placówki „Południe” ujawniać wobec tajemnice organizacyjne placówki”. Świadek zaprzecza temu, stwierdzając, że „wobec ujawniane były z konieczności tylko niektóre sprawy techniczno-organizacyjne, związane z działalnością na zachodzie, a wymagające z ich strony pomocy (np. pragnąc otrzymać dokument na Czechy lub przerzut człowieka do Wiednia, siłą rzeczy ujawniało się, kiedy, którędy, przez jaki kraj i kto z naszych pracowników pójdzie...). Nigdy jednak nie było wypadku ujawniania istoty tajemnic organizacyjnych placówki, tj. naszych kontaktów krajowych”.

Przesłuchiwany przez Kobylańskiego świadek Dachan, b. kierownik ekspozytury berlińskiej, oświadcza, że zasada niezależności od partnerów zachodnich nie była przestrzegana przez placówkę „Południe”. Sojka wzywał go dwukrotnie do Monachium i „zlecił ujawniać skład ekspozytury berlińskiej i wszystkie elementy akcji”. Świadek odmówił, za co wstrzymano mu uposażenie i wytoczono dyscyplinarkę.

Przesłuchiwany przez tegoż Kobylańskiego św. Marcol, na-

stępcą Dachana w ekspozyturze berlińskiej, oświadczył, że gdy w kwietniu 1953 roku przyjechał do bazy, aby zdać swą ekspozyturę, został wezwany na konferencję z przedstawicielami drugiej strony w obecności Kańskiego i W.Z.; Kański polecił mu wówczas przekazać „wszystkie elementy akcji”, wskutek czego „możliwości samodzielnej polskiej akcji zostały na tym odcinku przecięte”.

Sprawa wygląda odmiennie w świetle wyjaśnień F. i Sojki. Dachan po aresztowaniu przez władze warszawskie jednego z kurierów został całkowicie zdekonspirowany, wskutek czego otrzymał polecenie natychmiastowego wyjazdu z Berlina. Po przyjeździe Dachana do Monachium przedstawiciel władz okupacyjnych zwrócił się do Sojki o wyrażenie zgody na przesłuchanie Dachana w celu ustalenia, z kim miał on styczność w okresie swej działalności berlińskiej, gdyż zachodziły podejrzenia że różnego rodzaju informatorzy grasujący w Berlinie są agentami obcego wywiadu działającymi także wśród służby wywiadowczej sprzymierzonych. Chodziło więc o ułatwienie kontrwywiadowi sojuszniczemu zdekonspirowania obcych agentur w jego własnym środowisku. Dachan zgodził się bez wahania na udzielenie informacji, lecz następnie, pod wpływem Tychoty, odmówił.

Marcol został aresztowany w Berlinie przez policję niemiecką z powodów, o ile można sądzić, nie mających nic wspólnego z jego działalnością konspiracyjną. Policja zabrała mu jednocześnie dokumenty, szyfry, broń i pieniądze, po czym, na jego żądanie, przekazała go wraz z całym jego tajnym arsenałem władzom okupacyjnym, któreabrały go do Düsseldorfu. Władze te uzyskały w ten sposób możność zapoznania się, na podstawie skonfiskowanych dokumentów, ze szczegółami działalności Marcola, gdy więc, w obecności Kańskiego, zażądano od niego wyjaśnienia przyczyn aresztowania i niejasności w jego poprzednich tłumaczeniach, jego zeznania nie mogły już zdradzić żadnych nowych „elementów akcji”.

Z drugiej strony, świadkowie Zaremba, Białas i Zawadzki stwierdzają całkowitą samodzielność Działu Krajowego w jego pracy łączności. „Podstawą umowy” — oświadcza Zaremba — „była zupełna samodzielność polskiej akcji na kraj”; „współdziału obcych nie było w akcji Działu Krajowego, była natomiast udzielana przez nich pomoc techniczna i finansowa” — stwierdza Białas; „nie można mówić o współdziale obcych w tej akcji, gdyż go nie było, czynniki obce okazywały natomiast swą pomoc materialną i techniczną” — oświadcza Zawadzki. Przedstawiony

wyżej materiał dowodowy zeznania te potwierdza, nie ma więc podstaw do podawania ich w wątpliwość.

Z tych względów Komisja, w oparciu o przytoczony stan faktyczny, przychodzi do przekonania, że Dział Krajowy Rady Politycznej korzystał w swej pracy z samodzielności niezbędnej dla ochrony interesów polskich i że oskarżenie go o zawarcie umów „agenturalnych” bądź „działalność agenturalną” jest bezpodstawne. Dopiero w końcu roku 1952 miało miejsce wysunięcie przez partnerów zachodnich nowych propozycji współpracy, ograniczających samodzielność kierownictwa polskiego. Dział Krajowy wypowiedział wtedy umowy o pracę swoim pracownikom; do rozstrzygnięcia konfliktu jednak nie doszło z powodu likwidacji placówek wywołanej innymi wydarzeniami.

Fachowość aparatu

Osoby kierujące bezpośrednio placówkami łączności, F. i Tychotha oraz ich przełożony, Sojka, nie miały do tego przygotowania teoretycznego, lecz każda z nich może się wykazać mniejszym lub większym przygotowaniem praktycznym, pozwalającym na opanowanie techniki sprawowanych czynności. Sojka od początku roku 1941 pracował (z przerwami) w rządowym aparacie łączności, od roku 1946 na stanowiskach kierowniczych. Był dwukrotnie w kraju mogąc się w ten sposób zapoznać z istniejącymi tam warunkami i ustalić podstawy współpracy. W sumie należy przyjąć, że w naszych warunkach miał przygotowanie do zajęcia stanowiska kierowniczego w tej dziedzinie pracy.

F. brał udział w pracy konspiracyjnej w kraju od 1939 do 1948 roku, gdy kraj opuścił. W okresie swej pracy w kraju zajmował różne stanowiska o charakterze propagandowym lub organizacyjnym, a od roku 1948 pracował w służbie łączności za granicą. We wrześniu roku 1948 znalazł się w Szwecji, stamtąd wyjechał do Londynu, a potem do Paryża. Kierownictwo placówki „Południe” objął z wiosną 1951 roku. Z punktu widzenia przygotowania technicznego nie był całkowicie odpowiedni na kierownika placówki, lecz Komisja doszła do przekonania, że będąc człowiekiem rozsądnym i inteligentnym, szybko wyrabiał się w tej pracy.

Tychota pracował w konspiracji na Węgrzech od 1939 do kwietnia 1944 roku, a następnie, po zwolnieniu go z obozu koncentracyjnego w Niemczech, pozostał tam, zajmując się sprawami łączności z krajem od 1946 do końca 1952 roku. W czasie pobytu

na Węgrzech utrzymywał łączność z krajem z ramienia Stronnictwa Narodowego. W roku 1947 został mianowany przez Ministra Spraw Wewnętrznych kierownikiem placówki łączności, a po zwolnieniu go z tego stanowiska w roku 1949 kierował nadal placówką łączności z ramienia Stronnictwa Narodowego. W końcu roku 1950 został wyznaczony kierownikiem placówki „Północ”. Przygotowanie techniczne Tychoty do sprawowania powierzonych mu funkcji należy uznać za odpowiednie, lecz, jak wskazuje przytoczona w innej części niniejszego sprawozdania charakterystyka jego osoby, przygotowaniu temu nie odpowiadały cechy umysłu i charakteru.

Funkcje Białasa i Zawadzkiego w aparacie łączności nie wymagały przygotowania technicznego. Jak już wspomniano, brali oni tylko udział w opracowaniu budżetu, kontrolowali okresowo działalność finansową placówek i kierowali przydzielonymi im referatami w Centrali. A. Demidecki pełnił funkcje nadzorcze nad obiema placówkami w okresie od maja 1951 do kwietnia 1952 roku, lecz z zeznań jego wynika, że nie wkraczał on w technikę pracy placówek, ograniczając się do koordynowania ich działalności i utrzymywania kontaktów z przedstawicielami drugiej strony.

W. Kański był w roku 1945 kierownikiem „Akcji Kontynentalnej”, a następnie kierownikiem komórki łącznikowej utrzymującej łączność z placówkami na kontynencie, a głównie z placówką łączności z krajem. Pełnił on w aparacie Rady Politycznej funkcje łącznika i załatwiał sprawy budżetowe placówki „Północ”; czynności te nie wymagały kwalifikacji technicznych w zakresie łączności.

Komisja nie była w stanie ustalić szczegółowo przygotowania technicznego poszczególnych pracowników placówek i Centrali nie zajmujących stanowisk kierowniczych, z zeznań wszakże osób przesłuchiowanych wynika, że pracownicy ci mieli bądź pewne przygotowanie ogólne do sprawowania powierzonych im czynności, bądź też znajomość warunków pracy w kraju. Natomiast, w związku z zarzutami natury politycznej i moralnej, wysuwanymi przez Tychotę w stosunku do niektórych pracowników placówki „Południe”, Komisja uznała za konieczne zbadać bliżej te zarzuty.

Kwalifikacje polityczne i etyczne personelu

Tychota w broszurze „Ostatni Raport” oświadcza, że w ze-
spole placówki w Berg znaleźli się: 1) szpieg sowiecki w sztabie

placówki, wykryty i aresztowany następnie przez amerykańskie władze bezpieczeństwa, 2) i 3) dwoje prowokatorów, mężczyzna i kobieta, nasłanych przez UB, którzy w krytycznym momencie uciekli do kraju z dokumentami i kasą placówki, 4) przestępca kryminalny skazany prawomocnymi wyrokami sądów brytyjskich i niemieckich na paroletnie więzienie za pospolite przestępstwa, 5) bandyta-nożowiec schwytyany przez policję niemiecką na gorącym uczynku, 6) i 7) dwaj złodzieje schwytni przez policję niemiecką na kradzieży kabla z lotniska, 8) b. gestapowiec od lat podejrzany o współpracę z wywiadem warszawskim, 9) b. konfident UB z Krakowa. Tychota nie podaje nazwisk, Komisja zaś, w oparciu o zeznania F. i Sojki, mogła powiązać część jedynie przytoczonych zarzutów z osobami pracowników placówki i wyjaśnić bliżej istotę inkryminowanych im czynów.

Tak więc, zarzut „szpiega sowieckiego” może dotyczyć pracownika placówki M. Był on uchodźcą z kraju i pracował początkowo w kompaniach wartowniczych. Przed przyjęciem do pracy na placówce został poddany zwykłym badaniom, które dały wynik dla niego dodatni. Po upływie kilku miesięcy otrzymano doniesienie, że w roku 1949 utrzymywał on kontakty z biurem misji sowieckiej we Frankfurcie. Oddano go w ręce władz okupacyjnych, które przetrzymały go w areszcie prawie pół roku i wszechstronnie go zbadały. Nie udowodniono mu żadnej winy i został wypuszczony na wolność.

Wymieniając „dwoje prowokatorów” Tychota ma niewątpliwie na myśli Ostaszewskiego i Macińską, o których będzie dalej mowa. Zarzut „przestępcy kryminalnego” może dotyczyć A.Z., który jednak nie był pracownikiem placówki, lecz tylko jej agentem w Hamburgu. Zadanie jego polegało na nawiązaniu kontaktów z marynarzami z kraju; o pracach placówek nie był poinformowany. Był on, jak się potem okazało, skazany bezpośrednio po wojnie przez sąd okupacyjny za puszczanie w obieg fałszywych banknotów dolarowych. W lecie roku 1952 wycofano go z pracy w Hamburgu, gdzie był już jako agent łączności nazbyt znany; wyraził on wówczas zamiar wyjazdu do Szwecji jako „uchodźca z kraju”, lecz, choć władze okupacyjne zgodziły się na wydanie mu dokumentów, odmówił zgody Sojka i projekt nie doszedł do skutku.

Zarzut „dwóch złodziei schwytnych na kradzieży kabla” dotyczy dwóch ludzi upatrzonych na kurierów, którzy nigdy nie byli pracownikami placówki. Gdy się okazało, że byli oni w tę kradzież zamieszani, przestano ich brać pod uwagę jako kandydatów na kurierów.

Zarzut „b. konfidenta UB z Krakowa” dotyczy pracownika placówki S., gdyż Tychota potwierdza ten zarzut, z wymienieniem nazwiska, w tekście swego oskarżenia. S. pracował w czasie okupacji niemieckiej w organizacji konspiracyjnej Stronnictwa Narodowego, działając głównie wśród młodzieży. Pracował konspiracyjnie również po roku 1945 i w roku 1947 został aresztowany przez UB. Miał powiązania z grupą przyjaciół politycznych Doboszyńskiego oraz znał nazwiska i adresy nielegalnych działaczy w kraju. Obawiał się, że w śledztwie ujawni swoje wiadomości, gdy więc otrzymał propozycję współpracy z UB, przystał na nią pozornie, a wypuszczony na wolność skomunikował się ze swymi przełożonymi w organizacji i prosił o ułatwienie mu ucieczki za granicę. Wywakuował go Tychota dopiero w roku 1949. W okresie tych dwóch lat uchylał się pod różnymi pozorami od współpracy z UB i nikomu szkody nie wyrządził. Po przybyciu do Niemiec prosił o sąd organizacyjny, który go całkowicie zrehabilitował. W skład sądu organizacyjnego wchodził też Tychota, który proponował mu następnie pracę w swojej placówce.

Ujemnie o przydatności S. do pracy konspiracyjnej mógłby świadczyć jedynie fakt pozostawienia przezeń rodziny w kraju. Członkowie tej rodziny zostali w pewnym czasie aresztowani, lecz skazana została tylko jego siostra przyrodnia za pośrednictwo w odbiorze tajnej poczty. Fakt ten wszakże, o ile wiadomo, nie odbił się na pracy S. w placówce; nikt, nie wyłączając Tychoty, zarzutów z tytułu jego lojalności w okresie tej pracy nie wysuwa.

Zarzuty postawione przez Tychotę M. i A.Z. można tłumaczyć w pewnej mierze niedostateczną znajomością stanu faktycznego; w zarzutach stawianych S. trudno nie widzieć złej woli.

Z zeznań i oświadczeń Tychoty nie wynika, komu przypisać zarzuty wymienione w pkt. 5 i 8 (bandyta i gestapowiec). Sojka ani F. nie potrafili powiązać tych zarzutów z osobami pracowników placówki „Południe”. Sojka stwierdza jedynie, że przy poszukiwaniu kandydatów na kurierów i przewodników natrafiano na różne osoby, lecz gdy wykryto, że przeszłość tych osób dyskwalifikuje je moralnie, rezygnowano z ich usług. Osoby te nie miały żadnych wiadomości o siedzibie i pracach placówki.

Należy zauważyć, że Tychota będąc kierownikiem placówki „Północ” nie mógł mieć bezpośrednich wiadomości o personelu placówki „Południe”. Informacje więc, które podaje w swej broszurze, mogą pochodzić albo ze zbieranych pokątnie niedokładnych wiadomości, albo z prasy krajowej, która w swoim czasie szeroko o tych sprawach się rozpisywała.

Ostaszewski i Macińska

Sprawa Ostaszewskiego i Macińskiej wymaga szczegółowego omówienia. Jan Ostaszewski (pseudonim Paweł Choma) był przed wojną członkiem Stronnictwa Narodowego w Krakowie. Pracował w Muzeum Czartoryskich, znał go z tego okresu ówczesny dyrektor Muzeum, gen. Kukiel i inne osoby przebywające obecnie w Londynie, które według oświadczenia Sojki wystawiały mu jak najlepszą opinię. Generał Bór-Komorowski stwierdził przed Komisją, że Ostaszewski „pracował bardzo ofiarnie do końca okupacji niemieckiej, a również za czasów reżimu. Pomógł wielu ludziom w uniknięciu aresztowania czy w ucieczce z kraju”. Generał Komorowski charakteryzuje następnie Ostaszewskiego jako człowieka niezbyt inteligentnego, nie pozbawionego wszakże trzeźwego sądu, bardzo pewnego i nieskomplikowanego umysłu. Po przyjeździe do Londynu Ostaszewski zjawił się u Generała, o nic nie pytał, lecz dużo opowiadał o kraju. Zapytany, dlaczego uciekł pozostawiając w kraju żonę, której mogły grozić represje, odpowiedział: „trudno, w obecnych warunkach nie mogłem się z tym liczyć”.

Aresztowany przez Gestapo za próbę wymiany z ramienia władz podziemnych 500.000 zł na marki niemieckie, został osadzony w Oświęcimiu, skąd go jednak wykupiono kosztem 50.000 zł. Po wojnie zamieszkał w Szczecinie, pracując w miejscowej spółdzielni. Utrzymywał jednocześnie łączność z działaczami w kraju i z placówką Tychoty w Niemczech. W roku 1950 został zdekonspirowany, zbiegł jednak do wschodniej strefy Niemiec, stamtąd zaś udał się do zachodniego Berlina, a następnie, przy pomocy placówki Tychoty, do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Po pewnym czasie został przyjęty do pracy w placówce Tychoty z zadaniem utrzymywania łączności z punktem informacyjnym w S. oraz takimże punktem w Warszawie. F. zeznał, że był on ponadto zastępcą Tychoty.

Praca Ostaszewskiego na placówce „Północ” trwała do końca listopada 1951 roku, gdy wskutek ostrego zatargu z Tychotą został przeniesiony na placówkę „Południe”. Tychota podaje, że powodem zatargu były skłonności Ostaszewskiego do pijaństwa, hulastycznego życia i niedbalstwo w pracy, Sojka i inni świadkowie natomiast stwierdzają, że zatarg wynikł na tle zamieszkiwania w siedzibie placówki gospodyni Tychoty (jego późniejszej żony), przed którą Tychota zwierzał się ze szczegółów pracy placówki.

Fakt dopuszczenia gospodyni (żony) Tychoty do tajemnic placówki potwierdza świadek R.Z.

Ostaszewski po przeniesieniu na placówkę „Południe” otrzymał to samo zadanie utrzymywania łączności z punktem informacyjnym w S. i szczytkową placówką w Warszawie, co praktycznie sprowadziło się do wyewakuowania Macińskiej, jako osoby „spalonej”. Ponadto objął referat gospodarczy placówki, polegający na prowadzeniu rachunków bieżących wydatków administracyjnych, z wyłączeniem wszakże, jak stwierdza F., wydatków na pracę w kraju. Pracował w tym charakterze na placówce „Południe” aż do swej ucieczki. Nie był, jak zeznaje Sojka, zastępcą kierownika placówki.

Tychota w broszurze „Ostatni raport” oświadcza, że Sojka był ostrzegany o niepewności politycznej Ostaszewskiego na półtora roku przed jego ucieczką, lecz nie wziął ostrzeżeń pod uwagę. Sojka temu zaprzecza, oświadczając, że w „polityczną pewność Ostaszewskiego nigdy nie można było wątpić i nigdy nie wysuwano przeciw niemu żadnego uzasadnionego podejrzenia”. Zapytany, czy zna raport Tychoty, zawierający wnioski z procesu warszawskiego, Sojka oświadczył, że Tychota sporządził ten raport na jego zlecenie, lecz zawarte w raporcie twierdzenia Tychoty o rzekomym zdekonspirowaniu Ostaszewskiego i F. zostały uznane po dokładnym przestudiowaniu materiału za bezpodstawne. F. zeznaje, że przed przeniesieniem Ostaszewskiego na placówkę „Południe” otrzymał o nim wyczerpującą opinię od Tychoty. Opinia ta była z politycznego punktu widzenia korzystna, Tychota żadnych podejrzeń w stosunku do Ostaszewskiego nie wysuwał. Nie czynił tego również w okresie pracy Ostaszewskiego na placówce południowej, chociaż stykał się z F. od czasu do czasu aż do końca 1952 roku. Świadek osobiście nie miał żadnych podejrzeń co do lojalności politycznej Ostaszewskiego.

Świadek R.Z., b. pracownik placówki „Północ”, zeznaje, wbrew twierdzeniom Tychoty, że Ostaszewski wykazywał dużą gorliwość w służbie, poszukiwał informacji, nawiązywał rozmowy z kurierami, interesował się sprawami, które do niego nie należały, lecz postępowanie to nie wywołało w świadku podejrzeń. Nie uważał Ostaszewskiego za niebezpiecznego człowieka, grywał z nim wieczorami w karty i wysłuchiwał jego narzekania na rządy emigracyjne. „Ojcowska” postawa Ostaszewskiego jednała mu sympatię pracowników i kurierów. Świadek zauważył jednak, że Ostaszewski wysyłał paczki do kraju z siedziby placówki z podaniem swego nazwiska jako nadawcy. To samo wszakże czyniła żona Tychoty, o czym ten wiedział.

Wanda Macińska (pseudonim Weberowa) była żoną wybitnego działacza podziemia polskiego w okresie okupacji niemieckiej, Tadeusza Macińskiego (Prusa). Pracowała u boku męża, była aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym. Mąż jej został aresztowany w roku 1946 i skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na bezterminowe więzienie. Utrzymywała łączność z kilkoma działaczami dawnej konspiracji i z placówką Tychoty do listopada 1951 roku. W tym czasie wpadł w ręce UB kurier wysłany z placówki Tychoty do warszawskiego punktu informacyjnego; wpadka nastąpiła, według wyjaśnień samej Macińskiej, z powodu ujęcia na granicy pewnego uciekiniera, któremu kierownik punktu warszawskiego, Gągorowski, powierzył wiadomości do przekazania na zachód. Uciekinier wydał Gągorowskiego, ten zaś ujawnił w śledztwie wiadomość o oczekiwaniu kuriera. Rezultatem było zorganizowanie przez UB „kotła” na punkcie kontaktowym, aresztowania i likwidacja punktu, w którego skład wchodziła także Macińska. Oświadczyła ona, że uniknęła aresztowania tylko dlatego, iż oficer UB nie zastał jej w domu. Zaczęła się ukrywać i zawiadomiła placówkę Tychoty o swojej sytuacji, prosząc o pomoc w ucieczce. Plan ucieczki przygotował Ostaszewski, którego w tym czasie przeniesiono na placówkę „Południe”. Wyewakuowano Macińską z kraju łącznie z działaczem Stronnictwa Narodowego W. przez punkt kontaktowy w S. Przewodnikiem był kurier „Albert”, o którym będzie jeszcze mowa.

Macińska i W. przybyli do zachodniego Berlina w lipcu 1952 roku, gdzie spotkał ich Ostaszewski, stamtąd zaś udali się do zachodnich Niemiec. Macińską poddano dwumiesięcznej obserwacji, po czym wyjechała na pewien czas do Londynu, stamtąd zaś, w listopadzie 1952 roku, wróciła do Monachium. Kierownik placówki zwrócił się wówczas do partnerów zachodnich o jej zbadanie; badanie to dało wynik dla niej dodatni. Uzyskała wtedy wstęp do lokali placówki, nie została jednak formalnie jej pracowniczką. Była obznajomiona z techniką pracy konspiracyjnej, wysłała z Niemiec trzy listy do punktów kontaktowych w kraju, przez siebie wskazanych. Zachowanie się jej w czasie pobytu na placówce nie wywoływało podejrzeń, unikała ludzi i nie interesowała się niczym, czego jej formalnie nie zlecono.

Okoliczności ucieczki

Dnia 18 grudnia 1952 roku Ostaszewski przybył samolotem z Monachium do Berlina, gdzie miał się spotkać z przybyłym z kraju kurierem Albertem. Spotkanie to nastąpiło, o czym Osta-

szewski zawiadomił placówkę listownie i zapowiedział swój powrót na 23 grudnia. Równocześnie zamówił miejsce w samolocie. 20 grudnia telefonował na umówiony adres prosząc, aby Macińska porozumiała się z nim telefonicznie, gdyż chce z nią rozmawiać Albert. Macińska zgłosiła się do telefonu w towarzystwie pracownika placówki, S. i odbyła krótką rozmowę z Ostaszewskim oraz Albertem. Ostaszewski miał jej rzekomo potwierdzić swój zamiar powrotu 23 grudnia, zapytana zaś o rozmowę z kurierem oświadczyła, że niewiele słyszała, gdyż połączenie było słabe. 21 grudnia wyjechała samochodem z dwoma pracownikami placówki do Monachium, gdzie zamierzała poczynić zakupy i udać się do fryzjera. Nie zgłosiła się na umówiony punkt spotkania z towarzyszami wycieczki i ślad po niej zaginął. Zaginął również ślad po Ostaszewskim.

Późniejsze dochodzenia ustaliły, że Ostaszewski zachowywał się w Berlinie w sposób sprzeczny z obowiązującymi instrukcjami, spotykał się parokrotnie z Albertem i łącznikiem berlińskiej placówki, Stahlem oraz przychodził do mieszkania innej łączniczki. Tychota w swej broszurze podaje, że w nocy z 22 na 23 grudnia odbyła się w jednej z restauracji berlińskich libacja, w której wzięli udział Ostaszewski, Albert i Stahl oraz jeszcze dwie osoby. Około północy Stahl miał rzekomo udać się do ustępu, za nim zaś poszli trzej towarzysze zabawy. Wrócili oni po pewnym czasie bez Stahla, którego znaleziono w dniu następnym powieszzonego na rusz wodociągowej.

Sojka w swych zeznaniach zaprzecza wersji o zabawie w restauracji i stwierdza, że zwłoki Stahla znaleziono w ubikacji przy Kurfürstendamm już 19 grudnia. Dochodzenia policji niemieckiej nie ustaliły okoliczności jego śmierci, przyjęto oficjalnie wersję samobójstwa. Okupacyjne organy śledcze odniosły się do tej wersji sceptycznie, lecz również nie były w stanie ustalić sprawców ani okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć Stahla.

Macińska, jak to następnie wykryto, wzięła z sobą przed wyjazdem do Monachium drugą spódnicę, dwie pary nylonów i fotografie osobiste, m.in. fotografię syna. Zamiar ucieczki z jej strony można zatem uznać za niewątpliwą. Ucieczka ta musiała być przygotowana, gdyż Macińska nie miała pieniędzy (zostawiła swoje oszczędności w markach niemieckich), nie znała terenu Niemiec ani języka niemieckiego.

O ucieczce Ostaszewskiego i Macińskiej dowiedziano się 31 grudnia z radia warszawskiego, które podało wiadomość, że zgłosili się oni do władz granicznych prosząc o zezwolenie na powrót do Polski. Macińską spotkano jakoby po kilku miesi-

cach w Warszawie, Ostaszewski zaś nie wrócił do Szczecina, a jego córce odmówiono przyjęcia na uniwersytet w 1953 roku z uzasadnieniem, że ojciec jest „zdrajcą Polski ludowej”.

Wnioski

Wyciągnięcie wniosków z afery Ostaszewskiego i Macińskiej w stosunku do kierownictwa placówki i obowiązującego w niej systemu kwalifikowania pracowników oraz nadzoru nad nimi jest rzeczą trudną, ponieważ sprawa obfituje w momenty, których wyjaśnić nie zdołano i których wyjaśnienie jest już niemożliwe. Należy rozważyć przede wszystkim, czy miało tu miejsce niedostateczne „rozpracowanie” tych dwojga ludzi, bądź też niewystarczający stopień nadzoru nad nimi w czasie ich pobytu na placówce. Zarówno Ostaszewski jak Macińska mieli całkowite zaufanie kierownictwa aparatu; zaufanie to było oparte głównie na ich przeszłości jako członków Stronnictwa Narodowego i działaczy konspiracyjnych. Jest to zrozumiałe, gdy się zważy, że sąd o człowieku i jego przydatności do pewnej pracy buduje się zazwyczaj na jego postępowaniu i zachowaniu się w przeszłości, byleby ta przeszłość była wiarygodna i należycie skontrolowana. Ryzyko związane z pracą konspiracyjną wymaga jednak zbadania również innych okoliczności kształtujących psychikę kandydata, jak jego cech charakteru i powiązań uczuciowych bądź rodzinnych. Człowiek mający skłonność do życia ponad stan nie nadaje się do pracy w konspiracji; kto zostawił rodzinę w kraju, może być podatny na szantaż ze strony obcych agentów.

Jak z punktu widzenia tych uwag wygląda sprawa Ostaszewskiego i Macińskiej? Przeszłość ich jako działaczy oddanych sprawie polskiej nie nasuwa, do pewnego przynajmniej momentu, wątpliwości. Momenty wątpliwe powstają z chwilą dekonspiracji Ostaszewskiego w kraju i rzekomo przypadkowego uniknięcia aresztowania przez Macińską. Nie można wykluczyć możliwości, że oboje byli aresztowani i wypuszczeni na wolność pod warunkiem współpracy z UB.

Komisji nie jest wiadome, czy Ostaszewskiego po jego przybyciu do Niemiec poddano badaniom w celu dokładnego wyświetlenia okoliczności jego ucieczki z kraju. F. zeznaje, że uważał za zbyt duże „sprawdzenie” Ostaszewskiego po przeniesieniu go na placówkę „Południe”, gdyż chodziło tylko o zmianę przydziału. Komisja nie mogła stwierdzić, czy Tychota jako kierownik placówki poddał go przepisowym badaniom przed przyjęciem do pracy.

O Macińskiej wiadomo, że była poddana dwumiesięcznej obserwacji, a potem badana bardzo szczegółowo na życzenie Sojki i badania wypadły dla niej korzystnie. Podważa to hipotezę o możliwości zmywy z UB już w kraju, ale jej całkowicie nie wyłącza. Za tą hipotezą przemawia jej rozmowa telefoniczna z Albertem, który był niewątpliwie na usługach UB już w czasie, gdy ją sprowadzał do Niemiec. Trudno bowiem dopatrywać się w tej rozmowie innej treści niż wezwania Macińskiej przez Alberta do powrotu. Trzeba jednak stwierdzić, że w stosunku do Macińskiej obowiązku badań w możliwych granicach dopełniono, co wszakże nie uzasadniało jeszcze obdarzenia jej całkowitym zaufaniem.

Nie wydaje się, aby w postępowaniu Ostaszewskiego i Macińskiej odegrały rolę motywy zysku pieniężnego. Macińska była kobietą skromną, a zarzuty Tychoty co do hulaszczego trybu życia Ostaszewskiego nie znajdują potwierdzenie w zeznaniach innych świadków; nikt go zresztą nie oskarża o życie nad stan. Wiedzano natomiast, że oboje mają rodziny w kraju.

Zachowanie się Ostaszewskiego i Macińskiej w czasie ich pracy w aparacie łączności można tłumaczyć różnie. Ostaszewski ujawnił swe nadmierne zainteresowanie sprawami placówki „Północ”, zauważone przez świadka R.Z., w sposób zbyt demonstracyjny, aby je można było przypisać rozsądnemu szpiegowi, generał Komorowski określa zaś Ostaszewskiego jako rozsądnego człowieka. Zainteresowanie to można tłumaczyć raczej okolicznością, że był on zastępcą kierownika placówki. U Macińskiej nie dostrzeżono żadnego zainteresowania działalnością aparatu, co wszakże nie wyłącza hipotezy, że mogła się nią interesować w sposób ukryty; była wszak, jak stwierdza Sojka, obznajomiona z techniką pracy konspiracyjnej. Nie ma jednak dostatecznych podstaw do wniosku, że zachowanie się Ostaszewskiego i Macińskiej na placówce dawało podstawy do uzasadnionych podejrzeń.

Zachowanie się natomiast Ostaszewskiego w Berlinie, a mianowicie list wysłany do Monachium i telefony powinny były wzbudzić czujność kierownictwa placówki. W jeszcze większej mierze była podejrzana rozmowa telefoniczna Macińskiej z Albertem. Nie zwrócono na to wszystko uwagi, co można tłumaczyć atmosferą przesadnego zaufania, jaka ich otaczała i w pewnym stopniu nieobecnością F., który wyjechał wówczas do Francji.

Jakie płyną wnioski z przytoczonych rozważań? Przenikanie obcych agentów do instytucji nawet należycie strzeżonych nie jest bynajmniej rzeczą niezwykłą i zdarza się w pracy konspiracyjnej niejednokrotnie. Całkowite zabezpieczenie konspiracji przed penetracją obcego wywiadu jest, jak wskazują liczne doświadczenia,

niemożliwe, od kierownictwa pracy konspiracyjnej należy jednak wymagać przedsięwzięcia rozsądnych środków ostrożności. Kierownictwo aparatu łączności Rady Politycznej zbyt silnie polegało na przeszłości Ostaszewskiego i Macińskiej jako członków Stronnictwa Narodowego i działaczy antyreżimowych, nie biorąc dostatecznie pod uwagę wątpliwych momentów w tej przeszłości. Trzeba stwierdzić wszakże, że byli oni dobrze zamaskowani, legitymując się w dodatku sprowadzeniem z kraju wybitnego działacza Stronnictwa, W.

Jest rzeczą możliwą, że Ostaszewski i Macińska byli od początku agentami UB i w tej roli przybyli na Zachód; jest również możliwe, że zostali agentami już w czasie swego pobytu na Zachodzie, ulegając groźbie szantażu bądź też, zmuszeni w kraju do współpracy z UB, zamierzali współpracę tę zerwać po przybyciu na zachód, lecz, zagrożeni szantażem postanowienia tego nie wykonali. We wszystkich wypadkach narzędziem szantażu były zapewne rodziny pozostawione w kraju. Motyw rodzinny mógł być rozstrzygający zwłaszcza u Macińskiej, która pozostawiła dziecko i męża w więzieniu. Posiadanie rodziny w kraju powinno, zdaniem Komisji, dyskwalifikować kandydata do pracy konspiracyjnej. Kierownictwo aparatu łączności nie przyjęło tej zasady, co należy uznać za błąd, nie tylko w stosunku do Ostaszewskiego i Macińskiej, lecz za błąd systemu kwalifikowania kandydatów.

Pozostały personel aparatu łączności, stale zatrudniony w tym aparacie i zaprzysiężony, nie nasunął Komisji zastrzeżeń politycznych i moralnych. Fakt, że przy poszukiwaniu kandydatów na agentów, przewodników i kurierów natrafiano na osoby wątpliwej wartości moralnej, nie dyskredytuje kierownictwa, skoro po ujawnieniu dyskwalifikujących te osoby okoliczności z usług ich rezygnowano.

Punkty informacyjne

Łączność z krajem utrzymywano za pomocą tzw. „punktów informacyjnych” (PI), tworzonych w różnych częściach kraju i złożonych z jednej bądź najwyżej kilku osób. Pomiedzy punktami nie było, ze względów na bezpieczeństwo, żadnej łączności, nie było też punktów wspólnych „Północy” i „Południa”. Likwidacja aparatu Działu Krajowego pociągnęła za sobą likwidację PI w kraju; okres likwidacji trwał przez rok 1953.

„Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” reprodukuje w postaci fotokopii „instrukcję techniczną pracy punktu informacyjnego PI

(Rady Politycznej)” zawierającą przepisy o organizacji i zadaniach PI w kraju. Instrukcja nie ma daty ani podpisu. W swych punktach 1b i 4b włącza ona wyraźnie do zadań PI wywiad wojskowy co należy uznać za niedopuszczalne. W punktach 5 i 6 zawiera zarządzenia bardzo trudne lub zgoła niemożliwe do wykonania. Do takich należy obarczanie PI, złożonego nieraz tylko z jednej osoby, zadaniem zorganizowania łączności sztafetowej z punktem łączności na Zachodzie lub przewidywanie możliwości zaopatrzenia PI w duży i ciężki sprzęt, jak maszyny do pisania, drukarnie, ewentualnie broń maszynową. W czasie wojny sprzęt tego typu był przesyłany wyłącznie zrzutami lotniczymi; placówki zrzutów takich nie stosowały, kurierzy zaś w istniejących warunkach przekraczania granicy przenosić podobnego sprzętu nie mogli. Obok innych jeszcze niewłaściwości, instrukcja zawiera punkt 8, dotyczący organizowania przez PI ośrodków oporu w razie wybuchu wojny; punkt ten jest niejasny i zbyt ogólnikowo ujęty, brak w nim zakazu wszczynania akcji czynnej bez wyraźnego polecenia, co mogłoby skłonić elementy zapalne do przedwczesnych dywersji na tyłach nieprzyjaciela i spowodować katastrofę.

P. Mackiewicz oświadcza w swej broszurze „O sąd obywatelski nad handlarzami śmiercią”, że „instrukcja powyższa jest absolutnie nie na poziomie... Ta instrukcja wypowiada tylko ogólne jakieś zasady, wypowiada szereg naiwnych elementarnych truizmów, wypowiada je z przestępną lekkomyślnością... Z jakiej racji i komu jeśli nie prowokatorowi było potrzebne pisanie tej instrukcji na maszynie, odbijanie jej i przechowywanie w biurach Działu Krajowego R.P.... Jednym słowem, całość nadaje się najlepiej na pierwszą stronicę pisma komunistycznego w kraju obrazującego w sposób popularny, do czego dążą i czym są emigranci polscy”.

„Zbiór dokumentów” stwierdza na wstępie, że „ta instrukcja musiała zapewne wyjść od jakiegoś komunistycznego współpracownika tajnego ukrytego w Radzie Politycznej... Materie religijne i patriotyczne pomieszane są tu z materiałami pieniężnymi i szpiegowskimi w ten właśnie sposób, w jaki to lubi przedstawiać ordynarna propaganda komunistyczna. Same zamierzenia instrukcji są zarówno jaskrawe, jak tak naiwne, że trudno jest uwierzyć, aby mogły służyć do czego innego jak do prowokacji... Odbijanie podobnej instrukcji na maszynie i rozsyłanie jej po licznych biurach Rady Politycznej także zawiera w sobie coś bardzo zastanawiającego”.

Badany w tej sprawie Sojka oświadczył, że instrukcji nie zna,

nigdy jej nie wydawał i nigdy nie widział ani w swoim biurze, ani w Biurze Rady Politycznej. Świadek wyraża przypuszczenie, że instrukcję tę mógł napisać bez jego wiedzy Tychota lub Ostaszewski, bądź też, że Tychota sfabrykował ją już po swym zwolnieniu z pracy. Instrukcja, według świadka, zawiera przepisy sprzeczne z praktyką akcji łącznościowej placówek, a nawet nonsensowne, zwłaszcza w punkcie 8.

PI, zeznaje dalej świadek, otrzymywały instrukcje przez kurierów, którzy przekazywali je pamięciowo. Instrukcje te tłumaczyły ogólnie cel istnienia PI, wyłączały wszelką działalność dywersyjną i sabotażową i zakazywały organizowania zespołów przekraczających 3 osoby. Polecały one informowanie Rady Politycznej o przejawach życia w kraju, lecz żadnych szczególnych poleceń w zakresie obserwacji, zwłaszcza w dziedzinie wojskowej, nie zawierały.

Świadek Demidecki, któremu okazano instrukcję, zeznał, że jej nie zna i nigdy nie widział. Treść jej według świadka stoi w tak ostrej sprzeczności z linią i metodami pracy Działu Krajowego, że wyklucza on, aby mogła być autentyczna. Podobne oświadczenie złożył F., stwierdzając, że instrukcja nigdy nie obowiązywała w kierowanej przez niego placówce łączności z krajem. Przewodniczący Wydziału Wykonawczego R.P., J. Zdziechowski, oświadczył również, że z instrukcją zapoznał się dopiero po odczytaniu mu jej treści przez przewodniczącego Komisji.

Członkowie Komisji, wydelegowani w celu zbadania oryginałów fotokopii znajdujących się na 43, Eaton Place, stwierdzili, że instrukcja była pisana na innej maszynie niż instrukcje finansowe i dotyczące księgowości. Różnice występują w szczególności w wykroju czcionki „a”; czcionka ta ma kształt odmienny w tekście instrukcji podpisanej przez Sojkę, natomiast kształt jej jest ten sam zarówno w instrukcji technicznej jak i w kopiach listów pisanych na maszynie, którą posługiwał się Tychota. Zbieżność ta przemawia za wnioskiem, że instrukcja techniczna dla „PI” była pisana na maszynie należącej do Tychoty.

Tychota, który omawia swe zarzuty niezwykle szeroko i nieraz parokrotnie je powtarza, wstrzymuje się od wszelkich komentarzy na temat omawianej instrukcji. Mackiewicz i Okulicz przypisują instrukcję prowokacji, nie biorą jednak pod uwagę, że skoro tekstu instrukcji dostarczył wśród innych dokumentów Tychota, prowokacja musiała być jego dziełem bez względu na to, czy on sam był autorem instrukcji. Znał on wszakże działalność placówek i wiedział niewątpliwie, w jaki sposób przesyłano PI instrukcje i jaka była ich treść. Zarzut prowokacji dotyczy więc człowieka,

który dla Mackiewicza i Okulicza jest filarem oskarżenia. Nie mniej „Zbiór dokumentów” reprodukuje instrukcję jako materiał dowodowy przeciw Radzie Politycznej stwarzając domniemanie, że stanowiła ona podstawę dla działalności PI w kraju. Już tylko brak daty i podpisu na instrukcji powinien był skłonić autorów broszur do zbadania jej pochodzenia.

Metody utrzymywania łączności

Łączność z krajem utrzymywano zasadniczo trzema sposobami: przy pomocy kurierów, tzw. „paczek specjalnych” i korespondencji. Nie było wypadków posługiwania się w celach łączności spadochroniarzami, z radia zaś skorzystano tylko raz, po zniknięciu Ostaszewskiego i Macińskiej w celu nadania haseł alarmowych.

I. Łączność za pośrednictwem kurierów utrzymywała placówka „Północ”, placówka „Południe” korzystała z tego sposobu łączności znacznie ogólniej. Zdanie sobie sprawy ze stanu rzeczy w tej dziedzinie wymaga ustalenia liczby wypraw kurierskich zorganizowanych przez obie placówki i liczby kurierów, którzy wpadli w ręce UB. Dane co do tych liczb, zawarte w zeznaniach Tychoty i F., nie dają należytego obrazu wypraw i strat, gdyż Tychota podaje jedynie liczbę wypraw zorganizowanych przez swoją placówkę (27 wypraw w roku 1951, z czego 7 nieudanych i 6 strat), F. zaś nie rozróżnia liczby kurierów od liczby wypraw, choć jeden kurier chodził nieraz kilka razy do kraju. Jedynie Sojka podaje wyczerpująco liczbę wypraw kurierskich z obu placówek i liczbę strat; według jego zeznań, placówka „Północ” zorganizowała w czasie od września 1950 do grudnia 1952 roku 29 wypraw kurierskich a w roku 1953, aż do likwidacji placówki, jeszcze 4 wyprawy, ogółem więc 33 wyprawy. Placówka „Południe” zorganizowała w tym czasie 9 wypraw kurierskich. Cyfry te dotyczą kurierów lądowych; placówka „Południe” wysłała nadto 5 kurierów drogą morską (tyleż wypraw), ogółem więc zorganizowała 14 wypraw. Z placówki „Północ” wpadło ogółem 10 kurierów, z placówki „Południe” — 4 kurierów.

Odsetek wpadek kurierskich był zatem na obu placówkach znaczny. Przyczynę tego upatruje Tychota w niedostateczności funduszy przeznaczonych na wyekwipowanie kuriera, utrzymanie szlaku, wynagrodzenie przewodników itp. Oświadcza on, że Dział Krajowy otrzymywał na wyprawę kurierską 500 dolarów

i 90 dolarów na ekwipunek kuriera, wydawał zaś przeciętnie 200-250 dolarów. Koszty utrzymania szlaku lądowego przez Niemcy wschodnie „w warunkach maksymalnego bezpieczeństwa” powinny były, według Tychoty, wynosić przy trzech przerzutach ludzi lub 5 przerzutach materiału ok. 800 dolarów miesięcznie, utrzymanie bezpieczniejszego szlaku wymagało 1.500 dolarów miesięcznie. Odpowiednie zorganizowanie punktu przerzutowego w Berlinie musiałoby nadto pociągnąć za sobą wydatek w kwocie 700 dolarów miesięcznie. Sumy otrzymywane przez Dział Krajo- wy na wyprawy kurierskie były zatem niewystarczające, a oszczęd- ności czynione z tych sum zwiększały jeszcze ryzyko każdej wy- prawy. Powstaje pytanie, dlaczego w tych warunkach Tychota nie tylko się godził na wysyłanie kurierów, lecz wysłał ich znacz- nie więcej niż placówka „Południe”. Czyniąc tak, narażał wszak w swym własnym przekonaniu życie wysyłanych ludzi, nie miał jednak pod tym względem skrupułów aż do zwolnienia z pracy.

Badany w tej sprawie Sojka oświadczył, że ustalenie kosztów przeciętnych wyprawy kurierskiej jest bardzo trudne, ponieważ wysokość kosztów, zależnie od przypadku, była różna. Stałą po- zycję w wydatkach miesięcznych placówek stanowiło utrzymanie szlaków, które łącznie z wynagrodzeniem dla 2-4 osób i zapłatą za meliny wynosiło 300-500 marek niemieckich (60-100 dol.), czasem jednak więcej, np. na utrzymanie jednej z dróg z Berlina do S. wydawano 2.000 marek niemieckich nawet wtedy, gdy drogi tej nie używano. Na jednej z tras transport kuriera koszto- wał dodatkowo ok. 2.000 marek niemieckich; dochodziły koszty przejazdu kuriera koleją, samolotem lub samochodem do Berlina, Wiednia lub punktu granicznego.

Kurier w okresie „wyczekiwania” i szkolenia pobierał 400 marek niemieckich miesięcznie, od chwili zaś udania się w drogę aż do powrotu 200 dolarów miesięcznie. Długość czasu szkolenia zależała od stopnia znajomości przez kandydata stosunków w kraju i techniki ukrywania się.

Generał K. zapytany o opinię co do kosztów wysyłki kuriera, oświadczył, że koszty te muszą być bardzo zmienne i zależne od warunków w strefie granicznej, a zwłaszcza od postawy ideowej i ofiarności ludzi mających ułatwić przejście granicy lub prze- wiezienie wiadomości.

Po zestawieniu powyższych zeznań Komisja przyszła do prze- konania, że wysokość kosztów wyprawy kurierskiej musiała z na- tury rzeczy zależeć od osoby kuriera, okresu jego szkolenia, do- boru szlaku, postawy osób pośredniczących i innych okoliczności wyprawy. Komisja nie ma danych do stwierdzenia, że w tej dzie-

dzinie stosowano nieracjonalne oszczędności. Przyczyn licznych wpadek kurierskich należy szukać gdzie indziej.

Powstaje pytanie, czy przyczyną nie był nieodpowiedni dobór kandydatów na kurierów, ich niedostateczne przeszkolenie lub zaopatrywanie ich w złe dokumenty. Z zeznań Sojki wynika, że kandydata na kuriera dokładnie badano, obserwowano jego zachowanie się w okresie szkolenia i szkolono tak długo, aż opanował szczegóły swego zadania. Tychota stawia zarzut, że kurierów wysyłano bez zaopatrzenia ich w dostateczne dokumenty, „a co gorsza, zaopatrywano ich w roku 1952 w komplety dokumentów polskich i niemieckich, które zostały przed tym zdekonspirowane przez UB”. Według wyjaśnień F. doświadczenia z dokumentami niemieckimi i czeskimi pozwalają na twierdzenie, że były one dobre, kurierów legitymujących się nimi nie zatrzymywano. Dokumenty polskie prokurowała dla obu placówek placówka Tychoty, mająca swoją komórkę dokumentacyjną. F. i R.Z. oświadczają, że dokumenty te sporządzano według wzorów krajowych z należytą starannością i że były one dostateczne. Niezależnie od dokumentów kurierzy otrzymywali przewodników znających odpowiednie przejścia graniczne.

Nie mniej jednak nie można wykluczyć możliwości, że dział dokumentacyjny Tychoty nie zawsze mógł na czas wiedzieć o zmianach w dowodach osobistych, wprowadzanych przez organy bezpieczeństwa w kraju i że nieuwzględnienie tych zmian mogło zdradzić kuriera; o możliwości tej wspomina w swoich zeznaniach Demidecki.

Komisja nie mogła stwierdzić, czy przyczyną wpadek był nieodpowiedni dobór szlaków kurierskich. Dobór szlaku zależy od okoliczności istniejących w czasie wyprawy, szlak bezpieczny w pewnym okresie czasu może w innym stać się ryzykowny. Placówki miały, według zeznań Demideckiego, swe ekspozytury w Berlinie zachodnim, Wiedniu i Szwecji, meliny przygraniczne w Niemczech wschodnich i Czechosłowacji oraz szereg melin w kraju (nie mających powiązań z PI), organizacja szlaków zatem w świetle materiałów, jakimi rozporządzała Komisja, istniała i zarzuty Tychoty w tej materii należy uznać za bezpodstawne, nie można jednak wykluczyć niedociągnięć w tej dziedzinie.

Powody wpadek kurierów z placówki Tychoty oświetlają w dużej mierze zeznania P. „Sprawa Bergu zaczęła się” — oświadcza P. — „po wpadce kurierów w kraju w roku 1951. Wpadli kurierzy Tychoty. Tychota, wiedząc o wypadkach, wysyłał w dalszym ciągu kurierów, którzy kolejno wpadali. Wpadło wówczas kilkunastu ludzi, którzy w dużym procencie byli związani z apa-

ratem Tychoty... Gros wpadek było z placówki Tychoty i tu nasuwa mi się krytyczna uwaga co do jego metod używania kurierów — nie można nigdy człowieka świeżo przybyłego z kraju używać jako kuriera”. Nieostrożności popełniano także na placówce „Południe”: wysyłało, jak stwierdza P., jedną drogą kilku kurierów.

Tychota, jako kierownik placówki, był odpowiedzialny za organizację dróg łączności i ruch kurierów, jego placówka sporządzała dokumenty, które, według niego, dekonspirowały kurierów. Podniesione przez niego zarzuty uderzają zatem w niego samego i dają podstawy do wniosku, że ich celem było ukrycie istotnych powodów wpadek kurierskich. Powody te wyjaśnia P. Z zeznań Sojki wynika, że Tychota nie stosował się do zakazu wysyłania kurierów bez wiedzy Sojki, usprawiedliwiając swe postępowanie rzekomymi nadzwyczajnymi okazjami, jakie mu się nadarzyły. Nie dość rychle wyciągnięcie konsekwencji z tego postępowania Tychoty obciąża także jego przełożonych.

Komisja, po stwierdzeniu powyższych uchybień w organizacji służby kurierskiej, uważa za konieczne zwrócić uwagę na trudne warunki organizowania tej służby, którymi były coraz ściślejse strzeżenie granic i drobiazgowa kontrola ruchu ludności wprowadzona przez krajowe urzędy bezpieczeństwa. O tych trudnościach pisze obszernie sam Tychota w broszurze „Ostatni raport”. Ten stan rzeczy stawiał pod znakiem zapytania celowość używania w szerszych rozmiarach kurierów jako środka łączności i konieczność położenia nacisku na inne metody, co znalazło wyraz w działalności placówki „Południe”.

II. Placówka „Południe” zaniechała w roku 1952 niemal całkowicie posługiwania się kurierami i przeszła na utrzymywanie łączności za pomocą tzw. „paczek specjalnych” i korespondencji. Paczki specjalne wysyłało do kraju pocztą, zawierały one obok przesyłek z zawartością obojętną materiał tajny, zamieszczony w puszkach z konserwami płynnymi. Puszki takie miały podwójne ścianki, pozwalające na umieszczenie materiału tajnego pomiędzy ścianką wewnętrzną i zewnętrzną; były one, według F., niemożliwe do prześwietlenia, a waga ich nie różniła się od wagi puszek zwykłych. System paczek specjalnych działał bez zarzutu przeszło rok, wysłało ich w tym czasie do kraju kilkaset. Wykrycie przez UB tej metody łączności nastąpiło we wrześniu roku 1952 wskutek niedyskrecji jednej z adresatek, Heleny Budziaszek. Budziaszek, absolwentka uniwersytetu, dostarczająca placówce wiadomości o zmianach w szkolnictwie krajowym, zwierzyła się

swej kolezance, wbrew otrzymanym pouczeniom, że utrzymuje łączność z zagranicą. Koleżanka zakomunikowała o tym urzędowi bezpieczeństwa. Budziaszek w toku przesłuchiwania ujawniła sposób otrzymywania z zagranicy wiadomości, pieniędzy i środków do pisania utajonego. UB wstrzymało wówczas ruch paczek nadchodzących do kraju i od połowy września do świąt Bożego Narodzenia sprawdzono skrupulatnie zawartość wszystkich przesyłek. Placówka „Południe” została natychmiast zawiadomiona o wypadku i wstrzymała wysyłkę paczek specjalnych, nie mogła jednak wstrzymać tych, które już były w drodze. Wysłanych paczek było kilkanaście, z tych tylko 3 lub 4 wpadły w ręce UB i propaganda komunistyczna wyzyskała je szeroko w procesie krawskim.

Po otrzymaniu wiadomości o niedyskrecji Budziaszek placówka nakazała jej ukrywanie się i przedsięwzięła kroki w celu wywakuowania jej z kraju. Budziaszek wszakże, zwolniona po wstępnym przesłuchaniu, nie zastosowała się do instrukcji, została aresztowana ponownie i skazana na 10 lat więzienia.

Tychota wysuwa przeciw paczkom specjalnym szereg zarzutów. Jest on w ogóle przeciwnikiem utrzymywania łączności z krajem za pośrednictwem poczty a nadto w broszurze „Ostatni raport” twierdzi, że paczki specjalne wysyłano w jednym dniu, z jednego urzędu pocztowego, z oznaczeniem tego samego nadawcy, w ilości po osiem, dziesięć i więcej do różnych adresatów. Zarzut ten powtarza w załącznikach do swego oskarżenia, oświadczając, że „miało miejsce masowe przesyłanie w jednym dniu z jednego urzędu pocztowego na nazwisko tego samego nadawcy po kilkanaście paczek do kraju z materiałem propagandowym, pieniędzmi, instrukcjami, wszystko to naiwnie zakamuflowane” i na potwierdzenie tych okoliczności powołuje świadków w osobach m.in. Wojciechowskiego, F. i N. Wojciechowski, przesłuchiwany przez Kobyłańskiego, oświadcza, że „również paczki były wysyłane zbiorowo po kilka sztuk z jednego urzędu pocztowego, jednego dnia i choć podani byli różni nadawcy, zdarzało się, że adresowane były jednym charakterem pisma”. Trzeba zauważyć, że ani z tekstu tego oświadczenia ani z kontekstu zeznań Wojciechowskiego nie wynika, czy ma on na myśli „paczki specjalne”, czy też paczki zwykłe, których wysłano do kraju wielkie ilości. Oświadczenie Wojciechowskiego różni się nadto tym jeszcze od twierdzeń Tychoty, że mówi o „kilku” paczkach a nie o „kilkunastu” i „masowym przesyłaniu”, oraz o „różnych nadawcach” a nie o „tym samym nadawcy”.

Badani w tej sprawie F. i N. zaprzeczają twierdzeniom Ty-

choty. F. oświadcza, że „przesyłki zawierające materiały konspiracyjne były nadawane zawsze po jednej, w pewnych odstępach czasu i z różnych miejscowości... Natomiast miały miejsce wypadki, że jeden z pracowników nadawał równocześnie, choć na różne adresy, po kilka przesyłek pomocowych (np. nylonów, których w jednej przesyłce można było wysłać tylko dwie pary). Przesyłki te nie zawierały żadnych materiałów kompromitujących”.

N. oświadcza, że wie tylko o wysyłaniu paczek i pieniędzy, lecz bliższych wiadomości o tym nie posiada. Wyłącza wszakże możliwość wysyłania większych partii paczek w jednym dniu, gdyż musiano by zwrócić się do niego o zaksięgowanie kosztów.

Tychota twierdzi wreszcie, że „wszystkie paczki nadchodzące z zagranicy są przepakowywane, zawartość przeglądana i prześwietlana, a opakowanie podlega badaniu na okoliczność tajnego pisma. Paczki, które po prześwietleniu zostały uznane za podejrzane, są otwierane, zawartość wysypywana lub wylewana, a znaleziony materiał kompromitujący zostaje sfotografowany i opisany. Następnie puszkę doprowadza się do stanu pierwotnego i po załutowaniu dostarcza adresatowi w drodze normalnej. Gdy ją tenże odbiera, nie domyśla się, że została ona skontrolowana i że jej kompromitująca zawartość jest znana UB”.

Nie wiadomo, skąd Tychota ma tego rodzaju informacje. Stosowanie podobnego systemu kontroli do tysięcy paczek nadsyłanych z zagranicy musiałoby nie tylko obarczyć organy bezpieczeństwa niepomiaralną pracą, lecz również zahamować na długie okresy czasu doręczanie przesyłek adresatom. Zahamowanie takie nastąpiłoby w końcu roku 1952 po ujawnieniu przez H. Budziszek paczek specjalnych, brak jednak podstaw do przyjęcia, że opisana przez Tychotę drobiazgową kontrola istnieje jako system stały, obejmujący wszystkie przesyłki zagraniczne. Może być co najwyżej mowa o kontroli doraźnej niektórych przesyłek w razie podejrzeń ze strony UB co do osoby nadawcy lub adresata.

Oceniając powyższy materiał faktyczny Komisja przychodzi do przekonania, że nie można przeciwko systemowi paczek specjalnych i metodom jego stosowania wysunąć uzasadnionych zarzutów. Paczki były dobrym środkiem łączności, dopóki nie zostały wykryte, wykrycie zaś i jego konsekwencje w postaci ofiar nastąpiły wskutek niedyskrecji jednej z odbiorczyń, a więc przypadku.

III. Trzecim sposobem utrzymywania łączności była na obu placówkach korespondencja pocztowa z ludźmi w kraju. Listy

zawierające treść obojętną pisano *clair'em*, inne szyfrem z użyciem atramentów sympatycznych. Atramenty te, według zeznań F., fabrykowano początkowo własnymi środkami zaleconymi przez Tychotę, później otrzymywano je ze źródeł obcych. Te ostatnie atramenty nie były możliwe do wykrycia przez prześwietlenie. Korespondenci krajowi placówek pisali atramentami, na które nie znali odczynników, mieli oni jedynie odczynniki na atramenty użyte w listach otrzymywanych zza granicy. Atramenty i odczynniki przesyłano przez kurierów, bądź w puszkach i paczkach, nasycając np. odczynnikiem część przesyłanej odzieży. Do przesyłania obszernych wiadomości używano książek.

Sieć wysyłkowa i odbiorcza była rozległa, listy wysyłano z różnych krajów, najwięcej z Anglii i Francji, przy czym obowiązywała zasada wysyłania listów z tego kraju, w którym adresat miał członków rodziny lub przyjaciół.

Mikrofotografii w korespondencji nie używano, zaszyfrowane mikrofilmy zabierali tylko kurierzy. W. Z. zeznaje, że placówka „Północ” rzadko posługiwała się korespondencją pocztową szyfrowaną i pisaną pismem utajonym. Atramenty, które świadek zastał na placówce, były możliwe do wykrycia przez prześwietlenie, atramenty dostarczane później można było ujawnić tylko za pomocą odczynnika.

Tychota wysuwa zarzuty również przeciw metodom korespondowania. W broszurze „Ostatni raport” nazywa on szyfry, którymi posługiwały się placówki, „familijnymi”, oświadczając, że listy pisane tymi szyframi były bardzo łatwe do rozszyfrowania. W załącznikach do swego oskarżenia twierdzi on, że „korespondowano masowo przez pocztę niemiecką do Polski przy użyciu prymitywnych nawet gołym okiem widocznych atramentów sympatycznych bez używania choćby szyfru” i na potwierdzenie tych okoliczności powołuje jako świadków m.in. Wojciechowskiego, F. i N.

Badany przez Kobylańskiego Wojciechowski stwierdza jedynie, że „jest mu wiadomo, iż na placówce była stosowana metoda korespondencyjna przez pocztę niemiecką w stosunkach z krajem. Wprowadził ją p. S.”. Świadek ten nie wspomina o szyfrach ani atramentach, lecz oświadcza, że jego zdaniem metoda ta „stała się główną przyczyną aresztowań w kraju”, nie tłumaczy jednak, dlaczego tak uważa.

Badany w tej sprawie F. powtarza swoje poprzednie zeznanie, że korespondencję do Polski kierowano z różnych krajów zależnie od tego, w jakim kraju odbiorca miał znajomych lub rodzinę, dodając, że z Niemiec w niewielkim tylko stopniu. Atramenty

sympatyczne produkcji obcej były nowoczesne i bardzo trudne do wywołania.

N. oświadcza, że wie jedynie o posiadaniu przez placówkę „Południe” skrzynki pocztowej na miejscowej poczcie, o atramentach i szyfrach natomiast nic nie wie.

Sójka zapytany co do szyfrów oświadcza, że były one układane pod odpowiedzialnością kierownika placówki i zmieniane na ogół raz na 4 miesiące lub w razie wypadki. Placówki miały ludzi wyszkolonych w zakresie szyfrów.

P., przesłuchiwany w tej sprawie jako rzeczoznawca, oświadczył, że korespondencja za pomocą atramentów sympatycznych jest środkiem łączności używanym powszechnie przez wszystkie wywiady i że technika utajania pisma stoi obecnie na bardzo wysokim poziomie. F. i Sojka oświadczają, że z powodu korespondencji pismem utajonym nie mieli żadnych wiadomości o stratach. Wpadł tylko jeden list, o czym pisała prasa krajowa; był on wysłany przez puszkę.

Komisja uznaje, że metoda korespondowania pismem utajonym zastrzeżeń nie nasuwa. Niedostateczna jakość atramentów sympatycznych używanych początkowo przez placówki jest okolicznością ujemną, lecz znaczenie jej zmniejsza fakt, że strat z tego tytułu nie było.

Ubezpieczenie placówek

Według zeznań Sojki wszyscy pracownicy sieci łączności byli pod stałą obserwacją komórki bezpieczeństwa, oddzielonej organizacyjnie od placówek. Komórka bezpieczeństwa składała kierownikowi sieci raporty dwa razy w tygodniu, jeżeli nie wymagały natychmiastowego doręczenia. W razie podejrzenia któregośkolwiek pracownika o nielojalność przeprowadzano szczegółowe dochodzenie i postępowano w zależności od jego wyniku.

F. zeznaje, że komórka bezpieczeństwa na jego placówce była bardzo dobrze zmontowana, o jej istnieniu wiedział tylko sam F. Do zadań jej należało kwalifikowanie pracowników placówki i ich obserwacja, jak również obserwacja kurierów i lokali placówki. Do lokali placówki mieli wstęp tylko zamieszkał tam pracownicy i ich rodziny. Interesantów w lokalach placówki nie przyjmowano, kurierzy, informatorzy itp. nie mieli do tych lokali dostępu, komunikowano się z nimi tylko przez specjalne meliny i wyznaczonych do tego ludzi. Pracownicy używali pseudonimów i mieli dokumenty na przybrane nazwiska. Jeden tylko Ostaszewski, po

przeniesieniu go z placówki „Północ”, przybył z dokumentami wystawionymi na swoje prawdziwe nazwisko i nadal z nich korzystał, używając jednak na wyjazdy do Berlina pseudonimu Choma; posługiwał się też pseudonimem „Paweł”. Mieszkał on początkowo prywatnie na mieście w mieszkaniu pewnym politycznie, potem przeniósł się do bazy, lecz zatrzymał mieszkanie prywatne. Wojciechowski zeznaje, że dwa samochody placówki „Południe” były zarejestrowane na nazwisko Ostaszewskiego. Placówka, ze względów na bezpieczeństwo, zmieniała parokrotnie swą siedzibę.

Za uchybienie w ubezpieczeniu placówki „Południe” należy uważać zamieszkiwanie rodzin pracowników w siedzibie placówki i wyjątkową pozycję Ostaszewskiego. Więcej wykroczeń przeciw zasadom konspiracji było na placówce „Północ”. Do lokali tej placówki, według zeznań W.Z. i R.Z., mieli wstęp goście Tychoty, dla których pomimo zakazu Sojki, urządził on tam przyjęcia. Tychota i jego żona byli zameldowani w policji niemieckiej na własne nazwiska. Ostaszewski i żona Tychoty wysyłali z siedziby placówki paczki do kraju z podaniem swych nazwisk jako nadawców. Tychota według R.Z. dopuszczał nie tylko żonę do tajemnic placówki, lecz nawet „osoby niepowołane”.

W sumie Komisja przyjmuje, że ubezpieczenie placówek pomimo stosowania wielu zasad bezpieczeństwa przyjętych w regulaminach pracy konspiracyjnej, wykazywało poważne niedociągnięcia, których było znacznie więcej na placówce „Północ”.

Ofiary

Wpadki kurierów, wykrycie przez UB „paczek specjalnych” oraz ucieczka Ostaszewskiego i Macińskiej pociągnęły za sobą aresztowania i ofiary w kraju. Tychota w swym oskarżeniu skierowanym do rządu podaje liczbę aresztowanych na ponad 30 osób w ostatnich trzech miesiącach roku 1951 i na ok. 200 osób w listopadzie i grudniu roku 1952 oraz w styczniu roku 1953, określając tę ostatnią cyfrę jako „prawdopodobną”. W odpowiedziach na pytania zadane mu przez organ rządowy Tychota stwierdza, że ucieczka Ostaszewskiego i Macińskiej pociągnęła za sobą aresztowanie ok. 120 osób, „szacowano jednak, że ponad 300 osób”. W broszurze „Ostatni raport” tenże Tychota podaje, że jesienią i zimą 1951 roku aresztowano łącznie z kilku osobami związanymi z akcją łączności, około 30 osób z tą akcją nie związanych, jesienią zaś 1952 roku — ponad 120 osób.

„Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” określa za Tychotą liczbę aresztowań w końcu 1951 roku na ponad 30 osób, w końcu zaś 1952 i w początkach 1953 roku — na „prawdopodobnie około 200 stwierdzonych osób”. Niezgodności w przytoczonych cyfrach dotyczą zatem drugiej fali aresztowań; cyfry te określone są zresztą jako „prawdopodobne”, choć trudno zrozumieć, co autor „Zbioru dokumentów” miał na myśli, zestawiając wyrazy „prawdopodobnie” i „stwierdzonych”. Ponadto obliczenia Tychoty i „Zbioru” dotyczą jedynie osób aresztowanych; nie wiadomo, ile spośród tych osób zwolniono, ile zaś zatrzymano w więzieniu i skazano.

Sojka w swych zeznaniach podaje, że w listopadzie 1951 roku aresztowano 5 osób w Warszawie (wszystkie dotąd w więzieniu) oraz dwie osoby na Śląsku, 4 osoby udało się wyewakuować w tym czasie na zachód. W okresie od października do grudnia 1952 roku aresztowano ogółem ponad 400 osób, z których kilkanaście następnie zwolniono, 30 zaś zatrzymano w areszcie. Osiem spośród osób zatrzymanych zostało skazanych w różnych procesach na kary więzienia, sześć zaś w procesie krakowskim.

F. w swoich zeznaniach podaje, że jesienią roku 1951 aresztowano adresata przesyłki dolarowej wysłanej przez okazję ze Szwecji i repatrianta wiozącego przesyłkę; aresztowania nastąpiły dopiero w kilka miesięcy po doręczeniu przesyłki. Ponadto aresztowano jeszcze 4 osoby, razem więc, według niego, aresztowania w tym okresie objęły 6 osób. Poza tym były aresztowania na Śląsku. W końcu roku 1952 uwięziono ogółem ok. 20 osób (w tym ks. Lelito). Po ucieczce Ostaszewskiego i Macińskiej placówka nie stwierdziła w roku 1952 wpadek w kraju, z wyjątkiem jednego PI, który zamilkł. Aresztowano natomiast rodzinę S., lecz skazana została tylko jego siostra przyrodnia. Sporządzona przez placówkę „Południe” lista strat obejmowała trzydzieści kilka nazwisk, w tym kilka osób ze Śląska.

Liczby przytaczane przez Sojkę i F. nie obejmują roku 1953, gdyż z tego okresu świadkowie żadnych wiarygodnych danych nie posiadają.

Z kurierów, którzy wpadli, dwóch zostało skazanych na karę śmierci, której nie wykonano, jeden na więzienie dożywotnie, reszta na inne kary więzienia.

Według zeznań F., Ostaszewski nie miał dostępu do aktów operacyjnych placówki „Południe”, z wyjątkiem punktu w S. i szczytkowego punktu warszawskiego, nie mógł też znać adresów innych punktów kontaktowych i PI w kraju. Do Berlina zabrał w okresie krytycznym ostatni list z punktu w S. zawiadamiający

o wysłaniu kuriera Alberta oraz pieniądze dla doręczenia punktowemu w S., na opłatę Alberta i na pokrycie należności ekspozytury w Berlinie. Ponadto zabrał następujące dokumenty, reprodukowane potem w prasie krajowej: dwa dowody nadania pieniędzy z placówki do Berlina na opłatę pracowników, podręczną kartkę zawierającą wyciąg z rachunku bieżącego „Ingrid” w Berlinie oraz kwit „Ingrid” zawierający potwierdzenie odbioru pozostawionej u niej do rozliczenia niewielkiej sumy. Dokumenty te wiązały się ze sprawami, które Ostaszewski miał załatwić w Berlinie.

Zestawiając powyższe zeznania Komisja stwierdza znaczne rozbieżności między cyframi ofiar podawanymi przez Tychotę i, za nim, przez „Zbiór dokumentów”, oraz cyframi przytaczanymi przez F. i Sojkę. Komisja nie sądzi, aby cyfry Tychoty zasługiwały na zaufanie, zwłaszcza, że dotyczą one częściowo okresu po zwolnieniu go z pracy. Cyfry podawane przez F. i Sojkę opierają się, według ich oświadczeń, na wiadomościach otrzymanych przez nich z kraju, przy czym tylko ci dwaj świadkowie podają zarówno liczbę aresztowanych jak i skazanych.

Dodać trzeba, że aresztowania w końcu 1952 i początkach 1953 roku objęły nie tylko ludzi związanych z aparatem Działu Krajowego, lecz także, prawdopodobnie w większych nawet rozmiarach, ludzi należących do WIN'u; brak jest danych pozwalających na ścisłe rozgraniczenie ofiar wynikłych ze zdekonspirowania obu organizacji (poza danymi przytoczonymi przez F. i Sojkę za rok 1952), a co więcej, aresztowania mogły też objąć pewną liczbę osób nie należących do żadnej organizacji.

Akcja łączności pociąga za sobą ofiary, muszą one — według opinii P. — zdarzać się nawet w warunkach przestrzegania największej ostrożności. Jak wynika z poprzednich części sprawozdania, ostrożności tej nie przestrzegano dostatecznie przy wysyłaniu kurierów, a na placówce „Północ” były nawet pod tym względem istotne uchybienia. Trzeba wszakże zauważyć, że wydarzenie, które poruszyło najbardziej opinię publiczną — proces krakowski — było wynikiem przejęcia przez UB kilku paczek specjalnych. Metoda utrzymywania łączności za pomocą tych paczek nie była, jak to już zaznaczono, sama przez się wadliwa, wykrycie jej nastąpiło nie z powodu jej braków technicznych, lecz wskutek nieostrożności adresatki, czyli przypadku.

Zarzuty fabrykowania wyników

Tychota w swoich zeznaniach podnosi parokrotnie zarzut złej

wiary w wykonywaniu przez Dział Krajowy umowy z jego kontrahentami. Zarzut ten ujmuje on ogólnie w swym oskarżeniu, twierdząc, że „Sojka tolerował metody oszukiwania partnerów i zachęcał do stosowania tych metod swoich pracowników”, rozwija go zaś w zeznaniach złożonych wobec K., w załączniku do oskarżenia i w broszurze „Ostatni raport”.

W zeznaniach złożonych wobec K., Tychota oświadcza, że gdy strona druga zaczęła okazywać niezadowolenie ze skromnych wyników w działalności placówki „Południe”, placówka ta przystąpiła do fabrykacji meldunków z kraju a nawet zainscenizowała przybycie z kraju emisariusza w sobie niejakiego A.Z. Oddano tego rzekomego emisariusza na przeszkolenie, a następnie wywieziono do Szwecji, tam „zaprezentowano... jako emisariusza z kraju”. Tenże Tychota twierdzi, że pod naciskiem Sojki placówka „Południe”: 1) prezentowała dwukrotnie Ostaszewskiego jako przybysza z kraju, 2) prezentowała starych uciekinierów jako nowych po poprzednim pouczeniu ich, co i jak mają mówić, 3) prezentowała ulotki rzekomo rozrzucone w Polsce i dostarczone z Polski, gdy faktycznie kol. F. otrzymał te ulotki od kol. S. w Monachium przed ich przekazaniem do Polski, 4) fabrykowała listy z informacjami”. Okoliczności te, według Tychoty, mogą potwierdzić św. Wojciechowski, F. i N. W broszurze „Ostatni raport” Tychota rozwija te same zarzuty, ubarwiając je tylko w sposób mający przemówić do wyobraźni czytelnika. „Zbiór dokumentów” zarzuty powtarza.

Sprawę A.Z. omawia inna część niniejszego sprawozdania, w której stwierdzono, że A.Z. po zwolnieniu go z pracy w Hamburgu wyraził zamiar wyjazdu do Szwecji jako „uchodźca z kraju”, lecz, choć władze okupacyjne zgodziły się na wydanie mu dokumentów, odmówił zgody Sojka i projekt nie doszedł do skutku. Nie było więc zamiaru oszukiwania drugiej strony, działano legalnie i ponadto projektu nie wykonano.

F. powołany przez Tychotę na świadka w sprawie Ostaszewskiego i meldunków z kraju, oświadcza: „Nie rozumiem, komu Ostaszewski mógł być przedstawiany jako „przybysz z kraju”. Przedstawianie go ponownie jako świeżego przybysza drugiej stronie byłoby z naszej strony szczytem głupstwa i oczywiście nigdy miejsca nie miało. Również nigdy nie było wypadku — co z całą stanowczością stwierdzam — byśmy przedstawiali obcym jakiegokolwiek starego uchodźcę jako świeżo przybyłego z kraju. Zarzut dotyczący ulotek jest dla mnie niejasny. Pewne jest w każdym razie, że ani nigdy nie dostawałem żadnych ulotek od p. S. (który zresztą nie miał nic wspólnego z naszą pracą), ani też ulotek

rzekomo rozrzucanych w Polsce nigdy z kraju nie otrzymywałem i tym samym nie mogłem okazywać ich obcym. Nieprawdą jest wreszcie, jakoby fałszowano listy nadchodzące z kraju. Nie było naszym zadaniem oszukiwać samych siebie, a z drugiej strony nasze stosunki z . . . w ogóle nie wymagały okazywania im materiałów, jakie otrzymywaliśmy z kraju”. Listów, dodaje F., nie przesyłano nawet Centrali, bardzo ważne zabezpieczano, mniej ważne niszczone.

Tenże świadek stwierdza, że nie jest prawdą, aby Sojka tolerował metody oszukiwania partnerów i zachęcał do stosowania tych metod swoich pracowników. „Pragnę dodać, że nie było ani takiego zamiaru, ani też żadnej potrzeby, aby . . . oszukiwać”.

Badany przez Kobyłańskiego Wojciechowski nic nie wspomina o rzekomych oszustwach placówki. Świadek N. stwierdził, że nic nie wie, aby Ostaszewskiego prezentowano dwukrotnie jako uchodźcę, nie widział żadnych ulotek i nic mu nie wiadomo o fabrykacji listów z kraju.

W świetle tego stanu faktycznego Komisja przychodzi do przekonania, że zarzuty Tychoty co do fabrykowania przez Dział Krajowy wyników działalności są pozbawione podstaw. Trzeba dodać, że wiadomości Tychoty, dotyczące placówki „Południe”, mogą pochodzić tylko z drugiej ręki bądź z prasy krajowej, choćby już z tego względu nie zasługują więc na zaufanie. Wreszcie, sam pomysł fabrykowania wyników działalności mógłby powstać jedynie wówczas, gdyby istniał obowiązek osiągnięcia pewnych z góry umówionych wyników lub obowiązek sprawozdań z działalności, takich zaś obowiązków, jak to stwierdzono w innej części niniejszego sprawozdania, nie było.

Działalność aparatu Działu Krajowego

Akcja łącznościowa aparatu Działu Krajowego obejmowała wszystkie trzy dziedziny łączności, o których wspomniano w „zasadach ogólnych” niniejszego sprawozdania, tzn. wzajemną wymianę informacji z krajem i pomoc dla kraju w pieniądzech bądź w naturze. Z zeznań świadków wynika, że istniała tendencja do stopniowego ograniczania działalności placówki „Północ” i przenoszenia punktu ciężkości akcji łącznościowej na placówkę „Południe”. Materiał wszakże, którym dysponuje Komisja, nie pozwala na odrębną ocenę działalności każdej z placówek i na wyczerpujące przedstawienie zagadnienia.

W Centrali Działu Krajowego istniały referaty opracowujące

wiadomości uzyskane z kraju, z przesłuchań uciekinierów i prasy krajowej. Część tych wiadomości ogłaszano w wydawanym przez Dział Krajowy miesięczniku pt. „Biuletyn Krajowy”, odbijanym na Gestetnerze; w ten sam sposób wydawano tygodniowe nasłuch-y z radiostacji krajowych. Z materiałów tych korzystała Rada Polityczna dla swoich wydawnictw: „Biuletynu Politycznego” wydawanego w języku polskim i miesięcznika „Polish Affairs” w języku angielskim. Członkowie Wydziału Wykonawczego otrzymywali ponadto dzienne nasłuchy radiowe.

Z kraju napływały do placówek wiadomości o sytuacji Kościoła w Polsce, o postawie i akcji hierarchii kościelnej w stosunku do reżimu, wiadomości natury politycznej i gospodarczej, niedostępne z innych źródeł oraz wiadomości o codziennym życiu kraju. Sojka podał Komisji przykłady niektórych informacji wyzyskanych w stosunkach z czynnikami obcymi dla sprawy polskiej korzystnie.

Do kraju przesyłano obiektywne wiadomości o sytuacji międzynarodowej nie przewidujące rychłych zmian w układzie sił światowych i tłumaczące niecelowość wystąpień dywersyjnych, jakie miały w owym czasie miejsce, np. w niektórych kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego.

Pomocy dla kraju udzielano w postaci przesyłania sum pieniężnych i paczek wartościowych, o czym będzie dalej mowa, przy czym pomocy tej udzielano również ludziom nie związanym z działalnością aparatu. Sprowadzono z kraju kilku ludzi zagrożonych politycznie, ułatwiono ukrywanie się lub ucieczkę innym zagrożonym, wspomagano rodziny osób aresztowanych lub skazanych.

Sprawy finansowe

Tychota w zeznaniach złożonych rządowi omawia obszernie wpływy i wydatki Działu Krajowego, popierając swe oświadczenia fotokopiami instrukcji i zapisów buchalteryjnych. „Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” reprodukuje dwie instrukcje, miejscami nieczytelne i dziesięć rubrykowanych odbitek z ksiąg bądź arkuszy rachunkowych całkowicie nieczytelnych. Ogólną charakterystykę dowodów reprodukowanych w „Zbiorze” oraz innych znajdujących się w posiadaniu czynników rządowych a zbędnych przez Komisję, zawiera rozdział niniejszego sprawozdania, traktujący o dowodach na piśmie. Z reprodukowanych w „Zbiorze” dwóch instrukcji jedna, nosząca datę 10 listopada 1950 roku, zawiera wskazówki co do czynienia oszczędności, przekazywania zaoszczędzonych sum na specjalne konto oszczędnościowe, kwito-

wania wydatków, gospodarki wpływami ze źródła określonego jako „Relief”, sposobu przeliczania dolarów na marki niemieckie i uposażeń personelu placówek. Druga, z 27 grudnia 1950 roku, dotyczy planów operacyjnych i prowadzenia akt kasowych i administracyjnych. Według zeznań Sierza, referenta finansowego Działu Krajowego, pierwsza z tych instrukcji nie weszła nigdy w życie w części dotyczącej „Reliefu”, drugiej zaś instrukcji świadek w ogóle nie zna. Według Tychoty, również inne części instrukcji pierwszej nie znalazły zastosowania.

Oświadczenia Tychoty w sprawie wysokości sum wypłaconych Działowi Krajowemu, sum wydanych i zaoszczędzonych zawarte są w jego broszurze „Ostatni raport”, w oskarżeniu złożonym rządowi, w zeznaniach złożonych wobec K. i innych aktach sprawy. W broszurze „Ostatni raport” Tychota podaje, że „prasa i radio krajowe ogłosiły na podstawie zeznań Jana Ostaszewskiego vel Chomy, iż Dział Krajowy Rady Politycznej „zainkasował” w okresie dwu lat 1951 i 1952 około siedmuset tysięcy dolarów”, dodając, że „rewelację Ostaszewskiego trzeba przyjąć za ściśłą”. Z tej sumy 700.000 wydano, według Tychoty, zaledwie około 25 %, reszta, czyli około 500.000 dolarów, pozostała w dyspozycji Rady Politycznej.

W oskarżeniu złożonym rządowi tenże Tychota oświadcza, że Dział Krajowy otrzymał w okresie swej współpracy z partnerami zachodnimi sumę znacznie większą, bo 1.014.770 dolarów, z czego wydał na potrzeby łączności 201.552 dolarów i na utrzymanie Centrali 252.000 dol., pozostało więc 561.218 dolarów. Z tej ostatniej sumy Stronnictwo Narodowe otrzymało 354.000 dol., PPS — 84.000 dol., NiD — 40.000 dol., PSL „Odłam Jedności Narodowej” — 10.000 dol. Podsumowanie czterech kwot powyższych daje 488.000 dol., nie zgadza się więc z ogólną sumą pozostałości w kwocie 561.218 dolarów.

W zeznaniach złożonych wobec K., Tychota określa sumę wpłat na rzecz Działu Krajowego dokonanych w Niemczech na 685.000 dolarów, a ponadto 200.000 marek niemieckich i 500.000 złotych, co w przeliczeniu na dolary wynosi ok. 40.000 i 13.000 dol., razem więc 738.000 dol. Prócz tego Dział Krajowy miał otrzymać w Londynie na potrzeby Centrali 84.000 funtów czyli około 252.000 dol. Łączna suma wpłat powyższych wynosi 990.000 dolarów, a więc znowu jest inna od podanej w tekście oskarżenia. W tymże zestawieniu Tychota oświadcza, że na rzecz Stronnictwa Narodowego przypadła kwota 340.000 dol. W odpowiedziach na pytania zadane Tychocie w celu uzupełnienia jego zeznań złożonych przed K., wyjaśnia on, że suma 685.000

nie jest ścisła i że ścisłą sumę podał w swoim oskarżeniu; trzeba wszakże zauważyć, że do kwoty 685.000 doszedł on przez zsumowanie podanych przez siebie szczegółowo wypłat miesięcznych, a więc ta raczej kwota powinna pretendować do ścisłości. Zwracając też uwagę rozbieżności pomiędzy sumami wypłat na rzecz Działu Krajowego w okresie od 1 marca 1952 roku do końca tego roku, podanymi przez Tychotę w oskarżeniu i w zeznaniach złożonych wobec K. W pierwszym wypadku Tychota oznajmia, że Dział Krajowy otrzymał za ten okres 125.400 dol. i 75.000 dol. na stronnictwa w kraju, co razem wynosi 200.400 dol., w drugim zaś, że wpłaty od marca do końca roku 1952 wyniosły 311.000. Autor niezwykle pogmatwanych pytań dla Tychoty nie zwrócił uwagi ani na te rozbieżności ani na to, że w tym okresie Tychota nie prowadził już rachunkowości placówek.

Wreszcie w załączniku do swego oskarżenia Tychota oświadcza, że: „... wypłacili Sojce do końca 1952 roku ok. 260.000 dol. USA z wyraźnym przeznaczeniem tych kwot dla grup w Polsce (?) i na akcję ratunkową w Polsce. Ponadto Sojka pobrał od ... ok. 60.000 dol. USA z wyraźnym przeznaczeniem dla Stronnictwa Narodowego w kraju”. Z tych sum przekazano do kraju, według Tychoty, tylko 30 tysięcy dol. Trudno powiązać te cyfry z poprzednimi oświadczeniami Tychoty.

„Zbiór dokumentów” nie podejmuje próby wyjaśnienia sprzeczności w zeznaniach Tychoty, choć autorowi tej broszury musiały być znane zarówno zeznania wobec K. jak i inne akta dochodzeń. „Zbiór” powtarza jedynie za Tychotą cyfry podane przezeń w oskarżeniu złożonym rządowi.

Wszystko to, niezależnie od poprzednio przytoczonych okoliczności podważających wiarygodność oświadczeń Tychoty, przemawia za odrzuceniem jego zeznań jako materiału dowodowego w omawianej materii. Analiza tych zeznań wskazuje, że rozbieżności w nich występują jaskrawiej w okresie, gdy przestał on prowadzić rachunkowość placówek. Świadek N. stwierdza, że Tychota nie mógł znać wpływów i wydatków placówki „Południe” po 1 lutym 1952 roku, gdyż po tej dacie prowadził jedynie zestawienia rachunków dla placówki „Północ”. W okresie zapoznawania świadka z rachunkowością placówek Tychota posługiwał się tylko zapisami placówki „Północ”. Dane swe co do wpływów i wydatków „Południa” po 1 lutym 1952 roku mógł on zatem opierać bądź na wiadomościach prasy krajowej, bądź też na domysłach lub informacjach z drugiej ręki. Sumy wypłacane w funtach szterlingach na utrzymanie Centrali w Londynie nie przechodziły w ogóle

przez rachunkowość placówek, wysokość zatem tych sum podawana przez Tychotę jest szczególnie wątpliwa.

W tych warunkach Komisja oparła badanie wpływów i wydatków Działu Krajowego na preliminarzach budżetowych tego Działu oraz łącznych zeznaniach świadków: Sojki, Sierza, N. i Demideckiego. Zeznania w sprawie dotacji otrzymywanych przez stronnictwa złożyli także i Bielecki, Zaremba, Piłsudski oraz Korboński i Bagiński.

W świetle preliminarzy budżetowych oraz zeznań świadków, w wydatkach Działu Krajowego pokrywanych ze źródeł obcych, można rozróżnić cztery zasadnicze części.

Pierwsza obejmowała wydatki na utrzymanie sieci łączności na zachodzie, druga — wydatki na sieć łączności w kraju i pomoc dla kraju, trzecia — sumy przeznaczone na działalność stronnictw w kraju, czwarta — wydatki na utrzymanie Centrali w Londynie. Wpłaty na powyższe wydatki dokonywał łącznik z ramienia drugiej strony na ręce osoby wyznaczonej przez kierownika Działu Krajowego. Sumy budżetowe wypłacane były globalnie, żądano jednak od placówki ogólnych zamknięć rachunkowych początkowo raz na kwartał, później raz na miesiąc. W związku z tym wprowadzono w rachunkowości placówek osobne konto „O”, o którym będzie dalej mowa.

Do pierwszej z wymienionych czterech części budżetu zaliczano wydatki na uposażenie pracowników placówki, podróże, wydatki rzeczowe, wydatki na utrzymanie i szkolenie kurierów w Niemczech, na meliny i placówki graniczne po stronie zachodniej. Część druga (budżet krajowy) obejmowała kwoty na dotacje dla PI i ryczałty na ich działalność, wydatki na kurierów w czasie akcji, na meliny i punkty kontaktowe w kraju oraz na pomoc dla kraju. W zakresie pomocy dla kraju preliminowano pozycje na fundusz pomocy uwięzionym i zagrożonym, fundusz ucieczek, wydatki na utrzymanie osób zbiegłych z kraju i na ogólną pomoc charytatywną dla ludzi w kraju. Dopuszczalne było przenoszenie wydatków z pozycji na pozycje (*virement*), gdyż zapotrzebowania stale się zmieniały.

Z sum przeznaczonych na utrzymanie Centrali w Londynie korzystała też, według zeznań Białasa, Zaremby i Zawadzkiego, Rada Polityczna na pokrycie kosztów swych wydawnictw, administracji i uposażeń członków jej Prezydium i Wydziału Wykonawczego. Pokrywanie wydatków Rady Politycznej było możliwe wskutek nieobsadzenia wszystkich etatów Działu Krajowego i ustalenia uposażeń jego pracowników na poziomie niższym od przewidzianego w budżecie.

Z funduszy części pierwszej utrzymywano nadto ekspozytury w Szwecji, Wiedniu i Brukseli oraz łączników w Hamburgu i Berlinie.

Pierwszy preliminarz budżetowy Działu Krajowego, którego odpis złożył Komisji Sojki, był opracowany dnia 20 września 1950 roku i zawierał zestawienie miesięcznych wydatków tego Działu na okres od 1 października 1950 do 30 czerwca 1951 roku. W zestawieniu tym uległa redukcji suma preliminowana na działalność polityczną stronnictw w kraju; preliminowano na ten cel 8.000 dolarów miesięcznie, stronnictwa otrzymały zaś, według oświadczenia Sojki, w okresie pierwszych dziewięciu miesięcy zamiast 72.000 dol. tylko 36.000 dol., z czego 2.000 dol. do końca roku 1950 i 34.000 do 30 czerwca roku następnego. Po uwzględnieniu powyższej redukcji łączna suma dotacji otrzymanych przez Dział Krajowy za czas od 1 października 1950 do 30 czerwca 1951 roku wynosi 162.000 dolarów. Suma ta nie obejmuje wydatków na Centralę, podanych w omawianym preliminarzu, lecz wyodrębnionych z preliminarzy następnych i pokrywanych z dotacji wypłacanej w Londynie w funtach angielskich. Wydatki te będą omówione osobno.

Drugi preliminarz, dostarczony w odpisie Komisji, zawiera zestawienie wydatków „Wypożyczalni” na drugie półrocze 1951 roku, od 1 lipca do 31 grudnia. Strona druga zaakceptowała ten preliminarz, według oświadczenia Sojki, bez zmian, lecz ze względów technicznych został on rozciągnięty także na pierwsze półrocze roku 1952. Suma półroczna wydatków przewidzianych w tym preliminarzu (łącznie z dotacją na stronnictwa w kwocie 68.000 dol.) wynosi 193.400 dol., za okres roczny wyniosła zatem 386.800 dolarów. Znalazła ona pokrycie w dotacjach na rzecz Działu Krajowego.

Z dniem 1 lipca 1952 roku ustały świadczenia na rzecz stronnictw. W ciągu pierwszych 5 miesięcy drugiego półrocza gospodarowano na podstawie miesięcznych prowizoriów budżetowych, odpowiadających przeciętnej wysokości wydatków w poprzednim okresie, zmniejszonych o dotacje na stronnictwa, z końcem zaś listopada 1952 roku partnerzy zachodni zaprzestali całkowicie wpłat na rzecz Działu Krajowego. Przeciętna wysokość wydatków miesięcznych w okresie od 1 lipca 1951 do 30 czerwca 1952 roku, obliczona na podstawie omówionego wyżej preliminarza, wynosiła 32.233 dol., z czego na stronnictwa przypadało 11.333 dolarów. Po odjęciu tej kwoty od 32.233 dol. otrzymujemy 20.900 dol. jako przeciętną sumę dotacji w drugim półroczu 1952 roku. Suma ta pomnożona przez pięć daje kwotę 104.500 dol.

stanowiących całość wpłat na rzecz Działu Krajowego w drugim półroczu 1952 roku.

Wyliczenia powyższe pozwalają na ustalenie całości dotacji otrzymanych przez Dział Krajowy na utrzymanie sieci łączności, pomoc dla kraju i stronnictwa. Dotacje te wyniosły:

Od 1 października do 30 czerwca 1951	162.000 dol.
Od 1 lipca 1951 do 30 czerwca 1952	386.800 dol.
Od 1 lipca 1952 do 30 listopada 1952	104.500 dol.

R a z e m : 653.300 dol.

Suma powyższa nie obejmuje, jak już zaznaczono, dotacji na Centralę. Wydatki na Centralę zawiera tylko pierwszy z omawianych preliminarzy; przewiduje on na ten cel 3.485 dolarów miesięcznie, co wynosi 31.365 dolarów na okres 9 miesięcy (niektóre pozycje, według wyjaśnień Soki, uległy redukcji). Łączna suma dotacji na Centralę, według oświadczenia tegoż świadka, wyniosła za cały okres działalności Działu Krajowego 42.200 funtów (ok. 127.000 dol.). Z tej sumy Rada Polityczna otrzymała około 22.000 funtów (ok. 65.000 dol.) na wydatki wymienione powyżej na stronie 41. Kwota 127.000 dol. dodana do 653.300 dol. daje 780.300 dol. jako łączną sumę dotacji otrzymanych przez Dział Krajowy na wszystkie jego wydatki.

Z sumy 653.300 dol. zużyto, według zeznań Sojki 423.000 dol. na akcję łączności i pomoc dla kraju. W sumie tej mieści się 133.000 dol. wydanych na akcję specjalną, przedstawioną Komisji szczegółowo przez Sojkę. Tenże świadek przytacza następujące kwoty wydane na potrzeby kraju: ok. 48.000 dol. dla pracowników sieci łączności w kraju, 11.000 dol. na pomoc uwięzionym, łapówki i inne wydatki w celu uzyskania zwolnień, 500.000 zł (ok. 13.000 dol.) na pomoc osobom ukrywającym się lub przebywającym w kraju z fałszywymi dokumentami, 7.000 dol. na pomoc osobom przybyłym z kraju. Nadto na pomoc ogólną charytatywną dla ludzi w kraju, zarówno związanych z aparatem łączności jak i postronnym, wydano następujące sumy bądź ich równowartość w pieniądzu lub paczkach: z Niemiec — 63.000 dol., ze Szwecji — 7.000 dol., z Francji — 6.000 dol., z Wielkiej Brytanii — ok. 24.000 funtów (w paczkach). Niezależnie od tego, w ciągu roku 1952 przekazano do kraju w paczkach „specjalnych” ok. 50.000 dol., w styczniu zaś roku 1953 — 10.000 dol. dla aresztowanych lub ich rodzin. Z kwoty 50.000 dol.,

przeznaczonej na działalność na „dalszą metę”, pewne sumy przejęło UB.

Wysokość i sposób zużycia podanych wyżej sum były okresowo kontrolowane przez wszystkich członków Działu Krajowego. Sojka przedstawił Komisji dwa oryginalne protokoły kontroli, obejmujące łącznie okres od 1 października 1950 do 30 czerwca 1953 roku. O protokołach tych była już mowa w rozdziale o dowodach na piśmie.

W celu ustalenia wysokości sum otrzymanych przez stronnictwa Komisja przyjęła oświadczenie Sojki, że w okresie od 1 października 1950 do 30 czerwca 1951 roku otrzymały one 36.000 dolarów. Wysokość dotacji na stronnictwa w następnym okresie rocznym mogła być ustalona na podstawie preliminarza budżetowego, przewidującego na ten cel 136.000 dolarów. W drugim półroczu, zgodnie z zeznaniami świadków, wypłaty dla stronnictw ustały. W ten sposób łączna suma dotacji otrzymanych przez stronnictwa wchodzące w skład Rady Politycznej, tzn. przez Stronnictwo Narodowe, PPS, NiD i PLS-OJN wynosi:

Od 1 października 1950 do 30 czerwca 1951 ..	36.000 dol.
Od 1 lipca 1951 do 30 czerwca 1952	136.000 dol.

R a z e m : 172.000 dol.

Sojka zapytany o sposób zużycia powyższej sumy przez stronnictwa, oświadczył, że ma pod tym względem jedynie dane fragmentaryczne. Z ramienia Stronnictwa Narodowego przesyłał on do kraju kwotę 50.000 dolarów oraz wypłacił pewnej osobie w Londynie 6.000 dolarów w zamian za stawienie do dyspozycji w kraju takiej samej sumy. PPS przekazywała za pośrednictwem świadka dwukrotnie pieniądze do kraju, a PSL-OJN jednorazowo 11.000 dolarów. Stronnictwa mogły jednak, według wyjaśnienia świadka, przekazywać pieniądze, a zwłaszcza paczki, do kraju bez jego pośrednictwa. Białas (PPS) stwierdza w oświadczeniu pisemnym złożonym Komisji, że wysyłał paczki osobom związanym z jego stronnictwem z Anglii, Francji, Belgii i Szwajcarii.

Sojka oświadczył wreszcie, że 15 % sum otrzymanych przez stronnictwa było przeznaczone, za zgodą drugiej strony, na zorganizowanie linii przerzutowych. Stronnictwo Narodowe, jako mające już własne drogi przerzutu, z przywileju tego nie korzystało. Stronnictwa nie zgłaszały do Działu Krajowego żadnych pretensji z tytułu otrzymanych dotacji. Wypłaty następowały na podsta-

wie asygnat podpisanych przez wszystkich członków Działu Krajowego. Oświadczenie to potwierdza Białas w swym zeznaniu.

Aby wyjaśnić całkowicie, w granicach swych możliwości, sprawę funduszków otrzymanych przez stronnictwa, Komisja zwróciła się do ich prezesów o poinformowanie jej, jakie sumy otrzymało każde stronnictwo na swoją działalność w kraju i w jaki sposób sumy te zużyto. Na zapytanie Komisji wpłynęły odpowiedzi następujące:

Świadek Bielecki zeznał, że jego stronnictwo otrzymało łącznie za cały okres ok. 62.000 dolarów i że suma ta była zużyta wyłącznie na działalność Stronnictwa Narodowego w kraju. W pierwszej fazie tej działalności wspomagano istniejące jeszcze resztki organizacji oraz ludzi nią kierujących, potem — rodziny uwięzionych członków Stronnictwa Narodowego oraz osoby zmuszone do ukrywania się lub prześladowane ze względu na swoją przeszłość polityczną. Część pieniędzy zużyto na ułatwienie ucieczki z kraju członkom Stronnictwa Narodowego.

Dalej świadek stwierdza, że niewielkie tylko kwoty zużyto na wydatki administracyjne związane z przygotowaniem i dokonaniem przerzutów bądź wysyłką pomocy w innej formie, nie posiada jednak zestawień umożliwiających podanie wspomnianych kwot, gdyż dokumenty te były, ze względu na bezpieczeństwo, niszczone.

Świadek Zaremba złożył Komisji notatkę zawierającą wyliczenie sum otrzymanych i wydanych przez PPS. Wyliczenie to podaje po stronie wpływów 54.000 dolarów i tę samą sumę po stronie wydatków. Wpływy podane są kwartałami, pozycje zaś wydatków są następujące: „W roku 1951 wysłano 18.000, w roku 1952 — 15.000, sieć własna — 8.700, wydawnictwa dla kraju, ekspedycja i kontakty — 5.500, zaplecze emigracyjne — 6.800”.

Świadek Piłsudski zeznał, że całość sum otrzymanych przez NiD od Działu Krajowego wyniosła 25.000 dolarów oraz 356 funtów, 12 szylingów i 6 pensów (ok. 1.070 dolarów). Z sumy powyższej 18.700 dolarów zużyto na zasilenie ośrodków działających w kraju, na pomoc w formie paczkowej i na utrzymanie własnych kontaktów i środków łączności, a pozostałość — na działalność stronnictwa na emigracji, związaną ze sprawami krajowymi. Pozostałość ta wynosi 7.870 dolarów.

Świadkowie Korboński i Bagiński nadesłali obszernie wyjaśnienie, w którym podają, że PSL-OJN otrzymało od Działu Krajowego 12.500 dolarów, z czego 9.380 dolarów zużyto na „wydatniejsze podtrzymywanie w ciągu lat trzech kontaktów z

krajem", a 3.125 dolarów na normalne wydatki organizacyjne, jak zasiłki dla organizacji terenowych, wyjazdy, wydatki kancelaryjne i wydawnicze. Największą pozycję stanowią wpłaty na wydawany przez PSL-OJN w Londynie miesięcznik „Zielony Sztandar”. PSL-OJN nie wchodziło w skład Działu Krajowego, lecz prowadziło swą pracę łącznościową oddzielnie.

Istnieje rozbieżność między kwotą podaną przez Korbońskiego i Bagińskiego jako zużytą na potrzeby kraju (9.380 dolarów) a kwotą podaną przez Sojkę jako wysłaną przezeń z ramienia PSL do kraju (11.000 dolarów).

Stronnictwo Pracy, które również weszło w skład R.P. w późniejszej jej fazie, dotacji nie otrzymało. Podsumowanie kwot otrzymanych przez pozostałe cztery stronnictwa (62.000, 54.000, 26.570, 12.500) daje kwotę łączną 155.070 dolarów, mniejszą o 16.930 od sumy 172.000 dolarów otrzymanej przez stronnictwa według wyjaśnień Sojki i wyliczeń Komisji. Komisja nie mogła stwierdzić, w jaki sposób kwota 16.930 dolarów została zużyta.

Łączna wysokość funduszy zużytych przez Dział Krajowy na potrzeby kraju i dotacje dla stronnictw (423.000 i 172.000) wynosi 595.000 dolarów. Całość dotacji na rzecz Działu Krajowego wynosi, według podanych wyżej ustaleń, 653.300 dolarów (bez Centrali). Sumę 58.300 dolarów stanowiącą pozostałość ogólnej sumy dotacji, zużyto, według oświadczenia Sojki, na administrację i działalność placówek w Niemczech i ich ekspozytury.

Zarzuty fałszywej buchalterii

Tychota w swych „odповідziach na pytania” oświadcza, że prowadził oddzielnie księgowość rzeczywistą placówek w formie amerykańskiej, dostępną tylko Sojce i Sierzowi oraz księgowość fałszywą systemem włoskim, przeznaczoną dla pełnego kompletu Działu Krajowego. Rozliczenie dla Rady Politycznej robiono na podstawie tej ostatniej księgowości. Księgę zawierającą zapisy systemem włoskim Tychota przekazał N. po objęciu przez tego rachunkowości obu placówek. Celem tej podwójnej buchalterii miało być osiągnięcie, bez wiedzy pozostałych dwóch członków Działu Krajowego, oszczędności, wyprowadzonych z salda między rzeczywistymi a fałszywymi wpływami i wydatkami.

W zeznaniach złożonych wobec K., Tychota oświadcza, że Sojka zlecił mu sporządzanie podwójnych kwitów na wydatki w celu podwójnego ich realizowania, na co wszakże Tychota się nie

zgodził. Trudno nie zauważyć, że poczucie uczciwości, które pozwala na prowadzenie fałszywej buchalterii, nie pozwala zaś na podrabianie kwitów, jest dość swoiste. Historia ta brzmi jednak nieprawdopodobnie, gdyż w świetle zeznań świadków, drugiej stronie w ogóle nie okazywano kwitów.

„Zbiór dokumentów” omawia również sprawę fałszywej buchalterii, powtarzając dosłownie zeznania Tychoty, a na poparcie twierdzenia o czynionych w ten sposób oszczędnościach przytacza treść wspomnianych już instrukcji z 10 listopada i 27 grudnia 1950 roku. Z instrukcji tych nie wynika wszakże, aby zarzut fałszywej księgowości był prawdziwy. Instrukcja z 27 grudnia zaleca istotnie założenie osobnych akt kasowych i administracyjnych dla operacji prowadzonych na rzecz Rady Politycznej, lecz zlecenie to, według wyjaśnień Sojki, było wynikiem faktu, że Stronnictwo Narodowe korzystało z aparatu „Północ” dla własnych celów łączności; placówka ta istniała jako placówka Stronnictwa przed nawiązaniem współpracy z partnerami zachodnimi, a przejęcie jej przez Radę Polityczną nie pociągnęło za sobą zerwania więzów łączących ją w okresie poprzednim ze Stronnictwem. Instrukcja z 10 listopada zleca założenie specjalnego konta oszczędnościowego, o którym będzie dalej mowa oraz konta „rezerwy na czarną godzinę”; ten ostatni przepis, jak zeznaje Tychota w „odповідziach na pytania”, nie wszedł nigdy w życie; Sierz, jak już wspomniano, potwierdził to zeznanie.

Badani w tej sprawie Sierz, W.Z., N. i F. zaprzeczają twierdzeniom Tychoty o fałszywej buchalterii. Sierz zeznaje, że zarówno w Centrali jak i na placówkach prowadzono księgowość jedynie w formie amerykańskiej. Świadek sporządzał okresowo sprawozdania dla całego kompletu Działu Krajowego, opierając je na zapisach wpływów i wydatków prowadzonych systemem amerykańskim. N. oświadcza, że księgowość placówek, jaką zastał po objęciu przez siebie funkcji buchaltera, była prowadzona na luźnych arkuszach, na których notowano wpływy i wydatki z rozbićciem ich na poszczególne konta i dołączeniem do każdego arkusza kwitów w kopercie. Tychota, po zapoznaniu świadka z księgowością placówek, wręczył mu zestawienia rachunkowe wraz z kwitami za okres od 1 lutego do 1 czerwca 1952 roku; zestawienia te obejmowały jedynie wpływy i wydatki placówki „Północ”. Księgowość gospodarczą placówki „Południe” w tym okresie prowadził w ten sam sposób, tzn. na luźnych arkuszach, Ostaszewski. Świadek po objęciu swych funkcji zaprowadził „księgę główną”, do której wpisywał wszystkie wpływy i wydatki placówek; wpisał również do tej księgi, na podstawie zestawień dostarczonych

mu przez Tychotę i Ostaszewskiego, wpływy i wydatki za czas od 1 lutego 1952 roku. Żadnej innej księgi świadek nie prowadził.

Należy dodać, że członkowie Komisji wydelegowani w celu zbadania fotokopii stwierdzili, że zawierają one jedynie odbitki wpisów na luźnych arkuszach, prowadzonych systemem amerykańskim. W tym świetle twierdzenie Tychoty o przekazaniu N. „księgi” zawierającej wpisy systemem włoskim wydaje się szczególnie wątpliwe.

W.Z. oświadcza, że nic mu nie wiadomo o prowadzeniu przez placówki podwójnej buchalterii, amerykańskiej i włoskiej. Wedłóg F., Białas i Zawadzki byli wtajemniczeni w istotę i technikę pracy placówki; obaj oni żadnych podejrzeń co do możliwości ukrywania przed nimi niektórych wpływów lub wydatków w oświadczeniach swych nie zgłosili.

Sojka i Sierz oświadczają, że w pewnych miesiącach nie wydawano całkowicie sum przeznaczonych na dany miesiąc w budżecie, w innych zaś wydatki były większe od przewidzianych. Działo się tak dlatego, że w pewnych okresach możliwości przekazywania pomocy dla kraju były ograniczone, w innych znowu powstawały okazje wysłania większych sum, np. z powodu wysyłki kuriera, nierównomiernego w czasie wysyłania „paczek specjalnych” i innych okoliczności. W wyniku tych nierównomierności w jednych miesiącach powstawały na rachunku wydatków spore oszczędności, w innych wydawano od razu kilkumiesięczne dotacje. W rozliczeniach miesięcznych z partnerami zachodnimi podawano jednak wszystkie sumy budżetowe jako zużyte, kwoty zaś nie wydane w danym miesiącu przenoszono w rachunkowości placówek na rachunek „O”, który obaj świadkowie nazywają nie rachunkiem oszczędności, lecz rachunkiem „odrębnym”. Z tego rachunku dokonywano w miarę nadarzających się sposobności przekazów i przelewów do kraju. Dyspozycje te odbywały się w Centrali, często poza wiedzą kierowników placówek.

Wnioski co do spraw finansowych

Po zestawieniu przytoczonego wyżej materiału Komisja przysłała do przekonania, że materiał ten nie pozwala na wyczerpującą ocenę gospodarki finansowej Działu Krajowego, lecz daje podstawę do stwierdzenia, że wysunięte przeciw tej gospodarce zarzuty są nieuzasadnione. Dział Krajowy dysponował otrzymanymi od partnerów pieniędzmi zgodnie z ich przeznaczeniem i w okresie

swej działalności udzielił pokażnej pomocy ludziom w kraju. Brak ścisłych i wyczerpujących cyfr znajduje wytłumaczenie w szczególnych warunkach pracy konspiracyjnej.

Wprowadzenie konta „O” było uzasadnione trudnymi warunkami utrzymywania łączności z krajem, a z drugiej strony nadmiernym formalizmem przedstawicieli partnerów zachodnich, żądających miesięcznych zamknięć rachunkowych. Komisja nie dopatruje się w tej metodzie prowadzenia rachunkowości złej wiary ze strony Działu Krajowego. Zarzuty fałszywej buchalterii, prowadzonej rzekomo na zlecenie Sojki w celu ukrycia przed jego partnerami politycznymi prawdziwych wpływów i wydatków placówki, w świetle wyjaśnień świadków ostać się nie mogą.

Streszczenie wniosków i ustaleń częściowych

W toku badania organizacji i działalności aparatu Działu Krajowego Rady Politycznej Komisja szła śladem zasad ogólnych, podanych na wstępie niniejszego sprawozdania, formułując w miarę ustalania stanu faktycznego wnioski częściowe obejmujące poszczególne zagadnienia. Wnioski te były następujące:

1. Akcja Działu Krajowego była prowadzona w imieniu Rady Politycznej i za jej aprobatą.

2. Akcja ta pozostawała w ramach uchwały Rady Politycznej z 23 listopada 1950 roku.

3. Dział Krajowy po zawarciu umowy o współpracę z partnerami zachodnimi korzystał z samodzielności niezbędnej dla zabezpieczenia interesów polskich.

4. Kierownictwo aparatu łączności Działu Krajowego, nie mając przygotowania teoretycznego do tego rodzaju działalności, posiadało przygotowanie praktyczne nabyte w uprzedniej pracy konspiracyjnej.

5. System kwalifikowania kandydatów do pracy wykonawczej w aparacie łączności był wadliwy, gdyż nie uwzględniano w nim zasady, że posiadanie rodziny w kraju dyskwalifikuje kandydata do tej pracy.

6. Afera Ostaszewskiego i Macińskiej była z jednej strony wynikiem przesadnego zaufania, jakim obdarzono tych ludzi w oparciu o ich działalność w przeszłości, z drugiej strony — wynikiem wspomnianej wyżej wadliwości systemu kwalifikacyjnego.

7. Pozostały personel aparatu łączności Działu Krajowego, zatrudniony stale w tym aparacie i zaprzysiężony, nie nasunął Komisji zastrzeżeń politycznych i moralnych.

8. Spośród trzech zasadniczych metod łączności z krajem stosowanych przez Dział Krajowy łączność za pomocą „paczek specjalnych” i korespondencji pismem utajonym, zwykłej bądź szyfrowej, nie nasunęła Komisji zastrzeżeń technicznych. Wykrycie przez UB paczek specjalnych nastąpiło wskutek przypadku, metoda korespondencyjna nie pociągnęła za sobą ofiar w kraju.

9. W organizacji łączności za pomocą kurierów Komisja stwierdziła błędy, polegające przede wszystkim na nie dość ostrożnej gospodarce ludźmi (wysyłanie w charakterze kurierów ludzi przybyłych świeżo z kraju, wysyłanie jedną drogą kilku kurierów lub wysyłanie kurierów pomimo stwierdzenia wpadek ich poprzedników). Błędy te obciążają głównie placówkę „Północ”.

10. Ubezpieczenie placówek łączności, pomimo stosowania zasad przyjętych w regulaminach pracy konspiracyjnej, wykazywało poważne niedociągnięcia, zwłaszcza na placówce północnej.

11. Straty w ludziach w wyniku działalności Działu Krajowego, podane w publikacjach omawiających „sprawę Bergu”, są przesadzone, ściśle wszakże ustalenie liczby ofiar jest niemożliwe wskutek zbiegu wpadek osób związanych z aparatem Działu Krajowego i z organizacją WIN'u. Z zeznań świadków wynika, że straty Działu Krajowego nie były ilościowo poważne.

12. Zarzuty fabrykowania przez Dział Krajowy wyników działalności Komisja uznała za bezpodstawne.

13. Dział Krajowy otrzymał od swego kontrahenta na wszystkie swoje wydatki za cały okres współpracy 780.300 dol.

14. W kwocie powyższej mieszczą się: £ 42.200 (około 127.000 dol.) na Centralę w Londynie, 423.000 dol. na akcję specjalną i potrzeby kraju, 172.000 dol. dla stronnictw na działalność w kraju oraz 58.300 dol. na administrację i działalność placówek w Niemczech i ich ekspozytur.

15. Z sum przeznaczonych na utrzymanie Centrali korzystała także Rada Polityczna, co było możliwe wskutek nieobsadzenia wszystkich etatów Działu Krajowego i ustalenia uposażeń jego pracowników na poziomie niższym od przewidzianego w budżecie. Rada Polityczna otrzymała z tego tytułu około £ 22.000. (około 65.000 dol.).

16. Z budżetu Działu Krajowego przeznaczonego na potrzeby kraju udzielono osobom w kraju okazałej pomocy w formie paczek lub pieniędzy.

17. Według wyjaśnień złożonych przez stronnictwa, otrzymały one łącznie 155.070 dol. i poważną część tej sumy zużyły na potrzeby swych ośrodków w kraju. Suma powyższa nie jest zgodna z kwotą podaną w pkt. 14.

18. Zarzuty prowadzenia na placówkach fałszywej księgowości Komisja uznała za bezpodstawne.

Wnioski ogólne

Powyższe ustalenia częściowe prowadzą do następujących wniosków ogólnych charakteryzujących działalność Działu Krajowego Rady Politycznej w latach 1951 i 1952:

1. Zarzuty wysunięte przeciw Działowi Krajowemu przez Tychotę i jego protektorów są bądź bezpodstawne bądź tendencyjne. Nie mniej jednak w organizacji i działalności Działu Krajowego były błędy pominięte przez oskarżycieli wskutek niedostatecznej znajomości stanu faktycznego lub, gdy chodzi o zeznania Tychoty, w celu ukrycia jego własnych uchybień w tej dziedzinie i przerzucenia odpowiedzialności za konsekwencje na inne osoby. Błędy te wykazują przytoczone wyżej ustalenia częściowe.

2. Jedną z istotnych przyczyn wspomnianych błędów i niedociągnięć była wadliwa koncepcja organizacyjna Działu Krajowego i jego stosunek do Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej. Polegała ona na powierzeniu organizacji i odpowiedzialności za działalność aparatu jednemu człowiekowi, tj. kierownikowi Działu Krajowego, przy niewielkim tylko, bo ograniczonym do okresowych kontroli finansowych udziale pozostałych dwóch członków tego Działu, nieokreślonej roli Komisji Krajowej i niemal zupełnym braku nadzoru ze strony Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej i jego przewodniczącego. Kierownik Działu Krajowego i jego dwaj pozostali członkowie byli jednocześnie członkami Wydziału Wykonawczego R.P. Dział Krajowy należało uważać, stosownie do art. 28 regulaminu Rady, za jeden z działów pracy Wydziału. Art. 27 regulaminu Rady stanowi, że przewodniczący Wydziału Wykonawczego reprezentuje Wydział i koordynuje jego prace. W świetle tych przepisów trudno uznać za wystarczające wyjaśnienie przewodniczącego Wydziału, złożone w jego zeznaniu, że „nie mogło być bezpośrednich więzów organizacyjnych między Wydziałem Wykonawczym a Działem” i że nie miał on „tytułu do wglądu w prace zespołu ponoszącego wyłącznie odpowiedzialność za swoją działalność”. Dział Krajowy był częścią składową Rady Politycznej i prowadził swą akcję, jak to już stwierdzono, w imieniu i za aprobatą Rady. Jakkolwiek działalność Działu Krajowego powinna była być zakonspirowana, rozciąganie tej konspiracji na przewodniczącego i członków Wydziału Wykonaw-

czego nie było właściwe, zwłaszcza że Rada Polityczna otrzymywała z tego źródła fundusze na własną działalność.

3. Skutkiem wymienionych wad organizacyjnych był brak dostatecznej kontroli nad działalnością kierownika Działu Krajowego, który, przy całej swej dobrej woli i oddaniu tej pracy, nie potrafił zapobiec niedociągnięciom i błędom lub wykazał nadmierną dla tych błędów tolerancję. Tychota nie powinien był być utrzymywany na stanowisku kierownika placówki ani w ogóle użyty do pracy konspiracyjnej. Został on jednak zwolniony dopiero w grudniu 1952 roku, na krótko przed likwidacją placówki, tj. o wiele za późno. Odpowiedzialnością za tak długie tolerowanie Tychoty na placówce Komisja zmuszona jest, w braku innych dowodów, obciążyć Sojkę.

4. Ogłoszenie oskarżeń, z którymi wystąpił Tychota, bez jakiegokolwiek zbadania dowodów na ich poparcie, Komisja uznaje za akcję polityczną, która sprawie polskiej i dobremu imieniu emigracji wyrządziła nieobliczalne szkody. Trudno sobie wyobrazić prokuratora, który by uznał za możliwe ogłaszanie publiczne aktu oskarżenia bez zasięgnięcia choćby informacji, skąd świadek oskarżenia czerpie materiał do swych zeznań i jakie jest pochodzenie składanych przezeń dowodów. „Zbiór dokumentów w sprawie Bergu” jest jednak podpisany przez p. Okulicza, tytułującego się Ministrem Sprawiedliwości, tj. naczelnym prokuratorem państwa. Postępowanie takie doprowadziło do opublikowania aktu mającego wszelkie znamiona prowokacji, jakim była „Instrukcja techniczna pracy PI”. Instrukcja ta stanowi też główny przedmiot rozważań i ocen broszury p. Mackiewicza „O sąd obywatelski nad handlarzami śmiercią”.

Komisja nie uważa, aby fakt dekonspiracji działalności Działu Krajowego usprawiedliwiał oskarżycieli. Władze komunistyczne w Polsce korzystają chętnie z każdego źródła wiadomości mogących kompromitować emigrację. Wiadomości pochodzące od ich agentów mogą nie przekonywać opinii publicznej w kraju, która wszelkie rewelacje ze źródeł komunistycznych traktuje sceptycznie; o ileż bardziej przekonywująco brzmią oskarżenia płynące z łona samej emigracji, choćby w istocie rzeczy były one oparte, jak w danym wypadku, na przesadzie lub fałszu. Metody walki politycznej, jeśli jej nie można uniknąć, powinny mieć swoje granice we względach na interes ogólny; nieprzestrzeganie tych granic kompromituje emigrację w oczach kraju i zagranicy.

Nie usprawiedliwia też oskarżycieli fakt odmowy osób oskarżonych poddania się sądowi obywatelskiemu. Fakt ten w sytuacji politycznej, jaka się wytworzyła w toku akcji zjednoczeniowej,

był zrozumiały. Wniosek p. Okulicza do sądu obywatelskiego ujmuje zarzuty sumarycznie, nie indywidualizuje ich i nie precyzuje. Intencją wniosku była niewątpliwie rozgrywka polityczna.

Uwagi końcowe

Komisja kończy swe sprawozdanie stwierdzeniem, że przeprowadziła zlecone jej dochodzenia i ustaliła płynące z nich wnioski na podstawie dostępnego jej materiału dowodowego, który z istoty rzeczy musiał być ograniczony. Wśród świadków brakowało głównego świadka oskarżenia, Tychoty, który odmówił stawienia się przed Komisją. Wypowiedzi Tychoty, zawarte w aktach sprawy, są wprawdzie aż nadto obfite, lecz jego niestawiennictwo uniemożliwiło zbadanie źródeł jego informacji i konfrontację z innymi świadkami. Gdyby zatem w przyszłości powstała możliwość uzupełnienia dochodzeń w tym kierunku, należałoby to uczynić.

Komisja przekazuje sprawozdanie niniejsze Egzekutywie Zjednoczenia Narodowego jako tajne, co nie wyłącza możliwości jego ogłoszenia, z pominięciem wszakże części, mogących narazić bezpieczeństwo lub pracę konspiracyjną osób lub instytucji w nim wymienionych, bądź zaszkodzić naszym stosunkom zewnętrznym. Komisja zastrzega sobie uzgodnienie z nią tekstu przeznaczonego przez Egzekutywę do ogłoszenia.

Przewodniczący: ST. KRAUSE. Członkowie:
J. BALIŃSKI-JUNDZIŁŁ, J. SMOLEŃSKI, T. SULIMIRSKI,
K. ZIEMSKI.



W N I O S E K MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI K. OKULICZA O WSZCZĘCIE SPRAWY BERGU PRZED SĄDEM OBYWATELSKIM

Londyn, dnia 1 czerwca 1954 roku
Do Pana Rzecznika Sądu Obywatelskiego
42, Emperor's Gate, London, S.W.7

W n i o s e k

o wszczęcie postępowania przed Sądem Obywatelskim w Londynie
przeciwko:

Zygmuntowi Berezowskiemu
Franciszkowi Białasowi

Tadeuszowi Bieleckiemu
Aleksandrowi Demideckiemu
Włodzimierzowi Kańskiemu
Aleksandrowi Sierzowi
Edwardowi Sojce
Tadeuszowi Żenczykowskiemu-Zawadzkiemu
Jerzemu Zdziechowskiemu

zamieszkałym w Londynie z wyjątkiem A. Demideckiego, którego miejsce zamieszkania nie jest mnie znane, oraz T. Żenczykowskiego-Zawadzkiego zamieszkałego w Monachium.

W pierwszym kwartale roku 1953 zaczęły kursować w Londynie pogłoski, że masowe aresztowania, które w końcu 1952 i na początku 1953 nastąpiły w kraju pociągając za sobą szereg procesów, są wynikiem działalności placówek wywiadowczych tzw. Działu Krajowego Rady Politycznej, znajdujących się na terenie Niemieckiej Republiki Związkowej, w szczególności w Bergu w Bawarii. Pogłoski te znajdowały potwierdzenie z wielu źródeł a polska prasa komunistyczna w Kraju, nadchodząca do Londynu, zamieszczała sprawozdania z procesów, w których w charakterze oskarżonych figurowały osoby podane jako kurierzy lub agenci tych placówek.

Wkrótce potem stało się wiadomym w Londynie, że w marcu 1953 odbyła się rozprawa przed sądem organizacyjnym Stronnictwa Narodowego w Londynie pomiędzy E. Sojką, a K. Tychotą, z wzajemnego ich oskarżenia. Fakt ten potwierdził kursujący po Londynie list otwarty do prezesa Stronnictwa Narodowego T. Bieleckiego. Autor tego listu K. Tychota ujawnił w nim swoją walkę wewnątrz stronnictwa o metody uprawianej przez te placówki tzw. „akcji na Kraj”.

Rewelacje powyższe wywołały duże poruszenie w emigracyjnym społeczeństwie polskim w Wielkiej Brytanii. Wiceprezes Rady Narodowej S. Mackiewicz wydał w kwietniu 1953 roku broszurę pod tytułem „O handel śmiercią”, w której wzywał osoby przez K. Tychotę wymienione do oczyszczenia się z postawionych im publicznie zarzutów. Żadne kroki przez te osoby nie zostały wszczęte.

W lipcu 1953 ukazał się drugi powielany list otwarty K. Tychoty pod tytułem „Stosunek Prezydium do Kraju”, w którym autor podał przebieg i szczegóły owej rozprawy sądowej pomiędzy nim a E. Sojką przed sądem organizacyjnym Stronnictwa Narodowego w marcu 1953.

W dniu 21 sierpnia Jan Matłachowski, były członek władz

Stronnictwa Narodowego, urządził w Londynie w lokalu „Ogniska Polskiego” konferencję prasową dziennikarzy polskich, na której publicznie przedstawił znane mu szczegóły współpracy przedstawicieli Stronnictwa Narodowego z wywiadem obcym [w akcji] na Kraj i skutki tej akcji.

W dniu 17 października 1953 na posiedzeniu Rady Narodowej R.P. w Londynie Związek Socjalistów Polskich skierował do Rządu R.P. zapytanie:

- „1) Czy Rząd podjął jakiegokolwiek kroki celem zbadania słuszności zarzutów postawionych przez p. Tychotę oraz rozpatrzenia materiału dowodowego, jaki posiada na ich poparcie;
- 2) jeżeli Rząd dotąd tego nie uczynił, czy skłonny jest uczynić to w najkrótszym czasie i przedłożyć sprawozdanie Radzie Narodowej?”

Na skutek tej interpelacji Związku Socjalistów Polskich Rząd zlecił przedstawicielowi swemu w Niemczech Zachodnich zebranie materiałów w tej sprawie i przedstawienie ich Rządowi w Londynie. W dniu 28 listopada 1953 na posiedzeniu Rady Narodowej Rząd udzielił Związkowi Socjalistów Polskich odpowiedzi, w której oświadczył między innymi, że „Rząd R.P. podjął odpowiednie kroki do zbadania tej tak tragicznej sprawy”.

W końcu stycznia 1954 przedstawiciel Rządu R.P. w Niemczech Zachodnich T. Kobylański przekazał Rządowi uzyskane przez niego materiały w tej sprawie. Po przestudiowaniu tych materiałów okazało się konieczne uzyskanie dodatkowych wyjaśnień od K. Tychoty. Po udzieleniu przez K. Tychotę odpowiedzi na postawione mu pytania zostały one w końcu kwietnia 1954 przekazane Rządowi przez przedstawiciela Rządu w Niemczech Zachodnich wraz z zeznaniami trzech świadków. Ponadto K. Tychota razem ze swymi odpowiedziami przedstawił za pośrednictwem tegoż przedstawiciela Rządu R.P. w Zachodnich Niemczech swoje pismo oskarżające z dnia 18 kwietnia 1953 wraz z załącznikami. Stanowi to obecnie całokształt materiału dowodowego w rękach Rządu R.P. w tej sprawie.

W powyższym piśmie z dnia 18 kwietnia 1954 K. Tychota oskarżył przewodniczącego Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej i Dział Krajowy Rady Politycznej o to że:

„powodowani chęcią zdobycia środków materialnych na polityczne działania emigracyjne Rady Politycznej i zgrupowanych w niej stronnictw, zawarli lekkomyślnie umowę

z czynnikami amerykańskimi i brytyjskimi dotyczącą akcji na Kraj. Jej wykonanie musiało doprowadzić do podporządkowania całości prac obcemu wywiadowi, stosowania lekkomyślnych metod pracy, których następstwem były masowe a zupełnie niepotrzebne ofiary, a też kompromitacja emigracyjnych ośrodków polskich w opinii politycznej Zachodu”.

W szczególności K. Tychota oskarżył:

Jerzego Zdziechowskiego o to, że:

„jako przewodniczący Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej, odpowiedzialny na podstawie § 27, 28 i 30 Regulaminu Rady Politycznej za Dział Krajowy, nie interweniował w stosowane tam praktyki i je stale pokrywał mimo mej (K. Tychoty) interwencji u niego w dniu 6 lutego 1953”.

Edwarda Sojkę, kierownika Działu Krajowego Rady Politycznej, oraz jego zastępców Franciszka Białasa i Tadeusza Żenczykowskiego-Zawadzkiego, o to, że

„kierując faktycznie tym działem pracy, ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za spowodowane ofiary w ludziach i jej fatalne skutki”.

Tadeusza Bieleckiego, Zygmunta Berezowskiego, Aleksandra Demideckiego i Włodzimierza Kańskiego o to, że:

„mimo wtajemniczenia we wszelkie arkana akcji na Kraj, prowadzonej przez Dział Krajowy Rady Politycznej, i zawartych umów z czynnikami obcymi, swym wpływem osobistym i przez kierowaną przez nich organizację Stronnictwa Narodowego stan ten utrzymywali i popierali, nie cofając się przed użyciem rygorów i dyscypliny partyjnej”.

Na podstawie powyższego pisma i załączonej do niego:

- 1) kopii skargi K. Tychoty przeciwko E. Sojce z dnia 9 stycznia 1954, złożonej do Centralnego Wydziału Wykonawczego Stronnictwa Narodowego w Londynie wraz z dodatkowymi do niej wyjaśnieniami;
- 2) listu otwartego pod tytułem „Stosunek Prezydium do Kraju”;
- 3) broszury pod tytułem „Ostatni Raport” i
- 4) kopii notatki zeznań K. Tychoty z dnia 18 i 19 grudnia 1953; następnie na podstawie zeznań Michała Dachana, Dominika Marcola i Wacława Wojciechowskiego, złożonych delegatowi Rządu

T. Kobyłańskiemu w kwietniu 1954; wreszcie na podstawie fotokopii dokumentów oznaczonych numerami 1-18, 21, 22, 28-32, 38-40, 44-46, 49-58, 62, oraz na podstawie odpowiedzi K. Tychoty z dnia 16 kwietnia 1954 na postawione mu pytania, daje się zestawić w streszczeniu następujący stan faktyczny:

W maju 1948 K. Tychota, ówczesny kierownik placówki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Niemczech dla łączności z Krajem, otrzymał od przedstawiciela amerykańskiego zespołu gen. Welsha, mającego zadanie zorganizowania w ramach rozpoczętej już „zimnej wojny” akcji w krajach za Żelazną Kurtyną, propozycję współpracy. Odnosił się do swego zwierzchnika, ówczesnego Ministra Spraw Wewnętrznych Z. Bereżowskiego i otrzymał od niego za pośrednictwem E. Sojki, ówczesnego sekretarza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pisemną instrukcję i projekt umowy (fotokopie 38-40), którą doręczył przedstawicielowi amerykańskiego zespołu 12 października 1948 (notatka z zeznań K. Tychoty w dniach 18 i 19 grudnia 1953).

Układ nie doszedł wówczas do skutku. W lutym 1949, kiedy w Londynie nastąpił kryzys w Rządzie Polskim, przedstawiciel czynników amerykańskich zapytał K. Tychotę, czy w razie zmiany na stanowisku Ministra Spraw Wewnętrznych następca Z. Bereżowskiego przejmie ewentualną umowę o współpracę, lub czy Stronnictwo Narodowe zgodzi się współpracować z czynnikami amerykańskimi pod własną firmą. E. Sojka listem z 5 marca 1949 przekazał pytającym odpowiedź, że w razie wyjścia z Rządu Stronnictwo Narodowe godzi się prowadzić projektowaną współpracę we własnym imieniu. Na tym pertraktacje zostały przerwane. Kiedy Stronnictwo Narodowe w roku 1949 wyszło z rządu i K. Tychota został odwołany z zajmowanego stanowiska, E. Sojka polecił mu nie przekazywać aktów i aparatu defensywy w Niemczech, jak również łączności z Krajem, lecz prowadzić nadal tę akcję dla Stronnictwa Narodowego. Przekazując natomiast agencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nowemu ministrowi gen. Odzierżyńskiemu E. Sojka poinformował go, że obie akcje zostały zakończone w dniu 1 stycznia 1949 z powodu braku funduszy, akta zaś spalono. (Notatka z zeznań K. Tychoty z dnia 18 i 19 grudnia 1953).

Wiosną 1950 roku K. Tychota otrzymał od czynników amerykańskich nową propozycję i na polecenie E. Sojki rozpoczął z nimi pertraktacje, lecz w czerwcu został powiadomiony, że w Ameryce została przez Stronnictwo Narodowe zawarta generalna

umowa. K. Tychota doszedł następnie do wniosku, że w Ameryce rzecz była zdecydowana tylko zasadniczo, natomiast sfinalizowania jej dokonał E. Sojka w Niemczech z oficerem amerykańskim występującym pod pseudonimem Col. Davis. Umowa ta, według tego, co mówił K. Tychocie E. Sojka, była ustna. Strona amerykańska domagała się, aby jej kontrahentem było nie samo tylko Stronnictwo Narodowe, lecz Rada Polityczna — zespół stronnictw politycznych utworzony w Londynie w grudniu 1949, do którego to zespołu weszło również Stronnictwo Narodowe. We wrześniu 1950 E. Sojka zawiadomił K. Tychotę, że to żądanie zostało przez stronę polską przyjęte, lecz K. Tychota nie wie, kto z członków Rady Politycznej i w jakiej formie wyraził zgodę na zawarcie umowy. Fakt udzielenia tej zgody wynika też z listu prezesa Stronnictwa Narodowego T. Bieleckiego do K. Tychoty z dnia 22 listopada 1952, w którym T. Bielecki stwierdza, że placówka K. Tychoty („Północ”) podlega Działowi Krajowemu Rady Politycznej. (Odpowiedź K. Tychoty na pytania 10 i 11, notatka z zeznań K. Tychoty z dnia 18 i 19 grudnia 1953 i fotokopie 56-57).

Warunki umowy były następujące:

Rada Polityczna zobowiązuje się do: 1) współdziałania z akcją zimnej wojny Stanów Zjednoczonych, 2) podtrzymywania w Kraju ducha oporu, 3) rozbudowania w Kraju sieci rezydentów i informatorów (tzw. PI), 4) przygotowania sieci radionadawczych w Kraju, 5) dostarczania wiadomości z Kraju, 6) przesłuchiwania uciekinierów z Kraju. W zamian za to strona amerykańska dostarczy Radzie Politycznej funduszy na: 1) utrzymanie aparatu łączności z Krajem, 2) rozbudowę i utrzymanie grup informacyjnych (PI) w Kraju, 3) podtrzymywanie ducha oporu w Kraju przez akcje ulotkowe, afiszowe oraz zasilanie ludzi pomocą pieniężną, 4) utrzymanie centrali w Londynie, 5) pomoc materialną akcjom podziemnym.

Na podstawie tej umowy rozwinęła się tzw. akcja na Kraj podana poniżej. Stała ona w jaskrawej sprzeczności z zasadniczym stanowiskiem wszystkich rządów R.P. na emigracji od jesieni 1944 po dzień dzisiejszy, z wyraźnymi wypowiedziami Prezydenta R.P., z uchwałami Rady Narodowej oraz ogólnym poczuciem obywatelskim zorganizowanego społeczeństwa polskiego na obczyźnie. Dokładne zestawienie finansowe (jak poniżej) oraz informacje co do sposobu administrowania otrzymywanymi od czynników obcych funduszami wskazują ponadto, że dla przyspo-

zenia sobie środków materialnych przez polskich wykonawców tej umowy narażano na ciężkie represje ludzi z Kraju, którzy zapewne w jak najlepszych patriotycznych intencjach, lecz w nieświadomości istotnych celów akcji, byli z nią gotowi współdziałać.

Wysokość dotacji miała być według tej umowy ustalana na podstawie uzgodnionego przez obie strony półrocznego budżetu zatwierdzanego przez czynniki amerykańskie. Normalny okres budżetowy miał się zacząć od 1 stycznia 1951 roku. E. Sojka powiedział K. Tychocie, że umowa jest ustna i nie była spisana (notatka z zeznań K. Tychoty z 18 i 19 grudnia 1953).

Założono dwie bazy (placówki wywiadowcze) w Niemczech Zachodnich. Jedną (Północ) w strefie brytyjskiej z siedzibą w Oerlinghausen do kwietnia 1952, a później w Muelheim — Ruhr; drugą (Południe) — z siedzibą w Rotach koło Tegernsee w Bawarii do kwietnia 1951, następnie do czerwca 1952 w Monachium, wreszcie Berg pod Starnbergiem w Bawarii. Na czele placówki „Południe” stał od 1. 10. 1950 do 30. 3. 1951 Stanisław Komeniowski, a następnie Władysław Furka. Na czele placówki „Północ” stał od 1. 10. 1950 do 30. 12. 1952 Kazimierz Tychota, a po nim Wiktor Zdrzałka. Wszyscy czterej byli członkami Stronnictwa Narodowego. (Notatka z zeznań K. Tychoty 18-19 grudnia 1953, fotokopie 1-18 i 53, odpowiedzi K. Tychoty na pytania 14-15). Kierownikiem Działu Krajowego Rady Politycznej był Edward Sojka (fotokopie 28, 30, 31, 46, 58, 62), a jego zastępcami byli Franciszek Białas z PPS i Tadeusz Żenczykowski-Zawadzki z NID (fotokopie 44, 45, 58). Wpłaty od Amerykanów podejmował Mościński lub Sojka i przywozili je K. Tychocie, który prowadził księgowość do 1 marca 1952, odkąd ta czynność poruczona została Marianowi Nadachowskiemu z Londynu. (Notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953 i fotokopie 1-18).

Przy wydatkowaniu otrzymywanych sum czynione były duże oszczędności. W roku 1951 zaoszczędzono prawie 50 % pobranych pieniędzy, a w roku 1952 — ponad 60 %. (Notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953). Czynienie tych oszczędności było nakazane z góry, co znajduje wyraz w instrukcji z listopada 1950, podpisanej przez A. Sierza, skarbnika Rady Politycznej, a zatwierdzonej 27 grudnia 1951 przez E. Sojkę, Kierownika Działu Krajowego Rady Politycznej. Instrukcja ta nakazuje czynienie jak największych oszczędności. W tym celu ma być wprowadzone takie kwitowanie wydatków, by wyczerpywały wpływy w danym miesiącu, zaś niewydatkowane sumy

mają być przekazywane na specjalne konto oszczędności — i to w kwocie jak największej. Następnie instrukcja nakazuje, aby wpływy z innego dotychczasowego źródła („Reliefu”) były rozdzielane na dwie porcje: jedna z nich w wysokości, „która jest wiadoma naszym sprzymierzeńcom z Rady Politycznej, a która, jak się zdaje, wynosi 2.500 DM, winna być kumulowana na osobnym koncie, jako rezerwa na czarną godzinę”. Druga część, „będąca resztą pozostałą po odjęciu wspomnianej poprzednio sumy miesięcznego wpływu z „Reliefu” (5.500 DM) winna być przelewana na konto oszczędności”. Oba konta są kontami żelaznymi i wydatków z nich nie można robić bez specjalnego zlecenia Centrali. Oba konta muszą być prowadzone „osobno i bez żadnej łączności ze sobą, jako też między nowym funduszem”. Instrukcja nakazuje przy tym przeliczać dolary na marki po kursie oficjalnym, to jest 1 dolar równa się 5 DM, co dałoby przy wymianie na wolnym rynku, gdzie dolar stoi 5,50 DM, około 10 % oszczędności (fotokopie 29-30). Jak zdaje się wynikać z drugiego postscriptum do tej instrukcji, „Relief” oznacza „Towarzystwo Pomocy Polakom”. Postscriptum to nadmienia, że „Relief” pokrył na wiosnę 1949 część wydatków związanych z założeniem sieci defensywnej.

F. Białas był na placówce „Północ” w marcu 1952 i przeprowadzał inspekcję, zastępując nieobecnego podówcza E. Sojkę. F. Białas nie został wtajemniczony w operacje oszczędnościowe i gospodarkę oszczędnościami. Cała procedura robienia „oszczędności” była tajona przed F. Białasem i T. Żenczykowskim-Zawadzki. Inspekcja F. Białasa obejmowała tylko stronę techniczną akcji łączności. (Odpowiedź K. Tychoty na pytanie 16).

Prowadzona była oddzielnie księgowość rzeczywista w formie amerykanki (fotokopie 1-18), dostępna tylko E. Sojce i A. Sierzowi, oraz oddzielna w systemie włoskim, fałszywa, przeznaczona dla pełnego kompletu Działu Krajowego Rady Politycznej, a więc dla F. Białasa i T. Żenczykowskiego-Zawadzkiego. Z tej drugiej robiono okresowe rozliczenia dla Rady Politycznej. Księga ta została przez K. Tychotę przekazana M. Nadachowskiemu, występującemu pod pseudonimem Wierzbicki. Oszczędności wyprawiano z wysaldowania rzeczywistego rachunku „Strat i zysków” z fałszywym rachunkiem „Strat i zysków”, wyprowadzonych z księgowości jawnej dla Rady Politycznej. Krótko mówiąc, wysokość „oszczędności” stanowiła różnica pomiędzy rzeczywistym zyskiem a zyskiem wykazanym Radzie Politycznej. Zdaniem K. Tychoty, treść i instrukcja z 10 listopada 1950 (fotokopie 29-30) była znana jeszcze tylko Bieleckiemu. A. Sierz funkcjono-

wał w Dziale Krajowym jako sekretarz generalny tego Działu i jako skarbnik (odpowiedzi K. Tychoty na pytania 16, 21, 22 i 41).

Inna instrukcja z 27 grudnia 1950, podpisana przez E. Sojkę, przewiduje, że zatwierdzając plan operacyjny, Centrala decyduje, która z przewidzianych operacji przedsięwzięta zostanie na rzecz Rady Politycznej. Kierownicy placówek prowadzić będą osobne akty kasowe i administracyjne. Akty te będą mogły być ewentualnie ujawnione przedstawicielom Rady Politycznej tylko w następstwie specjalnego zezwolenia Centrali. (Fotokopie 31-32).

Wobec K. Tychoty twierdził E. Sojka, że utajane przed innymi partnerami „oszczędności” robi dla Stronnictwa Narodowego. Zabierał je osobiście i przewoził do Londynu. Na co zostały te pieniądze użyte K. Tychota na pewno nie wie. W lutym 1953 mówił mu A. Sierz, że pozostało „zaledwie” 60 tysięcy dolarów, co by wskazywało, że 500 tysięcy dolarów do tego czasu wydano.

Na podstawie umowy z lata 1950 Dział Krajowy Rady Politycznej otrzymał i rozdysponował następujące kwoty:

Za okres od 1.X.1950 do 28.II.1952	419.370 \$	
na stronnictwa w Kraju w tym okresie	143.000 \$	
Za okres od 1.III.1952 do 31.XII.1952	125.400 \$	
na stronnictwa w Kraju w tym okresie	75.000 \$	
		762.770 \$
Ponadto na utrzymanie Centrali Działu Krajowego za cały ten okres		252.000 \$
		R a z e m : 1.014.770 \$

Z sum tych przeznaczonych było za cały okres:

na działalność grup krajowych	155.620 \$	—	31.438 \$
na pomoc (fundusz ratunkowy)	156.090 \$	—	26.770 \$
na meliny graniczne w Kraju	20.700 \$	—	—
na kurierów	90.100 \$	—	26.884 \$
na 2 placówki łączności	90.000 \$	—	95.000 \$
na placówki w Szwecji i Austrii	22.800 \$	—	12.000 \$
na stronnictwa w Kraju	218.000 \$	—	Str. Narod. nie wydało nic, o innych T.K. nie wie.

Wydatki organizacyjne w okresie

od 1.X.1950 do 31.XII.1950	9.460 \$	—	9.460 \$
			762.770 \$
Pozostało	561.218 \$		
			201.552 \$

K. Tychota dodaje:

Z sum powyższych w rozporządzeniu Stronnictwa Narodowego pozostało:

„Oszczędności”	270.000 \$
Z tytułu pomocy dla Kraju	84.000 \$
R a z e m :	354.000 \$

U innych stronnictw Rady Politycznej pozostało:

u P.P.S.	84.000 \$
u NID	40.000 \$
u P.S.L. odłam „Jedn. Nar.”	10.000 \$

Każda z obu placówek wywiadowczych prowadziła działalność niezależnie jedna od drugiej. Placówka „Północ” zaofiarowana została pomoc ze strony czynników brytyjskich. Umowę z nimi zawarł w Londynie W. Kański. Ponieważ miał się on rozliczać z tymi czynnikami, zażądał od K. Tychoty, jako kierownika placówki, przesyłania rachunków. Wkrótce po tym E. Sojka zażądał, aby kierownik placówki przysyłał mu rachunki w dwóch jedno-brzmiących egzemplarzach za jedną i tę samą czynność (notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953 roku). K. Tychota odmówił wystawiania podwójnych kwitów. Chodziło o likwidowanie tych samych wydatków oddzielnie u Amerykanów i oddzielnie u Brytyjczyków (odpowiedź K. Tychoty na pytanie 36).

Było ustalone przekonanie, że obie placówki należały do Rady Politycznej. Świadczył o tym fakt m.in., że do obu placówek przydzielono do pracy osoby nie należące do Stronnictwa Narodowego, jak T. Zawadzki-Żenczykowski, Hergesel z NID-u, Zakrzewski z PPS. Tymczasem E. Sojka i W. Kański twierdzili, że placówka „Północ” jest placówką Stronnictwa Narodowego. Natomiast T. Bielecki w liście do K. Tychoty z 22 listopada 1952 twierdził, że placówka ta należy do Rady Politycznej. Potwierdzają to również b. pracownicy placówek, W. Wojciechowski, M. Dachan i D. Marcel (fotokopia 56 i zeznania W. Wojciechowskiego, M. Dachana i D. Marcela). K. Tychota twierdzi, że E. Sojka w czasie rozprawy w Sądzie Organiz. Stron. Narod. przyznał, iż w środowisku jego stronnictwa istniało dążenie do użycia Kraju jako środka do zdobycia funduszy na dalszą akcję emigracyjną. (Pismo K. Tychoty z 18 kwietnia 1954 roku).

Przy prowadzeniu tej powszechnie przez uchodźstwo potępia-

nej akcji na Kraj E. Sojka, jako kierownik Działu Krajowego Rady Politycznej stosował przy tym system oszczędności sprzecznych z wymogami bezpieczeństwa osób do tej akcji angażowanych. Te „oszczędności”, jak również ogólne metody akcji i udział w niej agentów Bezpieki i prowokatorów pociągnęły za sobą wielkie ofiary w Kraju. Bezpośrednim następstwem działalności kierowanego przez E. Sojkę Działu Krajowego Rady Politycznej były fale aresztowań. Pierwsza nastąpiła w październiku, listopadzie i grudniu 1951 i objęła ponad 30 osób, w ich liczbie kilku znanych działaczy i 3 placówki „PI” „Południe”. Aresztowania te były następstwem pocztowej drogi werbunkowej i paczkowej. Spowodowały je także „wpadki” kurierów lekkomyślnie i bez ubezpieczenia wysyłanych do Kraju. Spotęgował je też i rozszerzył fakt, że „PI” placówki „Południe” znały się wzajemnie i, wobec terroru stosowanego przez Bezpiekę, pierwsi aresztowani dekonspirowali pozostałych.

Druga fala aresztowań w listopadzie i grudniu 1952 oraz w styczniu i lutym 1953 objęła prawdopodobnie około 200 stwierdzonych osób, w tym wszystkie 8 „PI” placówki „Północ”, odbiorców listów i paczek placówki „Południe”, oraz pozostających w Kraju członków rodzin prawie wszystkich pracowników aparatu łączności Działu Krajowego. Główna fala aresztowań nastąpiła z początkiem 1953 po ucieczce Ostaszewskiego pociągając za sobą całkowitą likwidację aparatu akcji w Kraju. Na tak wielki zasięg aresztowań złożyły się oszczędnościowe i nie przestrzegające bezpieczeństwa metody pracy, oraz denuncjacje zbiegłych do Kraju Ostaszewskiego i Macińskiej. (Pismo K. Tychoty z 18 kwietnia 1954 roku).

Procesy sądowe, które miały miejsce po tej fali aresztowań, wywarły deprymujące wrażenie we wszystkich kołach społeczeństwa w Kraju. Szereg „PI” odmówił dalszej współpracy, zaś akcja werbunkowa stała się niezwykle trudną, bowiem upatrzone osoby odmawiały udziału, gdy dowiedziały się, że chodzi o współpracę z Radą Polityczną. Po ogłoszeniu przez Bezpiekę rewelacji Ostaszewskiego, ilustrowanych fotokopiami dokumentów, zabranych przez niego z Bergu, a następnie po wydaniu sprawozdania z procesu ks. Lelito, nastąpiło w społeczeństwie w Kraju zupełne załamanie wiary w akcje emigracyjne i uczciwość ich intencji wobec okupowanego Kraju. (Pismo K. Tychoty z 18 kwietnia 1954 roku).

Jan Ostaszewski był skarbnikiem na placówce „Południe”, używając pseudonimu Jan Choma. Jak wiadomo z szeregu publikacji w prasie polskiej, sprowadził on z Kraju działacza Stron-

nictwa Narodowego Mieczysława Jakubowskiego, występującego w Anglii jako Józef Werner. Chomie pomagała i Wenera przeprowadziła z Kraju Macińska, używając pseudonimu Wanda Weber. E. Sojka utrzymał Ostaszewskiego na stanowisku zastępcy kierownika placówki „Południe” nawet wtedy, kiedy latem 1951 były mu znane poważne poszlaki jego prowokatorskiej roli. W końcu 1952 roku, kiedy Amerykanie postanowili akcję zamknąć, Ostaszewski i Macińska zbiegli do Kraju, zabierając rachunki i dokumenty placówki za grudzień 1952. (Pismo K. Tychoty z 18 kwietnia 1954 roku, notatka z zeznań K. Tychoty z 18 i 19 grudnia 1953 roku, odpowiedź K. Tychoty na pytanie 6).

Zawodne dla Amerykanów wyniki akcji na Kraj i ciągle niepowodzenia wywoływały u nich coraz większe wątpliwości. Domagali się oni poprawienia sprawności akcji. Wtedy zaczęto fabrykować meldunki z Kraju, na przykład przez wpisywanie na listach otrzymywanych od znajomych z Kraju wiadomości sympatycznym atramentem. Zainscenizowano nawet przybycie emisariusza z Kraju, których też domagali się Amerykanie. Wynaleziono mianowicie niejakiego Zarembińskiego, który po odsiedzeniu kary za fałszowanie dolarów mieszkał w Hamburgu. Przez trzy tygodnie uczył się od poprzednio z Kraju przybyłego Jabłońskiego o tamtejszych stosunkach. Następnie przewieziono Zarembińskiego do Szwecji, gdzie zgłosił się na placówkę jako nowo przybyły z Kraju. W końcu 1952 roku Amerykanie, wobec zupełnej utraty zaufania do kontrahentów i braku wyników pracy placówek, zdecydowali akcję zlikwidować. Likwidacja przeciągnęła się do lipca 1953. (Notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953 roku).

K. Tychota był niezadowolony z metod pracy placówki „Południe” i wielokrotnie zwracał uwagę E. Sojce i A. Sierzowi na niebezpieczeństwo stosowania tych metod, a otrzymawszy polecenie A. Sierza, aby stosował metody kierownika placówki „Południe” W. Furki, polecenia tego nie wykonał. Doszły też do K. Tychoty wiadomości, że E. Sojka, zirytowany uporem K. Tychoty w sprawie podporządkowania się jego, Sojki, tendencjom „sprzedania nas za dolary”, postanowił „odstawić” K. Tychotę „na boczny tor”. (Fotokopia 49). Dnia 30 grudnia 1952 Sojka przyjechał do kwatery K. Tychoty i zwolnił go bez podania powodu, usuwając siłą z lokalu biurowego. Przy zwalnianiu E. Sojka ostrzegł K. Tychotę, aby nie próbował przeciwstawiać się jego zarządzeniu, gdyż użyje interwencji władz brytyjskich. (Notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953 roku).

K. Tychota zorientował się dość dawno w karygodnym cha-

rakterze akcji na Kraj, prowadzonej przez E. Sojkę i innych wymienionych na wstępie niniejszego wniosku, i podjął półtora roku trwające wysiłki, by doprowadzić do niezbędnych zmian na drodze wewnętrznej Rady Politycznej i Stronnictwa Narodowego. Po wyczerpaniu tych środków zwrócił się on do Rządu R.P. i złożył 18 kwietnia 1954 oskarżenie w przekonaniu, że zostanie mu nadany bieg prawny i po przeprowadzeniu śledztwa będzie ono rozpatrzone przez Sąd Obywatelski a winni zostaną ukarani.

Z powyższego stanu faktycznego wynikają następujące konkluzje: wymienione na wstępie niniejszego wniosku osoby, a mianowicie Zygmunt Berezowski, Franciszek Białas, Tadeusz Bielecki, Aleksander Demidecki, Włodzimierz Kański, Aleksander Sierz, Edward Sojka, Tadeusz Żenczykowski-Zawadzki i Jerzy Zdziechowski bądź zawarły, bądź firmowały, bądź wykonywały pomiędzy latem roku 1950 a końcem roku 1952, bez wiedzy i zgody Rządu Polskiego w Londynie umowę z wojskowo-politycznymi czynnikami amerykańskimi i brytyjskimi co do prowadzenia w Polsce przez zespół stronnictw, do którego te osoby należały, p.n. Rada Polityczna lub przez Stronnictwo Narodowe wywiadu na rzecz tych czynników i za udzielane przez nie sumy pieniężne.

Z sumy na cele tej akcji od owych czynników uzyskanej w okresie od 1. X. 1950 do 31. XII. 1952 w wysokości 762.770 \$ amerykańskich wydatkowano 21.552 \$. Na cel czynionych „oszczędności” rzuca światło instrukcja z 10 listopada 1950 (fotokopia 29-30), oraz odpowiedź K. Tychoty na pytanie 22. Ponadto polscy kontrahenci umowy otrzymali z tegoż źródła 252.000 \$ na utrzymanie Central Działu Krajowego Rady Politycznej w Londynie.

Jak twierdzi K. Tychota, który może uchodzić za eksperta w tej dziedzinie, bezpieczeństwo akcji placówki „Północ” stanowiło wskutek nakazanych „oszczędności” zaledwie 16 % tego co było możliwe, zaś bezpieczeństwo osób zaangażowanych w Kraju nie przekraczało 10 % bezpieczeństwa możliwego, na co pieniądze były. Potwierdzają te oszczędnościowe metody i ich skutki zeznania W. Wojciechowskiego, M. Dachana i D. Marcela. Stąd wynika, że im większe czyniono „oszczędności”, tym bardziej narażane były życie, wolność i bezpieczeństwo Rodaków w Kraju oraz wysyłanych tam ludzi. Potwierdzają to liczne „wpadki” kurierów do Kraju i obecność ich wraz ze zwerbowanymi przez nich ludźmi w Kraju na procesie warszawskim 7 i 8 stycznia 1952 w charakterze oskarżonych. (Fotokopie 50-55).

Dalej o skutkach i charakterze tej akcji mówi dosadnie powie-

zenie odpowiedzialnych funkcji zastępcy kierownika placówki „Południe” agentowi Bezpieki Janowi Chomie-Ostaszewskiemu, który wraz z przybyłą w czerwcu 1952 z Kraju agentką Wandą Macińską-Weberową zbiegł do Kraju zabierając ze sobą rachunki i dokumenty placówki, figurujące następnie w procesach ludzi przez nich zdekonspirowanych i narażonych na wszystkie ciężkie tego następstwa. (Notatka z zeznań K. Tychoty z 18-19 grudnia 1953 roku).

Zupełna kompromitacja wobec czynników obcego wywiadu i tragiczne skutki w Kraju nie zraziły jednak E. Sojki i W. Kańskiego i jeszcze w roku 1953 czynili oni w Niemczech starania o wznowienie współpracy z władzami okupacyjnymi w zakresie wywiadu na Kraj. (List K. Tychoty z 18 kwietnia 1954).

W myśl art. 1 dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z 8 września 1950 (Dz. U.R.P. z roku 1953 Nr 3, poz. 2) Sądy Obywatelskie na obczyźnie są tworzone w celu kształtowania poczucia prawnego i ochrony dobrego imienia wolnej społeczności polskiej na obczyźnie. Do właściwości tych sądów należy orzekanie m.in. w sprawach o czyny zdziałane na szkodę polskiego dobra ogólnego oraz naruszające powszechnie uznane normy etyki obywatelskiej (Art. 2, lit. *a* i *b* cytowanego dekretu).

W społeczeństwie polskim przebywającym w wolnym świecie wyrobiły się w ciągu ostatnich lat i zostały powszechnie przyjęte pewne normy etyki obywatelskiej. Znalazły one niejednokrotnie wyraz w enuncjacjach naczelnych władz państwowych, w uchwałach i oświadczeniach Rad Narodowych R.P., jak również w niepodległościowych stronnictwach politycznych, nie wyłączając stronnictw zgrupowanych w Radzie Politycznej, oraz zrzeszeń zawodowych i społecznych.

Czyny wyżej podane, przytoczone z pism i przedstawionych przez K. Tychotę dokumentów oraz materiałów uzyskanych przez przedstawiciela Rządu R.P. w Zachodnich Niemczech, a w istotnych punktach potwierdzone przez zeznania świadków, należy uznać za czyny zdziałane na szkodę polskiego dobra ogólnego a ponadto za naruszające powszechnie uznane normy etyki obywatelskiej.

Za takie czyny uważane być muszą czyny następujące, których dopuściły się osoby na wstępie niniejszego wniosku wymienione przez swe działanie, bądź przez firmowanie, pokrywanie czy tolerowanie takiego działania:

1. Angażowanie ludzi do Kraju do akcji wywiadowczej na rzecz czynników obcych, pociągającej za sobą bezużyteczne lecz ciężkie i krwawe ofiary, tym większe im bardziej —

- jak w danym wypadku — akcja prowadzona była po dyletancku i z karygodną lekkomyślnością;
2. Firmowanie i wykonywanie przez działaczy politycznych nie licujących z ich rolą i pozycją społeczną płatnych usług wywiadowczych dla czynników obcych niczym wobec praw i interesów polskich nie zobowiązanych;
 3. Ciągnienie z tych usług zysków materialnych za pomocą niedozwolonych procederów, zwiększających przy tym stopień narażania bezpieczeństwa osób angażowanych w Kraju;
 4. Podkopywanie tego rodzaju postępowaniem godności dobrego imienia polskiego wobec czynników urzędowych państw obcych;
 5. Podrywanie zaufania w Kraju do emigracji polskiej przez działania o charakterze agenturowym powszechnie przez uchodźstwo potępiane, i nieliczenie się z życiem, wolnością i bezpieczeństwem wciąganych do tych działań w Kraju.

Z powyższych względów uważam, że dotychczas zebrany materiał faktyczny daje dostateczne podstawy do wszczęcia postępowania w Sądzie Obywatelskim przeciwko osobom wymienionym w piśmie K. Tychoty z 18 kwietnia 1954, oraz przeciwko A. Sierzowi, skarbnikowi Działu Rady Politycznej i autorowi instrukcji z 10 listopada 1950.

Na podstawie art. 16, ust. 1 dekretu Prezydenta R.P. z 8 września 1950 (Dz. U. R.P. z roku 1950, Nr 3, poz. 2) o Sądach Obywatelskich na obczyźnie, wnoszę o złożenie przez Pana Rzecznika wniosku do Sądu Obywatelskiego w Londynie o wszczęcie postępowania przeciwko dziewięciu osobom na wstępie niniejszego wniosku wymienionym.

(—) K. OKULICZ, Minister

Piotr WANDYCZ

HARRIMAN A POLSKA

Dnia 26 lipca 1986 roku zmarł w swej rezydencji w Yorktown Heights William Averell Harriman. Była to postać wybitna. Finansista i bankier międzynarodowy, polityk, dyplomata, Harriman należał do najwyższej sfery *establishment*'u amerykańskiego. Syn „króla” czy, jak to określał pewien francuski dziennikarz, „Napoleona” kolei, Harriman pochodził z rodziny osiadłej w Nowej Anglii od XVIII stulecia, ale choć jeden z jego przodków był znany jako „bogaty Anglik”, fortunę zrobił jego ojciec Edward na Union Pacific Railroad. Majątek jego w chwili śmierci oceniano na 75-100 milionów dolarów. Należąc do elity składającej się z przedstawicieli wielkich banków i wielkich kancelarii adwokackich Nowego Jorku i Bostonu, Harriman, w odróżnieniu od wielu innych ludzi z tej grupy, miał większe ambicje i dalej sięgające plany polityczne, z prezydenturą Stanów Zjednoczonych łącznie¹. Należąc do rodziny typowo republikańskiej, Averell Harriman przeszedł do demokratów w późnych 1920-tych latach, a następnie identyfikował się z rooseveltofskim programem *New Deal*'u. W 1952 i 1956 był brany pod uwagę jako kandydat na prezydenta w przeciwstawieniu do Adlai Stevensona; nawet Harry Truman popierał jego kandydaturę. Ale skończyło się na nadziejach. Harriman wprawdzie raz wygrał wybory na gubernatora Stanu Nowego Jorku w 1953, ale nie udało mu się zwycię-

1. Interesujące uwagi w: David Halberstam, *The Best and the Brightest* (New York 1972), str. 6. Też, Alan S. Oser, „*Ex-Gov. Averell Harriman, Adviser to 4 Presidents, dies*”, „*New York Times*”, 27 lipca 1986. Najnowsza książka o sześciu przedstawicielach elity: W. Isaacson and Evan Thomas, *The Wise Men: Six Friends and the World They Made* (New York 1986) włącza do tej grupy Harrimana.

żyć w drugiej kadencji i musiał ustąpić na rzecz Nelsona Rockefellera. Przekreśliło to właściwie jego dalsze zamiary i szanse na wejście do Białego Domu.

Jakim człowiekiem był Harriman? W obszernym artykule, który ukazał się w *New York Times*'ie zaraz po jego śmierci, określano jego charakterystyczne cechy jako: niezależność, wpływająca z bogactwa, umiejętność kultywowania i podtrzymywania kontaktów, wiara w rolę i misję USA. Współpracownik Harrimana w Moskwie Bohlen pisał o swym szefie, iż był człowiekiem niezależnie myślącym, czasem upartym i nie zawsze łatwym we współpracy, ale zasługującym na szacunek². Przyjmując na wielką skalę w swej wspaniałej rezydencji nad Hudsonem, Arden Chateau, Harriman nie lubił życia towarzyskiego jako takiego i nie był *causeur*'em; kiedy ktoś go nudził, potrafił być nawet nieuprzejmy. Nie zwracając większej uwagi na ubranie, miał niewątpliwie dobrą prezencję. Żonaty był trzykrotnie, ostatnią swą żonę (angielską arystokratkę) poślubił mając 80 lat. Dodajmy, że dożył sędziwego wieku 95 lat.

Wykształcenie Harrimana było dość typowe dla człowieka jego sfery: szkoła średnia Groton, uniwersytet Yale. Założyciel Groton pod koniec XIX wieku wzorował swą szkołę na angielskich *public schools*. Chlubił się też tym, że alumnowie Groton odgrywali poważną rolę w amerykańskim życiu publicznym; szkoła wyraźnie ich w tym kierunku zachęcała. Wśród grotończyków znajdziemy takie nazwiska jak Franklin D. Roosevelt, Dean Acheson czy Sumner Welles³. Harriman nie był błyskotliwym uczniem. Interesował się natomiast sportem — głównie wioślarstwem — a później był graczem polo o międzynarodowej randze. Podróżując wiele po Europie, mówił jedynie — i to słabo — po francusku. Wydaje się, że czuł się bardzo swobodnie na terenie angielskim, choć niewątpliwie fascynowała go od dość wczesnych lat Rosja.

Rzut oka na *International Who's Who* pozwala nam uświadomić sobie, jak bogata i różnorodna była kariera życiowa Averella Harrimana. Najwcześniej i najdłużej był związany z rodzinną kompanią kolejową Union Pacific. W 1920 roku założył firmę W. A. Harriman and Co, figurującą wśród przodujących firm finansowo-inwestycyjnych Nowego Jorku; dziesięć lat później połączył ją z wielką firmą maklersko-inwestycyjno-bankową Brown

2. Charles E. Bohlen, *Witness to History 1929-1969* (New York 1973), str. 127.

3. *Vide* ciekawe choć trochę plotkarskie: Martin Weil, *A Pretty Good Club: The Founding Fathers of the U.S. Foreign Service* (New York 1978), str. 16.

Brothers. W tej nowej instytucji, występującej pod nazwą Brown Bros Harriman & Co, był partnerem, a od 1946 roku częściowym partnerem (*limited partner*). Lista przedsiębiorstw, w których występował jako prezes rady nadzorczej, dyrektor lub jeden z dyrektorów, jest wręcz imponująca. Daje ona pojęcie o powiązaniach i wpływach, jakimi rozporządzał. A więc poza prezesurą W. A. Harriman & Co i Union Pacific Railroad Co (1932-1946) nazwisko jego widzimy w Guaranty Trust Co of New York, Merchant Sterling Corporation, National Surety Co, New York Title & Mortgage Co, United American Lines, American Ship & Commerce Corporation, Illinois Central Railroad, American & Continental Corporation, Western Union Telegraph, Wright Aeronautical Corporation, Aviation Corporation of the Americas, Wm Cramp and Sons Ship & Engine Bld. Co, a wreszcie *last but not least*, Silesian-American Co, znana nam lepiej pod skrótem SACO⁴.

Działalność Harrimana, związana z bankowością przypada głównie na lata 1920 i 1930, chociaż zachowuje on łączność z tą dziedziną do lat 1940-tych, a zapewne w jakimś stopniu do końca życia. W latach pokrywających się z administracją Roosevelta, z którym Harriman pozostaje w bliskich stosunkach, zaczyna działać w sektorze publicznym (rządowym), najpierw wewnętrzny, później zagraniczny (dyplomacja). Zajmuje wysokie funkcje w National Recovery Administration, National Defense Advisory Commission, Office of Production Management. W marcu 1941 roku zostaje specjalnym przedstawicielem prezydenta Roosevelta (z rangą ministra) w Wielkiej Brytanii, a następnie pełni podobną funkcję w randze ambasadora w ZSSR. W 1943 roku reprezentuje Stany Zjednoczone w międzynarodowych instytucjach związanych z transportem morskim i produkcją — następnie obejmuje ambasadę w Moskwie i pozostaje na tym stanowisku do 1946 roku. Daty te, z punktu widzenia spraw polskich, mają swój specyficzny wydźwięk. W 1946 roku jest krótko ambasadorem w Londynie, następnie przez dwa lata sekretarzem Handlu w administracji Trumana, aby znów jako specjalny wysłannik w stopniu ambasadora być wysłany do Europy. Reprezentuje następnie Stany Zjednoczone w Komitecie Obrony, Finansów i Gospodarki NATO; w latach 1950-1951 jest specjalnym asystentem przy Trumanie oraz pełni dalsze funkcje przy Pakcie Atlantycznym. Po przerwie spowodowanej gubernatorstwem Stanu Nowego Jorku wraca do dyplomacji jako specjalny ambasador (*ambassador-at-large*) w 1961 i 1965-1969 roku.

4. *Poor's Register of Corporations, Directors and Executives.*

Z kolei jest w centrali jako asystent sekretarza Stanu i podsekretarz Stanu. W latach 1968-1969, a więc zbliżając się do osiemdziesiątki, reprezentuje Stany w rozmowach pokojowych z Wietnamem, które odbywają się w Paryżu. W latach 1960, 1971 i 1975 ukazują się trzy jego książki, dotyczące głównie stosunków amerykańsko-sowieckich. Wydaje się, że ta tematyka stanowi przedmiot jego głównych zainteresowań. Parę lat przed śmiercią przekazuje duże fundusze (ok. 10 milionów dolarów) Uniwersytetowi Columbia (z pominięciem swej *alma mater* Yale) na studia rosyjskie. W wyniku tej donacji tamtejszy Russian Institute przyjmuje nazwę Harriman Institute. Według woli zmarłego, jego papiery będą złożone w Library of Congress w Waszyngtonie, z tym, że część dotycząca jego ambasadorstwa w Moskwie ma być przekazana do archiwum Columbia University. Czy będą to oryginały, czy też kopie dokumentów zdeponowanych w Waszyngtonie, nie jest jasne.

Wszystko wskazuje na to, że dostęp do papierów Harrimana nie nastąpi w najbliższym czasie. Trudno też przewidzieć, czy możliwość korzystania z tej dokumentacji będzie w jakiś sposób ograniczona, obwarowana zastrzeżeniami. Często tak bywa w przypadku papierów prywatnych. W tych warunkach będziemy musieli jeszcze poczekać na opracowania działalności Harrimana w oparciu o jego archiwum. Poniższy artykuł, ograniczony tematycznie do dwóch wycinków z życia Harrimana, związanych z Polską (lata 1920-te i 1940-te) jest tylko szkicem. W pierwszym wypadku opieram się na licznych polskich opracowaniach, głównie przez historyków gospodarczych, w drugim sięgnąłem do ogólniejszych studiów, wspomnień i dokumentów, gdyż nie ma pracy, dotyczącej roli jaką Harriman odegrał osobiście w sprawach polskich w tym czasie⁵. W obu wypadkach, do momentu otwarcia papierów zmarłego, możemy jedynie wysuwać pewne hipotezy co do nastawienia samego Harrimana, które, być może, przydadzą się przyszłym badaczom.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej rząd polski skon-

5. Najszczegółowiej przebadał gospodarcze stosunki polsko-amerykańskie w okresie międzywojennym Zbigniew Landau (profesor SGPiS w Warszawie) sam lub wspólnie z Jerzym Tomaszewskim. Uczennica Landaua, Teresa Małecka, wydała też kilka cennych prac z tej dziedziny. Dużo miejsca poświęca tematyce gospodarczej Neal Pease w świeżo wydanej przez Oxford University Press książce *Poland, the United States and the Stabilization of Europe 1919-1933*. Roli Harrimana jako ambasadora w Moskwie poświęcony jest artykuł Harriette L. Chandler, *The Transition to Cold Warrior: The Evolution of W. Averell Harriman's Assessment of the U.S.S.R.'s Policy, October 1943 — Warsaw Uprising*, „East European Quarterly”, X, 2 (1976), str. 229-245.

centrował swe wysiłki na uzyskaniu pożyczek i spowodowaniu lokat kapitału amerykańskiego w Polsce. Operacje te napotykały szereg trudności. Pożyczka wypuszczona w Ameryce w 1920 roku okazała się w dużej mierze niewypałem; pożyczka tzw. ulenowska przyniosła pewne wyniki, ale strona polska robiła dalsze wysiłki i poprzez życzliwego Polsce Samuela Vauclaina z Baldwin Locomotive Works nawiązała stosunki z wybitnym finansistą Clarence Dillonem. Firma bankowa Dillon, Read and Co, mająca pewne powiązania z grupą Morgana, wykazała zainteresowanie, choć fakt, iż Dillon inwestował również w Niemczech wzbudził niejaki obawy w Warszawie. Starając się pozyskać Dillona, który w pewnym momencie został nawet oficjalnym bankierem RP w Stanach, rząd polski robił równoczesne wysiłki celem uzyskania pożyczki z Federal Reserve Bank dla Banku Polskiego dla stabilizacji złotego. W sprawie tej jeździł do Ameryki Feliks Młynarski. Poruszał ją również w swych rozmowach minister Spraw Zagranicznych, Aleksander Skrzyński, podczas swej wizyty w USA w lipcu 1925 roku. Poprzez Dillona Skrzyński kontaktował się z amerykańską finansjerą, ale nie wydaje się, aby wśród osób z którymi nawiązał kontakt był Averell Harriman. W niedługim czasie jednakże nazwisko Harrimana wypłynęło w związku z planami przejęcia przez kapitał amerykański przemysłu cynkowego na Górnym Śląsku. Produkcja cynku na tym terenie, podzielonym na część niemiecką i polską, zajmowała bardzo poważne miejsce na świecie i znajdowała się w gestii przedsiębiorstwa Giesche, a ściślej Giesche S.A. w Katowicach i Georg von Giesches Erben Gesellschaft we Wrocławiu. W rzeczywistości ta druga, teoretycznie oddzielna firma, stanowiła centralę, czerpiącą zyski z przelewów z katowickiego Giesche. Nad tym ostatnim wisiła groźba przymusowego wywłaszczenia (za odszkodowaniem) przez rząd polski, uprawniony do tego przez traktat pokojowy, ale mający trudności ze znalezieniem odpowiednich kapitałów. Pod koniec 1925 roku Giesche zwrócił się do W. A. Harriman and Co i do największego na świecie producenta metali kolorowych, Anaconda Cooper Mining Co (grupa Rockefellera) z propozycją wykupu akcji firmy i przejęcia produkcji. Umowa Gieschego z Amerykanami wymagała aprobaty rządu polskiego, który, zainteresowany tak poważną operacją finansową, gotów był iść na ustępstwa. Jak dotąd nadzieje na napływ kapitału amerykańskiego były słabe ze względu na brak zainteresowania w USA. „Harriman uczynił pierwszy wyłom w tym względzie⁶”. Osta-

6. Zbigniew Landau, Jerzy Tomaszewski, *Anonimowi władcy: z dzisiejszego kapitału obcego w Polsce 1918-1939* (Warszawa 1968), str. 151. *Readmiał*

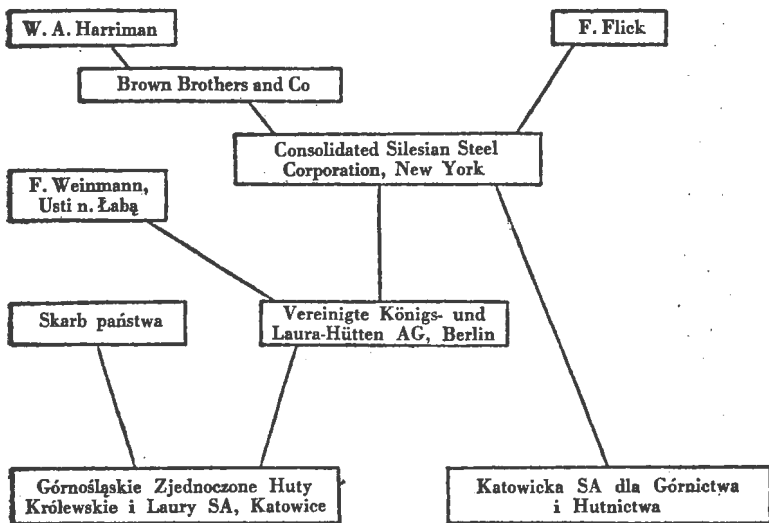
teczone porozumienie zostało osiągnięte w lipcu 1926 roku pomimo burzliwych dyskusji w sejmie i pomimo przewrotu majowego, który bardzo zaniepokoił Harrimana z uwagi na krytyczny stosunek do kapitału zagranicznego ze strony Piłsudskiego i możliwe reperkusje gospodarcze. Okazało się jednak, iż nowy rząd był równie zainteresowany jak poprzedni zwiększeniem produkcji cynku, unowocześnieniem przemysłu i polonizacją zakładów. Ostatecznie w wyniku umowy ze stroną amerykańską rząd polski zgodził się, aby całość akcji Giesche przeszła na własność nowej firmy, mającej większość kapitału amerykańskiego i otrzymującej szereg ulg i przywilejów. Polska rezygnowała z prawa do wyłączenia firmy i żądań do udziału w kapitale. Spółka amerykańska zarejestrowana w Nowym Jorku pod nazwą Silesian-American Corporation obejmowała Silesian Holding Company (Anaconda i W. A. Harriman) z 51 % akcji i George von Giesches Erben, mający resztę udziałów. SACO zobowiązywało się ulokować w Giesche 10 milionów dolarów i rozbudować zdolności produkcyjne przedsiębiorstw. Rada nadzorcza składała się z trzech Amerykanów, dwóch Niemców i jednego Polaka (Andrzeja Wierzbickiego). Prezesem rady nadzorczej i przewodniczącym zarządu zostali Amerykanie Cornelius F. Kelley i George Sage Brooks.

Szczegółowa analiza umowy i jej funkcjonowania jak też korzyści gospodarczych płynących dla Polski, kapitału amerykańskiego i interesów niemieckich została dokonana w pracach Landaua, Tomaszewskiego, Małeckiej, Pease'a i innych. Powracanie do tego tematu nie wydaje się celowe. Dodajmy jedynie, iż umowa między Giesche a SACO dawała temu ostatniemu monopol sprzedaży poza Polską produktów cynku i ołowiu do roku 1929. Odrębna umowa między SACO a Bergwerksprodukte G.m.b.H. w Berlinie przekazywała prawa wyłącznej sprzedaży w Europie firmie berlińskiej. Landau i Tomaszewski uważają, iż korzyści gospodarcze były bardziej widoczne dla Giesche i grupy Harrimana i Anacondy. Co więcej, zarząd nie został spolszczony i według opinii Gieschego uzyskano obronę amerykańską „przeciw przemożnym wpływom polskim na obszarach, które odpadły od Rzeszy⁷”. Zanim zajmiemy się próbą oceny tej interpretacji, należy zreferować pokrótce sprawę współpracy między Harrimanem a niemieckim finansistą Friedrichem Flickiem, wpływowym akcjonariuszem niemieckiego koncernu Vereinigte Stahlwerke AG. W wyniku transakcji, w szczególności których nie będzie-

⁷ w tej książce pt. *Rozległe zainteresowania W. A. Harrimana* szczegółowo omawia epizod lat 1920-tych i w moim opracowaniu czerpię z niego wiele informacji i nawiązań.

⁸ T. Z. Landau, J. Tomaszewski, *Anonimowi władcy*, str. 158.

my tu wchodzić, Flick — mający też powiązania z książniczką Hohenlohe, akcjonariuszką wielu zakładów śląskich — uzyskał dominującą pozycję w największych przedsiębiorstwach hutniczych w Polsce, Katowickiej S.A. dla Górnictwa i Hutnictwa i Górnośląskich Zjednoczonych Hutach Królewskich i Laury S.A. W nowopowstałym w Nowym Jorku koncernie Consolidated Silesian Steel Corporation Flick dysponował prawie 70 % akcji; resztę miała wyżej wspomniana firma bankowa Brown Brothers. Określenie jej przez Landaua i Tomaszewskiego jako „zależnej” od Harrimana nie jest chyba ścisłe, ale stosunki obu były bliskie i dwa lata później doszło do fuzji. Consolidated Silesian Steel Corporation, przejmując 83 % akcji Vereinigte Königs- und Laura-Hütten AG w Berlinie — która dysponowała prawie całością akcji Górnośląskich Zjednoczonych Hut i całością akcji Katowickiej S.A. — dawała w praktyce kontrolującą rolę kapitałowi niemieckiemu. Powiązania te, jak i inne, ilustruje poniżej zamieszczony wykres⁸:



Czy działalność W. A. Harrimana and Co w latach dwudziestych na Śląsku była podyktowana chęcią sanowania niemieckich

8. Rysunek reprodukowany z Z. Landau, J. Tomaszewski, *Anonimowi władcy*, str. 163.

firm, które znalazły się na obszarze odrodzonej Rzeczypospolitej? Czy kapitał amerykański służył jako parawan dla Niemców, zamiast przyczynić się do spolszczenia personelu zarządów? Tezę tę, opierając się częściowo na dokumentacji amerykańskiej, reprezentują Landau i Tomaszewski, a w dużym stopniu również Małecka⁹. Kwestionuje ją Neal Pease, uważając, że stałe zarzuty czy posądzania, iż Harriman był tylko narzędziem ekspansji niemieckiej są nieuzasadnione. Przytacza m.in. głosy Wilhelmstrasse, uskarżające się, że wpływy Harrimana wypierają wpływy udziałowców niemieckich¹⁰. Historyk amerykański podkreśla, iż w polityce personalnej w przedsiębiorstwach górnośląskich Amerykanie kierowali się głównie kryterium kwalifikacji. Koncern Harrimana starał się zachować neutralność w sporach politycznych, skupiając uwagę na zagadnieniach ściśle gospodarczych. Usadawiając się w kluczowej gałęzi przemysłu jakim był cynk, amerykański kapitał niewątpliwie zdobywał silną pozycję zarówno w Niemczech, jak w Polsce, która dawała korzyści też z politycznego punktu widzenia¹¹.

W latach 1920-tych istniały z pewnością silne sympatie pro-niemieckie w Stanach Zjednoczonych. Widoczne były zarówno w szerszej opinii publicznej, jak i w kołach gospodarczych i rządowych. Wielki przemysłowiec Alanson B. Houghton i jego następca (jako ambasador w Berlinie), naukowiec Jacob G. Schurman cieszyli się zaufaniem Niemców. Poglądy amerykańskie na konieczność stabilizacji Niemiec i odbudowy gospodarczej były bliższe koncepcjom brytyjskim niż francuskim¹². Dolarzy płynęły szeroką strugą do Niemiec. Pomiędzy rokiem 1924 a 1930 kredyty amerykańskie sięgały prawie 1,5 miliarda dolarów, co równało się 2/3 wszystkich kredytów zagranicznych w Niemczech i 18 % eksportu kapitału amerykańskiego. Harriman, który był

9. Vide Teresa Małecka, „Udział kapitału amerykańskiego w kapitałach akcyjnych przemysłu polskiego w latach 1918-1939”, w *Materiały do seminariów z najnowszej historii gospodarczej Polski* pod red. J. Kalińskiego i Z. Landaua (Warszawa 1974); również teże *Kredyty i pożyczki Stanów Zjednoczonych Ameryki dla rządu polskiego w latach 1918-1939* (Warszawa 1982).

10. Patrz Pease, op. cit., str. 121-122.

11. Vide Frank Castigliola, *American Foreign Policy in the „Nut Cracker”: United States and Poland in the 1920s*, „Pacific Historical Review”, 48 (Feb. 1979).

12. Szerzej o tym aspekcie w moim artykule „Stany Zjednoczone a Europa środkowo-wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939”, *Polska a Zagranica* (Paryż 1986), zwłaszcza str. 158-160. Porównaj Castigliola, *The United States and the Reconstruction of Germany in the 1920s*, „Business History Review” L (1976).

również zaangażowany w operacje finansowe w Niemczech, stanowiłby więc raczej jakiś wyjątek, gdyby zajmował stanowisko antyniemieckie w tym okresie. Jego zainteresowanie Polską — a jedynie prywatne papiery mogą nam przynieść odpowiedź na pytanie, do jakiego stopnia Harriman osobiście angażował się w dziedzinę cynku i przemysł hutniczo-kopalniany na Górnym Śląsku — zdaje się być dyktowane wymogami interesu. Polska oczywiście robiła wszystko co możliwe, aby to zainteresowanie pobudzić. Zakładano, iż z chwilą gdy Amerykanie zainwestują setki milionów dolarów w przedsiębiorstwa na terenie Polski, los Polski przestanie im być obojętny.

W jesieni 1926 roku prowadzone były rozmowy z przedstawicielami Harrimana odnośnie ulokowania polskich obligacji rolnych w USA; nie dały one jednak rezultatu¹³. W parę miesięcy później W. A. Harriman figurował wśród banków zagranicznych, które kontrolowały 32 % akcji Banku Handlowego w Warszawie¹⁴. Gdy po wielu wysiłkach uzyskano pod koniec 1927 roku pożyczkę stabilizacyjną, W. A. Harriman był jednym z banków rozprawdzających emisję tejże. Nie było więc rzeczą dziwną, iż w związku z planami elektryfikacji Polski i rozmowami na ten temat z firmami zagranicznymi, w 1928 roku rozpoczęły się poważne pertraktacje z reprezentantami Harrimana. Na wiosnę 1929 roku Harriman złożył wniosek o koncesje na duży obszar geograficzny, jak widać z załączonego rysunku¹⁵ (*patrz str. 97*):

Początkowo rząd ustosunkował się życzliwie do projektu, który przewidywał budowę w ciągu 5 lat elektrowni na Dunajcu i w Zagłębiu Krakowskim lub Dąbrowskim oraz linii wysokiego napięcia. Energia elektryczna miała być dostarczana w zasadzie większym miejscowościom, przynosząc maksymalne dochody. Sprawa elektryfikacji przez koncern Harrimana stała się szybko bardzo kontrowersyjna. Argumenty i kontrargumenty natury gospodarczej rozpętały polemikę o charakterze politycznym. Lewica wyrażała obawę, że Polska stanie się kolonią kapitału amerykańskiego, a Harriman ekonomicznym dyktatorem kraju. Wojsko wyraziło obawy, iż projekt ten może zawierać poważne niebezpieczeństwa dla obronności kraju. Zaprotestowano przeciw lokowaniu centralnej elektrowni bliżej niż 250 km od granicy niemieckiej.

13. Z. Landau, J. Tomaszewski, *Plan stabilizacyjny 1927-1930* (Warszawa 1963), str. 82-83.

14. Z. Landau, J. Tomaszewski, *Kapitały obce w Polsce 1918-1939: materiały i dokumenty* (Warszawa 1964), str. 35-36.

15. Rysunek reprodukowany z Z. Landau, J. Tomaszewski, *Anonimowi władcy*, str. 172.

MAPKA PROJEKTOWANEJ KONCESJI HARRIMANA



- granice obszaru uprawnienia
- granice państwa
- elektrownia ciepła
- " wodna
- linie wysokiego napięcia powyżej 100 000 woltów
- - - - - możliwe warianty tych linii
- - - - - przypuszczalny rozwój tych linii w dalszej przyszłości

Odżyły wszystkie podejrzania, że za Harrimanem kryją się interesy niemieckie i że poprzez Amerykanów Niemcy dążą do opanowania Polski. Poza dyskusjami w prasie, w 1929 roku ukazały się trzy publikacje: M. Kozłowskiego, *Sprawa Harrimana: głosy publiczne i dokumenty*, *Memoriały firmy W. A. Harriman and Co Inc w sprawie zarzutów przeciwko projektowi uprawnienia elektryfikacyjnego tej firmy i wreszcie Związek Izb Przemysłowo-Handlowych w sprawie projektowanego uprawnienia elektrycznego na rzecz firmy W. A. Harriman and Co Incorporated*, wydawnictwo Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie¹⁶. W maju

16. Vide zbiór dokumentów w Czesław Madajczyk, „Spory wokół sprawy elektryfikacji Polski 1926-1930”, *Najnowsze dzieje Polski, materiały i studia z okresu 1914-1939*, V (1962), str. 153-220.

1930 roku Rada Ministrów odrzuciła projekt Harrimana, którego adwokaci John Foster Dulles i Allan W. Dulles (przyszły sekretarz Stanu i przyszły szef CIA) wystąpili z pretensjami o odszkodowanie w związku z poniesionymi kosztami. Sprawa ciągnęła się do 1933 roku, kiedy to wreszcie rząd zakupił plany elektryfikacyjne za sumę \$ 100.000 wypłacalnych w obligacjach pożyczki dillonowskiej. Według opinii Landaua i Tomaszewskiego porażka Harrimana oznaczała krach jego planów gospodarczego opanowania Polski. Być może, że jest to opinia zbyt skrajna, ale jak i w poprzednich wypadkach jedynie wgląd w prywatne papiery Harrimana, a być może także i firmy, która istnieje po dziś dzień jako Brown Brothers Harriman and Co, pozwoliłby na jej potwierdzenie lub skorygowanie.

Wydaje się, choć jest to dziwne, że Harriman, pomimo swych interesów w Polsce, nigdy nie odwiedził naszego kraju. Musiał jednak chyba przejeżdżać przez Polskę pod koniec 1926 roku, kiedy udawał się po raz pierwszy do Rosji. Jak już wspomniałem, Harrimana Rosja interesowała z punktu widzenia politycznego zanim, wraz z firmą M. W. Warburg & Co w Hamburgu, zainwestował w niej pewne kapitały. W 1924 roku otrzymał koncesję od rządu sowieckiego na eksploatację złóż manganu na Kaukazie, ale dwa lata później postanowił się z tej operacji wycofać. Jego podróż do Moskwy, gdzie odbył parogodzinną rozmowę z Trockim, zostawiła na nim trwały ślad. Specjalnym pociągami jechał na Kaukaz, skąd przez Turcję i Morze Śródziemne wracał na zachód. Zatrzymał się w Rzymie, gdzie poznał Mussoliniego i w Cannes, gdzie odbył rozmowę na tematy inwestycji w Rosji z ówczesnym członkiem gabinetu Baldwina Winstonem Churchilem. Będzie to dlań cenny kontakt w przyszłości.

Druga wojna światowa otworzyła może najciekawszy rozdział w życiu Harrimana. Przekonany o konieczności włączenia się czynnie w sprawy międzynarodowe podczas toczącego się konfliktu, Harriman przyjmuje entuzjastycznie propozycję Roosevelta (1941 rok) wyjazdu do Londynu jako jego specjalny wysłannik. Misją Harrimana było maksymalne pomożenie Anglii w jej wysiłku wojennym bez wciągania Stanów Zjednoczonych do wojny. Były to początki *lend lease*, odstąpienia 50 niszczycieli amerykańskich flocie brytyjskiej i daleko idącej współpracy gospodarczo-wojennej. Podczas swego pobytu w Anglii Harriman kontaktuje się z Beneszem, którego jak wynika z pamiętników, wysoko cenił. Pozytywny stosunek czechosłowackiego przywódcy do ZSSR, a wysoce krytyczny wobec rządu polskiego w Londynie oddziały-

wał prawdopodobnie na stanowisko Harrimana wobec zagadnień rosyjsko-środkowo-wschodnioeuropejskich. Przykładowo, jest chyba charakterystyczne, że Harriman nie rozumiał brytyjskiej polityki odwodzenia Benesa od podpisania układu z Rosją w 1943 roku — Londynowi chodziło o uniknięcie zupełnego izolowania Polski — i popierał czechosłowacką linię polityczną¹⁷.

Jakkolwiek Harriman pisał w swych wspomnieniach: „Znałem Sikorskiego blisko (*intimately*) i widziałem się z wielu Polakami, ważnymi i niższej rangi w Londynie i gdzie indziej¹⁸”, źródła polskie na ten temat są raczej skąpe. Wzmianki o Harrimanie w *Sojusznicznym Londynie* Edwarda Raczyńskiego są nieliczne: co dziwniejsze, mało ich jest w *Listach z Rosji do generała Sikorskiego* Stanisława Kota. A przecież obaj byli jednocześnie ambasadorami w Moskwie. W żadnym polskim opracowaniu czy wspomnieniach nie natrafiłem na charakterystykę Harrimana, przeprowadzoną z polskiego punktu widzenia.

Zażyłe stosunki Harrimana z Rooseveltem jak też zaufanie, jakim cieszył się u prezydenta, predestynowały go na pierwszego specjalnego wysłannika do Rosji. Po niemieckiej agresji w czerwcu 1941 roku zarówno Anglia jak i podówczas jeszcze neutralna Ameryka oferowały natychmiastową pomoc napadniętym Sowietom. Było rzeczą naturalną, iż Harriman towarzyszył delegatowi Churchilla, Lordowi Beaverbrookowi, w specjalnej misji do Moskwy, mającej na celu podtrzymanie ZSSR w walce z Niemcami. Zarówno w tej roli, jak też dwa lata później jako formalny ambasador USA w Rosji, Harriman mógł wykazać się nie tylko zaufaniem Roosevelta i znajomością techniki pomocy amerykańskiej, którą zajmował się w Anglii, ale występować też jako zwolennik współpracy między Rosją a USA. *Attaché* wojskowy w Moskwie, generał Deane, uważał, iż Harriman nadawał się idealnie na placówkę moskiewską, gdzie przyjęty był bardzo ciepło przez władze sowieckie¹⁹. Charles Bohlen, którego charakterystykę Harrimana przytoczyłem na początku tego artykułu, stwierdzał jednakże, że Harriman nigdy w pełni nie zrozumiał istoty systemu sowieckiego. „Czytanie książek ideologicznych nie było jego mocną stroną”, pisał Bohlen. I dodawał, iż Harriman nie zawsze potrafił odnieść swe przenikliwe obserwacje posunięć sowieckich do ogólnoideologicznych założeń. Innymi słowy, oceniając traf-

17. W. Averell Harriman and Elie Abel, *Special Envoy to Churchill and Stalin 1941-1946* (New York 1975), str. 58-59, 245-246, 288-290.

18. *Ibidem*, str. 326.

19. John R. Deane, *The Strange Alliance* (New York 1967), str. 10-11.

nie taktykę, nie dostrzegał strategii, opartej na przesłankach ideologicznych²⁰. Zanim codzienne starcia z Sowietami, a zwłaszcza problematyka polsko-sowiecka, nie podważyły jego wiary w możliwość powojennej, względnie harmonijnej współpracy między Waszyngtonem a Moskwą, Harriman zapewniał Roosevelta, iż pomoc gospodarcza i dyplomacja „personalna” na pewno zbliżą oba kraje do siebie²¹.

Misja Beaverbrooka-Harrimana spowodowała pierwszy zgrzyt w stosunkach rządu polskiego w Londynie z dyplomacją amerykańską. Odnosiło się to szczególnie do samego Harrimana. Przed jego wylotem do Moskwy generał Sikorski w rozmowie z 19 września 1941 roku wyłożył mu swoje dezyderaty odnośnie pomocy amerykańskiej dla wojska polskiego w Rosji. Chodziło o to, aby pomoc ta nie była przekazywana *via* władze rosyjskie, ale szła bezpośrednio do rąk polskich. Sikorski rozwinął przy tej okazji nieco zaskakujące teorie. Twierdził, że to Rosjanie nalegają na Polaków, aby ci wywarli wpływ na Zachód w kierunku pomocy zbrojeniowej dla ZSSR. Rzekomo Rosjanie nie mieliby nic przeciw temu, aby ambasador RP i generał Anders wzięli udział w konferencji Harrimana i Beaverbrooka z przedstawicielami rządu sowieckiego. Sikorski sugerował, iż w chaotycznych warunkach, jakie mogą zaistnieć w Rosji, polska siła zbrojna może być przydatna, choćby do ochrony ambasad zachodnich. Harriman oświadczył, iż nie upoważniono go do przyrzekania pomocy gospodarczo-wojskowej dla Polski, ale że chętnie omówi te sprawy z ambasadorem Kotem i Andersem. Na prośbę o instrukcje, jaką Harriman przesłał do Waszyngtonu, odpowiedział Hull, informując jednocześnie rząd polski w Londynie. Według decyzji Waszyngtonu Polska miała prawo do pomocy w ramach *lend-lease*, którym na razie ZSSR nie był objęty, byłoby więc korzystniej komunikować się wprost z przedstawicielami polskimi w Moskwie w tych sprawach²². Jednakowoż w trakcie pobytu w Moskwie zarówno Harriman jak i Beaverbrook, który często preforsowywał swój punkt widzenia, nie znaleźli wiele czasu na kontakty z Polakami. Dopiero 3 października odbyła się narada w ambasadzie amerykańskiej, w której Harriman wyjaśniał, iż

20. Bohlen, *op. cit.*, str. 127.

21. *Vide* Lloyd Gardner, *Architects of Illusion* (Chicago 1970), str. 29. Porównaj Robert J. Donovan, *Conflict and Crisis* (New York 1977), str. 37-39.

22. *Documents on Polish-Soviet Relations, 1939-1945* (London 1961-1967), t. I, str. 169-170, 174-175, 583.

Ameryka pragnęłaby „ponad program rosyjski dostarczyć częściowe uzbrojenie” dla armii polskiej. Obietnica ta w jakimś stopniu kolidowała ze zobowiązaniem, przyjętym na razie przez stronę sowiecką dostarczenia sprzętu tylko dla jednej dywizji. Harriman sugerował Mołotowowi możliwość przesunięcia Polaków na Kaukaz, gdzie mogłaby łatwiej dotrzeć pomoc brytyjska i amerykańska. Sugestię tą powtórzył w listopadzie na życzenie Roosevelta z zaznaczeniem możliwości transportu wojska polskiego do Iranu²³.

Niezadowolony ze strony polskiej wyraził ambasador Kot, informując Sikorskiego o przebiegu narady w ambasadzie USA, gdzie Beaverbrook był niechętny wobec postulatów polskich. Jeśli chodzi o Harrimana, pisał Kot, to nie udało się odbyć z nim ani jednej rozmowy politycznej²⁴. W połowie listopada ambasador Ciechanowski konferował z Harrimanem, przebywającym wówczas w Waszyngtonie. Harriman wyjaśniał, iż celem jego misji było podtrzymanie rosyjskiego ducha oporu wobec agresji niemieckiej. Trudno więc było nalegać specjalnie na zaopatrywanie armii polskiej w Rosji i stwarzać wrażenie, iż Ameryka chce łączyć pomoc dla Rosji z jakimiś politycznymi zobowiązaniami z jej strony. Harriman wydawał się zdziwiony, że Polacy napotykają na trudności w tworzeniu armii. Jeśli chodzi o Stalina, to Harriman odniósł wrażenie, iż jest on bardziej nacjonalistą rosyjskim niż komunistą²⁵.

Jakkolwiek głównym zadaniem Harrimana było istotnie organizowanie pomocy dla Rosji i bilateralne stosunki amerykańsko-sowieckie, problematyka polska zmuszała go do zajmowania stanowiska i w tej sprawie. Możliwość traktatu sojuszniczego między ZSSR a Wielką Brytanią, zawierającego postanowienia natury terytorialnej (chodziło o uznanie granic sowieckich z 1941 roku), zaniepokoiła Waszyngton. Nie chodziło tu tylko o zasady, ale o konkretne interesy amerykańskie. Jeśliby Anglia zadowoliliła w pełni wymagania rosyjskie, Ameryka straciłaby możliwość wywierania presji na ZSSR w dziedzinie gospodarczej. Wizja dominaty anglo-rosyjskiej w Europie była nader niepokojąca²⁶. Wreszcie sprawy graniczne, a raczej ustępstwa na rzecz Rosji z ziem zajętych w okresie współpracy z Hitlerem musiałyby wywołać zgryzoty wewnątrz koalicji antyhitlerowskiej i osłabić jej

23. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 101-102.

24. Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego* (Londyn 1956), str. 110-112, 119-120.

25. Jan Ciechanowski, *Defeat in Victory* (Garden City 1947), str. 61-64.

26. Tezę tę stawia i rozwija L. Gardner, *op. cit.*, str. 29.

spójność. Punkt widzenia Harrimana na te sprawy różnił się jednak dość istotnie od nastawienia Roosevelta i sekretarza Stanu Cordella Hulla. W rozmowie z Sikorskim 15 kwietnia 1942 roku w Waszyngtonie Harriman zgodził się, że należy przeciwstawiać się traktatowi brytyjsko-sowieckiemu. Równocześnie jednak stwierdził, iż należy pozostawić otwartą furtkę do rozmów polsko-rosyjskich na ten temat²⁷. Harriman był przeciwny polityce odkładania tych spraw na okres powojenny. Zapatrując się mniej optymistycznie niż Roosevelt na dalekosiężną współpracę między USA i ZSSR, nie bardzo wierzył, że załatwienie spraw spornych będzie łatwiejsze później niż wcześniej. Zalecał rokowania teraz, zanim Armia Czerwona zacznie odnosić sukcesy na wschodnim froncie²⁸.

Pozornie pogląd Harrimana, iż rząd w Londynie musi wykazać maksimum dobrej woli wobec ZSSR zbliżał się do tezy Churchilla o ustępstwach terytorialnych jako koniecznej cenie, którą Polska musi zapłacić, aby ocalić swą wewnętrzną niepodległość. Ale Harriman nie formułował tego w ten sposób. W pewnym sensie oscylował on między przekonaniem, iż polityką *appeasement* wobec Stalina niczego się nie osiągnie, a chęcią zrozumienia sowieckiego punktu widzenia. W swym memorandum z 24 marca 1943 roku zaprzeczał, iż jego nastawienie wypływa z atmosfery moskiewskiej. Stwierdzał, że zna również polski punkt widzenia, ale uważa, że z wyjątkiem Sikorskiego, wszyscy, a zwłaszcza wojskowi są nastawieni wrogo i podejrzliwie do ZSSR. Nie da się więc przekonać Stalina, iż Polacy pod rządami grupy londyńskiej będą w przyszłości przyjaznym sąsiadem. „Nie ma dowodów na to — pisał Harriman — że nie chce on [Stalin] pozwolić na powstanie niepodległej Polski²⁹”.

W rozmowie z Sikorskim 1 maja Harriman wyrażał się krytycznie o telegramie, wysłanym przez rząd polski do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w sprawie katyńskiej. Niezależnie od tego, kto był winnym zbrodni, telegram wyrzuci „katastrofalne wrażenie w Moskwie”. Sikorski przyznawał, iż wysłanie telegramu, w momencie kiedy on sam był chory, było błędem; liczył, że uda się naprawić ten błąd, choć będą trudności wewnątrz gabinetu. Sikorski podkreślał jednak równocześnie obawy przed zaborczością sowiecką wobec małych państw Europy środkowo-wschodniej. Harriman myślał podobnie. Uważając Sikor-

27. *Documents on Polish-Soviet Relations*, t. I, str. 327-328.

28. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 110, 170.

29. *Ibidem*, str. 326.

skiego za jedyne go męża stanu, który potrafił pertraktować ze Stalinem — Mikołajczyk wydał mu się człowiekiem umiarkowanie liberalnym i zdolnym, ale bez prestiżu Sikorskiego — Harriman odzęgnywał się od *appeasement*'u. Uważał, że gdyby zależało to na przykład od Beaverbrooka, to Anglicy przekazaliby całą Europę środkowo-wschodnią Rosji³⁰.

Rozmowa z Bogomołowem, który zapewniał, iż Rosja, nalegając na istnienie przyjaznych rządów w Europie środkowo-wschodniej, nie ma żądań terytorialnych w tym regionie wychodzących poza „historyczne” granice rosyjskie, utwierdziła Harrimana w przekonaniu o celowości negocjacji. Podobnie myślał Roosevelt, mówiąc nowomianowanemu ambasadorowi (Harriman przyjął placówkę w Moskwie na jesieni 1943), że zamierza osobiście rokować ze Stalinem odnośnie sowieckich postulatów terytorialnych i innych wobec Polski. Ma też nadzieję, że uda mu się odwieść Stalina od podejmowania unilateralnych działań. Ta wiara w swój bezpośredni wpływ i talent negocjacyjny była bardzo typowa dla prezydenta. Zanim doszło jednak do pierwszego spotkania wielkiej trójki, ministrowie spraw zagranicznych USA i Wielkiej Brytanii spotkali się ze swymi sowieckimi partnerami na konferencji moskiewskiej w październiku 1943 roku.

Konferencja ujawniła zasadnicze rozbieżności w sprawie Polski między Hullem a Harrimanem. Ambasador uważał, że sekretarz Stanu popełnił duży błąd, wyczerpując swój kredyt i autorytet w debacie na temat dopuszczenia Chin do grona wielkich mocarstw, zamiast spróbować załatwić sprawę polsko-rosyjskie. Gdy Harriman począł zaznaczać jak istotne byłoby wywarcie nacisku na Mołotowa w tej kwestii, Hull odpowiedział z miejsca, iż nie zamierza się zajmować „tymi nieważkimi, małymi sprawami” (*piddling little things*)³¹. Hull był zadowolony, że Rosjanie nie podnieśli ze swej strony zagadnienia granicy polsko-sowieckiej, nie rozumiejąc, jak stwierdzał to Harriman, iż oznaczało to, że uważali tę sprawę za przesądzoną. Harriman zwrócił się do Edena z sugestią, aby zmusić Hulla do wywarcia presji na Rosjan, dodając, że jeśli brytyjski sekretarz Stanu zrobi z tego kwestię, on (Harriman) poprze go przeciw swemu szefowi. Ale Eden nie zdecydował się na taką konfrontację. Można dodać, że Harriman podzielał punkt widzenia Edena na temat federacji Europy środkowo-wschodniej, zwalczanej przez Mołotowa; Hull zajmował stanowisko neutralne.

30. *Ibidem*, str. 200-201, 206.

31. *Ibidem*, str. 236.

Podczas gdy Cordell Hull uważał konferencję moskiewską za wielki sukces, a niepowodzenia w sprawie polskiej traktował jako drugorzędne, Harriman informował Roosevelta, że „zagadnienie polskie jest jeszcze trudniejsze niż myśleliśmy”. Podczas przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej Litwinow wygłosił antypolską tyradę w obecności Harrimana i Edena. Atakował w niewybrednych słowach nie tylko rząd w Londynie, ale Polaków i politykę polską w ogóle, zarówno w przeszłości jak i w chwili obecnej. W swych raportach Harriman dawał wyraz przekonaniu, iż: „Stalin pragnie sproszkowanej Europy, w której nie będzie silnych państw poza Związkiem Sowieckim”. Rosjanie są zdecydowani podporządkować sobie mniejsze kraje „i sądzą, że przyjdzie im to łatwiej, jeśli będą one podzielone”. Rząd polski w Londynie jest dla Rosjan nie do przyjęcia, pisał Harriman, gdyż jest on im wrogi. Jakkolwiek podczas konferencji nie było żadnych wypowiedzi, mogących świadczyć o tym, że Sowiety są zainteresowane rozszerzeniem swego systemu na inne kraje, Harriman zakładał, iż takie zainteresowanie istnieje, zwłaszcza „jeśli [ideologia] okaże się być jedynym sposobem ustalenia takiego rodzaju stosunków z pogranicznymi państwami na zachodzie do jakiego [Sowieci] dążą”. Harriman podejrzewa, że Moskwa będzie podejmowała akcje unilateralne wobec tych krajów, sądził jednak, że postawa sowiecka może ulec pewnej zmianie w miarę wzrostu zaufania do Wielkiej Brytanii i USA i do tworzącego się systemu bezpieczeństwa światowego³².

W przeddzień Konferencji Teherańskiej Harriman ostrzegął Roosevelta, że sprawa Polski zostanie przegrana, jeśli prezydent nie podniesie jej podczas narad. Miał też nadzieję, że Roosevelt będzie miał pewien wpływ na Stalina, którego szacunek dla prezydenta USA Harriman przypisywał nie tylko potęgze Stanów Zjednoczonych, ale także sylwetce samego Roosevelta jako twórcy *New Deal*'u. Rozmowa Roosevelta ze Stalinem na temat Polski w Teheranie, a zwłaszcza pozycja jaką zajął Roosevelt, wypełniła jednak Harrimana niepokojem. Prezydent „osobiście” zgadzał się z dezyderatami Stalina przesunięcia granic Polski na zachód, ale nie mógł zająć publicznie takiego stanowiska wobec nadchodzących wyborów. Harriman uważał, że z chwilą kiedy Armia Czerwona zajmie ziemie Polski i jej sąsiadów, będzie już za późno na prawdziwe rokowania. Odkładanie raz jeszcze decyzji w sprawie granic, choć usprawiedliwione wymogami amerykańskiej polityki wewnętrznej, wydało się Harrimanowi fatalne. Nie

32. *Ibidem*, str. 242-244, 249-250.

podzielał też w pełni rozumowania Benesza, który w okresie Teheranu zjawił się w Moskwie, aby podpisać pakt przyjaźni z ZSSR. Optymizm Benesza i jego wiara w Stalina wydawały się bezgraniczne. Stwierdził, iż nie żywi żadnych obaw co do możliwej dominacji sowieckiej; nie obawia się także, aby Rosja chciała skomunizować Polskę. Ponieważ prezydent Czechosłowacji odpisał już rząd londyński na straty, uważał on, że należy czekać na wyswobodzenie Polski przez Armię Czerwoną i wówczas utworzyć prawdziwie reprezentatywny rząd w kraju. Wojska sowieckie z pewnością będą się starały zdobyć dla siebie Polaków. Brzmiało to tak fantastycznie, iż Harriman wyraził powątpiewanie. Co będzie, jeśli Polacy nie będą witać entuzjastycznie Armii Czerwonej? Co będzie, jeśli dojdzie do konfliktów? Polskie podziemie przecież nie będzie współpracować z Rosjanami³³. Wydaje się jednak, że rozmowa z Beneszem pozostawiła jakiś ślad u Harrimana, wpływając na raczej nietypowe wypowiedzi ambasadora na spotkaniu z korespondentami amerykańskimi w Moskwie parę tygodni później.

Dnia 19 stycznia 1944 Harriman, odpowiadając na pytania postawione mu przez korespondenta *New York Times'a* Williama H. Lawrence'a, oświadczył: 1. Sowiety nie mają zaufania do rządu polskiego w Londynie i patrząc na to z ich punktu widzenia, ta nieufność jest zrozumiała. 2. Podejrzenia strony polskiej, „których nie uważam za uzasadnione”, odnoszą się do zamiarów Sowieców skomunizowania Polski, czy też narzucenia jej marionetkowego rządu lub wcielenia jej do ZSSR. Sowiety, stwierdził Harriman, mają dość własnych problemów mniejszościowych, aby je jeszcze zwiększać. „Zasadniczo sędzę, iż Sowiety pragną takiego załatwienia spraw graniczących z nimi państw, aby osiągnąć maksimum możliwej harmonii z Polską. Myślę, że doszli oni do przekonania, że nie ustalą oni takiego stosunku z tą grupą w Londynie”.

Harriman nie uważał granicy na linii Curzona za idealne rozwiązanie, ale wydało mu się bliższe wymogom etnicznej granicy niż jakiegokolwiek inne. Zresztą, sprawę granicy uznał za łatwiejszą do załatwienia niż kwestię przewyciężenia wiekowej tradycji nieufności i konfliktów polsko-rosyjskich. Następnie dodał: „Nie wiem, co myślą Polacy w Polsce. Wiemy bardzo dobrze, co myśli rząd polski w Londynie. Jest to głównie grupa arystokratów, pragnących aby Amerykanie i Brytyjczycy przywrócili im ich po-

33. *Ibidem*, str. 288-290.

zycję, ich dobra ziemskie i feudalistyczny system, istniejący przed i po ostatniej wojnie. Mają oni wrodzoną nieufność do Sowietów i nie lubią komunizmu, które to nastawienie podzielam. Sądzą oni, że Polska ma przyszłość jedynie, jeśli Wielka Brytania i Stany Zjednoczone będą walczyć z Rosją w obronie Polski. Nie wydaje mi się, abyśmy mieli jakikolwiek interes w popieraniu czegoś takiego³⁴”.

Jakkolwiek styl wypowiedzi Harrimana pasował do ówczesnych oświadczeń i opinii wyrażanych na temat Polski w Ameryce i pokrywał się z polityką urabiania opinii publicznej w sensie przyjaznym Rosji kosztem Polski³⁵, wydaje się, że od człowieka typu Harrimana można się było spodziewać czegoś więcej. Zwłaszcza demagogiczny i nonsensowny zwrot o polskich obszarach w rządzie londyńskim jest trudny do zrozumienia w ustach dobrze poinformowanego dyplomaty.

W okresie po-teherańskim Harriman niewątpliwie uważał, że należy przyjąć jako punkt wyjścia postulat sowiecki odnośnie granic i zmian w rządzie londyńskim i rokować szybko i na serio, celem osiągnięcia jakiegoś możliwego rozwiązania. Harriman uważał również, że należy jasno określić w rozmowach z Polakami, jakie są granice zainteresowania i pomocy ze strony amerykańskiej. Postawa taka, choć w gruncie rzeczy prosowiecka, nie była nowa i wypływała z niezmiennego przekonania Harrimana, że odkładanie sprawy polskiej na przyszłość i robienie uników przy próbach zachowania pozorów popierania rządu polskiego w Londynie do niczego nie prowadzi. Wobec konsekwentnej i wyraźnie sprecyzowanej postawy Moskwy, Harriman doradzał również konsekwentną choć brutalną politykę USA wobec Polski. W odpowiedzi na instrukcje Departamentu Stanu, w których wyrażano oburzenie na postępowanie ZSSR wobec Polski i podkreślano złe wrażenie, jakie robi ono na amerykańskiej opinii publicznej (odwoływanie się do opinii należało do żelaznego repertuaru not dyplomatycznych), Harriman stwierdzał, że Sowiety postępują w myśl ducha konferencji w Moskwie i Teheranie i że ich stosu-

34. *Ibidem*, str. 290-291. Ów „arystokratyczno-obszarniczy” rząd w Londynie miał wówczas następujący skład: Mikołajczyk, Romer, Kwapiński, Seyda, Banaczyk, Kukiel, Grosfeld, Komarnicki, Kaczyński, Stańczyk, Kot, Strasburger, Popiel, Naczelnym Wodzem był gen. Sosnkowski.

35. Patrz Jack L. Hammersmith, *The U.S. Office of War Information (OWI) and the Polish Question 1943-1945*, „Polish Review”, XIX, 1 (1974), oraz David G. Januszewski, *The Case of the Polish Exiles Government in American Press, 1939-1945*, „Polish American Studies”, XLIII, 1 (1986).

nek do rządu londyńskiego nie uległ zmianie. Harriman kwestionował możliwość wywierania jakiejś presji w tym momencie, kiedy poprzednio nic nie robiono w tym kierunku. Moskwa będzie zapytywać, dlaczego ta nagła zmiana, która w gruncie rzeczy (jak Harriman słusznie podejrzewał) ograniczała się jedynie do werbalnych protestów³⁶. Trudno mu odmówić logiki, gdy naciskał na Waszyngton, aby zdefiniował swe cele. Czy USA są gotowe przyjąć punkt widzenia Moskwy, że rząd londyński jest wrogi, czym Rosja uzasadnia swą odmowę jakichkolwiek z nim kontaktów? — pytał. Jeśli tak, czy nie należy tego powiedzieć Rosjanom, Polakom i Brytyjczykom i zdecydować się, jak daleko USA są gotowe zaangażować się w rokowania celem jego zmiany? Jeśli nie, czy Stany Zjednoczone są gotowe domagać się takiego samego udziału w polityce okupacyjnej w Polsce, jaki dadzą Rosjanom we Włoszech? Waszyngton nie dawał się zmusić do sprecyzowania swego stanowiska, stosując z powodzeniem metodę opóźniania i unikania kluczowych zagadnień. Roosevelt wydawał się mieć nadzieję, że metoda ta pozwoli na odwleczenie niepopularnych decyzji, mogących mieć szkodliwy rezonans w polityce wewnętrznej.

Harriman wykonywał otrzymywane instrukcje, które polegały głównie na wyrażaniu protestów i niepokoju ze strony USA, chociaż stały one często w sprzeczności z jego osobistym punktem widzenia. Stalin z kolei odrzucał możliwość powrotu do kraju rządu polskich „torysów” z Londynu, kwestionując cynicznie istnienie polskiego podziemia, związanego z rządem Mikołajczyka. Harrimana irytował fakt, że Waszyngton stara się przesuwac sprawę polskie na barki Londynu, traktuje je jako sprawę brytyjską i unika nacisków na Polaków. Pragnąc skoncentrować swą uwagę na współpracy Wielkiej Trójki, Harriman sugerował podpisanie trójporozumienia w sprawie zarządu wyzwolanych obszarów Polski. Rosja przejęłaby administrację na wschód od Bugu (pozostawiając ostateczne decyzje co do granic konferencji pokojowej), administracja ziem na zachód od Bugu pozostawałaby w gestii przedstawicieli trzech mocarstw konsultujących się z władzami wojskowymi ZSSR. Harriman przyznawał, że takie rozwiązanie oznaczałoby w jakimś stopniu żyrowanie przez mocarstwa zachodnie poczynań sowieckich i stwarzało możliwości tarć i konfliktów. Oznaczałoby również załamanie się morale Polaków, a zwłaszcza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Ale stanowiłoby jakąś próbę rozwiązania zagadnienia i utrzymania jed-

36. H. L. Chandler, *op. cit.* str. 233-236.

ności Wielkiej Trójki³⁷. W rozmowie z Churchillem w maju 1944 roku Harriman nalegał na konieczność zmiany składu rządu polskiego w Londynie. Rozmawiając dzień później z Edenem, przypomniał raz jeszcze swą tezę, że należało mówić o politycznych aspektach sprawy Polski na konferencjach w Moskwie i Teheranie. Nieporuszanie tego tematu zostało oczywiście zrozumiane przez Kreml jako ciche *placet*.

W czerwcu, ulegając naciskom Stalina, Harriman zgodził się na nieformalne rozmowy z Osóbką-Morawskim i innymi przedstawicielami Polaków moskiewskich. Zaskoczyło go to, że wśród ich postulatów terytorialnych figurował także Lwów i zagłębie naftowe. Osóbka przyznał też, że Stronnictwo Ludowe Mikołajczyka byłoby przodujące w Polsce w razie wyborów³⁸. Być może, iż ta rozmowa przyczyniła się do opinii Harrimana wyrażonej przed Jałtą, że należy zrobić wysiłek w celu przekonania Rosji, aby pozostawiła Lwów i pola naftowe przy Polsce³⁹.

Powstanie Warszawskie i stosunek do niego Sowietów wstrząsnęły Harrimanem. Aspekt ludzki, tragedia milionowego miasta i jego mieszkańców przemawiały do wyobraźni ambasadora, a bezwzględność sowiecka wobec walczącego ze wspólnym wrogiem AK wydała mu się szokująca. W brulionie depeszy do Roosevelta i Hulla, której nie wysłał, Harriman nie szczędził ostrych słów na potępienie Rosji. „W tych warunkach — pisał — trudno jest mi sobie wyobrazić znalezienie takiego rozwiązania dla sprawy Polski, które byłoby do przyjęcia⁴⁰”. Wcześniej już ambasador depeszował do Departamentu Stanu, wyrażając opinię, że „z chwilą gdy społeczeństwo amerykańskie zda sobie w pełni sprawę z faktów, nastąpią poważne reperkusje wśród opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych w stosunku do Związku Sowieckiego, rzutujące na wiarę i nadzieję co do szans powojennej współpracy⁴¹”. Harriman nie szczędził wysiłków, domagając się od Wyszyńskiego pomocy dla Warszawy i prawa do lądowania amerykańskich samolotów. Nalegał na usztywnienie postawy Waszyngtonu i interwencję Roosevelta, krytykując ostro wahania i obawy przed pójściem za daleko. Uważał, że Waszyngton nie rozumiał, jak należy postępować wobec Rosji. Stwierdzał, iż

37. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 325-326.

38. *Ibidem*, str. 327-328, 339-331.

39. *Documents on Polish-Soviet Relations*, t. II, str. 791.

40. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 344. Porównaj George F. Kennan, *Memoirs 1925-1950* (Boston 1967), str. 210.

41. *Vide* Arthur Bliss Lane, *I Saw Poland Betrayed* (New York 1948) str. 51.

„po raz pierwszy był wysoce zaniepokojony nastawieniem rządu sowieckiego”⁴².

Według ówczesnej opinii Harrimana, ofensywa Armii Czerwonej pod Warszawą została wstrzymana ze względów politycznych, gdyż Stalin traktował AK jako zawadę na drodze Komitetu Lubelskiego. Po rozmowie ze Stalinem 23 września, kiedy ten ostatni zmienił swój pogląd na Powstanie Warszawskie o 180 stopni — co Harriman nie bardzo potrafił sobie wytłumaczyć — ambasador USA począł się skłaniać do teorii, że Armia Czerwona nie była w stanie kontynuować ofensywy⁴³. Parę lat później Harriman wyraził opinię, że Rosjanie zatrzymali się na Wiśle ze względów wojskowych, a ich zaambarasowanie niemożnością dalszej ofensywy znalazło ujście w atakach na Bora i AK⁴⁴.

Harriman wciąż wracał do tego, że Sowiety oceniły postawę amerykańską na konferencji moskiewskiej jako ciche uznanie ich prawa do załatwienia jednostronnie swych sporów z sąsiadami. ZSSR dąży więc do utworzenia strefy wpływów, co może dać asumpt do następnego rozszerzania tych wpływów. Harriman formułował tutaj, bez użycia samej nazwy, tak modną później teorię „domina”. Stwierdzał, iż Stany powinny nalegać na prawo współuczestnictwa w decyzjach, a nie wycofywać się, dając Moskwie wolną rękę. „Kiedy sprzeciwiamy się [Rosji] musimy jednak być pewni, że mamy rację i wiedzieć jasno z góry, jak daleko jesteśmy gotowi iść”⁴⁵. Odnosnie misji Mikołajczyka i jego rozmów w Moskwie w sierpniu 1944 roku Harriman uważał iż Mikołajczyk jest w błędzie, sądząc, że ponieważ ludzie z Komitetu Lubelskiego są niedoświadczeni i niereprezentatywni, można czekać na dalszy rozwój wypadków. Wprost przeciwnie, według Harrimana był to ostatni moment dla wzięcia inicjatywy przez Mikołajczyka. Nalegał też nań, aby nie wracał do Londynu, ale raczej sprowadził swych zwolenników stamtąd i włączył się do akcji tworzenia rządu. Radę tę ponowił podczas następnej bytności Mikołajczyka w Moskwie w październiku, w rozmowach z nim i z Tadeuszem Romerem⁴⁶.

Podczas październikowej wizyty, gdy Mikołajczyk znalazł się pod wyjątkowo silną i brutalną presją Churchilla, wydarzył się

42. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 339-342.

43. *Ibidem*, str. 337, 347-349.

44. Rozmowa 13 grudnia 1951, C. L. Sulzberger, *A Long Row of Candles* (New York 1969), str. 711.

45. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 346.

46. *Ibidem*, str. 338, 361; także Richard C. Lukas, *The Strange Allies: The United States and Poland 1941-1945* (Knoxville 1978), str. 78.

incydent dotyczący bezpośrednio Harrimana, który występował jako obserwator. Kiedy Mołotow zaskoczył Mikołajczyka twierdzeniem, iż w Teheranie wszyscy trzej przywódcy koalicji zgodzili się na linię Curzona, Churchill potaknął, ale Harriman nie odezwał się, patrząc uporczywie w dywan. Jak wyjaśnił później, nie mógł zabierać głosu, ponieważ Roosevelt nie wypowiedział się w Teheranie wiążąco o linii Curzona, a ponadto Harriman nie chciał rozmazywać tej sprawy, która mogłaby zaszkodzić Rooseveltowi w jego kampanii wyborczej wobec Polonii amerykańskiej⁴⁷.

Przebywając w USA w listopadzie, Harriman starał się wpłynąć na Roosevelta, aby zdefiniował swą politykę wobec Polski, ale, jak pisał, „trudno było skierować uwagę prezydenta na poważną rozmowę na temat problemów Polski czy ogólnie Europy wschodniej”. Niektóre rozważania Roosevelta dotyczące Lwowa jako wolnego miasta były tak nierealne, że Harriman nie mógł traktować ich poważnie. Wreszcie prezydent zgodził się z Harrimanem, że negocjacje w sprawie linii Curzona są już bezprzedmiotowe, ale nie udało się go przekonać co do „ważności czujnej i stanowczej polityki odnośnie politycznych aspektów poszczególnych krajów Europy wschodniej⁴⁸”. Harriman zakładał, iż godząc się na linię Curzona i biorąc udział w reorganizacji rządu polskiego w Londynie uda się jeszcze osiągnąć kompromisowe rozwiązanie. W wypadku gdyby Sowiety chciały narzucić reżym komunistyczny, Stany Zjednoczone musiałyby zgłosić zasadnicze obiekcje. Była to linia polityczna zbyt jasna, konsekwentna i sztywna, aby odpowiadała ona w tym momencie Rooseveltowi⁴⁹.

Harriman nie sądził, aby zbliżająca się Konferencja Jałtańska mogła w zasadniczy sposób zmienić sytuację w Polsce, w której Sowiety tworzyły podległy sobie system. W najlepszym razie możliwe było złagodzenie tego systemu. Harriman uważał — trochę może naiwnie — że Stalin był „zaskoczony i urażony” tym, że Armia Czerwona nie była entuzjastycznie witana w Pol-

47. Porównaj Stanisław Mikołajczyk, *The Rape of Poland* (New York 1948), str. 96; Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału* (Londyn 1950), str. 298-299; W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 360; R. C. Lukas, *op. cit.*, str. 130.

48. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 369-370.

49. Porównaj Herbert Feis, *Between War and Peace: The Potsdam Conference* (Princeton 1960), str. 78-79. Jak wiadomo, w odpowiedzi na pytanie Mikołajczyka czy USA byłyby gotowe gwarantować terytorium Polski w nowych granicach, Roosevelt odpowiedział odmownie.

sce i Rumunii, co utwierdzało ambasadora w przekonaniu, że wymogi bezpieczeństwa, a nie założenia programowe skłaniają Sowiety do szerzenia komunizmu w tej części Europy. Oczywiście Harriman nigdy nie usłyszał z ust Stalina opinii, jaką tenże wyraził nieco później w rozmowie z Dżilasem: „Ta wojna nie jest taka jak dawne; ktokolwiek zajmuje jakieś terytorium narzuca mu swój własny ustrój społeczny... Nie może być inaczej⁵⁰”.

Postanowienia jałtańskie odnośnie Polski wydały się Harrimanowi raczej ogólnikowe i niezbyt precyzyjne, zwłaszcza jeśli chodziło o skład przyszłego rządu. Wyrażał żal, że nie udało się sprowadzić Witosza i arcybiskupa Sapiehy; określenie „przywódcy demokratyczni” dawało możliwość różnych interpretacji. „Handlując z Rosjanami musi się kupować dwukrotnie tego samego konia” — zauważał⁵¹. Harriman różnił się jednakże zasadniczo od swego współpracownika w ambasadzie George’a Kennana w zaleceniach linii politycznej, jaką Ameryka powinna przyjąć. Kennan uważał, że targowanie się z Moskwą do niczego nie prowadzi, że należy uznać podział Europy na dwie strefy i nie brać żadnej współodpowiedzialności za to, co dzieje się po stronie rosyjskiej. Harriman sądził odwrotnie iż należy zrobić maksymalny wysiłek w rokowaniach z Rosją, koncentrując się na Polsce raczej niż na Rumunii. Polska jego zdaniem była ważniejsza, a poza tym istniał mechanizm ustanowiony w Jałcie — komisja złożona z Mołotowa i ambasadorów USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie, która wpływała na wybór kandydatów do rządu tzw. Jedności Narodowej.

Harriman sądził, że zobowiązanie Stalina w Jałcie dotyczące „wolnych i nieskrępowanych” wyborów w Polsce nie było bezwartościowe. Uważał natomiast, że Stalin dopiero po Jałcie odkrył, że prawdziwie wolne wybory nie dadzą większości rządowi lubelskiemu i są zbyt ryzykowne. Stąd też usztywnienie pozycji sowieckiej i równoczesna interpretacja mandatu komisji trzech, da-

50. Milovan Djilas, *Conversations with Stalin* (Londyn 1962), str. 105.

51. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 412-413, 445. Z perspektywy kwietniowej 1945 roku Harriman ujmował sowiecką ocenę Jałty w następujących słowach: „Sowieci uważają, że poprzez naszą gotowość przyjęcia ogólnikowych sformułowań w deklaracji o Polsce i wyzwolonej Europie, poprzez nasze uznanie wymogów bezpieczeństwa Armii Czerwonej na tyłach i dominujących interesów Rosji w Polsce jako przyjaznym sąsiedzie i ko-rytarzu do Niemiec, rozumiemy i jesteśmy gotowi przyjąć linię polityczną sowiecką, która jest już nam znana”. *Foreign Relations of the United States 1945*, t. V., str. 821-822. Harriman żałował jednakże, że nie położono większego nacisku na „wolne i nieskrępowane wybory”. Patrz Mikołajczyk, *op. cit.*, str. 127.

jąca właściwie prawo weta rządowi lubelskiemu co do kandydatów na członków rządu. Przetargi między Mołotowem a dwoma zachodnimi ambasadorami na wiosnę 1945 roku odbywały się w atmosferze zwiększających się szykan sowieckich wobec Ameryki. Harrimanowi odmówiono możliwości kontaktowania się z amerykańskimi jeńcami wojennymi na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną; wysunięto zarzut, że USA i Wielka Brytania knują przeciw Rosji z Niemcami, godząc się na poufne rozmowy z generalicją niemiecką. Wreszcie Stalin oskarżył Harrimana i Clarka Kerra o sabotowanie postanowień jałtańskich w sprawie polskiej. Tego wszystkiego było Harrimanowi za dużo. W swych raportach doradzał zajęcie twardej pozycji z sankcjami włącznie. Proponował też, aby odwołano go do Waszyngtonu na konsultację⁵².

Śmierć Roosevelta i objęcie prezydentury przez Harry'ego Trumana 12 kwietnia 1945 roku stworzyły nową sytuację w polityce amerykańskiej. Nowy prezydent, którego Roosevelt trzymał z dala od spraw międzynarodowych, wystawiony był teraz na naciski z różnych stron, szczególnie gdy chodziło o linię polityczną wobec Rosji. Hopkins, Marshall, Stimson i Byrnes nie tracili wiary w możliwość kontynuowania ugodowej polityki Roosevelta, Harriman i *attaché* wojskowy w Moskwie, generał Deane, byli o wiele bardziej pesymistycznie nastawieni. Sekundował im sekretarz Obrony James Forrestal. Departament Stanu był podzielony⁵³. W tych warunkach Harrimanowi, który przyleciał do Waszyngtonu dla rozmów z nowym prezydentem, przypadła ważna rola przedstawienia Trumanowi całokształtu tematyki rosyjskiej. Jak zauważa jeden z historyków amerykańskich, „nikt nie zdołał ukształtować bardziej poglądów Trumana niż sam Harriman⁵⁴” i przekonać go o konieczności twardszego kursu wobec Moskwy. Zdaniem Harrimana polityka sowiecka dążyła do trzech głównych celów: 1. współpracy z USA i Wielką Brytanią w dziedzinie bezpieczeństwa światowego, 2. utworzenia „jednostronnego pierścienia bezpieczeństwa” poprzez opanowanie Europy wschodniej i środkowej, 3. penetracji pozostałych krajów poprzez partie kontrolowane przez komunistów celem wytworzenia w nich atmosfery zyciowej dla ZSSR. Harriman powiedział Trumanowi,

52. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 430-431. Też James Byrnes, *Speaking Frankly* (New York 1947), str. 56; R. C. Lukas, *op. cit.*, str. 148-155.

53. H. Feis, *op. cit.*, str. 78-79.

54. *Vide* John L. Gaddis, *The United States and the Origins of the Cold War 1941-1947* (New York 1972), str. 201.

że Rosja nie chce zerwania z Ameryką, a więc można przyjąć wobec niej stanowczą postawę i stwierdzić wyraźnie, że Polska stanowi główną przyczynę pogorszenia się stosunków amerykańsko-sowieckich. W rozmowie z prezydentem Harriman użył określenia „barbarzyńska inwazja Europy”, mówiąc o rozprzestrzenianiu się Sowietów na kontynencie. Wyrażał przy tym opinię, że ZSSR może nie wystarczyć hegemonia we wschodniej części Europy. Harriman pragnął, aby Rosjanie usłyszeli od samego prezydenta, że Amerykanie nie zniosą już dłużej terroryzowania ich (*pushing around*) w sprawie Polski. Ambasador uważał, że używając we właściwy sposób nacisków gospodarczych, ale bez uciekania się do szantażu, można będzie wiele uzyskać od Moskwy⁵⁵.

Harriman nie ograniczył się do rozmów z prezydentem, ale starał się, aby jego opinie były znane wpływowym osobom i grupom w USA. Nalegając na stanowczą politykę, powiedział sekretarzowi Obrony: „możliwe, że czeka nas walka ideologiczna równie zawzięta i niebezpieczna jak z faszyzmem i nazizmem”. W rozmowie z wybitnym publicystą *New York Times*’a Sulzbergerem Harriman oświadczył, że musi się powiedzieć jasno Sowietom, „jak daleko *nie* pozwolimy im pójść”. Jego uwagi na temat niebezpieczeństwa komunistycznej dyktatury na świecie, wypowiedziane wobec grupy dziennikarzy, tak oburzyły kilku obecnych tam liberałów, m.in. Waltera Lippmanna, że na znak protestu wyszli z sali⁵⁶. Jak słusznie pisał *Time* 21 maja 1945 roku, „zazwyczaj tak łagodny” Harriman został wyraźnie doprowadzony do ostateczności.

Ambasador w Moskwie myślał jednak przede wszystkim kategoriami praktykującego i praktycznego dyplomaty. Kiedy Truman, idąc za poradą Harrimana (który mówił mu, że „istotną sprawą jest to, czy Stany będą współodpowiedzialne za program sowieckiej dominacji Polski”) odbył brutalną rozmowę z Mołotowem, Harriman nie był na sto procent zadowolony⁵⁷. Uważał on, że Mołotow wykorzysta ten incydent dla usztywnienia postawy Stalina. Z sowieckimi dygnitarzami należy mówić stanowczo, ale nie obrażać ich. Tym nastawieniem Harrimana tłumaczyć można jego sugestie (wraz z Bohlenem) dla prezydenta Trumana,

55. L. Gardner, *op. cit.*, str. 59; W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 445-450.

56. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 457; Sulzberger, *op. cit.* str. 256; też rozmowa z 20 kwietnia 1945, *The Forrestal Diaries* (New York 1951), str. 47.

57. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 452-454.

aby wysłać do Moskwy Harry Hopkinsa, który dla Stalina był symbolem polityki rooseveltońskiej. Truman zgodził się na to raczej niechętnie: w istniejącym układzie misja Hopkinsa musiała mieć posmak *appeasement*. Tak odebrał ją ambasador Ciechanowski. Ubolewając, iż nie miał sposobności do rozmowy z Harrimanem podczas jego pobytu w USA (Harriman wyraźnie nie szukał kontaktu z przedstawicielem rządu londyńskiego), wyraził zaniepokojenie tak misją, jak i „tendencją do *appeasement*” ze strony Harrimana. Jego rozmówca z Departamentu Stanu oczywiście temu zaoponował⁵⁸. Zaistniała paradoksalna sytuacja, w której amerykańscy liberałowie widzieli w Harrimanie agresywnego antysowieckiego polityka, a Ciechanowski *appeaser*a.

Wydaje się, że Harrimanowi chodziło przede wszystkim o przełamanie impasu w pracach Komisji Trzech w Moskwie i rzeczywiście Hopkins uzyskał pewne drobne ustępstwa, które pozwoliły na sfinalizowanie sprawy tzw. rządu Jedności Narodowej w Warszawie z udziałem Mikołajczyka. Obecność tego ostatniego Harriman uważał za dużo ważniejszą niż procentowy stosunek zwolenników Lublina i Londynu. Co do dalszego rozwoju sytuacji, Harriman wyrażał nadzieję, że jeśli „będziemy kontynuować przyjazne zainteresowanie sprawami polskimi i będziemy w miarę szczerzy w stosunkach gospodarczych, istnieje niezła szansa, że rozwój wypadków będzie zadowalający z naszego punktu widzenia⁵⁹”. Oczywiście istniał stały szkopuł — jak Harriman pisał Trumanowi — ten mianowicie, że Stalin, będący realistą, „nigdy w pełni nie zrozumie, że nasze zainteresowanie wolną Polską jest sprawą zasad” i będzie podejrzewał istnienie ukrytych motywów⁶⁰.

Harriman nie miał większego wpływu na decyzje dotyczące Polski na konferencji w Poczdamie. Jego nastawienie odzwierciedla uwaga, iż „największą zbrodnią Hitlera jest to, że w następstwie jego poczynań została otwarta brama z Azji do wschodniej Europy⁶¹”. Ambasador zapatrywał się też krytycznie na politykę nowego sekretarza Stanu Byrnesa, polegającą na odsuwaniu

58. Rozmowa Ciechanowski-Durbrow, *Documents on Polish-Soviet Relations*, t. II, str. 597. Zdaniem Adama Ulama misja Hopkinsa „zniweczyła doszczętnie jakiekolwiek nadzieje na to, że Stalin może poluznić kleszcze [w których trzymał] Polskę i Wschodnią Europę”, *The Rivals: America and Russia Since World War II* (New York 1971), str. 69.

59. Cytowane w Geir Lundestad, *The American Non-Policy Towards Eastern Europe 1943-1947* (Tromsø 1978), str. 205. Ta mało znana książka norweskiego historyka zawiera dużo danych zarówno o Polsce jak i całego regionu.

60. W. A. Harriman, E. Abel, op. cit., str. 474; porównaj str. 462, 470.

61. *Forrestal Diaries*, str. 79, rozmowa 20 lipca 1945 roku.

sprawy granicy na Odrze i Nysie na przyszłość. Granica ta, zdaniem Harrimana, była już faktem dokonanym a traktowanie jej jako sprawy otwartej mogło jedynie służyć jako pożywka dla rewizjonizmu niemieckiego⁶². W Poczdamie Harriman wprowadził w tematykę polską nowego ambasadora USA w Warszawie, Arthura Bliss Lane'a, udającego się na objęcie placówki. „Czuję się tak, jak gdybym oddawał panu moje własne dziecko” — powiedział Harriman⁶³. Czy w zdaniu tym brzmiał jakiś ciepły ton w stosunku do Polski jako takiej, czy była tu tylko mowa o „dziecku” w sensie dokonanego dzieła? Chyba to drugie. O ile podczas następnych trzydziestu lat zainteresowanie Harrimana tematyką rosyjską i sowiecką było oczywiste i widoczne, o tyle dostępne źródła przynoszą tylko parę sporadycznych uwag na tematy polskie. W okresie kiedy Arthur Bliss Lane był ambasadorem w Warszawie, Harriman popierał pomoc gospodarczą, uważając, że pomoc taka, zwłaszcza szybko dostarczona, „będzie miała dalekosieśny i stały efekt, przyczyniając się do wzmocnienia wpływu USA na polityczną konfigurację w Polsce⁶⁴”. Od końca 1945 roku Harriman nalegał na stworzenie amerykańskiej stacji radiowej, której zasięg obejmowałby Europę środkowo-wschodnią i Sowiety, ale czy myślał szczególnie o sytuacji polskiej? Nie wiadomo.

W 1959 roku Harriman podróżował po Związku Sowieckim, przemierzając 18 tysięcy mil. W rezultacie tej podróży wydał książkę pt. *Peace with Russia* (New York 1959), w której nie ma prawie nic o zagadnieniu Rosja a Europa środkowo-wschodnia. Jeśli istnieją jakieś wypowiedzi Harrimana na temat polskiego Października, wydarzeń grudniowych na wybrzeżu czy „Solidarności”, to nie są mi one znane. Można jedynie snuć supozycje, iż dla Harrimana tematyka polska czy środkowo-wschodnioeuropejska pozostawała zawsze drugoplanowa w porównaniu z zagadnieniem Rosji. Jeśli tak było — a odzwierciedlałoby to poglądy panujące w Ameryce — można łatwiej zrozumieć, dlaczego dając miliony na studia rosyjskie w Columbia University, pominął jedyną w USA katedrę uniwersytecką (na tejsze Columbii) zajmującą się wyłącznie sprawami Europy środkowo-wschodniej.

Piotr WANDYCZ

62. W. A. Harriman, E. Abel, *op. cit.*, str. 482.

63. A. B. Lane, *op. cit.*, str. 128.

64. *Ibidem*, str. 42.

Józef MIRSKI

PROBLEMY JĘZYKOWE W KOŚCIOŁACH
RZYMSKO-KATOLICKICH NA BIAŁORUSI
I NA UKRAINIE
PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Wstęp

W Kościele rzymsko-katolickim, który po zawarciu unii polsko-litewskiej w XIV wieku rozwinął się na ziemiach dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, a w niektórych jej częściach o wiele wcześniej, były w użyciu dwa języki: łaciński — stosowany w tekstach ściśle liturgicznych oraz polski w nabożeństwach dodatkowych i prywatnej pobożności wiernych. Na terenach zamieszkałych przez ludność litewską był w użyciu, równolegle z językiem polskim, język litewski. Zmiany w tej dziedzinie zaczęły wprowadzać na ziemiach zabranych władze carskie pod koniec I połowy XIX wieku. Jednakże bezwzględne dążenie do likwidacji języka polskiego w życiu religijnym zaczęło się dopiero po powstaniu styczniowym. Kierował nim początkowo osławiony hr. Michał Murawiew, który uważał język polski w Kościele za ostatni bastion polskości oraz jej siłę kulturalną i społeczną. Chodziło o likwidację języka polskiego w nabożeństwach dodatkowych, kaznodziejstwie, śpiewach itp. Plany władz carskich miały w tej dziedzinie zarówno cel polityczny, jak i religijny. Ten ostatni oznaczał dążenie do zerwania łączności z Kościołem rzymsko-katolickim, a to z kolei miało prowadzić do prawosławia i rusyfikacji.

Katolicyzm jako taki uważany był bowiem za niebezpieczeństwo i zagrożenie dla imperium rosyjskiego. Cel ten, jak wiadomo, został w wielkiej mierze zrealizowany, gdy chodzi o unitów na Białorusi i gdzie indziej.

Dzieje walki z językiem polskim na terenie życia religijnego aż do wybuchu pierwszej wojny światowej stanowią nad wyraz bolesną i dramatyczną historię, szczególnie na Wileńszczyźnie, Mińszczyźnie, Wołyniu i Podolu. Do walki tej użyto administrację, policję i część (niewielką zresztą) duchowieństwa katolickiego. Warto przypomnieć tu niektóre przynajmniej jej etapy i epizody.

W 1868 roku zakazano bezwzględnie używania kilku polskich książeczek do nabożeństwa używanych przez wiernych i podobnych zbiorów pieśni kościelnych. Polecono je wycofać w ciągu tygodnia. W celu opracowania długofalowych planów wprowadzenia języka rosyjskiego do duszpasterstwa ludności polskiej, została powołana specjalna komisja państwowa, która wśród sześciu punktów przygotowanego przez siebie programu przyjęła również następujący: do kościołów katolickich wprowadzić koniecznie język rosyjski. Komisja uznała język polski za narzędzie propagandy katolickiej, symbol wrogiej narodowości przypominający panowanie Polski i ogniwo wiążące zajęte przez Rosję ziemie z polską macierzą i z Warszawą.

Sprawą wprowadzenia języka rosyjskiego do kościołów zajmował się także w 1869 roku osobny komitet złożony z ministrów i innych najwyższych dygnitarzy państwowych wybranych przez samego cesarza. Po dyskusjach przyjęto m.in. pozornie kompromisową zasadę wprowadzenia języka rosyjskiego tam, gdzie proboszcz i parafianie o to poproszą. Lecz władze administracyjne interpretowały to zarządzenie w ten sposób, że zmuszały księży do jego wprowadzania. Czyniły to m.in. przez nakazy podpisywania ułożonych przez nie odpowiednich podań o wprowadzenie języka rosyjskiego. Podpisywali je najpierw czynownicy, a potem gminy pod szantażem i presją. Jednocześnie władze carskie głosiły, że łacina pozostaje w Kościele katolickim nietkniętym językiem liturgicznym, ale do nabożeństw dodatkowych musi być wprowadzony język rosyjski. Opracowany został i wydany w tym języku rytuał, słynny „Triebnik” (wyd. w 1869 i 1870 r.), który całkowicie usuwał język polski, a na jego miejsce wprowadzał rosyjski. Pozostawiano jednak języki: litewski, łotewski, francuski i niemiecki, jakkolwiek pisane cyrylicą. Przygotowano także cały szereg innych pomocy duszpasterskich i religijnych w języku rosyjskim. Były to: zbiorek pieśni

kościelnych przełożonych z języka polskiego na rosyjski (do śpiewu w tym języku przywiązywano wielkie znaczenie), książeczka do nabożeństwa, kazania na niedziele i święta itp.

Wprowadzenie „Triebnika” rząd uznał za sprawę bardzo ważną i podjął w tym celu stanowcze i konsekwentne działania. Rozpoczęło to trwającą przez kilkanaście lat walkę z administracją kościelną. Księża wierni Kościołowi byli prześladowani i pozbawiani urzędów. Dla swej akcji rząd carski pozyskał zresztą pewną część duchowieństwa spośród osób dążących do kariery, chciwych na pieniądze i lekceważących prawo kościelne (tzw. „księża rządowi” i „rytuałści”). Przewodził im administrator diecezji wileńskiej ks. prałat Piotr Żyliński. Za rusyfikacją nabożeństw opowiedziało się w tej diecezji 4 członków kapituły, 4 dziekanów i ok. 60 proboszczów lub wikariuszy. Natomiast 7 kanoników, 29 dziekanów i 600 proboszczów oparło się naciskom pomimo wielu ciężkich prób i utrapień¹. Sukces władz nie był więc w tym wypadku zbyt wielki. Ogół duchowieństwa potrafił stanąć w obronie prawa kościelnego i ludzkiego.

Dramatycznym aktem, który umocnił ducha i reakcję księży było publiczne spalenie na ambonie „Triebnika” przez proboszcza kościoła św. Rafała w Wilnie, ks. St. Piotrowskiego. Zapłacił za ten czyn zesłaniem na Syberię i wygnaniem, z którego już nie powrócił.

Duży sukces osiągnęły władze na terenie archidiecezji mohylowskiej, gdzie bp Staniewski, po początkowych zastrzeżeniach i odmowie, uległ presji i zaczął wprowadzać język rosyjski do nabożeństw dodatkowych. Aprobował nawet wprowadzanie go siłą.

Istniały duże różnice stanowisk wśród ówczesnych hierarchów polskich na ziemiach wschodnich. Świadczy o tym fakt, że bp łucko-żytomierski, Kasper Borowski, oparł się presji i zabronił używania „Triebnika”. Został za to skazany w 1869 roku na wygnanie do Permu, gdzie przebywał do 1882 roku. Zdecydowane stanowisko przeciwko wprowadzaniu „Triebnika” zajęła diecezja kowieńska, którą kierował bp M. Wołonczewski. Zdaje się jednak, że tu presja nie była tak bezwzględna, jak na Białorusi i Wołyniu.

1. Zob. W. Urban, *Ostatni etap dziejów Kościoła w Polsce przed nowym Tysiącleciem 1815-1965*. Roma 1966, str. 175. Przedstawiony tu zarys walki caratu z językiem polskim w Kościele katolickim oparty jest na powyższym opracowaniu.

Dyplomacja carska podjęła również starania u Stolicy Apostolskiej mające na celu pozyskanie jej dla swych dążeń wprowadzenia języka rosyjskiego. Jednakże dzięki prośbie wniesionej przez Polaków do Piusa IX Kongregacja Świętej Inkwizycji dekretem z 11 lipca 1877 roku odpowiedziała, że języka rosyjskiego nie wolno używać w nabożeństwach dodatkowych. W następnym roku Kongregacja Soboru wezwała ks. P. Żylińskiego do złożenia urzędu i poleciła mu, by wezwał do tego dwóch, znanych z gorliwości rusyfikacyjnej wizytatorów diecezjalnych. Ks. Żyliński nie posłuchał tego wezwania.

Według oceny Stolicy Apostolskiej przywrócenie języka polskiego, który został już w dużej mierze wyrugowany, stało się niemożliwe. Toteż przyjęto plan zastąpienia łaciną języka rosyjskiego. Wydane 29 kwietnia 1897 roku pismo Sekretariatu Stanu dotyczące diecezji mińskiej polecało zastąpienie „w całokształcie służby Bożej” języka rosyjskiego łacińskim. Bp Albin Symon, który w tym czasie objął rządy nad diecezją, wydał odpowiednie rozporządzenia. Zaczęli je wprowadzać w życie mianowani przez niego proboszczowie na długo dotychczas nieobsadzonych parafiach. Wywołało to ze strony administracji carskiej, ludności prawosławnej, a nawet „księży rządowych” niesłyszany alarm i interwencje u tronu imperatora. Mikołaj II w 1901 roku nakazał bpowi Symonowi opuścić granice państwa rosyjskiego i wykreślić go ze spisów duchowieństwa archidiecezji mohyłowskiej. Nastąpiło zaostrożenie inwigilacji i presji. Dopiero w 1902 roku udało się wyjednać pozwolenie na śpiew suplikacji po polsku.

Przedstawiona tu bardzo ogólnie i fragmentarycznie walka władz carskich z językiem polskim w Kościele rzymsko-katolickim oraz historia oporu duchowieństwa i ludności polskiej pozwalają nieco lepiej zrozumieć reakcje tej ostatniej na próby zastępowania obecnie w kościołach (choć na razie są to wypadki wyjątkowe) języka polskiego białoruskim, rosyjskim czy ukraińskim.

Dla bezpośredniego już wprowadzenia w interesujące nas tu zagadnienie dodajmy, że upadek caratu zmienił wprowadzić radykalnie sytuację na korzyść ludności polskiej, lecz była to zmiana chwilowa. Nowopowstała władza sowiecka miała bowiem zagrozić już nie tym czy innym uprawnieniom lub ortodoksji religijnej, lecz w ogóle samemu istnieniu instytucji kościelnych. W ciągu kilkunastu zaledwie lat, przy zastosowaniu terroru, więzień, łagrów i deportacji władze bolszewickie zlikwidowały całą, budo-

waną od 600 lat strukturę Kościoła na dawnych ziemiach I Rzeczypospolitej oraz Wielkiego Xięstwa Litewskiego i praktycznie na terenie całego ZSSR. Pozostały jedynie obsługiwane przez księży cudzoziemców dwa kościoły katolickie w Moskwie i Leningradzie².

Gdy po drugiej wojnie światowej znalazła się pod władzą sowiecką jedna trzecia terytorium państwa polskiego z istniejącą tam od kilkuset lat organizacją kościelną i ok. 4 milionami katolików obrządku łacińskiego, powstał dla tej władzy nowy problem o charakterze religijno-kościelnym. Zaczęto go rozwiązywać podobnymi, lecz nie tak bezwzględnie stosowanymi metodami jak w okresie międzywojennym. Ponieważ rozważania te nie mają charakteru historycznego, wystarczy stwierdzić, że z ok. siedmiuset (łącznie) parafii na terenach archidiecezji wileńskiej (tej części, która została włączona do Białorusi), pińskiej (137 parafii w 1937 roku), łuckiej (133 parafii), lwowskiej (407 parafii) oraz więcej niż dwukrotnie wyższej liczby księży — pozostało w chwili obecnej ok. 100 parafii ze stałymi lub dojazdowymi duszpasterzami³.

Zjawiskiem zupełnie nowym jest powstanie po 1945 roku, nielicznych zresztą, parafii polskich za Zbruczem (przedwojenna granica Polski z ZSSR). Ich liczba wzrosła znacznie w latach 70-tych i obecnie sięga około 40 placówek ze stałą lub dojazdową obsługą duszpasterską. Powstały one w oparciu o samorzutnie otwierane przez ludność w czasie okupacji niemieckiej kościoły w obecnych obwodach chmielnickim, winnickim, żytomierskim i innych. Analogiczne fakty miały miejsce na Białorusi, ale tu, co ciekawe, nie utrzymała się po 1945 roku ani jedna placówka. Jeśli Białoruś i Ukraina posiadają dziś — szczątkową zresztą — sieć parafii, to nie mają żadnej oficjalnej hierarchii kościelnej. Staje się to coraz bardziej palącym problemem duszpasterskim i religijnym w ogóle.

2. Ks. Wł. Cieński w relacji dla ambasadora RP w ZSSR z grudnia 1941 roku podaje, że do lipca 1939 roku czynny był także Kościół katolicki w Taszkencie (Tadżykistan). Proboszczem był tam ks. Józef Sawiński. Aresztowano go dopiero w lipcu 1939. Instytut im. gen. Wł. Sikorskiego, Londyn. Akta Ambasady RP w ZSSR A7 1/28. Zapewne marginesowa rola społeczna tego Kościoła w odległym Tadżykistanie sprawiła, że tolerowano go tak długo.

3. W PRL znalazła się niewielka część parafii archidiecezji wileńskiej oraz diecezji pińskiej i lwowskiej, które łącznie dysponują obecnie około 130 placówkami. Część z nich powstała już po drugiej wojnie światowej. W ZSSR pozostało też 7 parafii diecezji łomżyńskiej.

I. ZAGADNIENIE JĘZYKA W DUSZPASTERSTWIE NA BIAŁORUSI I UKRAINIE

Ponieważ władza sowiecka także po drugiej wojnie światowej nastawiona była na likwidację Kościoła katolickiego, nie interesowała się bliżej kwestią języka używanego w duszpasterstwie. W ciągu ostatnich kilkunastu lat zaznaczyła się jednak na omawianych tu terenach zmiana dawnych metod polityki władz w stosunku do Kościoła. Nie będziemy tu analizować bardzo interesujących skądinąd przyczyn tych zmian i ich zasięgu. Poprzestaniemy na stwierdzeniu, że widoczne są one na Białorusi, np. w zatwierdzaniu, po uciążliwych zresztą i nierzadko przykrych staraniach komitetów parafialnych, nowych księży, po śmierci dotychczasowych. Pochodzenie tych księży i ich droga do święceń kapłańskich bywa bardzo różna. Niektórzy z nich ukończyli seminarium duchowne w Rydze lub Kownie (biskupi litewscy tylko wyjątkowo godzą się na pracę swych księży poza Litwą), inni uczyli się teologii prywatnie i zostali wyświęceni potajemnie⁴. Wśród tej ostatniej części księży, obok osób na wysokim poziomie, są również ludzie, których postawa moralna i kwalifikacje umysłowe nasuwają poważne zastrzeżenia. Władze potrafią doskonale wykorzystać te sytuacje. Wydaje się, że tu również kryje się jeden z elementów ich nowej, długofalowej polityki w stosunku do Kościoła katolickiego.

Narastający coraz wyraźniej bardzo drażliwy problem języka w duszpasterstwie w kościołach rzymsko-katolickich na Białorusi i Ukrainie ma kilka zbiegających się w czasie przyczyn. Są to: wprowadzenie po II Soborze Watykańskim języków narodowych do liturgii zamiast łaciny; wymieranie księży, którzy jeszcze przed wojną kończyli studia i czuli się Polakami; słaba — na ogół — znajomość języka polskiego u pewnej części nowego pokolenia księży; różne ich pochodzenie narodowe lub też różna świadomość narodowa; nieznajomość języka polskiego u wielkiej części powojennego pokolenia katolików na Białorusi oraz wśród dużego procentu ogółu wiernych za Zbruczem.

Zwłaszcza te ostatnie fakty skłaniają niektórych księży najmłodszego pokolenia do częściowego używania w kościele języka

4. Przykładem niezwyklej drogi do kapłaństwa na Białorusi może być fakt, że jeden z młodych ludzi, katolik obrządku łacińskiego, nie mogąc dostać się do seminarium katolickiego ukończył seminarium prawosławne, otrzymał święcenia i pracuje obecnie w katolickiej parafii Boruny k. Oszmiana. Objął ją przed kilku laty, po śmierci ks. St. Kozłowskiego.

rosyjskiego lub ukraińskiego, ze względów czysto duszpaster-
skich. Głównym elementem, który się coraz wyraźniej zaczyna
zaznaczać, jest zainteresowanie władz sowieckich problemem języ-
ka w kościołach rzymsko-katolickich.

Po tym obszernym wstępie, użytecznym, jak się wydaje, ze
względu na bardzo małą znajomość poruszanej tu problematyki,
zobaczmy jak aktualnie wygląda problem języka w duszpaster-
stwie na Białorusi i Ukrainie.

1. *Białoruś*

Od upadku caratu i powrotu do języka polskiego w nabożeń-
stwach dodatkowych nie było — jak się zdaje — na omawianych
tu terenach Białorusi żadnych poważniejszych incydentów w tym
względzie. Zjawiskiem zupełnie nowym stało się wprowadzenie
w latach 60-tych przez ks. Władysława Czerniawskiego w Wisz-
niewie k. Swira, w części archidiecezji wileńskiej włączonej do
Białorusi (obw. miński, rejon Wołożyn) — języka białoruskiego
najpierw do kazań, a później do całej liturgii prowadzonej przez
duszpasterza. Pierwsze takie kazanie było zaskoczeniem i szo-
kiem dla wiernych, którzy w komplecie (poza kilkoma starszymi,
głuchymi kobietami) na czas kazania opuszczali kościół. Wprowa-
dzenie języka białoruskiego do liturgii w oparciu o teksty przy-
gotowywane (tłumaczone) przez ks. Czerniawskiego bardzo pogłę-
biło konflikt między nim a parafianami. Tym bardziej, że ze
strony proboszcza wprowadzanie języka białoruskiego nie ogra-
niczyło się do terenu kościoła. Toteż w ostatnich latach konflikt
ten przybrał formy rażące i przykre dla parafian Wiszniewa i lud-
ności z okolicznych, zlikwidowanych parafii, korzystających z
kościoła w tej miejscowości.

Z długiej listy ogólnie znanych wypadków można tu przyto-
czyć niektóre, stosunkowo mniej przykre:

— Młode pary zgłaszające się na egzamin przedślubny ze zna-
jomości głównych prawd wiary i pacierza, gdy ten ostatni rozpo-
czynają po polsku, są bez pardonu wyprasane z plebanii. Część
z nich po tym przeżyciu nie bierze ślubu kościelnego, inni za-
wierają go gdzie indziej. Niektórzy udają się w tym celu aż do
Wilna, jadąc 100 km i więcej, by uniknąć przykrości na miejscu.
Należy dodać, że pacierz w języku polskim jest tu odwieczną
tradycją.

— Wszyscy spowiadający się po polsku są głośno besztani

i mogą nie otrzymać rozgrzeszenia. Ponieważ przygotowanie dzieci do spowiedzi odbywa się zwykle w tym języku, wielu młodych ludzi nakłanianych przez rodziców by przystąpili do niej przed pójściem do wojska naraziło się na odrzucenie ich od konfesonatu, gdy zaczęli się spowiadać po polsku. W wielu wypadkach zraziło ich to na długo do Kościoła.

— Ponieważ kazania niedzielne są od lat często raczej przekonywaniem do białoruskości, niż nauczaniem wiary, oddala to wiele osób od nabożeństw w kościele. Ten sam skutek w wielu wypadkach wywołuje język białoruski w liturgii, której teksty zostały przetłumaczone, jak wspomniano, przez samego duszpastera z miejscowego. Komentarze, mimowolny śmiech i wychodzenie z kościoła powoduje szczególnie zwrot przed Komunią św., gdy celebrans wypowiada po białorusku ostatnie słowa zdania mówiącego, że błogosławieni są ci, którzy wezwani zostali na „bankiet Jagniaci”. Zwrot ten jest zapewne równie dobry jak analogiczny polski, lecz reakcja parafian jest taka a nie inna. Dodajmy, że podczas wizyty na plebanii również nie wolno odzywać się po polsku.

Postępowanie ks. Czerniawskiego nacechowane niewątpliwie fanatyzmem językowym spotyka się od lat z bardzo negatywną reakcją i oceną ludności katolickiej. Wobec braku hierarchii kościelnej na Białorusi usiłuje ona szukać pomocy u księży w Wilnie, lecz nie może jej otrzymać, gdyż ks. Czerniawski jest władzą samą dla siebie.

Trzeba zanotować choć kilka skarg i wypowiedzi, których wiele słyszy się w Wiszniewie i okolicy. Nie ma potrzeby ich komentować: „kto taki Białorusin, niech jedzie za Berezynę, a tutaj ludzi nie śmiesz i Bogu nie grzeszy”; „my możemy, jak przyjdzie, daleko chodzić do kościoła, ale żeby nas rusyfikować, tego nie możemy dopuścić”; „myśmy wytrwali przy wierze katolickiej dlatego, że przy języku i przy polskości wytrwali, a kto u nas od polskości odszedł, to i od wiary odszedł”.

Działalność ks. Czerniawskiego ma od samego początku bardzo dyskretne poparcie władz sowieckich. Dzięki niemu mógł on być w Rzymie w latach 70-tych, zapewne z zamiarem szukania tam błogosławieństwa dla swych wysiłków u władz kościelnych. Ostatnio wyrazem tego poparcia jest krótkometrażowy, kolorowy film (20 minut) pt. „Katoliczeskaja Cerkow w Sowietkom Sojuzie”, nakręcony przez „Lenfilm” (z Leningradu). Ma on charakter propagandowy i obliczony jest dla widza zachodniego

(podobno już jest propagowany na Zachodzie), którego pragnie przekonać o istnieniu wolności religijnej w ZSSR.

Rozpoczyna się obrazami z Wilna. Ukazuje kościół św. Rafała, procesję, kościół na Zwierzyńcu i rozmowę z jego proboszczem, ks. Stanisławem Lidisem. Pokazuje przyjazd biskupa do jednej z parafii wiejskich na Litwie, bierzmowanie, modlitwę dzieci w kościele oraz wigilię w rodzinie polsko-litewskiej, w której matka jest z pochodzenia Polką (dialogi prowadzone są po litewsku). W filmie jest także migawka z Ukrainy ukazująca ślub młodej pary w kościele. Panna młoda jest Polką i ma na imię Władysława. Przysięga małżeńska wypowiedzana jest po polsku, lecz w fatalnej polszczyźnie. Najważniejszym fragmentem filmu zdaje się jednak być jego część poświęcona ks. Wł. Czerniawskiemu. Występująca w nim starsza pracownica kołchozu mówi, jak to dobrze, iż jest tu ks. Czerniawski, który przetłumaczył liturgię na język białoruski. Popiera to konkretnym przykładem swego zięcia, który niegdyś nie chodził do kościoła, bo nie rozumiał po polsku, ale teraz chodzi, bo wreszcie wszystko rozumie. W dodatnim świetle ukazany został także sam ks. Czerniawski mówiący po białorusku.

Film nie tylko udowadnia tezę o wolności religijnej na Litwie i gdzie indziej, lecz także sugeruje wyraźnie argumenty za przechodzeniem w liturgii na język białoruski ze względów duszpasterskich. Autorzy filmu troszczą się więc o duchowe dobro wiernych i Kościoła na Białorusi. Że jest to troska szczególnego rodzaju, świadczy wymownie fakt, iż dwa miliony katolików nie mają tu od z górą 40 lat możliwości nabycia najmniejszej choćby książeczki do nabożeństwa. Przede wszystkim jednak film jest pierwszym, o ile wiadomo, dowodem oficjalnego zainteresowania i poparcia władz sowieckich dla wprowadzenia języka białoruskiego do Kościoła katolickiego na Białorusi.

Nieco innym, niż wyżej ukazany, choć także nowym problemem językowym jest wprowadzanie — na razie tylko do kazań — języka rosyjskiego przez ks. Władysława Petraitisa w dużej parafii jaką są Miory (również w tej części archidiecezji wileńskiej, która została włączona do Białorusi). Po śmierci ks. Jana Grabowskiego (5 maja 1985 roku) parafia pozostawała przez kilka miesięcy bez duszpasterza. Brak danych co do tego w jaki sposób, dzięki staraniom komitetu parafialnego, udało się pozyskać dla Mior nowego księdza. Liczący 32 lata ks. Wł. Petraitis (Litwin o rodzinnych tradycjach polskich) był uprzednio przez pewien czas w seminarium duchownym w Kownie. Był zmuszony

je opuścić z woli władz kościelnych, w niezwyklej okolicznościach. Świecenia otrzymał potajemnie. Niemniej zatwierdzony został przez władze sowieckie na stanowisko proboszcza w Miorach i rozwinął tu bardzo energiczną działalność duszpasterską, zyskując uznanie parafian.

Jej dowodem jest odnowienie siedmiu dawnych chorągwi kościelnych, ożywienie bractwa franciszkańskiego kobiet i mężczyzn (ok. 50 osób), które w tradycyjnych habitach występuje w procesjach wokół kościoła, odnowienie i uświetnienie tychże procesji, które w oczach parafian mają duże znaczenie, przyciągnięcie do Kościoła dużej części młodzieży i wreszcie zbudowanie w sierpniu 1986 roku plebanii. To ostatnie wydarzenie jest na Białorusi wydarzeniem tak niezwykle, że aż dziwnym. Ks. Petraitis uzyskał na własną prośbę działkę pod budowę od władz i dzięki spontanicznej pomocy parafian pracujących niemal dzień i noc (mężczyzn, kobiet i dzieci) zbudowana została w krótkim czasie piętrowa plebania z garażami i dużymi pomieszczeniami⁵. Ludzie są zdumieni odwagą księdza, a jednocześnie zaniepokojeni, gdyż publicznie zapowiedział, że nie będzie u niego potajemnych chrztów, ślubów, bierzmowań i komunii św. Te ostatnie mają się od 1987 roku odbywać oficjalnie i grupowo, jak bywało kiedyś. W tym wypadku powołał się na Konstytucję ZSSR, która gwarantuje wolność sumienia i praktyk religijnych.

Jednakże radość parafian ze wspomnianych wydarzeń i energicznej pracy księdza bardzo mocno mąci fakt mówienia kazań w języku rosyjskim w kościele i na cmentarzu z okazji pogrzebów. Od początku do chwili obecnej (sierpień 1986) było to przyczyną nasilających się konfliktów, w które wpłątana została również władza sowiecka.

Początkowo grupy ludzi udawały się do księdza z prośbami, żeby nie mówił kazań po rosyjsku. Słyszeli wtedy odpowiedź: „Ja nie znam dobrze języka polskiego i nie lubię go. Póki się go dobrze nie nauczę, będę mówił po rosyjsku”. Ponieważ ksiądz na co dzień mówi po polsku, odpowiedź ta nie była przekonująca. Tym bardziej, że jakkolwiek msze odprawiane są po łacinie, to nabożeństwa dodatkowe ksiądz odprawia po polsku.

Ponieważ język rosyjski w kościele w Miorach wywołał duże poruszenie i niezadowolenie, a na prośby ludzi ksiądz nie zareagował, zaczęto szukać innej rady. Delegacja parafian udała się

5. Tak budowano w tych stronach, m.in. i w samych Miorach, kościoły po ukazie tolerancyjnym z 1906 roku. Jako budowniczy włączył się tu wówczas ks. Józef Borodicz. Jego pamięć jest w Miorach nadal żywa.

do ks. Kuczyńskiego, proboszcza w Szemiatowszczyźnie (archidiecezja wileńska — Białoruś), który uchodzi za duchownego mającego nieoficjalną, ale faktyczną władzę biskupią. Ks. Kuczyński przyjechał do Mior i w kościele z ambony wypowiedział następujące polecenie: „zarządzam, by obecny tu ks. Władysław Petraitis mówił kazania po polsku, jak było za naszych dziadów i pradziadów”. Ponieważ ks. Pranaitis nie spełnił tego polecenia, grupa parafian wysłała list do republikańskiego „czerwonego biskupa” w Mińsku (częste określenie wyższego urzędnika sowieckiego do spraw kultu, mającego w tej dziedzinie bardzo dużą władzę) w tej samej sprawie. W sierpniu 1986 roku ks. Pranaitis podał z ambony, że był wzywany do Mińska i że trzymano go parę godzin. Powiedziano mu — jak stwierdził — że rozwija za dużą działalność i że jeśli tak będzie dalej, to długo w Miorach nie zabawi. Czy w rozmowie była poruszana sprawa języka rosyjskiego i skargi w tej sprawie, ksiądz nie powiedział.

Groźba o odebraniu księdzu prawa pracy w Miorach jest zapewne skutecznym argumentem przeciwko wszelkim skargom ludzi. Trzeba pamiętać, jak niesłuchanie trudnym problemem jest znalezienie księdza i zatwierdzenie go w parafii na Białorusi.

Niezadowolenie z języka rosyjskiego w kościele przejawia się w Miorach (brak danych z ostatnich trzech miesięcy) w szemraniu i narzekaniu ludzi między sobą. Ma to, jak dotychczas, i ten skutek, że budzi świadomość polską u młodego pokolenia parafian odciętego od kultury polskiej i ulegającego rusyfikacji.

Niech wybaczą bracia Białorusini, ale trudno zamykać oczy na fakty w tej niesłuchanie skomplikowanej dziedzinie, jaką jest stosunek do języka polskiego i białoruskiego na tych terenach. Otóż jest rzeczą dobrze znaną od wielu pokoleń, że na Białorusi w życiu codziennym miesza się język polski i białoruski z przewagą lub eliminacją jednego lub drugiego w zależności od rodziny i miejsca rozmowy. Ale w odczuciu przytłaczającej większości lub nawet ogółu ludności katolickiej, w kościele powinien panować język polski. Odzywają się tu zapewne echa walki w obronie języka polskiego w nabożeństwach dodatkowych za caratu, działają odwieczne formuły modlitewne w tym języku, wpływa prestiż dawnej kultury dworów polskich, a ostatnio jeszcze i inne czynniki. Należy do nich promieniowanie silnego Kościoła katolickiego w Polsce, wielki pontyfikat Papieża Polaka i trudne do wyrażenia, lecz ciągle odczuwane nadzieje zmiany na lepsze w dziedzinie religijnej, wiązane nie z Rosją czy Białorusią, lecz z Polską.

Tu pozwolę sobie na dłuższą, lecz rzucającą na omawiane tu sprawy pewne światło dygresję. Gdy w 1945 roku okazało się, że tereny od Dźwiny do Lwowa i dalej przypadają Sowiетom, ludzie z rozpaczы rozbijali siekierami trzymane w ukryciu radia, z których czerpali w czasie wojny nadzieję na powrót państwa polskiego. Przez kilka lat czekano na wybuch nowej wojny. Nowe nadzieje rozbudził Chruszczow. A stare i średnie pokolenie czeka nadal na powrót do Polski, choć nie wie w jaki sposób. „*Polska wiernuijutsia*” słyszy się w rozmowach z gośćmi z Polski (nie „*Polsza*”, bo to po rosyjsku). Od lat wita się tu ich słowami: „Przyjechałeś i Polski nam nie przywożesz”. Czy się nie rozczarują, jak kiedyś Polacy znad Berezyny?

Na weselach śpiewa się wciąż polskie piosenki uroczyste, z krzyżem stawianym na radiu słucha się mszy św. po polsku z Watykanu lub z Gdańska (ta z Warszawy jest niesłyszalna). Minął już okres, kiedy strach zamykał ludziom usta i kołchoźnicy nie ukrywają już swojej wiary. Gdy na zebraniu z okazji Nowego Roku lub 1 maja *predsiedatiel* czyni komuś uwagi, że należy do partii, a w domu ma ikony (obrazy) słyszy odpowiedź: „*Ja wierujuszczy. Ja chadził w Kastioł i budu chadit'. Ja wierił w Boha i budu wierit'. Ja rabotał charaszo i budu rabotał' charaszo*”. W tej chwili kościoły na Białorusi są przepełnione (co prawda jest ich bardzo mało) i młodzieży jest w nich więcej niż kiedykolwiek.

Pomimo bardzo silnej propagandy antypolskiej w terenie („Polacy nie chcą pracować i my musimy ich żywić”) zainteresowanie Polską na Białorusi nie słabnie i ludzie wiedzą o niej dużo z radiostacji zachodnich.

Wracając do Mior należy stwierdzić, że wprowadzenie języka rosyjskiego do kościoła poruszyło bardzo głęboko emocje i umysły parafian. Wyrażają to w różny sposób. Oto bardzo fragmentaryczna lista powtarzanych teraz zdań i opinii, wypowiedzianych z różnymi odcieniami żalu, kpiny, złości czy buntu.

„*Ad Kul brał sia batiuszka w Kościele*”; „w cerkwi to może być po rosyjsku, bo to jest prawosławie, ale nie w kościele”; „mój dziad i ojciec byli Polakami, a że mnie zapisali Białorusiem, to nieważne”; „Kościół to jest polski, a nie ruski”; „to nie *batiuszka*, żeby się do nas w kościele po rosyjsku odzywał”; „ja się wtedy dobrze czuję, jak słyszę polski język w kościele i jak ksiądz się po polsku modli”. Młodzież, która nie została jeszcze zsowietyzowana też mówi, że woli po polsku, „bo to kulturalniejszy język, a po rosyjsku, to tak, jak w cerkwi”.

Zarówno w wypadku działalności ks. Czerniawskiego, jak i w Miorach występuje bardzo mocno fakt odbierania języka białoruskiego i rosyjskiego w kościele jako elementu obcego i rażącego. Jest to i dlatego interesujące, że pokazuje, iż kilkusetletnie przecież sąsiedowanie na co dzień języka polskiego z białoruskim i rosyjskim na tych ziemiach, pomimo tylu cierpień i strat (a może dzięki nim?) w niczym nie zatarło zawsze tak ostro zaznaczającej się odrębności narodowej i wyznaniowej w życiu religijnym. Wyrażają ją nadal łacina i język polski. Brutalne naciski rusyfikacyjne w XIX wieku granicę tę jeszcze bardziej pogłębiły i umocniły.

Nietrudno zauważyć, że omawiane tu zmiany językowe dotyczą czegoś bardzo istotnego i zarazem bolesnego u ludzi. Dlatego spotykają się ze spontaniczną reakcją obronną, której odnośni księża zdają się nie rozumieć.

Ks. Pranaitis w Miorach na zarzuty parafian odpowiada pozornie logicznym argumentem: „którzy ludzie są prawdziwej wiary, to nie odstąpią, chociaż będzie inny język niż dawniej”. Zakładając dobrą wiarę w działaniu księdza wbrew prośbom i protestom parafian trzeba stwierdzić, że nie rozumie on, iż chodzi tu o dużo więcej niż o język. Jest to bowiem krok w kierunku zmiany całej kultury w ogóle, poczynając od tej, która sięga najgłębiej w psychikę ludzką, to znaczy religijnej, a którą język symbolizuje i wyraża. W odczuciach ludzi w grę wchodzi nie tylko sprawa wiary, lecz i zmiana ich duchowej tożsamości, jakkolwiek to ostatnie określenie tu nie pada (na Białorusi nie słychać o inteligencji katolickiej). I to jest niewątpliwie, obok zagadnienia katolicyzmu na Białorusi — zasadniczy powód dyskretnego, jak dotychczas, lecz coraz bardziej widocznego zainteresowania sowieckich władz problemem języka polskiego w Kościele.

Zdają one sobie dobrze sprawę z faktu, że język polski w nauczaniu kościelnym ogranicza jego zasięg, gdyż duża część młodzieży go nie rozumie. Lecz doskonale wiedzą także, iż wprowadzenie języka białoruskiego czy rosyjskiego do kościołów byłoby bardzo skutecznym działaniem rozbijającym od wieków na tych terenach istniejący niezwykle trwały stop katolicyzmu i polskości, które to elementy wzajemnie się ożywiają i wspierają w wyniku silnych, historycznych uwarunkowań. Rozumie się to lepiej, gdy się na dzisiejszej Białorusi, w Brasławiu, Miorach czy Głębokim słucha śpiewanych, jak przed wiekami, godzinek, nieszporów, dawnych i nowych pieśni kościelnych, żałobnych nabożeństw po

domach z okazji pogrzebu, czy oglądając z pietyzmem przechowywane, a nieraz przepisywane ręcznie polskie książeczki do nabożeństwa. To wszystko w tym samym od wieków, choć niekiedy pełnym błędów języku, stanowi niejako duszę tego opuszczonego ludu, którą on tylko sam ma prawo, jeśli chce, zmienić!

Język polski w dzisiejszej Rosji z reguły ukrywa się w urzędach i w pracy, a niekiedy i gdzie indziej. Dlatego tym bardziej nabiera on na znaczeniu w Kościele. Zapisywani jako Białorusini Polacy w starszym wieku mówią niekiedy: „Nie mamy ojczyzny, a nasze dzieci tym bardziej jej nie mają”. Wydaje się, że w tych warunkach duchową ojczyzną staje się Kościół.

W parafii G. na Białorusi, obejmującej jedno z dawnych powiatowych miast archidiecezji wileńskiej, stosunkowo młody jeszcze ksiądz W.Z., mający za sobą pracę duszpasterską na różnych placówkach, z których był przez władze państwowe wydalany, gdyż powodował odrodzenie religijne, głosi piękne kazania w języku polskim w niedzielę i każdego dnia w tygodniu. Mówi powoli, wyraźnie, inteligentnie. W ciągu paru miesięcy zdobyły one sobie taką sławę, że przyjeżdżają słuchać ich ludzie spod Wilna, Połocka, Witebska, a nawet z dalszych stron. Niemało jest wśród nich młodzieży. Wszyscy mówią, że jadą posłuchać pięknej nauki religijnej i języka polskiego. Wywołało to oczywiście zainteresowanie władz sowieckich i trzeba śledzić dalsze losy tego dzielnego i gorliwego kapłana.

Omawiane próby wprowadzania języka rosyjskiego do kazań są negatywnie oceniane przez ogół pracujących tutaj duszpastery. Uważają oni, że jest to krok w kierunku coraz bardziej obejmującej tutejsze życie rusyfikacji (a nie białorutenizacji) i że bez języka polskiego Kościół katolicki w tej chwili utrzymać się na Białorusi nie może. Dlatego przychodzący tutaj księża muszą go znać. Kościół nie jest powołany do potrzymania wartości narodowych (choć i tej sprawie pośrednio służy), ale jest ustanowiony dla głoszenia i zachowania wiary. Tak się składa, że obecnie służy temu na Białorusi polska kultura religijna. Zmiany w tej dziedzinie nie mogą być narzucane siłą.

Po wyborze Jana Pawła II Białorusin z Polski obrządku wschodniego, ks. bp Sípowicz (rezydujący w Wielkiej Brytanii) pisał, że przedwojenna administracja i kościelna hierarchia polska nie dopuszczały języka białoruskiego do kościołów i wyrządzały w ten sposób krzywdę Białorusinom (*Kultura* nr 10/1979, str. 98-99). Być może ks. bp Sípowicz ma rację. Nie podaje jednak, kto był promotorem wprowadzenia języka białoruskiego i jaki był

stosunek ludności do tej inicjatywy, co w tym wypadku jest sprawą istotną. Zadaniem duszpasterzy, niezależnie od ich osobistych przekonań narodowych, jest przecież nie budowanie Kościoła polskiego czy białoruskiego, lecz odpowiadanie na duchowe potrzeby wiernych. I tylko respektowanie tej zasady może ocalić duchowe dobro Kościoła i religii, zwłaszcza w warunkach panujących na Białorusi.

Rozwiązywanie ukazanych tu problemów, jak i wszystkich innych zresztą, związanych z istnieniem Kościoła na omawianych tu terenach, a szczególnie tak niesłychanie ważnej kwestii, jaką jest sprawa kwalifikacji moralnych i umysłowych zgłaszających się tu do pracy księży, niesłychanie utrudnia lub wprost uniemożliwia brak wykonującej władzę jurysdykcyjną miejscowej hierarchii kościelnej. Stało się to obecnie problemem o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości Kościoła na tych ziemiach. Jest to już jednak osobne zagadnienie, którym należy się zająć.

Podsumowując rozważania dotyczące sporów językowych wypada przypomnieć, że w przytłaczającej większości 88 parafii obsługiwanych obecnie przez aktualnych proboszczów zarówno liturgia mszy św., jak nabożeństwa dodatkowe i nauczanie odbywa się tradycyjnie w języku polskim. W kilkunastu kościołach bez księży wierni modlą się także wyłącznie w tym języku.

2. *Ukraina*

Powyższy tytuł nie oznacza, że będzie tu mowa o całej dzisiejszej republice Ukrainy. Chodzi tu jedynie o jej część między Zbruczem a Dnieprem, gdzie podczas okupacji niemieckiej, dzięki spontanicznemu zrywowi polskiej ludności katolickiej, została otwarta i udostępniona dla kultu pewna część kościołów zamkniętych przez władze sowieckie w okresie międzywojennym. Rozpoczęła w nich pracę duszpasterską pewna grupa księży przybyłych z Polski.

Wydarzenia te, niezależnie od ich zasięgu, miały doniosłe znaczenie dla przyszłości. Pozwoliły bowiem na zachowanie, jakkolwiek za cenę ciężkich ofiar, pewnej liczby otwartych kościołów po zakończeniu wojny, na terenie obwodów chmielnickiego (Płoskirów), żytomierskiego, winnickiego i kijowskiego. Kilkuosobowa najpierw grupa księży uprzednio tutaj aresztowanych, a później uwolnionych z łagrów i więzień — rozpoczęła pracę duszpasterską. Było to możliwe dzięki niesłychanie ofiarnym stara-

niom i wyrzeczeniom wiernych. Na tej samej drodze poszerzał się stopniowo „stan posiadania” katolików, gdy chodzi o placówki duszpasterskie. Stopniowo przybywało także w różny sposób księży. W tej chwili na terenie w/w obwodów istnieje już około 40 placówek, wliczając w to kościoły, do których księża regularnie dojeżdżają, niekiedy do dużej liczby parafian (np. w Zwiahlu na przyjazd księdza zbiera się od 1-2 tysięcy ludzi).

Ze względu na małą znajomość poruszanych tu zagadnień warto podać listę wspomnianych placówek. Ukazuje ona stan z 1986 roku.

1. *Chmielnickaja obłast'*

1. Hołozubińce
2. Derażnia
3. Hreczany
4. Gródek i placówka dojazdowa Nowogwardyjsk (Felsztyn)
5. Kamieniec Podolski, pl. dojazd. Kitajgród
6. Manikowce, pl. dojazd. Struga i Minkowce
7. Połonne i pl. dojazd. Sławuta.

2. *Winnickaja obłast'*

1. Bar, pl. dojazd. Żmerynka
2. Chmielnik, pl. dojazd. Dzierżonówka, Listopadówka (Bogudzińska)
3. Czerniowce, pl. dojazd. Kopijówka
4. Łuczyniec, pl. dojazd. Śnitków, Wierzbowiec.
5. Horodkiwka (Miastkówka), pl. dojazd. Czeczelnik
6. Szargorod (Szarogród), pl. dojazd. Brahiłów
7. Winnica, pl. dojazd. Granów
8. Żdanow (Murafa), pl. dojazd. Krasne, Mołczany.

3. *Żytomierska obłast'*

1. Berdyczów, pl. dojazd. Nowograd Wołyński (Zwiahel), Nowy Zawod, Słobódka, Michajłówka
2. Żytomierz, pl. dojazd. Lebiediówka, Pokostówka.

Powyższe placówki obsługiwało w 1986 roku 18 księży. Należałoby do nich dodać polskie parafie w Kijowie, Odessie i

Czerniowcach, jakkolwiek są to już inne obwody. Łączy je jednak używanie tego samego języka.

Ponieważ do niedawna jeszcze duszpasterzami byli głównie księża pochodzący z Polski lub młodszy od nich księża z Łotwy lub Ukrainy, wychowani często w polskich środowiskach parafialnych i znający na ogół dobrze język polski, cała liturgia i oficjalne nauczanie w kościele prowadzone było w tym języku. Władza sowiecka od czasu do czasu poruszała ten problem w rozmowach z księżmi. Pytano, dlaczego w kościołach na Ukrainie panuje wciąż język polski. Odpowiedź była zwykle następująca: „Dajcie nam księgi liturgiczne po ukraińsku, będziemy mieć wtedy całą młodzież w kościele”. Odpowiedź ta kończyła rozmowę na temat języka w duszpasterstwie. Perspektywa zwiększonego zainteresowania młodzieży Kościołem nie była dla władz zachęcająca. Nie pozostawiały one jednak tej sprawy odłożeniem, jak świadczy o tym szereg różnych, na pozór nieważnych pociągnięć i decyzji. I tak, z dawnych, przechowanych przez ludzi w czasie prześladowań bolszewickich, chorągwi wynoszonych na przykościelne procesje, KGB poleciło usunąć dawne napisy w języku polskim. Zabroniono też śpiewać apel jasnogórski zawierający słowa „Maryjo, Królowo Polski” i wymieniać wezwanie w odmawianej tu często litanii do Matki Boskiej (niektórzy księża tego nie respektują).

Przed ukazaniem aktualnych problemów językowych w Kościele rzymsko-katolickim na terenach Ukrainy warto przypomnieć, że w przeciwieństwie do wspomnianych wyżej ziem należących dziś do ZSSR w republice białoruskiej, pozostawały one poza Polską w okresie międzywojennym. Na dużej ich części ludność polska mogła jednak, niekiedy do połowy lat 30-tych, korzystać ze szkółek polskich (czy raczej polskojęzycznych) i podobnej prasy. Podtrzymało to u niej część dzisiejszych wiernych znajomość języka polskiego. Niezależnie jednak od tego i tu i na Białorusi łatwo jest stwierdzić istnienie charakterystycznego dualizmu językowego. W codziennym życiu świeckim używa się zwykle języka ukraińskiego lub rosyjskiego. Natomiast w kościele i w modlitwie w domu panuje język polski. W nim wyraża się kultura religijna, a więc codzienny pacierz, różaniec (bardzo popularny i ceniony przez ludność), nabożeństwa żałobne w domu, na cmentarzu i w kościele, Droga Krzyżowa, nabożeństwa majowe, czerwcowe itp. Polskojęzyczna długowieczność tych modlitw oraz bliskie pokrewieństwo języka polskiego i ukraińskiego sprawia, że wszyscy je doskonale rozumieją i większość ich elementów doskonale zna na pamięć. Mało zrozumieli

jest natomiast dla ludności wiejskiej polski język literacki. Można jednak łatwo stwierdzić, że kazania mówione prostym językiem polskim są doskonale rozumiane i słuchacze na nie żywo reagują.

Mówiąc o sytuacji języka polskiego na Ukrainie nie można również pominąć faktu, że, podobnie jak na Wileńszczyźnie i Białorusi, dawna kulturalna siła polskości, mająca niegdyś oparcie w wyższych warstwach społecznych zachowała i tu jeszcze pewien prestiż i znaczenie. Tym razem muszę prosić braci Ukraińców o wyrozumiałość w stosunku do tego, co tu podam, lecz takie są fakty. Otóż jeden z młodych księży pracujących dziś na Ukrainie opowiadał mi przed kilku laty, że chodząc jako mały chłopiec na tajną naukę katechizmu na wsi nie zastał kiedyś swej nauczycielki i zaczęła rozmawiać z nim jej matka — *„Detyno, mówiła, my tut hriszni i bidni rozmawlájemo na muzyćkij mowi, a w nebi Boh z Anhełamy rozmawlaje tylky po polsky”*.

Język polski był więc i w wielkiej mierze pozostał tu nie tylko środkiem komunikacji treści religijnych, ale także symbolem sięgających głęboko w umysły i odczucie duchowych wartości. Wymowny jest także inny fakt. Podczas okupacji niemieckiej Polacy w Żytomierzu otworzyli zamkniętą tu katedrę, wyrzucili z niej złożone tam jakieś archiwa sowieckie i czekali na księdza. Przybył ks. Dobrzyński, lecz Ukraińcy jako warunek pracy postawili używanie w kościele języka ukraińskiego. Ksiądz ogłosił to ludziom. I wówczas, choć witano go na kolanach i gorącymi łzami radości, wszyscy zebrani oświadczyli: „To lepiej niech ksiądz idzie stąd gdzie indziej. My sami będziemy się modlić”.

Dziś rodzice katechizowanych w ukryciu dzieci proszą po ukraińsku, by katechetka uczyła je pacierza i katechizmu po polsku. Pewnie i dlatego, że wiedzą, iż wtedy ich dzieci będą mogły korzystać z polskich książeczek do nabożeństwa, które tak lub inaczej tu dochodzą i czytać książki religijne po polsku, bo innych przecież nie ma.

Przywiązanie do języka polskiego na Ukrainie o tyle jest ciekawe, że Polacy nierzadko muszą ukrywać swoje pochodzenie. Pamiętają deportacje do Kazachstanu z lat 30-tych, a obecnie często słuchają opinii, że są buntownikami. Bierze się to stąd, że faktycznie są jedynymi, którzy domagają się ciągle różnych praw tak w życiu religijnym jak i w kołchozach. Toteż nacisk władz na wynarodowienie elementu polskiego nie słabnie. Ujawnia się to szczególnie przy każdorazowym spisie ludności. Narodowość ukraińską zapisuje się bez pytania lub wbrew protestom i tylko bardzo niewielkiej części ludzi za Zbruczem udaje się obro-

nić ich narodowość polską. Na tym tle powstała tu nieznana kiedyś kategoria osób, którą stanowią Ukraińcy rzymsko-katolicy. Oni też wypełniają dzisiaj kościoły na wspomnianych wyżej parafiach i ich filiach. Ponieważ reprezentują najniższą kategorię społeczną ludności, jako kołchoźnicy (czasem robotnicy fabryczni) — nie napotykają na większe trudności w praktykach religijnych, jeśli spełniają je w kościele. Przeciwnie jest natomiast, gdy zbierają się dla śpiewania różańca lub dla innego rodzaju nabożeństw w domach prywatnych. Należy dodać, że w czasach największego ucisku religijnego, po zamknięciu kościołów i aresztowaniu księży — ukryte róże Żywego Różańca stanowiły jedyną religijną strukturę organizacyjną na tych terenach. Władze do dziś szczególnie śledzą tę formę nabożeństwa, gdyż wymyka się ona spod kontroli. Niepokoi je zwłaszcza określenie „żywy różaniec” jako nazwa czegoś dynamicznego i nieuchwytnego. Według określenia jednego z oficerów KGB, „to gorsze niż bomba atomowa”.

Jest wiele dowodów na to, że władze po cichu inspirują (szczególnie od 1980 roku) antypolskie nastroje. Służą temu m.in. takie np. wiadomości i powiedzenia: „najedli się naszego chleba i jeszcze się buntują”; „nie chcą pracować, chodzą na bunt (strajki i manifestacje), a my musimy ich żywić”; „do każdej bułki musimy dopłacać 2 kopiejki za każdym razem, gdy papież przyjeżdża do Polski”; „*Polaków kak much nada unicztożyć*, bo ciągle się buntują; i tak nic nie zmieniają, a tylko nam będzie gorzej” itp.

Jakkolwiek powyższe informacje nie dotyczą wprost problemu języka używanego w Kościele, to jednak — jak się wydaje — ukazanie go na szerszym tle stosunków narodowościowych może być użyteczne.

Przejdźmy do bezpośredniego omówienia interesującej nas tu kwestii. Otóż jakkolwiek od szeregu lat były podejmowane, bardzo odosobnione zresztą, próby wprowadzenia języka ukraińskiego do liturgii w formie czytań Pisma św., to obecnie próby te weszły w nową fazę i mają o wiele szerszy zasięg. Wiąże się to bezpośrednio — jak już wspomniano — z faktem stopniowego przejmowania duszpasterstwa przez nowe pokolenie księży, pochodzących w wielkiej mierze z Ukrainy i słabiej znających język polski. Żaden z młodszych duszpasterzy nie chodził do szkoły polskiej i rzadko tylko mógł wynieść go z domu rodzinnego. Uczyli się głównie w środowiskach przyparafialnych, w seminarium duchownym w Rydze i przy korzystaniu z polskich podręcz-

ników teologii, czy książeczek religijnych. Wydaje się również, że nie bez znaczenia jest tu świadomość narodowa nowej generacji księży. Zagadnienie to jest mało znane. Lecz przy starannie przez władze sowieckie obmyślanym odcięciu ludności od kultury polskiej, utożsamianie się z polskością, pomimo polskiego (najczęściej) pochodzenia, napotyka na duże trudności.

Wydaje się, że zasadniczą przyczyną obecnego, coraz częstszego wprowadzania języka ukraińskiego (rzadko rosyjskiego) do Kościoła jest motywacja duszpasterska. Według dotychczasowego rozeznania tej praktyki reakcja ogromnej większości wiernych jest bardzo negatywna. Gdy pod koniec lat 70-tych w historycznym Barze na Podolu miejscowy duszpasterz zaczął czytać lekcję i Ewangelię w języku rosyjskim i ukraińskim, ludzie zareagowali oburzeniem. Gdy pytał dlaczego, odpowiadali: „my jesteśmy Polakami”. Próba została zawieszona. Obecnie praktyka ta, jak również mówienie kazań po ukraińsku objęły szereg kościołów w obwodach winnickim i żytomierskim. Reakcje ludzi są różne w zależności od tego kto pyta. Kazania po ukraińsku wywołują złośliwe komentarze: „niedouczonego księdza”, „znów było kazanie po chłopsku” itp. Tam gdzie księża osobiście starają się zbadać reakcje, padają czasem oceny pozytywne („*Kak harno*”), lecz prywatne wypowiedzi są bardzo krytyczne i wyrażają głębokie niezadowolenie. Większość ludzi ukraińskiego języka w kościele nie chce.

Według krążących od pewnego czasu pogłosek kardynał Vaivods miał przywieść z Rzymu pewną ilość egzemplarzy Pisma świętego po ukraińsku i przesłać je księżom na Ukrainę z poleceniem czytania go w tym języku podczas mszy św. Tu należy wyjaśnić, że większość księży pracujących na w/w terenach kończyła ryskie seminarium duchowne i kardynał Vaivods uznaje za swego ordynariusza, jednak wobec braku oficjalnego wyjaśnienia sprawy jurysdykcji kościelnej na Ukrainie — nie wszyscy stoją na tym stanowisku. Jeśli polecenie kardynała Vaivods jest faktem, to jest ono w jakiejś mierze spełniane. Sprawa komplikuje się jednak, gdyż niektórzy uważają, że za tym poleceniem stoją władze sowieckie. Sądzą oni, że ponieważ język polski jest ważnym elementem kultury polskiej i umożliwia korzystanie z różnego rodzaju pomocy religijnych płynących tu różnymi drogami z Polski, KGB dąży do jego zlikwidowania w Kościele. Starsze pokolenie księży powołuje się przy tym na doświadczenia ostatnich czasów wskazując, że jeśli się przyjmie, iż Polak i Ukraińiec to jedno (chodzi o język ukraiński w kościele), po-

woli rodzi się świadomość, że Kościół i Cerkiew to również to samo. Jest rzeczą ciekawą, że prawosławni Ukraińcy przechodzący na katolicyzm na Ukrainie nie chcą nic rosyjskiego lub ukraińskiego w kościele. „*Jak ja przyjnąw polsku wiru — mówią — to budu mołyt'sia jak wsi*”. Co ciekawsze, zaczynają się uważać za Polaków i żądają, by za takich uważać ich w kościele.

Wydaje się, że nowym elementem, gdy chodzi o język, są również dążenia narodowe unickiego Kościoła ukraińskiego. Ukryci duchowni tego obrządku, pracujący na omawianych tu terenach (na Rusi Kijowskiej jest bardzo mało katolików obrządku łacińskiego) odznaczają się nierzadko bojową świadomością narodową. Biorąc bardzo dyskretnie udział w pracy duszpasterskiej dla katolików obrządku łacińskiego, wywierają na nich — *in foro interno* — skuteczny wpływ w kierunku używania języka ukraińskiego w życiu religijnym. Wierni mówiący po ukraińsku na spowiedzi i tłumaczący się z nieznamości języka polskiego, otrzymują wyjaśnienie, że przecież są Ukraińcami przez fakt urodzenia się tu na Ukrainie, język itp. Za pokutę otrzymują — jak słychać — nauczanie się pacierza po ukraińsku.

Ponieważ świadomość narodowa Polaków za Zbruczem jest słabsza, niż na terenach dzisiejszej Białorusi będących w granicach Polski przed 1939 rokiem, reakcje ludności w omawianej tu sprawie mają inny charakter. Jak dotychczas nie słychać o zorganizowanym wyrażaniu opinii. Jej przejawy, które można śledzić, świadczą jednak wyraźnie, że ludność i tu zdaje sobie sprawę, iż łaciński obrządek i język polski w Kościele jest dla niej jedynym dostępnym przejawem odrębności w otoczeniu ukraińskim oraz tożsamości narodowej i kulturalnej. Dlatego zmiany w dziedzinie języka wywołują zaniepokojenie. Młode pokolenie księży dochodzące do głosu na Ukrainie, bardzo gorliwe i szczerze pobożne, zdaje się niekiedy omawiane tu problemy mało rozumieć!

Uwagi końcowe

Walka z językiem polskim w kościołach prowadzona przez carat w XIX i XX wieku ukazała m.in. opatrnościową rolę łaciny na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w utrzymaniu pewnej niezależności życia religijnego w ustroju dyktatorskim. Zastąpienie jej językami narodowymi na terenach zamieszkałych przez ludność katolicką, lecz zróżnicowaną narodowo, językowo

i kulturowo, pozostającą przy tym pod obcą jej i bezwzględnie wrogą wobec katolicyzmu władzą polityczną, zrodziło niesłychanie złożone, trudne i drażliwe problemy. Widzimy to dziś na Litwie, Białorusi i częściowo Ukrainie.

Autor tego szkicu unikał, na ile to było możliwe, kategorijskich sądów i ocen, ograniczając się do opisu i wyjaśnień. Oceny poruszonych tu zagadnień nie można jednak i nie należy unikać, lecz jest ona obowiązkiem osób do tego powołanych i bezstronnych.

Józef MIRSKI

Warszawa, wrzesień 1986

Z L I T E R K Ą „P”

ROZMOWA Z MARIANEM TERLECKIM

MARCIN POLNY: — *To może nie najlepszy moment na poruszanie kwestii „więzienie a sprawa polska”, skoro większość politycznych wyszła właśnie na wolność i zainteresowanie społeczne tym problemem zmalało. Usprawiedliwia mnie jednak fakt stałej od kilku lat aktualności tematu: od grudnia 1981 co tylko władza opróżni cele, niebawem znów je zapełnia.*

MARIAN TERLECKI: — Z perspektywy mego doświadczenia mogę mówić o Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, a dokładniej o pawilonie MSW, w którym spędziłem 16 miesięcy. Pełni on rolę (podobnie jak inne tego typu obiekty) wybitnie represyjną. Dodatkowo ma za zadanie umożliwić śledztwo. Bo śledztwo nie polega wcale na tropieniu, odkrywaniu czy dedukowaniu, jak to widzimy najczęściej na filmach kryminalnych. Nie, panowie z MSW usiłują po prostu złamać człowieka, wymusić na nim zeznania.

M.P.: — *Ładnych parę lat temu wysunięto postulat nadania więźniom politycznym odrębnego statusu...*

M.T.: — Na Rakowieckiej doszedłem do wniosku, iż — póki co — wolałbym mieć status więźnia kryminalnego, bowiem politycznym przysługuje niestety mniej praw. Podstawowym sposobem represjonowania „więźniów sumienia” i wymuszania na nich zeznań jest całkowite odizolowanie ich nie tylko od świata zewnętrznego, ale też od innych współwięźniów. Podczas śledztwa siedzi się w celi tylko z konfidentem, a jedyną rozrywką jest *Trybuna Ludu* skrupulatnie cenzurowana nożyczkami funkcjonariuszy. W pierw-

szych miesiącach prokurator systematycznie odmawiał mi zgody na książki z zewnątrz, prenumeratę trzech czasopism uzyskałem po pół roku.

M.P.: — *Mimo, że siedziałeś jako złodziej mienia wielkiej wartości?*

M.T.: — To nie miało żadnego wpływu. Od początku do końca byłem traktowany jako polityczny. Na Rakowieckiej jest zwyczaj wpisywania na kartę każdego więźnia stosownej sygnatury. Otóż ja miałem literkę „P”. Nie liczył się konkretny artykuł kodeksu karnego, tylko klasyfikacja dokonana przez Służbę Bezpieczeństwa. W pewnym momencie śledztwa powiedziano mi otwarcie: — Ma pan na sumieniu działalność antysocjalistyczną, sprzęt video to tylko pretekst.

M.P.: — *Aparat MSW wsparty aparatem resortu sprawiedliwości dysponuje wieloma sposobami uszczelniania izolacji. Od blind w oknach począwszy, na odmowie widzeń skończywszy.*

M.T.: — W III pawilonie na szczęście nie ma blind, natomiast pozostałe metody doprowadzone są przez funkcjonariuszy do perfekcji. Wszystkim rządzą pracownicy Służby Bezpieczeństwa, którzy mają do dyspozycji niewiele mniej pomieszczeń niż więźniowie. To oni mówią klawiszom, na jaką celę mają zwrócić uwagę i gdzie zrobić kipisz, dyrygują przerzutkami, decydują o widzeniach, cenzurują i przetrzymują a czasem w ogóle konfiskują listy. Oni też mogą rozstrzygnąć, czy więzień ma prawo nosić ciepły sweter czy nie. Regulamin dla tymczasowo aresztowanych zezwala na używanie własnej odzieży, ale to tylko teoria. W praktyce trzeba pisać podanie do naczelnika aresztu, które po drodze czyta cywil z górnego piętra i na przykład wyrzuca do kosza, albowiem sądzi, że aresztant potrzymany w chłodzie szybciej skruszeje.

Ale zasadnicze zadanie panów w marynarkach z Rakowieckiej to kierowanie grupą siedzących tam konfidentów. Każdy aresztant trafia na początku do celi z kapusiem. „Rozpoznanie” trwa od kilku tygodni do kilku miesięcy. W moim przypadku zajęło aż 7 miesięcy.

M.P.: — *Niby każdy, kto trafia do aresztu wie i o wszechwładzy SB i o konfidentach.*

M.T.: — A jednak trochę osób nabiera się. Rzadko bowiem chodzi o informacje wprost dotyczące śledztwa, częściej o zdobycie danych do teczek personalnych i o wyeliminowanie ewentualnych

przywódców jakichś zbiorowych akcji protestacyjnych. Latem 1985 na przykład próbowano zorganizować masową głódówkę o status więźnia politycznego. Jeden z pomysłodawców ustalał szczegóły za pomocą „pukanki” przez ścianę właśnie z konfidentem. Skutek: akcja miała mniejszy zasięg i wagę od planowanej, a jej organizatorów przeniesiono na pół roku do Białejki. Spore sukcesy odnosił jako kapuś Włodzimierz Usarek. Niezwykle bezczelny, o szeroko rozbudowanej fantazji i zdolności opowiadania, miał za przyjaciół Romaszewskiego i Michnika, a swą sugestywnością niejednego nabrał. Konfidenti zdobywają większość informacji. Podśłuchy funkcjonują tylko w niewielu celach — kosztują drożej, wymagają obsługi, a efekty przynoszą porównywalne.

M.P.: — *Jeśli nawet raporty szpicli mało wnoszą do akt konkretnego śledztwa, to konfidentów uzupełniają sami podejrzani. Czy ludzie nadal tak ochoczo mówią?*

M.T.: — Niestety, zeznają nawet tacy, których nigdy nie posadziłbyś o to. Nie wymienię nazwisk, bo nie ma to sensu. Ale na przykład człowiek związany z ruchem niezależnym od końca lat siedemdziesiątych, przesłuchiwany w sprawie kradzieży offsetu zeznał, że woził innych członków grupy samochodem. To wystarczyło, by przesiedział 9 miesięcy pod zarzutem współudziału. Z kolei rolnik z białostockiego, działacz „Solidarności” Rolników Indywidualnych, przez cały czas śledztwa milczał jak ryba, przed samym jego zakończeniem namówiony przez panią prokurator zgodził się przyznać, że jakiś tam właśnie kolega złożył na niego obszerne, bardzo obciążające zeznania.

Absolutne milczenie jest trudne. Podziwiałem osoby, które potrafiły w ogóle ignorować przesłuchujących i nie podawały nawet personaliów. To najlepsza metoda, choć trzeba być bardzo silnym wewnątrznie, by wytrzymać psychiczną presję. Ale wtedy panowie z SB odczepiają się szybko i zaprzestają dalszych prób. Ten sposób należy też polecić żonom podejrzanych. Są one przesłuchiwane tylko po to, by potem prokurator mógł je powołać na świadków i odebrać widzenia.

Świadkowie w ogóle mówią za dużo. Niemal każdy wie, że świadek, choć nie może całościowo odmówić zeznań, ma prawo uchylić się od odpowiedzi na każde pytanie, ale mało kto z tego prawa korzysta. Kiedy po paru miesiącach dostaje się akta i czyta zeznania osób bliskich — z reguły odbiera się to źle, choćby nie było w nich nic obciążającego. Czy można w ogóle prowadzić

przyjacielską pogawędkę z ludźmi, których metody, mówiąc ogólnie, nie są czyste? Poza tym nie wiadomo, czy podczas tej pozorne obojętnej rozmowy świadek mimowolnie nie powie czegoś obciążającego, tak jak to się zdarzyło jednemu z moich przyjaciół. Podpierając się fragmentami jego zeznań przedłużono mi sankcję o kolejne trzy miesiące. Najlepiej więc postawić sprawę jasno: nie jest to partner do rozmów. W 1985 roku przekonał się o tym dostatecznie Bogdan Lis, a za jego pośrednictwem Frasyniuk i Michnik.

M.P.: — *Zeznania przyjaciół pogłębiają w więźniu poczucie osamotnienia, ale izolacja to tylko jedna z form nacisku. Innym sposobem łamania odporności psychicznej aresztanta jest naruszanie jego prywatności.*

M.T.: — W czasie rewizji w celi zabierają to, co umożliwia identyfikację w więziennej anonimowości. Nie tylko wycinki (a właściwie „wrywki”) z gazet, osobiste notatki, krzyżyki, kosy — czyli noże z blachy — ale nawet słoiki do parzenia herbaty. Mnie najbardziej dotykała konfiskata notatek. Pisałem o sprawach nie mających nic wspólnego z moim aresztowaniem czy więzieniem w ogóle. Robiłem notatki z lektur wypożyczonych z biblioteki więziennej, planowałem szkice o filmie religijnym. Systematycznie usiłowano mnie zniechęcić. I trochę zniechęcono. Po cóż miałem pisać, skoro wiedziałem, że za kilka dni i tak zabiorą.

M.P.: — *Czytałem kiedyś w krakowskim piśmie Bez dekretu rozmowę z byłym więźniem, który uważał, że Adam Michnik publikując podczas odsiadki dziesiątki esejów, szkiców a nawet całe książki robi w sumie złą robotę, bo stwarza fałszywe wrażenie, że każdy może tak postępować. A przecież więzienie to nie dom pracy twórczej.*

M.T.: — Mnie również parokrotnie wytykano Michnika. Nawet ojciec powiedział mi kiedyś na widzeniu: „Popatrz, Michnik pisze, a ty się obijasz”. Gdyby Adam Michnik siedział w takich warunkach jak większość aresztantów na Rakowieckiej to — jestem przekonany — książki raczej nie wydałby. Na pewno ma on odrębny status. W Gdańsku i Barczewie, gdzie ostatnio siedział, miał podobno 40 prywatnych książek i nocną lampkę, przy której pracował. Starano się oczywiście uniemożliwić mu przekazanie tego, co napisał na zewnątrz. Zeszyty, w których miał dużą część prac, zabrano mu za pokwitowaniem, kiedy wychodził. Wątpliwe, aby je odzyskał, ale innym kradnie się notatki bez

żadnego pokwitowania. Trzeba jednak dodać, że Michnik sam sobie te warunki wywalczył. Poza tym jest człowiekiem na tyle psychicznie przystosowanym do więzienia, że potrafi w nim efektywnie, wspaniale pracować. A to bardzo trudna sztuka.

M.P.: — *Niewątpliwie on znalazł sposób na siedzenie. Jak broniłeś się Ty?*

M.T.: — Największe zagrożenie to apatia i czekanie, aż minie kolejny dzień. Co prawda w taki stan nie dałem się zepchnąć, choć miałem okresy, kiedy czułem się gorzej. Bronilem się pisaniem. Ponieważ — jak wspomniałem — szanse na stworzenie w pudle „Dzień wszystkich” miałem raczej marne, pisałem długie, niekiedy dwudziestostronicowe listy. W sumie ponad 200, z czego 70-80 % doszło do adresatów. Pisanie niektórych listów było grą i z cenzurą, i z częścią korespondentów — nie chciałem i nie mogłem pisać im tego, co aktualnie myślałem i czułem. Czasem wysyłałem szkice opowiadań, artykuły. Były też listy prawdziwe do żony, matki i kilku przyjaciół. Korespondowałem ze wszystkimi, którzy do mnie napisali.

Ci z moich współtowarzyszy, których pisanie nie pociągało, zajmowali się rzemiosłem. Powszechna była produkcja krzyżyków z topionej folii polietylenowej. Formy z tubek po paście do zębów wypełniano płynną, gorącą masą. Zajmowało to dużo czasu i z racji tępienia przez klawiszy było podwójnie emocjonujące. Wytwarzano też kości do gry i inne przedmioty.

Ale najlepszym sposobem na zabicie czasu i odzyskanie właściwej perspektywy jest przełamywanie izolacji. Kontakt między celami ożywiał, był tematem wielu rozmów, przemyśleń, gwarantował dopływ świeżej informacji. Ktoś miał widzenie z żoną, inny z adwokatem, jeszcze inny był na rozprawie. Autentyczna giełda. Niestety nie wszyscy z tej szansy korzystali, bodaj z obawy przed karą. Metody stare i sprawdzone: „telefon” czyli rozmowa przez kibel, „pukanka” alfabetem Morse’a po ścianach, „chabeta” czyli przerzucanie grypsów na sznurkach wyciągniętych z materacy, koców lub zrobionych z prześcieradeł. Można też było pogadać przez żelazne drzwi między jednym a drugim spacernikiem.

M.P.: — *Morał z tego, że trzeba walczyć. Nawet o drobiazgi?*

M.T.: — Nawet. Samo nawiązanie łączności między celami można uznać za drobiazg, ale takie drobiazgi tworzą poczucie, że nie jesteśmy sami. Zresztą w więzieniu liczą się właśnie drobiazgi.

M.P.: — *Ludzie różnie znoszą ostry stress, jakim jest pozbawienie wolności.*

M.T.: — Zapewne, ale najmniej widziałem reakcji skrajnych.

M.P.: — *To znaczy rezygnacji, przekonania o bezsensie jakiegokolwiek niezależnego działania — z jednej strony i niezłomności — z drugiej?*

M.T.: — Jeśli chodzi o tę pierwszą postawę, zaobserwowałem ją u dwóch trzydziestolatków. Nie prymitywizowałbym jej jednak. Było to następujące myślenie: poświęciłem parę lat na działalność, teraz siedzę, wyjdę za rok, dwa i co dalej? Najwyższa pora coś zrobić z własnym życiem, z ambicjami, pozycją zawodową, przyszłością. Mam żonę, dwoje dzieci. Rówieśnicy się ustabilizowali w kraju lub za granicą. A ja?

W więzieniu ostre jest poczucie, że człowiek żyje określoną ilość lat. I na realizację wszystkich zamierzeń, ambicji, projektów nie starczy ani czasu, ani siły.

M.P.: — *A co z „mesjanizmem” więziennym, postawą „siedzę za miliony”?*

M.T.: — Nikt nie planował z góry, żeby powtórnie dać się zamknąć, nawet Seweryn Jaworski! Drukarze mówili co prawda: wyjdziemy, trochę popracujemy i wrócimy, ale był to raczej wisielczy humor a także poczucie, które i tym razem się sprawdziło, że siedzi się krótko. Ja ze swoimi 16 miesiącami należałem do najstarszych pensjonariuszy Rakowieckiej. Dłużej siedzieli KPN-owcy oraz oskarżony o współpracę z „Solidarnością” oficer SB, Adam Hodysz, prawie tyle samo Bielecki i jego grupa.

Ale więzienie naprawdę nie jest dobrym miejscem, by spędzać tam życie. Większości ludzi dało do myślenia, że trzeba zapłacić określoną cenę za to, co się robi. Ilu uzna, że cena jest za wysoka? Nie wiem. Myślę, że z ponad dwudziestki moich współlokatorów jedna czwarta już za nic się nie weźmie. No, ale mogą być złym psychologiem.

M.P.: — *Część nie ma wyjścia. Niekoniecznie z racji swej niezłomności, ale choćby dlatego, że im władza nie zostawia wyboru. Weźmy na przykład Ciebie...*

M.T.: — To przykład specyficzny. Ja nigdy nie walczyłem z tym systemem. To system walczył ze mną. Dawno temu w liceum zacząłem wydawać pisemko. W ogóle nie przyszło mi do głowy,

że to nielegalne. Nie kryłem się przed nauczycielami. Aż tu nagle włączyła się Służba Bezpieczeństwa i zaczęła ciągać nas wyrostków na Komendę. Wszystkie moje późniejsze doświadczenia były powieleniem tego pierwszego. Coś sobie cicho dłużałem: książkę, przedstawienie teatralne, film, a SB próbowała ograniczyć moje prawo, by robić to, co lubię i co ma dla mnie wartość. Mam więc trochę inną optykę. Nie potrafię zrezygnować z siebie. Ale sporo ludzi patrzy na to wszystko inaczej — przez pryzmat skuteczności. Czy ich działanie coś zmienia i czy widać perspektywę kolejnego przełomu? I tu pojawia się kalkulacja, a wraz z nią wybór. Moja niezależna aktywność wiąże się z uprawianiem zawodu. Natomiast inżynier, lekarz czy spawacz zaniedbuje swoją profesję, by coś tam drukować czy kolportować, pozostaje w zawieszeniu życiowym, traci kontakt z kolegami po fachu. W tym sensie „społeczeństwo podziemne” okazało się niebezpieczną utopią.

M.P.: — *Mówiliśmy o tym jak więzienie wpływa na więźnia i jak się przed jego oddziaływaniem bronić. Nie wspomnieliśmy jednak o najdrastyczniejszej broni ludzi pozbawionych wolności — o głodówkach.*

M.T.: — Moja krótka, bo dwutygodniowa głodówka przyniosła niewielki sukces: doprowadziła do zakończenia śledztwa, które wlokło się w nieskończoność. Zasadniczo jestem przeciwny głodówkom, szczególnie bezterminowym, wyniszczającym organizm. Podejmowane są one jednak w specyficznej sytuacji psychologicznej i dlatego tak trudno współkolegom odwieść chętnego od głodówki. W sytuacji odczuwanej przez aresztowanego jako bezwyjściowa głodówka jest dla niego aktem konstruktywnym. Zyskuje on punkt oparcia, walczy ze swym organizmem i z tymi, którzy go na siłę dokarmiają. Pojawia się element celowości, czas nie jest już pusty. Dlatego raz zaczęta głodówkę trudno przerwać. Mimo, że rozumiem ten mechanizm, nie mogę go akceptować, chyba, że chodzi o akcje krótkie, najlepiej zbiorowe. Na Rakowieckiej miały miejsce dwie takie próby. Nerwowe reakcje funkcjonariuszy, atandy podczas apeli i inne oznaki podwyższonej gotowości świadczyły, że areszt nie lubi tej formy nacisku.

M.P.: — *Ludzie, którzy nie siedzieli, mają skłonność do niedoceniajania jednych zagrożeń związanych z pozbawieniem wolności i przeceniania innych.*

M.T.: — Szczególnie wyolbrzymiają wpływ warunków „socjalno-

bytowych” na samopoczucie. Tymczasem relacje są niekiedy odwrotne. Pierwsze pięć dni spędziłem w Pałacu Mostowskich, gdzie cele były brudne, pozbawione światła dziennego i bieżącej wody, a w mojej dodatkowo cuchnął zatkany kibel. Przeniesiony na Rakowiecką poczułem się jak w hotelu: parkiet, umywalka, słońce wpadające przez okno. Ten komfort okazał się rychło absolutnie zwodniczy. I zacząłem z rozrzewnieniem wspominać Pałac Mostowskich, gdzie siedziałem z normalnymi jak ja aresztantami a nie z podstawionym szpiclem, a obsługa milicyjna, choć nieco brutalna w swym prymitywizmie, była bardziej ludzka od bezdusznych klawiszy z Rakowieckiej i sterujących nimi ubeków. Na Rakowieckiej działała już machina całościowego systemu represji.

M.P.: — *Siedziałeś z realną perspektywą kilkunastoletniego wyroku. A tu kółko się kręci: wypuszczają, będą zamykać; zamykają, będą wypuszczać.*

M.T.: — Kiedy się siedzi, nadzieje na odzyskanie wolności są złą pożywką. Powodują frustracje. Najlepsza, ale najtrudniejsza postawa polega na tym, żeby założyć sobie co najmniej roczną odsiadkę i na taki dystans planować więzienne życie poczynając od drobiazgów jak wypiska i prenumerata. Oczekiwania na amnestię wprowadzają niepokój i tymczasowość. Zarówno jesienią 1985 (tzw. inicjatywa humanitarna PRON) jak i latem 1986 (ustawa o szczególnym traktowaniu sprawców niektórych przestępstw) ludzie gorzej znosili więzienie, chwiał się rytm codziennych zajęć. Nawet Jacek Szymanderski, jeden z nielicznych więźniów na Rakowieckiej, który z żelazną konsekwencją przestrzegał tego rytmu, zaczął nasłuchiwać kroków na korytarzu i czekać na szcęk klucza w zamku. Wszyscy analizowali, obliczali, kalkulowali a tu przyszło jeszcze poczekać.

M.P.: — *Ale ten wewnętrzny rytm usiłują w najlepszej wierze zakłócić twoi bliscy: rodzina, przyjaciele, nawet adwokaci, przekonując w listach czy podczas widzeń, że już właściwie jesteś jedną nogą na wolności.*

M.T.: — No właśnie, choć powinni — szczególnie adwokaci — przewidywać konsekwencje takiego hurraoptymizmu. Ale obrońcy często w ogóle nie zdają sobie sprawy, w jak dużym stopniu samopoczucie klientów od nich zależy. Adwokat jest jedynym nie podlegającym cenzurze łącznikiem więźnia ze światem. Ja byłem w szczęśliwej sytuacji mając za obrońcę Jacka Taylora,

który co tydzień odwiedzał swoich podopiecznych, jeżdżąc po całym kraju: od Gdańska przez Barczewo i Warszawę aż do Łucka. Niestety, spora część adwokatów odwiedza swych klientów tylko raz czy dwa przed samą rozprawą, aby ustalić linię obrony. Aresztowani mają o to pretensje. Często słyszałem w celi: I cóż z tego, że on mnie broni za darmo, wołałbym zapłacić, żeby tylko rzeczywiście był moim adwokatem! Większość więźniów życzy mecenasom, żeby się nieco przesiedzieli, wtedy łatwiej byłoby im zrozumieć sytuację człowieka pozbawionego wolności i może zmieniliby swe podejście, optykę.

M.P.: — *A Ty jaki wyszedłeś z więzienia?*

M.T.: — W pierwszych tygodniach czułem się fizycznie osłabiony i nieco oszołomiony. A zmiany psychiczne? Przedtem żyłem bardzo intensywnie. Od rana do wieczora w ruchu. Załatwiałem sprawy ośrodka video, realizowałem reportaże i filmy, spotykałem się z masą kontrahentów, jeździłem po Polsce. Obecnie czuję niechęć do takiej aktywności. Najchętniej — oprócz życia rodzinnego, którego braki teraz nadrabiam — siedziałbym nad swoimi notatkami więziennymi. Pragnę z tego doświadczenia coś zrozumieć i przekazać innym. Moja sytuacja była specyficzna. W większości wypadków aresztowanie jest końcowym akordem łańcucha zdarzeń. Pozostaje tylko czekanie na proces i wyrok w granicach trzech czy pięciu lat. Ze mną było odwrotnie i to nie dlatego, że zagrożenie karą było kilkakrotnie większe, bo do 25 lat. Przede wszystkim miałem poczucie, że uwięzienie to dopiero początek i że od postawy innych ludzi, między innymi moich pracodawców, księży Pallotynów, zależy, jak długo posiedzę: trzy miesiące, rok, 5 czy 15 lat. To mnie trzymało w napięciu. Kiedy po 9 miesiącach przeczytałem akta, miałem sporo materiału do przemyśleń. Niemożność wpływania na bieg wydarzeń stwarzała chyba dodatkowe ramy dramatyczne. A bohaterem spektaklu byłem nie tylko ja sam, lecz wiele osób, które musiały się nagle sprawdzać. Można by powiedzieć, że okoliczności dodadzą atrakcyjności moim wspomnieniom, choć prawda o ludziach w trudnych sytuacjach — jeśli jej szukać — nie jest zbyt wesoła.

Rozmawiał Marcin POLNY

październik 1986

NOTA BIOGRAFICZNA

Marian TERLECKI (ur. 1954), literat i dziennikarz, autor kilku

książek (m.in. „Każdy z was jest Wałęsą” — wspólnie z A. Pawlakiem i „Poszukiwany”), filmów dokumentalnych („Krzyż”, „Pomnik” — wspólnie z T. Lengrenem, „Książę Jerzy”), działacz „Solidarności” w RTV, organizator telewizji związkowej. Od grudnia 1981 do września 1983 ukrywał się. Następnie pracował w założonym przez siebie ośrodku video oo. Pallotynów w Gdańsku. 25 maja 1985 został aresztowany pod spreparowanym zarzutem kradzieży sprzętu TV (art. 200 par. 1 i art. 201) należącego dawniej do „Solidarności”, który zaginął po 13 grudnia 1981. Po blisko czterech latach władze odnalazły wyposażenie telewizji związkowej właśnie u... Pallotynów. Mimo, że księża Pallotyni przedłożyli w toku śledztwa wiele dokumentów poświadczających, iż sprzęt z którym aresztowano Terleckiego był ich własnością, gdańskiego publicystę i filmowca przetrzymywano w areszcie mokotowskim aż do września 1986.

Maria DE HERNANDEZ-PALUCH

JA BYŁEM KRYTYCZNY

ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. PAWŁEM BOŻYKIEM,
KIEROWNIKIEM WYDZIAŁU KC PZPR, SZEFEW ZESPOŁU
DORADCÓW EDWARDA GIERKA

Rozmowę z szefem zespołu doradców Gierka, prof. Pawłem Bożykiem, przeprowadziłam jesienią 1980 roku. Zamierzałam ją opublikować w Życiu Literackim. Doradca zażądał wcześniej przestania mu pytań pocztą, co też robiłam. Pytań było trzynaście. W trakcie rozmowy zadałam ich znacznie więcej. Zgodnie z obyczajem dałam prof. Bożykowi wywiad do autoryzacji. W trakcie tego zabiegu doradca nie tylko wyrzucił swoje odpowiedzi, ale i moje pytania. Na pięknym papierze (z wolnym znakiem) napisał wywiad sam ze sobą. Redaktor naczelny Życia Literackiego — Władysław Machejek — nie zgodził się na opublikowanie prawdziwej rozmowy. Wydrukował wywiad Bożyka z Bożykiem oraz mój komentarz, do którego były załączone pytania przesłane Bożykowi pocztą.

Poniższy wywiad nie był do tej pory opublikowany. Sądzę, iż można go zadedykować członkom nowej Rady Konsultacyjnej. Od Bożyka mogą się sporo dowiedzieć o mechanizmach doradzania. Żeby potem nie mówili, że nie wiedzieli...

Maria DE HERNANDEZ-PALUCH

W gabinecie KC prof. Paweł Bożyk częstuje mnie kawą oraz czyta pytania, które zgodnie z jego telefoniczną wolą przygotowałam na kartce. Pytanie 13: Jaki był temat pana pracy habilitacyjnej i gdzie można ją zobaczyć.

Profesor z wprawą wytrawnego gracza maskuje ogarniającą go nerwowość (wszak o to chodziło) i zaprasza mnie do sąsiedniego pokoju swego przestronnego gabinetu. Zdejmuje książki z półki...

P.B.: — To jest moja praca doktorska, ta habilitacyjna, ta na tytuł profesora nadzwyczajnego, ta zwyczajnego...

Zapomniał w ferworze odkrywania przed niewidzącą skarbów jego mądrości, iż ostatnią rzeczą pisaną na tytuł — jest ta habilitacyjna. Wszystkie jego dzieła wydano nakładem Państwowego Wydawnictwa Ekonomicznego. I dalej wprowadza mnie w klimat, w aktualną sytuację, w zrozumienie zagadnienia. Oświeca mnie, by wywiad oddał czytelnikowi to, co oddać mu winien.

M.H.-P.: — *Czy wydarzenia lipcowo-sierpniowe zaskoczyły pana?*

P.B.: — Powiedziałem to już na plenum, ale powiem i teraz. Byłoby śmieszne gdyby dzisiaj mówić, że byliśmy zaskoczeni wydarzeniami, które miały miejsce. Już od pięciu lat wszystko na to wskazywało, że kryzys musi nastąpić. W 1975 roku nastąpiły wyraźne tendencje zniżkowe i raporty, które mamy (przeglądamy, nie czytając, raporty) potwierdzają to, że sytuacja uległa pogorszeniu. Oczywiście forma kryzysu była trudna do przewidzenia. Któż mógł przypuszczać, że w Polsce ruchy strajkowe będą trwały trzy miesiące, skoro w tym stuleciu tylko raz miały miejsce dwumiesięczne strajki we Francji. Jeszcze raz więc podkreślam, że forma kryzysu była trudna do przewidzenia. Natomiast samo nadchodzenie kryzysu było sprawą oczywistą. Nieudana podwyżka cen w 1976 roku przyspieszyła te wydarzenia.

M.H.-P.: — *Gdyby w 1976 roku zaprzestano uprawiania polityki sukcesu, czy zapobiegłoby to, w pana odczuciu, wydarzeniom roku 1980?*

P.B.: — Czy można było w tym kraju z uporem maniaka przez 10 lat trzymać się strategii dynamicznego rozwoju? Do roku 1974 była ona oczywistością, a od 1975 stała się iluzją. Propaganda sukcesu była po prostu formą ukrycia rzeczywistości. Bez

zmiany strategii nawet doskonalenie planowania i zarządzania nie byłoby wystarczającym czynnikiem postępu.

M.H.-P.: — *Czy podłożem wydarzeń był tylko kryzys gospodarczy?*

P.B.: — Przyczyny wydarzeń nie są tylko natury ekonomicznej. Są one znacznie szersze, w tym i polityczne.

M.H.-P.: — *Był pan szefem zespołu doradców kierownictwa partii. Jakie było doradztwo, skoro skutki są, jakie są?*

P.B.: — Ja odpowiadałem tylko za opinie ze środowisk naukowych.

M.H.-P.: — *Czy znaczy to, że zespół mędrców nie miał rozeznania w sytuacji?*

P.B.: — To nie był zespół mędrców, który siedział i wymyślał opinie dla kierownictwa. To był po prostu zespół, który zajmował się organizowaniem opinii. W pracach tego zespołu brało udział ponad 200 osób. Oczywiście zespół nadawał opiniom formę raportu. Czasami przekazywano je ustnie. I dzisiaj, z perspektywy roku 1980, możemy powiedzieć, że te opinie były trafne, ale jednocześnie były niezwykle pesymistyczne, czyli kłóciły się z formułą propagandy sukcesu. Wręcz występowały przeciwko niej.

M.H.-P.: — *Mam uwierzyć panu na słowo, bo danych na ten temat nie było żadnych?*

P.B.: — Pokazywałem je pani przed chwilą. Na plenum też o tym mówiłem.

M.H.-P.: — *Ani ja, ani społeczeństwo nie ma żadnego powodu, by w to uwierzyć. Jak je pan przekona, że doradcy doradzali dobrze — skoro wszystko wskazuje na to, że źle?*

P.B.: — Proszę pani... jak się polityka wali, to doradcy są winni. Co ja, zdaniem pani, miałem zrobić? Pójść do Wolnej Europy i udzielić wywiadu? Jak pani sądzi, co trzeba było zrobić? Miałem te raporty w *Polityce* publikować?

M.H.-P.: — *Chociażby.*

P.B.: — To byłoby wielkie oskarżenie pod adresem kierownictwa partii. Ja tego nie mogłem zrobić. Myślę, że ta propaganda sukcesu uległa nasileniu wtedy, kiedy w gospodarce zaczęło się psuć — lata 1975, 1976. W kraju działa się coraz gorzej, a propaganda sukcesu ulegała intensyfikacji. Myślę, że wywarła określony wpływ na psychikę tego społeczeństwa. Szereg ludzi wychodziło z założenia, że skoro „oni” mówią „jest dobrze”, to widocznie te towary są. Możliwości są, tylko niesprawiedliwie dzielone. I stąd ta wielka nienawiść do tych, którzy mają większe pieniądze, jakieś dache i inne rzeczy. Żądanie sprawiedliwości podziału. Rzeczywistość była znacznie bardziej okrutna — możliwości były znacznie mniejsze, niż sobie to przeciętny obywatel wyobraża... Powiem pani prywatnie — proszę wyłączyć magnetofon — ... (wyłączony magnetofon) — ... człowiek dostawał lanie, a potem się to wszystko potwierdziło. A uznaje się go winnym. I to zakrawa na, na... powiesić się, czy co?

M.H.-P.: — *Kto wie, może będą jakieś kapturowe sądy?*

P.B.: — Nawet nie chodzi o sądy. Jak polityka się wali, to doradcy winni. Proszę pani, ja uważałem, że — a co to? Pani nagrywa? Nie szkodzi. Ja wierzę, że pani ma dobre intencje. Nie mówimy tutaj nic światoburczego. Doradcy toczyli tutaj wielką walkę. Byli uważani za opozycję. To już nie jest tajemnica. Mówiłem o tym na plenum, że byliśmy traktowani jako opozycja. Wielu członków rządu, kiedy się ze mną witało, mówiło: o, znowu się muszę przywitać z opozycją. Co w takiej sytuacji można było zrobić?

M.H.-P.: — *Można było głośno krzyczeć, protestować. Podać się do dymisji?*

P.B.: — Najłatwiej było wtedy złożyć legitymację. Napisanie takiego artykułu oznaczałoby złożenie prośby o dymisję, a może nawet złożenie legitymacji partyjnej. Ja odrzuciłem tę formę. Uważałem, że to oznacza tchórzostwo. Często dyskutowaliśmy tę sprawę i złożenie legitymacji było w sumie najłatwiejsze. Pogłębiający się dramatyzm sytuacji powodował, że często o tym rozmyślałem, czy nie rzucić tej legitymacji, podziękować, odejść, ale dochodziłem do wniosku, że to byłoby partykularne.

M.H.-P.: — *Może to pan wyjaśnić bliżej, bo brzmi to dla mnie dość humorystycznie?*

P.B.: — Jeden z moich kolegów (*profesor Beksiak — przypisek mój — M.H.-P.*) złożył legitymację partyjną. I dzisiaj on jest uważany przez niektórych za bohatera. Ja niestety z perspektywy dnia dzisiejszego uważam, że to było tchórzostwo. On zresztą po złożeniu legitymacji, z polecenia I sekretarza, otrzymał nominację na profesora zwyczajnego. Z rektorem jego uczelni oraz I sekretarzem uczelni rozmawiałem, żeby broń Boże, nie dyskryminować go w żadnej dziedzinie. On tam pracował cały czas, a dziś urósł na bohatera.

M.H.-P.: — *Pan też miał szanse na takie bohaterstwo...*

P.B.: — Ale ja nie chciałem i nie chcę się stawiać bohaterem tą drogą. Rozumie pani?! Moim zdaniem jeśli się chce dobrze spełniać swój obowiązek, to trzeba go wykonywać do końca, mimo razów. Gdybym był karierowiczem, to już pani mówiłem, opublikowałbym swoje opracowania w Wolnej Europie czy *Polityce*. Ale wie pani, jak to się nazywa? Normalne karierowiczostwo, ordynarne.

M.H.-P.: — *Pan robił dyplomatyczne i zgodne z obowiązującą linią?*

P.B.: — Proszę pani, ja nie szukałem taniego poklasku. Rozumie pani?! Moim zdaniem najważniejszą rzeczą jest wykonywanie swojego obowiązku. Moim obowiązkiem było mówienie prawdy.

M.H.-P.: — *Komu?*

P.B.: — Politykom. Tylko, że polityk mógł moje rady odłożyć bezkarnie na półkę i nie tłumaczyć się z tego. Nie mieliśmy szans. Żadnej siły, żeby go zmusić do działania zgodnego z naszymi wnioskami.

M.H.-P.: — *A czy zrobił pan wszystko, żeby tę siłę mieć?*

P.B.: — A co ja mogłem zrobić? Mogłem pójść do gabinetu i powiedzieć, co o tym myślę. Mogłem przyprowadzić autorytety...

M.H.-P.: — *...które stanęłyby rządkiem i przytakiwały panu?*

P.B.: — Kiedy przychodziły autorytety, ja nigdy nie zabierałem głosu. Wcześniej tylko prosiłem, żeby mówili prawdę. Nie mam więcej nic do dodania.

M.H.-P.: — *I ta prawda kończyła się po ich wyjściu?*

P.B.: — Nie. Po prostu przychodzili inni, którzy prezentowali odmienne poglądy.

M.H.-P.: — *To znaczy przedstawiali dowody na tądny i dynamiczny rozwój naszej rzeczywistości?*

P.B.: — Na ogół przychodzili urzędnicy, którzy realizowali dane rzeczy. Kiedy my np. krytykowaliśmy bilans płatniczy, to przychodził wysoki urzędnik, odpowiedzialny za bilans, i mówił, że my prezentujemy jedną stronę medalu. On zna drugą, że w sumie to jest nieźle. Jest nienajlepiej, ale i nienajgorzej. Tak było... Przecież żaden z doradców nie był członkiem władz. Dopiero ja jestem zastępcą członka od pięciu miesięcy i pierwszy raz zabrałem głos na plenum. Przedtem nie byłem żadnym członkiem i nigdzie nie mogłem zabrać głosu. Ja nie jestem za tym, żeby doradcy byli członkami najwyższych władz...

M.H.-P.: — *Interesuje mnie to, po co było utrzymywać fikcyjne urzędy doradców?*

P.B.: — Proszę pani, szereg naszych opinii miało jednak jakiś wpływ, np. na manewr gospodarczy, który był próbą odwrócenia negatywnych trendów. Tutaj jest dokumentacja potwierdzająca to. Wskazująca na to, jak do tego doszło. Przecież tow. Edward Gierek zaproponował tę próbę na Plenum. Plenum ją uchwaliło. Tylko potem rząd zbojkotował ten zamysł i nie zrealizował. A premier Jaroszewicz wyśmiał.

M.H.-P.: — *Jaki był powód takiej rozbieżności zdań między rządem a kierowniczą siłą narodu?*

P.B.: — Trudno powiedzieć kierowniczą siłą...

M.H.-P.: — *Tak jest napisane.*

P.B.: — Tak, ale to były rozbieżności między rządem a nami, doradcami. Przyczyny tego były różne. Po pierwsze nieliczenie się z prawami ekonomicznymi. Nieznajomość tych praw. Kiedyś premier Jaroszewicz powiedział: niech mi tutaj ktoś postawi równowagę rynkową, kto to widział? Równowaga jest pojęciem abstrakcyjnym. W związku z takim myśleniem ekonomiści, a my niejako w czołówce, zostaliśmy uznani za ludzi niekonkretnych, operujących ogólnikami.

M.H.-P.: — *Co było konkretem?*

P.B.: — Na przykład zbudowanie fabryki czy drogi. On uważał, że im jedna droga więcej, tym lepiej.

M.H.-P.: — *A co się stało z tak oszutowanymi pomysłami, jak na przykład WOG-i?*

P.B.: — To samo zmarło, bo było niedopracowane. Żeby je wprowadzić, należało zmienić strategię. One nie miały racji bytu. Tak jak nie ma sensu noszenie parasola, kiedy deszcz nie pada.

M.H.-P.: — *Jednym słowem chce pan powiedzieć, że wszystkie światłe pomysły umierały w wyniku indolencji rządowej?*

P.B.: — Nie, proszę pani... One były odkładane na półkę. Myśmy do nich permanentnie wracali. Chciałem tutaj podkreślić upór wielu ludzi. Nie mówię o sobie, bo trudno jest w dzisiejszej sytuacji podkreślać, że ja mówiłem. Mówię o ludziach, którzy z uporem maniaka powtarzali te same rzeczy wielokrotnie. Pisali, chodzili, molestowali, a dzisiaj siedzą cicho. Niech mi pani wierzy. Dzisiaj krzyczą ci, którzy wtedy nie mieli nic do powiedzenia. Sam się do nich zwracałem i prosiłem: napiszcie coś. Ale niestety nie mieli nic do powiedzenia. Nie chcieli ryzykować, a dzisiaj krzyczą najgłośniej.

M.H.-P.: *Nie wydaje się panu, że po prostu uwierzyli, iż głos ich może być wreszcie wysłuchany?*

P.B.: — Wtedy też mogli pisać prawdę. W tym się zawiera cały tragizm tej sytuacji, że tych 200 czy 250 ludzi biorących udział w opracowaniu ekspertyz dzisiaj siedzi cicho. A przecież dowody ich pracy istnieją. Są podpisane...

M.H.-P.: — *A, istnieją, istnieją... Tow. Kania w swoim referacie, wygłoszonym na ostatnim plenum KC PZPR, powiedział: „... trzeba będzie ustalić autorstwo tych decyzji, jak też towarzyszących im ekspertyz”. Co pan na to?*

P.B.: — Nie mam sobie nic do zarzucenia. Wniosek z naszych ekspertyz był oczywisty i jasny. Obecne kierownictwo zna te dokumenty. Są one do wglądu.

M.H.-P.: — *Dla wielu ludzi stał się pan symbolem szybkich i*

koniunkturalnych poglądów. Raz głosił pan hasła dynamizmu, wkrótce potem manewru gospodarczego... Raz popierał pan import, zaraz potem wzywał do jego ograniczenia. Niech się pan nie denerwuje. Tak było. Dlaczego?

P.B.: — To nie były żadne koniunkturalne zmiany poglądów. To było jedynie wyciągnięcie wniosków z sytuacji społeczno-politycznych i gospodarczych. Wyciąganie wniosków z raportów. Pisałem przecież artykuły do *Polityki* i nikt nie może mi zarzucić, że były apologetyczne. One były krytyczne. Nawet bardziej krytyczne, niż inne, bo mogłem sobie na to pozwolić. Całej prawdy jednak nie mogłem pisać, bo na to nie pozwalano. Mnie również obowiązywała cenzura. Już samo zdobywanie danych połączone było z komplikacjami. Dochodziliśmy do nich różnymi trickami. Prosiłiśmy na przykład ministra, żeby udostępnił, a my nikomu nie powiemy, skąd są te dane. Zwłaszcza premierowi. Zdobywaliśmy je też w drodze osobistych kontaktów. Ja nie mówię, że te dane były nieprawdziwe. One były zbliżone do prawdziwych. Pisałem to w formie raportu. Inni koledzy też pisali... Zamawiano u mnie wiele artykułów, ale w 90 % odmawiałem. Powiedziałem, że ja nie będę pisał artykułów gloryfikujących. Od czasu do czasu pisałem jakiś artykuł, który nie był apologetyczny. Moim zdaniem był w granicach rozsądku, ale nie był tak dramatyczny, jak nasze raporty. Gdyby się ukazał taki artykuł, byłaby wielka draka... Jedyne co mogłem zrobić, to nie włączyć się w propagandę sukcesu. Tego nie można mi zarzucić.

M.H.-P.: — *Podam panu parę przykładów...*

P.B.: — Niech mi pani wierzy. Nie ma takich możliwości. W telewizji mówiłem na tematy międzynarodowe, gospodarki żywnościowej świata... i o czymś tam innym.

M.H.-P.: — *Łatwiej było płakać nad głodującymi białrażnikami, niż podać...*

P.B.: — O naszej trzeba było mówić dobrze. A ja powiedziałem, że dobrze nie będę mówił, bo jest źle. A nie było zapotrzebowania na złe wiadomości. Zresztą miałem trzyletni zakaz pokazywania się w telewizji.

M.H.-P.: — *Naszej, czy jakieś innej?*

P.B.: — Naszej, bo mnie obejmowały także zakazy, ale to tak na marginesie. Widzi więc pani, że nie byłem przykładem tego, co mi pani chciała wmówić.

M.H.-P.: — *Czy zna pan takie pojęcie: odpowiedzialność?*

P.B.: — Proszę pani, dla mnie najważniejszą rzeczą jest, żebym się rano mógł ogolić i nie mówić sobie dzień dobry panu. A uważam, że tak długo mogę to robić, jak długo swoją powinność będę wypełniał z przekonaniem. Inaczej: jeżeli będę mówił prawdę.

M.H.-P.: — *Jak tużę, wchodził pan w tym celu czasami na Giewont i wykrzykiwał ją w kierunku stolicy. Zdrowo i bezpiecznie. O ile mi bowiem wiadomo, nawet na spotkaniu w Krakowie nie było pana na tę prawdę stać. Był pan kiedyś na spotkaniu w „Kuźnicy”. Prawdy, całej prawdy i tylko prawdy nie mówił pan. Krytykowano tam pana ostro. Krytykowano również politykę społeczno-gospodarczą władz. Czy przekazał pan swoim mocodawcom te i im podobne opinie?*

P.B.: — To ja zaprezentowałem w „Kuźnicy” sytuację społeczno-gospodarczą jako bardzo krytyczną. Niczego nie ukrywałem. Rozmowa była bardzo krytyczna, ale nie odczułem, żeby mnie krytykowano. Nie było ku temu żadnych podstaw. Wchodząc powiedziałem nawet, że ta dzisiejsza rozmowa, co do której nie miałem żadnych instrukcji, nie przyniesie mi nagród, bowiem moje władze z pewnością będą jutro wiedziały, co ja tutaj mówiłem. A ja, proszę pani, wylałem kubeł brudnej wody na gospodarkę. Władze oczywiście poinformowałem, że są złe nastroje, że jest duża doza krytycyzmu.

M.H.-P.: — *Czy nie czuł się pan moralnie skacowany? Widział pan dobrze, mówił pan kapeńkę mniej dobrze, a działał się fatalnie?*

P.B.: — Niech pani wejdzie w moją sytuację. Na tym polega dzisiaj tragizm. Ja wtedy po takim czymś... człowiek czuł się, jakby go wsadzono między drzwi, bo co miałem zrobić? Jedy-
nym rozwiązaniem było — bardzo proszę, niech pani tego nie traktuje jako tłumaczenia, mojego wybielania się. To będzie źle zrozumiane. Ja nie chcę tego robić. Rozumie pani? Pani występuje jako prokurator!

M.H.-P.: — *Nie jako zwierciadło.*

P.B.: — Niech pani mnie zrozumie. Ja nie chcę oskarżać byłego I sekretarza, to będzie jakbym wylał na niego kubeł brudnej wody. Trzeba się wczuć w to. Ja nie chcę na tym zrobić kariery. Nie chcę, żeby to społeczeństwo się dowiedziało, że winien był Gierek, a ten Bożyk był dobry, że ja mam dzisiaj głos i chcę to zrobić... Ja tego nie chcę zrobić. Po prostu nie mogę. Kiedy Gierkowi mówiłem prawdę, on próbował działać, rozmawiał. Wielokrotnie prosił ludzi. Sytuacja była bardziej złożona, niż się wydaje. Ten niuans sprawia, że nie chciałbym... Najłatwiej dzisiaj jest powiesić. Jak hiena — nie chcę tego. I bardzo bym prosił, żeby mnie pani od tego ustrzegła. Tragizm jest. Było zawsze trudno. Nieraz koledzy mówili, że mam mocne nerwy.

M.H.-P.: — *Bierze pan środki uspokajające?*

P.B.: — Nie. Niczego nie biorę i śpię doskonale.

M.H.-P.: — *To wspaniale. Możemy więc spokojnie kontynuować. Jak często pisał pan uzasadnienia „pod” już podjęte decyzje? Innymi słowy: jak często zespół doradców dostarczał alibi decydenckim pociągnięciom?*

P.B.: — Niech mi pani wierzy: nigdy tego nie robiliśmy! Nie napisaliśmy ani jednej takiej ekspertyzy. Wiedzano przecież, że jesteśmy ludźmi krytykującymi. Poza tym nie zajmowaliśmy się opiniowaniem decyzji bieżących, takich jak budowa fabryki, czy huty „Katowice”. O to doradcy z założenia nie byli pytani. Żadne decyzje inwestycyjne nie były przez nas opiniowane, bo myśmy pełnili, jako zespół, rolę dla charakterystyki ogólnej sytuacji społeczno-gospodarczej: w dziedzinie inwestycji, handlu zagranicznego, w dziedzinie rynku wewnętrznego, w dziedzinie płac, zatrudnienia...

M.H.-P.: — *Czy mam przez to rozumieć, że huta „Katowice” powstała poza zasięgiem zespołu doradców?*

P.B.: — Tak, poza naszym zasięgiem. Myśmy w żadnych decyzjach inwestycyjnych nie partycypowali. I to nie było złe, bo myśmy się przecież na tym nie znali.

M.H.-P.: — *Partycypował pan w „koronowaniu” niewartych*

tego głów politycznych tytułami naukowymi, co było niemal obowiązkiem po erze gomulłowskiej?

P.B.: — Ja swoje tytuły zdobyłem w erze, jak to pani nazywa, gomulłowskiej.

M.H.-P.: — *Pytam o „koronowanie”, nie o pana. Swój dorobek już mi pan pokazywał.*

P.B.: — Myśmy nikomu nie przyznawali żadnych tytułów naukowych. U mnie nie napisał pracy doktorskiej żaden polityk.

M.H.-P.: — *Czy znaczy to, że pan mu ją sam napisał?*

P.B.: — Wie pani... w środowisku, w którym ja pracuję nigdy takich przypadków nie było. Ja pracuję na wydziale handlu zagranicznego SGPiS. Myślę, że to nie przypadkowo. Wynika to po prostu z pewnych opinii krążących w środowisku: kto może dać tytuł, a kto nie może.

M.H.-P.: — *Kto mógł?*

P.B.: — Trudno mi rzucać oskarżenia na innych kolegów, bo na to trzeba mieć dowody i znać konkretne przypadki. Jestem przeciwnikiem anonimowego oskarżania. Po prostu ludzie, którzy chcą łatwo uzyskać tytuły lgną do ludzi, którzy je łatwo dają. Ja widocznie nie miałem takiej opinii. Może jeszcze byłem za młody, żeby ktokolwiek chciał mieć takiego promotora.

M.H.-P.: — *Nie będzie mi pan chyba wmawiał, że w ogóle pan nie zna tego rodzaju przypadków?*

P.B.: — Niech pani zrozumie — ktoś mówi, że komuś przyznano tytuł, ale to nie są fakty. Instytucjonalnie nie miałem z tym nic wspólnego. Czy nie sądzi pani, że takie uporczywe drażnienie tego tematu przez panią — to polowanie na mgły gdzieś tam fruujące. Nie ma najmniejszego sensu kontynuowanie tej rozmowy. Nie miałem z tym do czynienia. A nawet gdybym wiedział i poszedł z tym do władz, to dowiedziałbym się, że to nie moja sprawa. Jest przecież Maciszewski, który się tym zajmuje — profesor, kierownik wydziału nauki. Moją rolą w tym aparacie było dostarczanie opinii naukowców.

M.H.-P.: — *Wiem, o sytuacji społeczno-gospodarczej kraju. Wracając więc do owej sytuacji. Czy w czasie kryzysu lipcowo-*

sierpniowego był pan, jako szef zespołu doradców, potrzebny władzy? Co pan wówczas doradzał?

P.B.: — Doradca w działaniu operatywnym nie jest potrzebny. Rozumie pani!?

M.H.-P.: — *Nie.*

P.B.: — Po prostu kiedy zaczyna się palić — potrzebny jest strażak, a nie dekorator wnętrz. Może się źle wyraziłem. Może nie dekorator wnętrz, ale powiedzmy architekt.

M.H.-P.: — *Kto spełniał funkcję strażaka?*

P.B.: — W tej sytuacji przedstawiciele rządu, ale doradcy także mieli w tym swój udział. Byli na Wybrzeżu, na przykład profesorowie Rajkiewicz, Pajestka, Wesołowski, Markiewicz. Oni przeżywali tam ciężkie chwile. Moim zdaniem odegrali niezłą rolę, ale na zasadzie już nie doradców, tego zespołu, ale ludzi zajmujących się tymi sprawami.

M.H.-P.: — *Czego się pan nauczył w trakcie minionych wydarzeń?*

P.B.: — To jest bardzo trudne pytanie...

M.H.-P.: — *Umówmy się, że łatwe zostawimy doradcom na szczeblu gminy.*

P.B.: — Mnie jest trudno na to pytanie odpowiedzieć. Nie zmieniłem się ani na dobre, ani na złe. Dlatego, że moja konstrukcja psychiczna jest z założenia krytyczną, a jak niektórzy mówili, krytykancką. To już poza protokołem: krążyła tutaj opinia, że ponieważ ja się do 18 roku wychowywałem w domu dziecka, to z założenia jestem spaczonym umysłem, bo we wszystkim widzę dziury.

M.H.-P.: — *Jest pan klasycznym przykładem na to, że wybitni działacze polityczni mieli trudne dzieciństwo. W USA takie jednostki często kończą w gangach.*

P.B.: — Ma pani niezwykłą zdolność upraszczania wszystkiego... Ja z natury jestem człowiekiem niezwykle krytycznym, który na rzeczywistość patrzy przez czarne okulary. Wobec tego te wydarzenia potwierdziły tylko moją tezę, że jeśli się chce rządzić

krajem, to trzeba patrzeć na to, co dzieje się w społeczeństwie. Mam z tego tytułu daleko idące wnioski, przede wszystkim jeśli chodzi o doradztwo. Nie podjąłbym się w przyszłości doradzania na zasadach dotychczas obowiązujących — takich trochę tajemnych. Uważam, że wtedy mam za małą siłę przebicia w stosunku do polityka. Wtedy polityk może bezkarnie odłożyć moją radę na półkę i nie tłumaczyć się z tego.

M.H.-P.: — *Czyli, jak sądzę, pan nadal będzie sprawował funkcję, którą pan wykonywał do tej pory?*

P.B.: — Niech pani posłucha. Uważam, że doradcy powinni mieć prawo do publicznego prezentowania poglądów. Byliby wówczas z jednej strony weryfikowani przez opinię publiczną, która by ich skrytykowała, gdyby coś powiedzieli źle. Z drugiej zaś strony mieliby presję opinii publicznej na polityka.

M.H.-P.: — *Jednym słowem postuluje pan jawność życia społeczno-gospodarczego?*

P.B.: — Ja bym powiedział: tak.

M.H.-P.: — *Czy to jest w naszym systemie możliwe?*

P.B.: — Oczywiście. Powstałaby rada społeczno-gospodarcza, która przed przedstawieniem raportów politykom dawałaby je do publicznej dyskusji. Dopiero po dyskusji doręczano by je politykom, z równoczesnym opublikowaniem w jakimś wielkim wydawnictwie, na przykład w *Polityce*.

M.H.-P.: — *Czy to się stanie?*

P.B.: — Nie potrafię odpowiedzieć, ponieważ nie jestem politykiem.

M.H.-P.: — *Jakże? Pełni pan funkcję kierownika wydziału KC. Jaki pan ma wpływ na to, by pański pomysł wszedł w życie?*

P.B.: — Myślę, proszę pani, że obecna władza ma dobre intencje.

M.H.-P.: — *Dobrymi intencjami już kilka piekieł w tym kraju wybrukowano.*

P.B.: — Eee... na razie nie mam żadnych gwarancji. Nie ma żadnych gwarancji.

M.H.-P.: — *Czy nie są nimi porozumienia zawarte między komisjami rządowymi a strajkującymi robotnikami?*

P.B.: — Jeśli chodzi o te porozumienia... Po prostu postawiono władzę przy ścianie. Przytulono jej pistolet do skroni i wymuszono na tej władzy obietnice... Większość z tych rzeczy jest nierealna. Nierealna! Nierealna! Już na plenum powiedziałem, że sytuacja jest tragiczna. Co może się stać przy takim wzroście płac przy równocześnie spadającej wydajności?

M.H.-P.: — *Władza da polecenie, żeby wydrukować więcej pieniędzy, jak sądzę.*

P.B.: — Tak, władza daje to polecenie, bo została przy murze postawiona.

M.H.-P.: — *Czy „władza” ma koncepcję, jak podnieść spadającą wydajność pracy?*

P.B.: — Koncepcja władzy w tej sprawie... Może powiedzmy to tak: dzisiaj są dwie cudowne recepty, żeby to rozwiązać — dodać trochę przez import, pocerować...

M.H.-P.: — *Nie wierzę w żadne cudowne recepty, ale nie jestem, jak pan, ekonomistą.*

P.B.: — To są ogólne bzdury. Na to, żeby nastąpiła poprawa na rynku potrzeba czasu. Pewne jest, że w najbliższych trzech latach sytuacja się pogorszy w stosunku do tego, co było pół roku temu. I na to nie ma rady.

M.H.-P.: — *Jak pan chce wprowadzić to przekonanie do tzw. świadomości społecznej?*

P.B.: — Na tym polega tragizm, a nie, jak się sądzi, na zadłużeniu. Polega on na tym, że nie dotarło do świadomości społecznej, między innymi dzięki wspaniałej propagandzie sukcesu, że taka będzie przyszłość. Może być jeszcze czarniejsza, jeśli nie uda się zahamować zniżkowych tendencji w zakresie wydajności pracy.

M.H.-P.: — *Kto ponosi za te spadkowe tendencje wydajności pracy odpowiedzialność?*

P.B.: — Ludzie nie pracują. Po prostu ludzie nie pracują. Jest duże rozluźnienie dyscypliny pracy.

M.H.-P.: — *Czy widzi pan siebie jako ekonoma, który serią nakazów, zakazów i razów wprowadza karność i dyscyplinę?*

P.B.: — To jest kwestia wiarygodności politycznej. Tu jest miejsce dla działań polityka.

M.H.-P.: — *Czy pan jako ekonomista i doradca ma świadomość tego, że polityka i ekonomia są z sobą w dość dużym związku?*

P.B.: — Nie, proszę pani, to już kwestia działania polityka.

M.H.-P.: — *Nie przemawia to do mnie. Tak jak nie przemawia do mnie pański język — pełen spopularyzowanych zwrotów. Nie wiem, czy pan się boi, czy też po prostu przywykł pan do takiego sloganowego prezentowania swoich myśli.*

P.B.: — Mówię przecież w sposób zrozumiały.

M.H.-P.: — *Jaki ma być, pańskim zdaniem, ten odnowiony polityk?*

P.B.: — Moim zdaniem powinien tak działać, jak działał. W tej chwili trudno powtarzać te wszystkie działania polityczne. Nie jestem specjalistą. Siebie traktuję zawsze jako specjalistę od gospodarki, a nie polityki. Nie chciałbym tutaj recenzować polityków, bo byłoby to niezręczne.

M.H.-P.: — *Zręczne natomiast było, drogi specjalisto od gospodarki, doprowadzenie jej do obecnego stanu?*

P.B.: — Niech skończę. Uważam, że wszystkie przedsięwzięcia polityczne wychodzą gospodarce naprzeciw. W długim wymiarze czasowym istnieje możliwość poprawienia sytuacji — drogą reform gospodarczych, za którymi wypowiadałem się w całym dziesięcioleciu. Ale nawet jeśli zaczniemy je dzisiaj wprowadzać, to efekty będą za cztery, pięć lat. A gdybyśmy teraz wstrzymali inwestycje, to odczujemy to już za jakieś dwa, trzy lata. Więc na tym polega tragizm. To nie dociera do świadomości wielu ludzi, którzy widzą tylko konieczność podniesienia płac. Teraz to będziemy już pracować — mówią. Będzie lepiej. To są wszystko mrzonki. Tutaj musimy wyjść propagandowo do przodu.

M.H.-P.: — *Zaiste nie wiem, czy ma pan wizję tej nowej propagandy?*

P.B.: — Ja nie jestem propagandystą. Uważam, co już mówiłem, że powinno się mówić prawdę. Ja jestem, niech mi pani wierzy, z założenia, z konstrukcji człowiekiem, który lubi mówić prawdę. I mówię tę prawdę, jeśli ona nawet przynosi rany. Bo jeśli człowiek zacznie raz kłamać, to już mu to potem wejdzie w nawyk. Nasze społeczeństwo jest wykształcone, ono rozumie. Ono się nie boi prawdy. Gdybyśmy mieli tę prawdę, byłoby zupełnie inaczej — dzisiaj. Moim zdaniem propaganda musi być prawdziwa.

M.H.-P.: — *Współczuję panu. Z pańską konstrukcją psychiczną, z nieustannym dążeniem do prawdy — musiał pan tak często kłamać. Męczył się pan chyba okropnie?*

P.B.: — Mówiłem już, że nie jestem specjalistą od propagandy. Na chłopski rozum mówię, że mówienie nieprawdy ma krótkie nogi. Dowodem tego jest propaganda sukcesu, która doprowadziła do tego, że dzisiaj przeciętny obywatel nie wierzy w to, że sytuacja gospodarcza jest bardzo zła... choć stale się o tym mówi, nie tylko w telewizji.

M.H.-P.: — *Przeciętny obywatel nie wierzy nawet, kiedy telewizja podaje mu, że gdzieś w lubuskim jest powódź. Przeciętny kombinuje wtedy, że pewnie coś im nie wyszło, a teraz obciążają powódź.*

P.B.: — Przecież nie ja za to ponoszę odpowiedzialność. Dzisiaj mogę powiedzieć, że na swoim stanowisku zachowałem się właściwie. Moim obowiązkiem było mówienie prawdy. To zadanie wykonałem. Nie tylko ja. Wszyscy moi koledzy. Są na to przecież dowody. Pokazywałem pani materiały. One są. Korzystano z nich podczas pisania referatu na VI Plenum.

M.H.-P.: — *Mówi pan, że korzystano... Dlaczego więc pierwszy sekretarz tak mało i niekonkretnie mówił o rolnictwie, skoro miał wszystko, jak pan twierdzi, w materiałach?*

P.B.: — Rzecz jasna, że ja nie mogę referować referatu pierwszego sekretarza. To by było bardzo trudne, gdybym ja w tym gmacchu mógł sobie na to pozwolić. Nie ma takich możliwości.

M.H.-P.: — *Czy nigdy nie miał pan tęsknot podobnych tym, które przewodniczący Komitetu Strajkowego MPK w Gdańsku tak określił: „mamy jedno życie i w tym życiu chcemy być wolniejsi”?*

P.B.: — Powiem pani szczerze. Obecnie czuję się tak, jakby mi spadł kamień z serca. To wszystko co na mnie wisało w ciągu ostatnich lat, świadomość pogarszającej się sytuacji, świadomość nadciągającej, czarnej burzy... i pełna bezsilność. Oczekiwanie... Czuję się jakby pewne rzeczy były poza mną. Myślę, że czekają nas jeszcze trudne chwile gospodarcze. Trudniejsze niż były. Ale jest mi lżej, bo mogłem, po raz pierwszy, powiedzieć publicznie, co robiłem. Mogłem się wypowiadać przed społeczeństwem z minionej rzeczywistości. Ta rzeczywistość nie jest dla nas doradców obciążająca. Przeciwnie — możemy powiedzieć, że robiliśmy to, co mogliśmy zrobić. Tylko że obowiązywały nas reguły gry, które uniemożliwiały mówienie pewnych rzeczy. Teraz można było powiedzieć. Dlatego czuję się człowiekiem znacznie bardziej wolnym.

M.H.-P.: — *Ładnie to pan powiedział. Przewodniczącego komitetu strajkowego zapewne ucieszy to wyznanie. A w ogóle gratuluję panu samopoczucia. Ile czasu przeznaczył pan na rozmowę ze mną?*

P.B.: — *Godzinę.*

M.H.-P.: — *Obawiam się, że obaliłam panu porządek dnia. Będzie pan musiał zostać po godzinach?*

P.B.: — Ja w ogóle lubię z dziewczynami rozmawiać... Ostatnie trzy tygodnie siedziałem tutaj od ósmej rano do... prawie jedenastej wieczorem.

M.H.-P.: — *Tyle dziewcząt przychodziło?*

P.B.: — Jest pani odważna, ale ma pani rogatą duszę.

M.H.-P.: — *Czy przed rozmową ze mną czytał pan Żeromskiego?*

P.B.: — Nie, dlaczego?

M.H.-P.: — *Mam wrażenie, że prezentując siebie miał pan przed oczyma Judy — czy nie tak?*

P.B.: — Nie, proszę pani... kiedy mi zaproponowano szefowanie zespołowi doradców czułem, że spotkało mnie wyróżnienie. Było to dla mnie olbrzymie zadanie. To było nowe środowisko. Ja tutaj nikogo nie znałem i musiałem budować pozycję tego nau-

kowca. Walczyć o jakieś uznanie — to trudne było. Mam zamiar napisać książkę.

M.H.-P.: — *Wspomnieniową?*

P.B.: — Może nie tyle... Zacząłem pisać dziesięć lat temu książkę pt. „Z ekonomii niedostateczny”. Wtedy nawet złożyłem ofertę Andrzejowi Wasilewskiemu. Myślę, że teraz tę książkę dokończę.

M.H.-P.: *I wyda pan w PIW-ie?*

P.B.: — Chciałbym. To nie będzie książka ekonomiczna. To będzie zależało od tego, co ja będę dalej robił... Proszę tylko panią, żeby rozmawiając z innymi moimi kolegami, unikała pani oskarżania tow. Gierka. Byłbym zadowolony, żeby moi koledzy nie rzucali tego na barki pierwszego sekretarza. Historia pokaże jeszcze...

M.H.-P.: — *... że winne były nastane przez imperializm krasnoludki. Bogu dziękuję, że nie jest pan moim doradcą i nie muszę się dostosowywać. Niech się pan nie denerwuje — mam pytanie. Teraz został pan politykiem.*

P.B.: — To dużo powiedziane. Podejmując tę decyzję uznałem, że mogę tej rzeczywistości pomóc. Że pisanie pięknych książek teoretycznych — dobrze ocenianych — to za mało. Człowiek powinien mieć ambicje, żeby coś pomóc tej rzeczywistości.

M.H.-P.: — *Chciałam zapytać, ale pan przerwał... Czy nadal pan będzie doradzał?*

P.B.: — Nie chciałem już być kierownikiem takiego zespołu, jak byłem. To za ciężko na jednego człowieka. Ja nie muszę się publicznie wykazywać... Myślę, że jeśli zmiany pójdą w tym kierunku, że eksperci będą mogli otwarcie prezentować swoje raporty, to wtedy będą inne warunki. Dotychczasowych dramatów nie chciałem. Nie chciałem pisać dobrych ekspertyz na półki... Jeśli dostanę szansę, to ją wykorzystam. Jeżeli będę widział tym razem, że nic się nie da zrobić, odejdę bez awantur i skandali.

M.H.-P.: — *Jaką ma pan gwarancję zaistnienia takowej szansy?*

P.B.: — Nie mam żadnej. Na razie jest to wrócenie z fusów. Na razie politycy są zajęci innymi sprawami.

M.H.-P.: — *Przywracają zaufanie narodu?*

P.B.: — Tak. Zajęci są zaufaniem, a nie sprawami gospodarczymi.

M.H.-P.: — *Chyba dość opornie idzie im z tym zaufaniem?*

P.B.: — Mam nadzieję, że głupota w społeczeństwie już chyba nie zwycięży. Jakiś straszliwy brak odpowiedzialności u wielu ludzi. Co z tego, że wolno słuchać Wolnej Europy? Chyba różnią ją, że nie tam jest pogląd na dzisiejszą rzeczywistość. Nawet ludzie, którzy nie są przyjaciółmi tego społeczeństwa — każą, żeby się to społeczeństwo wzięło do roboty...

Karol MODZELEWSKI

„SOLIDARNOŚĆ” W PRZEDEDNIU WOJNY*

Bezpośrednim powodem, który skłonił mnie do napisania tych uwag była wypowiedź redaktora Andrzeja Micewskiego. 28 października 1984 roku w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej wygłosił on prelekcję pt. „*Testament duchowy Kardynała Wyszyńskiego*”. W trakcie dyskusji zapytano prelegenta m.in. o to, czy Prymas Glemp orientował się w zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, a także o to, czy doszłoby do stanu wojennego, gdyby żył Prymas Wyszyński. Odpowiedź redaktora Micewskiego wzbudziła swego rodzaju sensację. Cytuję ją według nagrania magnetofonowego, gdyż kasety z tym nagraniem krążą po kraju, a wypowiedź uzyskuje przez to obieg publiczny:

„Na pierwsze pytanie mogę odpowiedzieć szczerze, ponieważ byłem tym człowiekiem, który na jakieś trzy tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego dowiedział się, że coś podobnego może nastąpić i oczywiście w nocy pojechałem do Prymasa i go zawiadomiłem. Spowodowało to serię rozmów ks. Prymasa — w niektórych uczestniczyłem, w niektórych nie uczestniczyłem — z p. Wałęsą, doradcami i kierownictwem 'Solidarności'. Czyli że Kościół nie tylko był uprzedzony, ale w gruncie rzeczy nikt mu nie zakazał informować kierownictwa Związku. Natomiast Związek był przekonany o swojej sile i o słabości rządu i wydaje mi się, że to przesądziło, że uważał, że Prymas i jego doradcy są ludźmi słabymi (przerwa na zmianę taśmy). Naprawdę poważna rzecz, no ale proszę Państwa, ja muszę powiedzieć, że nawet gdyby przywódcy 'Solidarności' wtedy już wzięli poważnie nasze ostrzeżenia, to było bardzo trudno pokierować w ostatniej chwili

* Przedruk z *Obecności* nr 12/1985. Obecność jest niezależnym pismem literackim, ukazującym się we Wrocławiu.

dziewięć i pół milionowym ruchem społecznym. Nie chcę tu nikogo usprawiedliwiać. Uważam, że dużo wcześniej należało wziąć pod uwagę rady kardynała Wyszyńskiego, który mówił o polityce małych kroków, o stawianiu żądań czysto związkowych, o odkładaniu pewnych żądań na termin późniejszy — wszystko to nawet w mojej książce jest opisane. Natomiast w tej ostatniej chwili, w tych ostatnich dniach, że tak powiem — no boję się, że przywódcy, którzy by się cofnęli, mogli być bardzo łatwo zde-zawuowani przez te milionowe masy. Sytuacja była rzeczywiście dramatyczna. Mogę tylko powiedzieć, że Kościół spełnił swój obowiązek do końca. Znaczący, była taka rozmowa na 3 czy 4 dni przed stanem wojennym, kiedy Prymas dosłownie podniósł głos i mówił do przedstawicieli 'Solidarności': 'Panowie, przekroczyliście prawa dane wam przez świat pracy'. Ja tego jeszcze dziś nie mogę ogłosić drukiem, co wiem, ale były to dramatyczne rozmowy i jedno mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że Kościół zrobił wszystko, co było możliwe.

A teraz jeśli chodzi o to gdybanie: ja myślę, że gdyby żył kardynał Wyszyński, sprawy może by się troszeczkę jeszcze przewlekły. Natomiast rzeczy się działy w skali świata podzielonego na dwa bloki i w skali jednego z tych dwóch bloków. W związku z tym, nawet tak wybitny człowiek, jak kardynał Wyszyński, najprawdopodobniej nie mógłby przesądzić innego wyniku. Dziękuję".

1. Pod osłoną Sejmu, czy pod osłoną nocy?

Nie zamierzam ograniczać się do spraw poruszonych przez redaktora Micewskiego, ani konstruować artykułu jako polemiki z jego wypowiedzią. Na samym początku trzeba jednak zwrócić uwagę na dwuznaczność sformułowania „że coś podobnego może nastąpić”. Zamiar wprowadzenia stanu wyjątkowego pod nazwą nadzwyczajnych uprawnień dla rządu był przecież publicznie znany. IV i VI Plenum KC zalecały wniesienie projektu takiej ustawy do Sejmu. Od przełomu listopada i grudnia kierownictwo Związku traktowało tę groźbę bardzo poważnie. Treść ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych utrzymywana była w tajemnicy, ale na początku grudnia do przywódców „Solidarności” dotarły niedyskrecje, a wkrótce pełny tekst projektowanej regulacji prawnej. Była to łagodniejsza i z góry ograniczona w czasie wersja dekrety o stanie wojennym. Najważniejsza różnica polegała jednak nie na treści przepisów, lecz na sposobie wprowadzenia ich w życie. Ustawa o uprawnieniach nadzwyczajnych zakładała drogę konstytucyjną, a więc uchwalenie regulacji prawnej przez Sejm. Była to droga zgodna z legalizmem komunistycznej władzy, bo oparta na uchwałach KC i dopuszczająca udział FJN-owskich ugru-

powań w sejmowej debacie i decyzji. Dawało to „Solidarności”, Kościołowi, a także tym grupom w Sejmie i w samej partii, które były przeciwne siłowemu rozwiązaniu, możliwość przeciwdziałania projektowi stanu wyjątkowego. Nawet gdyby nie udało się go zablokować, Związek zyskiwał czas i sposobność do przygotowania skuteczniejszej samoobrony.

Tymczasem stan wojenny wprowadzono nie pod osłoną Sejmu, lecz pod osłoną nocy. Ominięto procedurę konstytucyjną, zastępując w czasie trwania sesji parlamentarnej ustawę dekretem. „Sojusznicze” ugrupowania katolickie zawieszono, pozostałe zaś stronnictwa, Sejm, a nawet Biuro Polityczne KC postawiono przed faktem dokonanym. Oznaczało to, że zamach na „Solidarność” łączy się z faktycznym przejęciem władzy przez wojsko, co naruszyło wewnętrzny legalizm systemu i nadało akcji WRON formy charakterystyczne dla zamachu stanu (zajęcie rozgłośni radiowych i TV, central telefonicznych i urzędów pocztowych, zablokowanie łączności telefonicznej i telexowej, zawieszenie oficjalnie wydawanych czasopism itd.).

Kierownictwo „Solidarności” podjęło działania mające zapobiec uchwaleniu ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych, a w razie jej przegłosowania i wprowadzenia w życie doprowadzić do odwołania stanu wyjątkowego. Znalazło to wyraz w „soleckiej” uchwale Prezydium KK z 2 grudnia, stanowisku radomskim z 3 grudnia oraz nieznanym już ogółowi uchwałach KK z 12 grudnia. Nie ulega natomiast wątpliwości, że zamach przeprowadzony nocą z 12 na 13 grudnia zaskoczył władze „Solidarności”. Związek nie był przygotowany na taką ewentualność, chociaż przeprowadzał mobilizację do walki przeciw ustawie o stanie wyjątkowym. WRON z powodzeniem wykorzystała czynnik zaskoczenia.

Jeżeli informacje uzyskane przez redaktora Micewskiego i przekazane Prymasowi dotyczyły groźby przeforsowania w Sejmie i wprowadzenia stanu wyjątkowego, to ich znaczenie było ograniczone: byłyby potwierdzeniem rozeznania, jakie miała hierarchia kościelna i kierownictwo Związku. Gdyby jednak dowiedział się on o planowanym zamachu wojskowym, który opierał się przecież na innym scenariuszu i miał inne następstwa dla władzy i społeczeństwa — to nasuwa się parę istotnych pytań. Pewne niedowierzanie budzić mógłby fakt, że Andrzej Micewski na trzy tygodnie przed stanem wojennym uzyskał wiadomość, która do ostatniej chwili pozostawała tajemnicą dla niektórych członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC. Przede wszystkim jednak zdziwienie budziłoby niewątpliwe zaskoczenie władz „Solidarności”. Czy jest możliwe, by przywódca Związku zupełnie zlekcewa-

żyli ostrzeżenie Prymasa w tej sprawie? Czy jest do pomyślenia, by Prymas dysponując informacją takiej wagi nie przekazał jej kierownictwu Związku? W rzeczywistości chodzi tu o nieporozumienie wywołane wieloznacznym sformułowaniem. Wymaga ono wyjaśnienia, gdyż wbrew intencjom redaktora Micewskiego mogłoby rzucić cień na hierarchię kościelną i na przywódców „Solidarności”. Podejmuję się tego wyjaśnienia m.in. dlatego, że w odróżnieniu od redaktora Micewskiego uczestniczyłem w spotkaniu Prymasa z Lechem Wałęsą i kilkoma działaczami KK 7 grudnia 1981 roku.

Nie ograniczam się jednak do tej sprawy. Polityka władz „Solidarności” w ostatnich tygodniach przed stanem wojennym jest najmniej znanym, a przecież kluczowym fragmentem 16-miesięcznej historii legalnego działania Związku. Dokumenty z tych dni są przeważnie nieznane lub — jak dyskusja radomska — znane w wersji przemyślnie sfałszowanej. W rezultacie obraz „Solidarności” w ostatnich dniach przed wojną jest w świadomości społecznej zmistyfikowany. Miejsce brakujących informacji zajmują mniej lub bardziej gołosłowne oceny, plotki i legendy. Przyczynia się do tego także gra politycznych interesów, urazów i ambicji — nie tylko przecież po stronie rządowej. Wśród namietności i manipulacji świadomością zbiorową warto starać się ocalić wiedzę o jednym z najistotniejszych momentów współczesnej historii Polski. Obok publikacji dokumentów mogą temu posłużyć relacje bezpośrednich uczestników wydarzeń.

Wiedza moja jest rzecz jasna fragmentaryczna, gdyż wiąże się bezpośrednio z tym, co sam robiłem i w czym brałem udział. Nadto jako jeden z 7 członków KK oskarżonych o spisek w celu obalenia ustroju miałem możliwość jesienią 1983 roku przestudiować włączone do akt śledztwa stenogramy posiedzeń władz związkowych w „Solcu”, Radomiu i Gdańsku (2, 3 i 11-12 grudnia 1981). Notatki z akt odebrano mi przy zwolnieniu w sierpniu 1984 roku. Zachowałem jednak wyciąg, zawierający głównie moje własne wystąpienia i teksty uchwał. Spośród tych dokumentów przytaczam w aneksie uchwałę i oświadczenie KK z 12 grudnia, które dotychczas nie ujrzały światła dziennego oraz moje wystąpienie w Radomiu, którego spreparowaną wersję ze szczególnym upodobaniem upowszechniano w radiu, TV i prasie.

Moja relacja o tych wydarzeniach nie może pretendować do bezstronności, gdyż sam byłem w nich stroną, co w sposób nieunikniony wpływa na moje rozumienie faktów. Nie stronię też od szerszych interpretacji, wykraczających poza ramy suchego opisu zdarzeń. Myślę jednak, że mimo niemożliwego do wyeliminowania

wania wpływu osobistych doświadczeń i zaangażowania na sposób widzenia opisywanych wydarzeń mogą wnieść do wiedzy o nich trochę nieznanymi ogółowi, a przecież istotnych informacji.

2. *Dużo wcześniej...*

Nie ulega wątpliwości, że Kościół wywierał miarkujący wpływ na politykę kierownictwa Związku. Pomijam kwestię rad Prymasa Wyszyńskiego, gdyż znam tylko jego wypowiedź z marca 1981 roku. Sugerował on, by rozłożyć w czasie realizację postulatów bydgoskich, co dotyczyło konkretnego konfliktu i nie stanowiło rozbudowanej recepty na całą działalność Związku. Mam wrażenie, że zmarły Prymas unikał narzucania takiej recepty, nie czuję się jednak w tej sprawie kompetentny. Często natomiast spotykałem się ze strony intelektualistów obserwujących „Solidarność” z ubocza z niezrozumieniem tego masowego ruchu. Związek ten budowały setki tysięcy i miliony ludzi, którzy działali z własnej inicjatywy i nigdy nie pozwolili sobie inicjatywy odebrać. Dlatego aparatowi partyjnemu nie udało się odebrać ruchu niezależności — i dlatego również przywódcy Związku nie mogli arbitralnie kręcić sterem. Nie sposób przyrównać ich do szachisty, który przedstawia drewniane figury na szachownicy. Próby narzucenia przez kierownictwo „Solidarności” rozwiązań zbyt ugodowych, nie znajdujących zrozumienia i aprobaty członków przynosiły odwrotne skutki: z jednej strony frustrację i radykalizację załóg oraz aktywu związkowego, z drugiej zaś usztywnienie polityki rządu, który liczył na rozłam między ustępliwym kierownictwem a „radykałami” i widział w tym szansę „odwrócenia biegu wydarzeń”. Dlatego w momentach gdy KK nie potrafiła zaoferować społeczeństwu zrozumiałej i akceptowanej strategii, przywódcy Związku tracili kontrolę nad sytuacją. Występowały wówczas groźne spiętrzenia lokalnych i regionalnych konfliktów, które Związek opanowywał z najwyższym trudem i ryzykiem.

Los posierpniowej Polski zależał od tego, czy uda się pogodzić realia geopolityczne, które wymagały pozostawienia władzy państwowej w rękach komunistów z realiami społecznymi, na które składały się aspiracje, postawy i niezależna działalność milionów Polaków. Było to nie do pomyślenia bez zmiany systemu sprawowania władzy, choćby dlatego, że Porozumienie Gdańskie podcięło ten system u podstaw: aparat partyjny stracił kontrolę nad społeczeństwem, jego organizacjami i działaniami. Administracja państwowa była wprowadzić po staremu podporządkowana

całkowicie ośrodkom dyspozycyjnym PZPR, ale każda jej decyzja mogła natrafić na skuteczne przeciwdziałanie zorganizowanego w niezależnych związkach społeczeństwa. Sytuacja taka była na dłuższą metę nie do utrzymania, ponieważ prowadziła do gruntownej dezorganizacji państwa — i pogłębienia kryzysu gospodarczego.

Warunkiem trwałego współistnienia komunistycznej władzy z niezależnym ruchem związkowym przy znacznych swobodach obywatelskich była więc demokratyzacja państwa. Względę geopolityczne wykluczały demokrację parlamentarną na wzór zachodni. Wolne wybory do Sejmu przekreśliłyby legalne podstawy władzy PZPR, będącej dla Moskwy jedynym wiarygodnym gwarantem jej interesów w Polsce. Na szczeblu centralnym w grę wchodzić mogło tylko zastąpienie polityki komenderowania przez zinstytucjonalizowane formy uzgadniania kluczowych decyzji gospodarczych, na niższych zaś szczeblach przyznanie praw decyzyjnych w ramach reformy gospodarczej demokratycznie wybranym samorządom pracowniczym i terytorialnym. Program taki sformułowała stopniowo w ciągu drugiej połowy 1981 roku „Solidarność”. KC i rząd uznały go za zamach na władzę. Czy Związek mógł powstrzymać się od wysunięcia tego programu i innych żądań politycznych, jak dostęp do środków masowego przekazu i sprawa praworządności?

Do wiosny 1981 roku „Solidarność” unikała angażowania się w sprawę reformy, pozostawiając inicjatywę w tej dziedzinie władzom państwowym. Władze te jednak pozostawały w defensywie, podejmując raz po raz nieskuteczne, a w efekcie destabilizujące próby „odwrócenia biegu wydarzeń”. Struktury poziome w partii okazały się zbyt słabą grupą nacisku, a na IX Zjeździe poniosły klęskę. W kierownictwie PZPR niewielu było ludzi skłonnych pogodzić się z trwałym istnieniem niezależnego ruchu związkowego i opowiadających się za dostosowaniem sposobu rządzenia do zmienionej sytuacji społecznej. Również oni ponieśli na IX Zjeździe porażkę, a stan wojenny zmiotł ich ostatecznie. Skuteczniejsze, bo wspierane z Moskwy były naciski tzw. betonu, który oskarżał Kanię o kapitulantwo. Najbardziej miarodajne elementy rządzącej ekipy traktowały porozumienia sierpniowe jako „pokój brzeski”, tj. wymuszony i prowizoryczny pakt z kontrrewolucją, którą należy zlikwidować, gdy tylko uda się zmienić układ sił. Liczono na osiągnięcie tego celu bądź to drogą polityczną, poddając stopniowo strukturę Związku „kierowniczej roli partii” przez naciski, wywoływanie w „Solidarności” podziałów i stosowanie taktyki salami — bądź też drogą przemocy, ale bez uciekania się do bezpośredniej interwencji ZSRR. Ten ostatni wariant najbardziej chyba odpowiadał radzieckim postulatom, ale wymagał czasu

na przygotowanie wojskowe i na odpowiednią grę polityczną, osłabiającą zdolności ruchu społecznego do samoobrony. Moskwa nagliła, uważając długotrwałe istnienie „Solidarności” za groźbę dla innych krajów obozu, ale też wołała uniknąć interwencji.

Taki układ sił po stronie władzy nie dawał wielkich szans polityce współpracy z niezależnym partnerem w celu wyprowadzenia kraju z kryzysu. Od września 1980 do marca 1981 roku strona rządowa usiłowała bezskutecznie realizować swoje zamiary metodą przepychanki, wszczynając serię konfliktów ze Związkiem, a następnie rejterując pod groźbą ogólnopolskiego strajku. Resultatem było ugruntowanie niezależności, wzrost faktycznej siły Związku i wielkie poczucie siły w jego szeregach. Kolejne konflikty zmuszały też „Solidarność” do zajęcia się sprawami politycznymi. W kryzysie rejestracyjnym strona rządowa uczyniła przedmiotem sporu rolę PZPR w posierpniowej Polsce; sprawa Narożniaka i wydarzenia bydgoskie wprowadziły do postulatów Związku problem praworządności; rola TV w konflikcie o wolne soboty, w sprawie bydgoskiej czy w czasie hecy o rzekome zerwanie rozmów 6 sierpnia 1981 nadały szczególną rangę żądaniu dostępu do środków masowego przekazu.

Przepychanka między rządem a „Solidarnością” zadała ciężki cios administracyjnej sprawności państwa. Wojewodowie i dyrektorzy, popychani odgórnie poleceniami do kolejnych starć ze Związkiem, znaleźli się między młotem a kowadłem: to oni płacili za każdym razem koszty rejterady naczelnych władz politycznych. Pod naciskiem „Solidarności” urzędnicy administracji państwowej i gospodarczej tracili stołki za to, że zbyt gorliwie wykonywali instrukcje swojej zwierzchności. Wisiała też nad nimi groźba rozliczeń za korupcję i niegospodarność, inicjowanych przez zakładowe i lokalne ogniwa niezależnego ruchu związkowego. Zasady podległości partyjnym centrom dyspozycji politycznej nie zmieniły się, ale w zderzeniu ze zmienioną rzeczywistością społeczną nie wytrzymały próby życia. W obawie przed zagrożeniem z obu stron zanikała zdolność administracji do działania. Latem 1981 roku dyrektor Zjednoczenia „Bumar” oświadczył publicznie, że dotychczasowy system zarządzania gospodarką przestał istnieć, a żaden nowy nie powstał. Można to śmiało odnieść do całokształtu organizacyjnych funkcji państwa. Jedyne jego funkcje represyjne, oparte na dyspozycyjności kadry policyjnej i wojskowej nie uległy w zasadzie rozchwianiu. Jaruzelski mógł się na to powołać wprowadzając jesienią 1981 roku do akcji wojskowe grupy operacyjne. Kryzys państwa walnie przyczynił się do zaostrenia kryzysu gospodarki. W porównaniu z tym czynnikiem straty czasu pracy spowodowane bezpośrednio strajkami miały zni-

komą wagę: w skali 1981 roku (do wybuchu wojny) nie przekroczyły one 6 godzin.

Ci, co zarzucają „Solidarności”, że nie ograniczyła się do żądań czysto związkowych operują eufemizmem lub nie wiedzą co mówią. Postawa czysto związkowa polegałaby na żądaniu dalszego wzrostu płac i pełnego zaopatrzenia rynku, korzystniejszych układów zbiorowych itp. bez oglądania się na problemy gospodarcze, z którymi boryka się nasz wspólny pracodawca. W warunkach 1981 roku byłaby to najkrótsza droga do konfrontacji.

Przywódcy Związku rozumieli to. Poprzestano na wywalczeniu „wałęśówki” zgodnie z punktem 8 Porozumienia Gdańskiego i na kompromisowym, skromniejszym od jastrzębskich ustaleń rozstrzygnięciu sporu o wolne soboty. KKP dość skutecznie powstrzymywała dalsze roszczenia ekonomiczne mimo wzrostu kosztów utrzymania i pogarszającego się zaopatrzenia. Kierownictwo „Solidarności” nie ukrywało, że wyjście z kryzysu wymagać będzie akceptowanej przez ruch związkowy obniżki stopy życiowej. Warunkiem zgody na wyrzeczenia było jednak stworzenie instytucjonalnych gwarancji, że rezultaty wyrzeczeń nie zostaną po raz kolejny zmarnowane przez niesprawny system i niekontrolowaną władzę. Bez takich gwarancji program wyrzeczeń nie miał w społeczeństwie, a więc i w „Solidarności” żadnych szans. Niezbędnym dopełnieniem odpowiedzialnej polityki Związku w sprawach społeczno-gospodarczych był postulat samorządowej reformy gospodarczej i rządzenia państwem. Wymagało to nowej struktury w zakładach (sprawa powoływania i odwoływania dyrektorów) i połączenia reformy gospodarczej z ustanowieniem autentycznego samorządu terytorialnego. Na szczęblu ogólnokrajowym Społeczna Rada Gospodarki Narodowej, a w dalszej perspektywie Izba Pracy przy Sejmie miały stworzyć forum dla uzgadniania z rządem kluczowych decyzji społeczno-gospodarczych. Chodziło o wyeliminowanie niszczącej przepychanki i realizowanie społecznych interesów raczej w drodze dialogu, niż przez stosowanie veta strajkowego. Warto zauważyć, że komitet Bobrowskiego przy Radzie Ministrów i Rada Społeczno-Gospodarcza przy Sejmie są pozbawionymi kompetencji i reprezentatywności replikami instytucji, których powołania domagała się „Solidarność”.

Projekty „sieci” zostały opracowane wcześniej, ale dopiero na przełomie lipca i sierpnia 1981 KKP uczyniła reformę gospodarczą i samorząd oficjalnym hasłem Związku. Stało się to pod bezpośrednią presją wydarzeń. Załamanie rynku żywnościowego i obcięcie od 1 sierpnia przydziałów kartkowych postawiło władze „Solidarności” wobec wielkiej fali wzburzenia załóg, na którą trzeba było zareagować. Spektakularne akcje w rodzaju

marszu głodowego w Łodzi czy blokady warszawskiego Ronda nie wystarczały do skanalizowania wybuchowych nastrojów. Związek miał do wyboru: podjąć walkę strajkową pod hasłem poprawy zaopatrzenia, co wobec braku żywności równałoby się próbie obalenia rządu — lub wskazać społeczeństwu inną perspektywę. Otworzyło ją hasło samorządowej przebudowy systemu. Klasycznym przykładem jest Wrocław, gdzie wysunięcie tego hasła pozwoliło Zarządowi Regionu powstrzymać w zarodku strajkową reakcję załóg na zmniejszenie przydziałów kartkowych. Aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji na tle zaopatrzenia w żywność, Związek musiał przenieść ją na płaszczyznę walki o demokratyzację sposobu sprawowania rządów. Owocem tego wyboru stał się program Rzeczypospolitej Samorządnej. Pozwolił on pohamować ślepą eksplozję niezadowolenia, ponieważ mimo ograniczeń podyktowanych względami geopolitycznymi wyrażał polityczne aspiracje Polaków.

W ramach „Solidarności” wyrażano też aspiracje dalej idące. Jesienią 1981 roku w zakładowych i lokalnych ogniwach Związku dawały się odczuć tendencje do odrzucania samoograniczeń (hasła przedterminowych wyborów do Sejmu, usunięcia z konstytucji zapisu o kierowniczej roli PZPR, dymisji rządu, „wyprowadzenia” partii z zakładów). Żądania te nie zyskały aprobaty kierownictwa Związku i nie stały się drogowskazem jego polityki. Platformą „Solidarności” pozostała do 13 grudnia ograniczona demokratyzacja systemu, pozostawiająca ster rządów w rękach komunistów.

Dla czynników rządowych była to jednak otwarta kontrrewolucja, ponieważ nie zamierzały one wyrzec się komenderowania wszystkimi ogniwami gospodarki i życia publicznego. W ramach takiej koncepcji władzy nie było miejsca na trwałe współistnienie z niezależnym związkiem. Gdy IX Zjazd partii rozstrzygnął jej wewnętrzne rozgrywki, a I Zjazd „Solidarności” ostatecznie pogrzebał rachuby na odzyskanie kontroli PZPR nad ruchem związkowym, naczelnym celem polityki rządu stało się przygotowanie siłowej konfrontacji.

Nie wierzę w fatum, na mocy którego każda próba demokratyzacji „realnego socjalizmu” jest skazana na zdławienie przemocą. Nie uważam również, że warunkiem istotnych zmian w Polsce jest rozwiązanie Związku Radzieckiego i że hasło takie winno być abecadłem polskiej polityki. Myślę jednak, że „Solidarność” musiała wysunąć program reform samorządowych, ponieważ sytuacja w Polsce w roku 1981 nie dawała jej po prostu innego wyboru.

3. Konfrontacja

Groźba stanu wyjątkowego towarzyszyła wszystkim poważniejszym konfliktom między „Solidarnością” a rządem. 9 września 1980 roku otrzymałem po raz pierwszy nieoficjalną wiadomość, że władze postanowiły uprzedzić akcję strajkową Związku zmasowanym uderzeniem policyjnym. W okresie bydgoskim strona rządowa otwarcie zapowiedziała, że na strajk generalny odpowie stanem wyjątkowym. Nie ulega wątpliwości, że poczyniono wówczas przygotowania wojskowe. Rząd zdecydował się na prestiżowe ustępstwo, ponieważ strajk ostrzegawczy z 27 marca wykazał powszechną determinację załóg, a związki branżowe i podstawowe organizacje partyjne stanęły obok „Solidarności”. Kierownictwo PZPR znalazło się w tak głębokiej izolacji politycznej, że przeprowadzenie stanu wojennego wymagałoby prawdopodobnie użycia jednostek radzieckich. Kierownictwo „Solidarności” okazało ustępliwość z obawy przed obcą interwencją. Głównym efektem było odłożenie konfrontacji do lepszych (dla rządu) czasów.

Gdzieś w czerwcu 1981 roku do MKZ Wrocław dotarła znów poufna wiadomość, że przygotowano szczegółowe instrukcje dla administracji państwowej na wypadek stanu wyjątkowego. Przeciaki o zamiarze jego wprowadzenia, a także otwarte pogroźki w oświadczeniu Biura Politycznego oraz w wypowiedziach Jaruzelskiego i Rakowskiego pojawiły się ponownie w okresie I Zjazdu „Solidarności”. Wiadomo, że zamiarom konfrontacyjnym przeciwstawiały się wówczas publicznie ZSL, SD, PAX i PZKS, a wewnątrz partii zaprotestowała część sekretarzy wojewódzkich i aktywu.

Fałszywe alarmy osłabiały czujność działaczy związkowych, chociaż gra polityczna rządu od początku sierpnia 1981 roku służyła przygotowaniu stanu wojennego. Lokalne ogniwa Związku wciągano w konflikty tak sprowokowane, by ich sens był dla społeczeństwa niejasny lub wątpliwy. Jątrzące kampanie w środkach masowego przekazu zmierzały do dezorientacji społeczeństwa i wywołania w nim podziałów. Powodowało to radykalizację aktywu związkowego i młodych robotników, ale spora część społeczeństwa była zmęczona kryzysem i nieustannymi konfliktami.

Treść rozmów Jaruzelski - Glemp - Wałęsa z początku listopada nie została nigdy ujawniona. Przypuszczalnie poprzestano na ogólnikach. Spotkanie to wywołało wielkie nadzieje, że porozumienie narodowe jest w zasięgu ręki i da się osiągnąć przy stole rokowań. Był to optymizm bez pokrycia. Negocjacje rozpoczęte po tym spotkaniu okazały się grą pozorów. Rząd odmówił dysku-

sji nad dostępem „Solidarności” do środków masowego przekazu i samorządem terytorialnym, a decyzje które przesądziły sprawę reformy gospodarczej i obniżkę stopy życiowej podjął za plecami związkowych negocjatorów. Rozmowy prowadzono po to, by podtrzymać złudzenie, a w momencie nieuchronnego fiaska wykorzystać zawiedzione nadzieje społeczeństwa przeciw „Solidarności”, obarczając ją winą za zaprzepaszczenie szans porozumienia narodowego.

Wybieg ten odegrał w przygotowaniach do stanu wojennego istotną rolę, gdyż zdolność Związku do obrony własnego istnienia zależała głównie od tego, czy miliony członków „Solidarności” są świadome zagrożenia. Polityka informacyjna Związku ułatwiała tę grę rządu. Aż do 2 grudnia robiono dobrą minę do złej gry, wskutek czego przerwanie rozmów zaskoczyło społeczeństwo. Odpowiedzialność za to obciąża przede wszystkim ówczesnego rzecznika prasowego KK Marka Brunne. Ale ponosi ją także kierownictwo Związku. Dało się ono zwieść nadziejom na skuteczność tajnej dyplomacji, która okazała się tylko zasłoną dymną dla czołgów.

Uchwała IV Plenum KC, a następnie upadek Kani i skupienie potrójnej władzy w rękach Jaruzelskiego nie zaalarmowały jeszcze przywódców „Solidarności”. IV Plenum i złożenie do Sejmu projektu ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych potraktowano już z całą powagą. Przyczyniły się do tego decyzje gospodarcze. 27 listopada oznajmiono zaskoczonym negocjatorom związkowym, że dalsza dyskusja nad zasadami funkcjonowania przedsiębiorstw w 1982 roku jest bezprzedmiotowa, bo rząd opracował nowy projekt przewizorium systemowego i za dwa dni przegłosuje go jako uchwałę Rady Ministrów, omijając zarówno konsultacje z ruchem zawodowym jak też Sejm.

Oznaczało to wprowadzenie z początkiem 1982 roku samofinansowania bez samodzielności i samorządności. Wraz z przewizorium miała wejść w życie opracowana przez ministra Krasieńskiego bezprecedensowa podwyżka cen urzędowych; zapowiedziano też kolejne zmniejszenie kartkowych przydziałów żywności. Jednocześnie mechanizm samofinansowania przy obciążeniu przedsiębiorstw ogromnymi podatkami (głównie na FAZ) musiał spowodować galopujące podwyżki cen umownych, inaczej przedsiębiorstwa musiałyby bankrutować lub obniżać płace. Wszystko to przeprowadzono wkrótce pod osłoną stanu wojennego, obniżając za jednym zamachem płace realne o 1/4 — ale postanowiono to już w końcu listopada. Dla przywódców Związku było jasne, że taką obniżkę stopy życiowej można przeprowadzić pod osłoną „Solidarności” lub pod osłoną armat. Wobec odrzucenia

wszystkich postulatów Związku w sprawie reform, osłona ze strony Związku nie wchodziła w rachubę. Stało się więc jasne, że rząd naprawdę postanowił użyć armat. Szturm ZOMO na szkołę oficerów pożarnictwa w Warszawie potwierdził tę diagnozę.

Wszyscy byliśmy przekonani, że stan wyjątkowy musi być poprzedzony uchwaleniem odpowiedniej regulacji prawnej przez Sejm. Zaleciło to KC, zabiegał o to rząd, a nasi doradcy prawni tłumaczyli, że nie ma innej możliwości w czasie trwania sesji sejmowej. Projekt ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych przewidywał zakaz strajków pod karą więzienia, militaryzację przedsiębiorstw z odpowiedzialnością przed sądem wojskowym osób cywilnych we wszelkich sprawach politycznych i w przypadkach naruszenia przepisów porządkowych ustawy. Nie przewidziano formalnego zawieszenia związków zawodowych, ale zakaz zgromadzeń obejmował zebrania związkowe, a zakaz druku bez uprzedniej zgody władz uniemożliwiał publikację wewnątrzwiązkowych biuletynów, komunikatów i ogłoszeń. KK uzyskała ten projekt i postanowiła go ujawnić. Został on wydrukowany 12 grudnia w Gdańsku pod demaskatorskim, jak się nam wówczas zdawało, tytułem „Kto dąży do konfrontacji?”. Stan wojenny sprawił, że ten druk nie ujrzał światła dziennego, a jednocześnie stracił aktualność.

Dziś skłonny jestem przypuszczać, że projekt uprawnień nadzwyczajnych był ostatnią próbą narzucenia „Solidarności” dyktatu. Ktoś liczył, wbrew oczywistości, że Wałęsa i Prezydium za parę miejsc we Froncie Porozumienia Narodowego, gdzieś między SD a PAX-em, zaakceptują fakty dokonane: prowizorium systemowe, przekreślenie reformy i bezprzykładną obniżkę stopy życiowej. Oznaczałoby to nałożenie „Solidarności” obroży, a ponieważ porzucenie programu Związku i podwyżki cen wywołałyby niechybnie sprzeciw działaczy i falę strajków, przeto „Solidarność” wciągnięta do Frontu Porozumienia musiałaby zaakceptować także uprawnienia nadzwyczajne i ich stosowanie przeciw opornym.

Dla Wałęsy, jego najbliższych współpracowników i doradców oraz wszystkich działaczy był to dyktat niemożliwy do przyjęcia. 2 grudnia w warszawskim hotelu „Solec” zebrało się Prezydium KK. Grzegorz Palka jasno przedstawił sens rządowej decyzji o prowizorium. Większość nas uznała, że oznacza to wejście ekipy Jaruzelskiego na drogę siłowej konfrontacji, wobec której „Solidarność” nie ma już wyboru: musi się bronić, gdyż stan wyjątkowy będzie próbą zdławienia Związku. Ujawniło się też stanowisko skrajne: domagano się poparcia przez KK „wyprowadzenia partii z zakładów” i wysunięcia żądań rozwiązania Sejmu. Wałęsa, który lepiej od części radykalnych działaczy wyczuwał zróżni-

cowanie nastrojów społecznych, sprzeciwił się natychmiastowemu ogłoszeniu gotowości strajkowej. Dla nikogo poza Siłą-Nowickim nie ulegało jednak wątpliwości, że należy z góry zagrozić strajkiem powszechnym w przypadku uchwalenia stanu wyjątkowego. To obronne stanowisko przeważało. Zredagowana przez doradców uchwała Prezydium stwierdzała, że rząd uczynił z negocjacji parawan i za jego zasłoną podjął jednostronne decyzje wymierzone w stopę życiową ludzi pracy, a uprawnienia nadzwyczajne równają się stanowi wyjątkowemu i oznaczają przejście od dialogu do przemocy. W tej sytuacji Prezydium przerywa negocjacje i przedyskutuje z przewodniczącymi Regionów w Radomiu sprawę strajku powszechnego.

Radomskie spotkanie 3 grudnia wyraźnie ujawniło polaryzację stanowisk. Przewodniczący Regionów dawali wyraz radykalizacji aktywu związkowego na swoim terenie. Część dyskutantów była zdania, że odpowiedzią na konfrontacyjną politykę władz winna być nie tyle samoobrona Związku, co wysunięcie ofensywnego programu politycznego, który odrzucałby dotychczasowe samoograniczenia. Zdaniem Rulewskiego „Solidarność” powinna być domagać się przedterminowych wyborów do Sejmu, choć jednocześnie podkreślał, że ordynacja musi jednak zapewnić większość PZPR łącznie z jej sojusznikowymi stronnictwami. Jeszcze dalej poszedł Bujak, sprzeciwiając się gwarancjom dla partii. Kosmowski przedstawił koncepcję, która miała wkrótce zyskać więcej zwolenników. Jego zdaniem, rząd komunistyczny nawet w porozumieniu z „Solidarnością” nie może liczyć na autorytet niezbędny do tego, by przekonać społeczeństwo o konieczności ciężkich wyrzeczeń materialnych: wyjście z kryzysu wymaga zatem powołania pozapartyjnego, cieszącego się powszechnym uznaniem rządu tymczasowego.

Charakterystyczne były wypowiedzi Wałęsy. Przewodniczący Związku tłumaczył, że jego polityka odwlekania konfrontacji za cenę ustępstw obliczona była na pozyskanie sojuszników w politycznym *establishment*’cie, aby program „Solidarności” zrealizować w korzystniejszym układzie sił i przy minimalnym ryzyku. Ale ta polityka się załamała. Rząd przyparł nas do ściany i chyba narzuci nam konfrontację teraz, w niekorzystnych warunkach: „widzę, że chyba już się nie uchronimy”. W wypowiedzi Wałęsy nie brakowało zarówno akcentów radykalnych (gdy tłumaczył założenia swojej strategii i zwracał uwagę na ogromne ryzyko związane z konfrontacją). W wersji przedstawionej w radiu i TV dokonano odpowiedniej selekcji i montażu.

Tylko Siła-Nowicki wyraził pogląd, że rząd nie dąży do konfrontacji, skoro Seweryn Jaworski, zatrzymany w Szkole Pożar-

nictwa został zwolniony i siedzi na tej sali. „Solidarność” jest potęgą i bez jej współpracy nie sposób rządzić Polską. Stąd też rząd nie chce konfrontacji, tylko korzystnych dla siebie warunków współpracy, które usiłuje jednostronnie narzucić. Dlatego i my nie powinniśmy grozić partnerowi strajkiem generalnym, wystarczy napiętnować w ostrych słowach jego jednostronne decyzje. Siła-Nowicki przedstawił projekt takiego oświadczenia; nie było w nim zapowiedzi, że w razie stanu wyjątkowego Związek będzie się bronił strajkiem. Za projektem tym głosowały tylko 3 lub 4 osoby, ale był wśród nich Wałęsa.

W swoim wystąpieniu, podobnie jak w „Solcu”, broniłem opcji centrowej. Stanowiła ona rozwinięcie uchwały Prezydium z poprzedniego dnia i znalazła wyraz w zredagowanym przeze mnie stanowisku radomskim. Przeszło ono przygniatającą większością, chociaż nie uwzględniało żadnego ze skrajnych postulatów, jak przedterminowe wybory do Sejmu, rząd tymczasowy lub wyprowadzenie partii z zakładów. Tzw. minimum radomskie w jednym tylko punkcie poszerzyło dotychczasowe żądania Związku: chodziło o to, by wraz z przewidzianymi na I kwartał wyborami do Rad Narodowych szczebla podstawowego przeprowadzić przedterminowo wybory do Rad Wojewódzkich. Była to zmiana istotna, ale nie oznaczała odrzucenia dotychczasowych samoograniczeń politycznych. Uchwała radomska nie przewidywała również forsowania programowych postulatów Związku strajkiem generalnym. Broni tej Związek miał użyć tylko w obronie własnej, tj. w wypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego, zostało to wyraźnie zapowiedziane. Uchwała wyjaśniała ponadto, że tzw. prowizorium jest zamachem na stopę życiową ludzi pracy bez wprowadzenia autentycznej reformy. W związku z tym zapowiedziano obronę poziomu życia społeczeństwa, zgodnie ze statutowymi celami związku zawodowego i przy użyciu wszystkich statutowych środków, czy strajkami ekonomicznymi.

Było to stanowisko ściśle obronne, ale zawierało koncepcję wymuszenia na rządzie porozumienia uwzględniającego programowe postulaty „Solidarności”. Liczyliśmy na to, że stanowcza zapowiedź samoobrony strajkiem generalnym i stosowne przygotowania pozwolą zablokować w Sejmie projekt ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych („musimy im jasno powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni — i to jest sprawa tego strajku a właściwie groźby strajku, jeśli nastąpi ten stan wyjątkowy”). Sądziliśmy, że może to powstrzymać rząd przed próbą sił w grudniu, choć prawdopodobnie nie zmusi go do wycofania się z prowizorium. Wówczas jednak drastyczne podwyżki cen uderzające we wszystkich scementowałyby ponownie aktywną część Związku z „mil-

czącą większością". Związek nie musiał forsować postulatów politycznych strajkiem generalnym. Gdyby nie stan wyjątkowy, „Solidarność” byłaby zdolna w I kwartale 1982 zwykłymi strajkami ekonomicznymi udaremnić realizację postanowionej przez rząd polityki gospodarczej. Miało to w naszym rozumieniu zmusić władzę do poważnych rozmów, a wtedy „minimalne warunki porozumienia narodowego” określone w radomskiej uchwale stałyby się przedmiotem negocjacji.

Niestety rząd rozumiał to nie gorzej od nas i wiedział, że nie ma czasu. „Solec” i Radom rzeczywiście zablokowały możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego drogą konstytucyjną. Rządowy projekt musiałby natrafić w Sejmie, w „stronnictwach sojusznicznych”, a nawet w partii na poważne opory. Co więcej, Związek zyskiwał czas i okazję do przygotowania strajku w obronie własnej, wobec czego przepisy ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych były niewystarczające. Ekipa Jaruzelskiego porzuciła więc ten projekt na rzecz wojskowego zamachu.

Fałszerstwo taśmy z obrad radomskich było oznaką, że decyzja zapadła. Gdyby w Radomiu przeszła platforma radykalnych żądań politycznych, nie trzeba by było niczego fałszować. Maksymalizm tych haseł brał rozbrat z realizmem geopolitycznym i nie liczył się z polaryzacją społecznych nastrojów. Radykalni działacze dali się zasugerować oklaskom na wiecach, w których nie uczestniczyła „milcząca większość” związkowców. Ale i te oklaski nie oznaczały gotowości do osobistego ryzyka w imię forsowania politycznych ideałów. Trzeba oddać sprawiedliwość uczestnikom radomskiej narady: przyjęli oni oczywiście dla każdego platformę obrony Związku i poziomu życia w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Fałszerstwo na stole montażowym miało wykazać, że rzecz miała się przeciwnie; obraz przywódców „Solidarności” zamierzających pchnąć naród do konfrontacji w celu przejęcia władzy miał zdezorientować społeczeństwo i osłabić jego opór w godzinie „W”. Szczególnie znamienne było przedstawienie Wałęsy w roli podstępного spiskowca. Oznaczało to, że zrezygnowano z gry na umiarkowanego przywódcę, czyniąc Związek jako całość „wrogiem publicznym nr 1”. Nie wszyscy pojęli, że zapowiadało to w najbliższym czasie czołgi na ulicach.

W tych okolicznościach Prymas Glemp podjął próbę mediacji w nadziei, że uda się jakoś zażegnać bezpośrednią groźbę starcia. 5 i 9 grudnia rozmawiał on z Wałęsą i doradcami Związku. 7 grudnia odbyło się spotkanie, w którym udział wzięli obok Prymasa sekretarz Episkopatu abp Bronisław Dąbrowski i dyrektor Biura Prasowego ks. Alojzy Orszulik, ze strony „Solidarności” Lech Wałęsa, Stanisław Wądołowski, Seweryn Jaworski i ja oraz

doradcy KK Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wielowieyski. Niewątpliwie o tym właśnie spotkaniu wspominał w cytowanej wypowiedzi redaktor Micewski.

Na początku Prymas poprosił, aby Wałęsa i członkowie KK przedstawili swój pogląd na sytuację. Nie miałem jeszcze wówczas okazji wysłuchać w radiu montażu z radomskich obrad i nie wiedziałem, jaką mi przyprawiono gębę. Wyraziłem chyba opinię, że obecny stan rzeczy jest na dłuższą metę nie do utrzymania i musi doprowadzić do wielkiego konfliktu społecznego, o ile nie dojdzie szybko do porozumienia uwzględniającego postulaty związku. Nie pamiętam już, co mówili koledzy. Wypowiedź Prymasa była krótka, krytyczna w treści, ale utrzymana w bardzo spokojnym tonie. Stwierdził on, że wspólnym obowiązkiem Kościoła i „Solidarności” jest niedopuszczenie do rozlewu krwi. Dodał, że ma wrażenie, jakbyśmy w swoim rozumowaniu nie uwzględniali uwarunkowań geopolitycznych, a to jest przecież podstawowa sprawa. Powiedział też z oczywistą uszczypliwością, że w mojej wypowiedzi znalazły się „akcenty prorockie”. O przekroczeniu przez kierownictwo Związku „praw jakie mu dał świat pracy” nie było mowy. Jest to zapewne reminiscencja uwagi Prymasa, że polityczne postulaty „Solidarności” wykraczają poza ramy ściśle związkowe; dotyczyło to jednak stosunków „Solidarności” z władzami państwowymi, a nie stosunku między przywódcami Związku a światem pracy. Następnie Prymas przekazał głos arcybiskupowi B. Dąbrowskiemu dla przedstawienia propozycji, która była głównym przedmiotem spotkania.

Arcybiskup Dąbrowski podkreślił, że w napiętej sytuacji warto podtrzymywać nić kontaktu z władzami, nawet jeśli nie ma szans na szybkie osiągnięcie zgody. Zaoferował pośrednictwo Episkopatu i wyraził przypuszczenie, że uda się doprowadzić do spotkania Wałęsy z sekretarzem KC Barcikowskim. Wałęsa zwrócił się do Prymasa z sugestią, by doprowadzić raczej do ponownego spotkania „wielkiej trójki”, ale Prymas tylko pokręcił głową. Wałęsa oświadczył wówczas, że spotka się tylko z Jaruzelskim, a na uwagę Jaworskiego, że rozmowa z Barcikowskim może być też interesująca odpowiedział, że nie weźmie w niej udziału. Na taką rozmowę może się udać wiceprzewodniczący KK Wądołowski z Jaworskim, „a jeżeli będzie generał, to pójdę ja z Karolem” (obecność moja jak i Jaworskiego miała być niewątpliwie asekuracją na wypadek zarzutów ze strony KK). Ustalono, że delegacja Związku zaczeka w hotelu „Solec” na wiadomość w tej sprawie. Późnym wieczorem nadeszła spodziewana odpowiedź: Barcikowski uchyla się od rozmowy, a delegację „Solidarności” może przy-

jąc minister Ciosek. Równało się to odmowie. Do kontaktu z rządem nie doszło.

Wałęsa zdawał sobie oczywiście sprawę, że Barcikowski nie zgodzi się na spotkanie z Wądołowskim, ale chciał w ten sposób doprowadzić do rozmowy na wyższym szczeblu. Jego wypowiedzi w Radomiu uchodzą za „wyrównanie frontu” pod naciskiem radykalnych działaczy. Myślę, że to uproszczenie. Wałęsa nieraz z powodzeniem szedł pod prąd, zmuszając groźbą odejścia KK, a nawet Zjazd do modyfikacji stanowiska. W Radomiu nie uczynił niczego podobnego. Radykalne tony w jego wypowiedzi adresowane były, jak przypuszczam, także do rządu. Sygnalizował on w ten sposób, że nie przyjmie dyktatu, a uchwałę radomską traktował zapewne jako atut, który pozwoli mu uzyskać kompromis na znośnych warunkach. Nie przeciwdziałał przyjęciu tej uchwały, ale też nie głosował za nią, dając tym wyraz gotowości do rozsądnych negocjacji. Dlatego zależało mu na spotkaniu z Jaruzelskim; liczył, że stanowcza postawa Związku pozwoli wytargować zmianę warunków narzuconych przez władze. Strona rządowa miała jednak inne zamiary i już nie potrzebowała rozmów.

Podczas spotkania z Prymasem 7 grudnia nie było mowy o tym, że ekipa Jaruzelskiego zamiast przepychać stan wyjątkowy w Sejmie zamierza dokonać wojskowego zamachu. Od doradców Związku, którzy brali udział w spotkaniach 5 i 9 grudnia wiem, że i wówczas nie przekazano takiego ostrzeżenia. Na jednym z tych spotkań, w którym uczestniczył Bronisław Geremek, A. Micewski zrelacjonował swoją rozmowę z wysokim niegdyś dygnitarzem partyjnym, przeniesionym na sejmową synekurę. Dostojnik ów wyraził opinię, że Micewski będzie mógł odbyć planowaną na drugą połowę grudnia podróż zagraniczną, gdyż do tego czasu „powinno być po wszystkim”. Wiadomość ta nie wywarła wielkiego wrażenia, bo nie wносиła zasadniczo nowych elementów. Przedmiotem rozmów Wałęsy i doradców z Prymasem był list, jaki Prymas wystosował do Prezydium Sejmu i do klubów poselskich w celu zablokowania ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych. Bodaj na dwa dni przed ostatnim posiedzeniem KK, tj. 9 lub 10 grudnia władze poinformowały Prymasa, że wycofują ten projekt spod obrad Sejmu. Część doradców KK pozostająca w ścisłym kontakcie z Episkopatem uznała wówczas, że Rząd zrezygnował na razie z konfrontacyjnych planów. Episkopat nie mógł przedstawić Związkowi wiadomości o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, ponieważ sam taką wiadomością nie dysponował. Przeciwnie: został rozmyślnie wprowadzony w błąd. Trudno się zresztą temu dziwić, biorąc pod uwagę znaczenie czynnika zaskoczenia dla powodzenia operacji WRON.

Gdy 11 grudnia zbierała się w Gdańsku KK, decyzje władz były już podjęte. Żaden wynik dwudniowych obrad nie mógł powstrzymać wojennej maszyny. A jednak władze czekały do końca obrad. Z tego powodu opóźniono nawet o parę godzin akcję w Gdańsku. We Wrocławiu ZOMO wkroczyło do siedziby Zarządu Regionu wkrótce po godz. 22-giej 12 grudnia; w Warszawie obławę rozpoczęto dobrze przed północą; w Gdańsku dopiero 13 grudnia o godz. 2.15. Część członków KK zdążyła już wyjechać do swoich regionów, unikając dzięki temu internowania. Moim zdaniem wskazuje to, że w sztabie operacji miał dużo do powiedzenia propagandysta. Propagandowy efekt przerwania obrad KK byłby istotnie kłopotliwy, ale myślę, że czekano też na uchwały. Władze liczyły zapewne, że ich treść posłuży do usprawiedliwienia stanu wojennego i uważały, że jest to warte paru godzin zwłoki.

Konsultacje stanowiska radomskiego wykazały znaczną radykalizację związkowego aktywu. Z wielu regionów, w tym Katowic, Szczecina, Bydgoszczy i Warszawy przywieziono uchwały domagające się poszerzenia radomskiego minimum o żądanie rozwiązania Sejmu i przeprowadzenia przedterminowych wyborów. Atmosfera obrad KK była wyraźnie zaogniona. Wprawdzie Bujak zabrał głos w duchu umiarkowanym, zgół przeciwnym temu, co mówił w Radomiu, ale do nurtu radykalnego zbliżył się Jacek Kuroń.

Zdaniem Kuronia władze wycofały się z projektu uprawnień nadzwyczajnych „i póki co będą się cofać”. To jednak nie rozwiąże kryzysu i nie uchroni kraju przed wybuchem konfliktu wymykającego się wszelkiej kontroli, a w rezultacie przed interwencją. Jedyną, choć też niezwykle ryzykowną szansę ocalenia przed katastrofą upatrywał on w powołaniu na mocy porozumienia partii, Kościoła i „Solidarności” rządu narodowego. Rząd taki byłby w stanie skłonić społeczeństwo do wyrzeczeń niezbędnych dla wyjścia z kryzysu, a jednocześnie miałby przygotować przedterminowe wybory do sejmu, udzielając ZSRR gwarancji poszanowania jego interesów w Polsce. Warto przypomnieć, że podobne w pewnej mierze koncepcje pojawiały się także w kołach oficjalnej polityki: przewodniczący PAX, Ryszard Reiff, podówczas członek Rady Państwa, głosił przecież potrzebę rządu wielkiej koalicji.

Wypowiedź Kuronia nawiązywała do wystąpienia Jana Rulewskiego, który formułował te same postulaty i domagał się poddania ich pod ogólnozwiązkowe lub narodowe referendum. Obaj z Kuroniem uważali takie referendum za istotny środek nacisku. Pomysł referendum zyskał wśród członków KK szerokie poparcie i jego przegłosowanie wydawało się pewne.

Na przeciwnym biegunie znaleźli się dwaj doradcy: Jan Olszewski i Władysław Siła-Nowicki. W wypowiedziach swoich i w pisemnej ocenie sytuacji politycznej twierdzili oni, że rząd wcale nie zamierza zniszczyć Związku, gdyż jest to po prostu niemożliwe: „Solidarność” jest zbyt wielką siłą i nie da się skutecznie rządzić bez jej współpracy. Ze swej strony „Solidarność” nie może zniszczyć rządu, bo ze względów geopolitycznych nie ma go czym zastąpić. Proponowali zatem wycofanie się ze stanowiska radomskiego, które zapowiadało strajk generalny w razie stanu wyjątkowego i ogłoszenie „społecznego rozejmu”. Na usprawiedliwienie obu doradców można zauważyć, że 12 grudnia już nic nie mogło Związkowi zaszkodzić.

Radykalnym hasłem sprzeciwił się tym razem także Bujak. Jego zdaniem maksymalizm powoduje niekorzystne skutki: konsoliduje władze, a jednocześnie pogłębia podziały w społeczeństwie. Bujak zalecał więc zmianę strategii: rezygnację ze zbyt radykalnych haseł i poszukiwanie punktów stycznych ze wszystkimi siłami politycznego *establishment*’u, które są przeciwne konfrontacji. Nie wspomniał jednak, jak bronić się w przypadku stanu wyjątkowego. Być może uważał, podobnie jak Kuroń, że władze zrezygnowały z tego zamiaru.

Geremek nie dał się w tej sprawie zwieść pozorom. Przypomniawszy o wiszącej nad „Solidarnością” groźbie i stwierdził, że pod znakiem zapytania stało istnienie Związku, a tym samym posierpniowa Polska. Radomska zapowiedź użycia strajku w obrocie własnej pozostaje więc aktualna, nie należało natomiast dopuścić do eskalacji żądań w uchwale KK. Z tego względu grupa doradców zaapelowała do KK o zatwierdzenie stanowiska radomskiego i niepodejmowanie żadnych nowych uchwał. Przeciwny eskalacji żądań był także Frasyniuk. Sprzeciwił się on pomysłowi referendum i wykraczaniu poza radomskie minimum. Zwrócił też uwagę, że buńczuczne wypowiedzi i oklaski na wiecach nie są probierzem determinacji społeczeństwa, ale ta trzeźwa uwaga rozmijała się z atmosferą sali.

Także i ja podjąłem polemikę z Kuroniem i Rulewskim. Starałem się jednak nie zaostrezzać sporu, aby w miarę możliwości uniknąć otwartego rozłamu na sali. Zwróciłem uwagę, że zdjęcie z porządku obrad Sejmu projektu uprawnień nadzwyczajnych nie oznacza, iż groźba stanu wyjątkowego jest zażegnana. Jest on nadal logiczną konsekwencją polityki władz państwowych, dopóki pozostają w mocy decyzje gospodarcze, których bez stanu wyjątkowego nie sposób wprowadzić w życie. Podkreśliłem, że Rosji nie interesują werbalne gwarancje. Za jedyną rekojmię swoich interesów w Polsce uważa ona sprawowanie rządów przez „swoich

ludzi", a takich ma tylko w partii. Strajkiem generalnym można władzę zmusić do poważnych ustępstw, ale nie do samobójstwa. Jeżeli więc wysuniemy żądania równoznaczne w praktyce z obaleniem tej władzy, będzie to z naszej strony wypowiedzenie wojny, i to wojny bez cudzysłowu. Konfrontacja nas chyba nie minie, ale nie my powinniśmy być stroną, która tę wojnę wypowie.

Napisałem też własny projekt uchwały. Trzymał się on wierne stanowiska radomskiego i wyjaśniał sens przyjętej w Radomiu strategii. W razie konieczności zamierzałem przeciwstawić się uchwale Rulewskiego, ale wynik głosowania byłby niepewny. Nastąpiłoby wówczas rozbitcie głosów, wskazujące na brak jedności KK w obliczu krytycznej sytuacji.

Udało się tego uniknąć. Rulewski i Kuroń wykazali dużą elastyczność i wyczucie powagi sytuacji. W rezultacie okazało się, że tekst przygotowany przez Rulewskiego nie zawiera postulatów, które budziły zasadnicze kontrowersje. Zapowiedź referendum sformułowana była bardzo ogólnie; nie było tam ani słowa o rządzie tymczasowym i przedterminowych wyborach, a najdalej idące sformułowanie o „odnowie wszystkich ciał przedstawicielskich” brzmiało niezbyt groźnie w czasach, gdy wyraz „odnowa” stosowany był powszechnie do wszystkiego. W gruncie rzeczy oznaczało to, że spór między nami zostaje odłożony, ale w tym brzmieniu tekst Rulewskiego nie był sprzeczny z moim. Postanowiliśmy więc zrezygnować z konkurencyjności i zgodnie poddać oba projekty pod głosowanie jako dwa odrębne, uzupełniające się dokumenty końcowe: projekt Rulewskiego jako uchwałę, a mój — jako oświadczenie KK. Mimo burzliwej dyskusji oba dokumenty przyjęto prawie jednomyślnie.

Z uchwały tej i oświadczenia nic już nam nie przyszło. Na swoje dobro możemy zapisać jedynie to, że nie przydały się one również sztabowym propagandystom WRON. Opóźnienie akcji w Gdańsku w oczekiwaniu na końcowe dokumenty KK nie przyniosło im spodziewanych korzyści. W niezliczonych publikacjach określono uchwałę i oświadczenie z 12 grudnia jako konfrontacyjne, ale nie przytoczono z nich ani jednego zdania. Ostatnie dokumenty KK nie pozostawiały cienia wątpliwości, że Związek zapowiada strajk generalny wyłącznie w obronie własnej, a w dalszej perspektywie zamierza walczyć o pełną rekompensatę podwyżek cen. Nie potwierdzało to tezy o sięganiu po władzę i nie nadawało się do usprawiedliwienia stanu wojennego.

Biorąc pod uwagę to, co miało nastąpić za dwie godziny, spór o sformułowanie uchwał nie był wart najlichszej świeczki. Lepiej było pośpieszyć na dworzec, póki nie odeszły ostatnie pociągi. Później dowiedziałem się, że przed wyłączeniem teleksów

do siedziby KK napływały z regionów alarmujące meldunki o ruchach wojsk i jednostek ZOMO. Nie dotarły one do uczestników posiedzenia. Dopiero po północy Krupiński zamykając obrady poinformował zebranych o zablokowaniu łączności telefonicznej i teleksowej, po czym dodał: „Życzę Państwu w związku z tym dobrej nocy”. Kiedy jesienią 1983 roku w mokotowskim więzieniu czytałem w aktach śledztwa stenogram ostatniego posiedzenia KK, słowa te wywierały nieodparty efekt komiczny.

Nic nas nie rozgrzeszy z odpowiedzialności za to, że daliśmy się zaskoczyć i dopuściliśmy do zaskoczenia Związku. Przywódcy „Solidarności” okazali brak przenikliwości, nie sięgając w swych przewidywaniach poza sejmową, konstytucyjną wersję stanu wyjątkowego. A przecież wiedzieliśmy, że droga konstytucyjna, m.in. w skutek naszych własnych poczynań, nastrocza ekipie Jaruzelskiego ogromne trudności polityczne, jednocześnie zaś wielu z nas dostrzegało, że użycie siły jest logicznym dopełnieniem polityki rządu. W ocenie układu sił zabrakło nam tego typu wyobraźni, który jest zawodową domeną wojskowych. Bodaj nikt nie przewidział, że do złamania strajku przy biernym oporze załóg wystarczy manewrować stosunkowo szczupłymi, ale pewnymi jednostkami ZOMO, nie wprowadzając wojska do akcji bezpośredniej. Bardziej obawialiśmy się zbrojnej interwencji z zewnątrz, choć wielu z nas zdawało sobie sprawę, że osłabienie zwartości i determinacji Związku daje władzom szansę użycia przemocy własnymi środkami.

Gdybyśmy nawet mieli świadomość, że grozi nam zamach pod osłoną nocy, bez sejmowych debat i politycznych przetargów, wynik ostateczny byłby taki sam. Na pewno większa liczba działaczy zdołałaby uniknąć internowania, opór strajkowy, któremu nieraz brakowało przywódców, byłby w rezultacie powszechniejszy i twardszy, udałooby się też ocalić więcej sprzętu poligraficznego i zapewnić lepszy start podziemiu. Ale o podziemiu nie mieliśmy pojęcia, a przygotowywanie konspiracji w masowym, legalnym i przestrzegającym pełnej jawności działania Związku to właściwie kwadratura koła.

Spotkałem się z opinią, że „miękkie przyjęcie” stanu wojennego było dowodem mądrości, gdyż ochroniło substancję narodową i ograniczyło skalę przemocy; dzięki temu nie złamano ducha oporu, który zapewni podziemiu długowieczność. Jest to dorabianie ideologii do porażki. Nikt z nas tak nie rozumował. Naprawdę wierzyliśmy, że w razie stanu wyjątkowego mamy szansę bronić strajkiem Sierpnia i staraliśmy się, żeby tak było. Mimo błędów coś przecież te starania przyniosły. „Solec” i Radom przyniosły zasadniczo trafne rozeznanie konfrontacyjnych zamiarów

władz, chociaż tak bardzo myliliśmy się co do sposobu ich realizacji. Związek obudził się późno, ale się jednak obudził, a decyzje o strajku generalnym w przypadku stanu wyjątkowego dotarły do wszystkich załóg. Złagodziło to efekt zaskoczenia; stan wojenny zastał Związek w trakcie przygotowań do samoobrony. Strajk generalny miał charakter wyspowy i tylko gdzieś tam, jak we Wrocławiu, przybrał niemal powszechny zasięg. Myślę jednak, że bez decyzji podjętych w „Solcu” i Radomiu opór byłby znacznie słabszy, a przecież z grudniowego strajku zrodziła się podziemna kontynuacja oporu.

Czy to wszystko było do uniknięcia? Spory na ten temat będą się toczyć długo, ponieważ żadnej odpowiedzi nie da się empirycznie sprawdzić. Osobiście uważam, że warunkiem trwałego współistnienia komunistycznej władzy z niezależnym związkiem był inny układ sił w obozie rządowym. Od zakończenia IX Zjazdu partii polityka władz zmierzała do konfrontacji w sposób, moim zdaniem, już nieunikniony. Czy „Solidarność” mogła wpłynąć na inny wynik rozgrywki w PZPR? W związku z tym wskazuje się zwykle na kryzys bydgoski, który zakończył się bez zmiany układu sił na szczytach władzy. Czy bardziej stanowcza (i zarazem bardziej ryzykowna) opcja przywódców Związku mogła wówczas taką zmianę spowodować, zapewniając tym „Solidarności” faktyczne, a nie papierowe gwarancje bezpieczeństwa — czy też ściągnęłaby na nas interwencję? I w tym wypadku żadnej odpowiedzi nie da się sprawdzić doświadczalnie, a niechęć do przeprowadzania takich doświadczeń na własnej skórze jest zrozumiała. Na pewno marzec 1981 roku był momentem, gdy decyzje kierownictwa „Solidarności” mogły przesądzić o innym biegu dalszych wydarzeń, ale nie wiemy, w jakim kierunku zostałyby w rezultacie pchnięty kraj.

Czy wreszcie, jak chce doktryna niereformowalności, wszelka próba wprowadzenia instytucji demokratycznych pod komunistyczną władzą musi zakończyć się fiaskiem z przyczyn ustrojowych? Jest to przedmiotem wiary. Osobiście nie wierzę w fatum i nie sądzę, że bez zmiany politycznej mapy świata oraz obalenia komunistów niepodobna osiągnąć istotnych zmian. W każdym razie strategia „Solidarności” oparta była przez 16 miesięcy na praktycznym, a nie teoretycznym założeniu, że jest to osiągalne. Nie da się zaprzeczyć, że owe 16 miesięcy pozostawiły po sobie zmiany, których nie zdołał zetrzeć stan wojenny i próby normalizacji. Wpływ „Solidarności” okazał się głębszy i trwalszy od wszelkich politycznych doktryn.

Karol MODZELEWSKI

DOKUMENTY

1. WYSTĄPIENIE NA OBRADACH RADOMSKICH

3 grudnia 1981 roku

(Tekst swojego wystąpienia przytaczam z nieznacznymi skrótami, eliminując parę nieistotnych dygresji, dzięki czemu wywód zyskuje na jasności. Poza tym zachowuję kolokwialny charakter wypowiedzi).

MODZELEWSKI: — Proszę państwa, pierwsze pytanie podniesione przez mec. Siła-Nowickiego: czy rzeczywiście rząd chce konfrontacji? „Seweryn siedzi tutaj zamiast na Mokotowie; jakby chcieli konfrontacji, to by go posadzili po prostu na Mokotów”. Rzeczywiście, gdyby rząd chciał konfrontacji od razu przegranej dla siebie w tym znaczeniu, że chciałby mieć konfrontację w warunkach gdy jest jasne, że on dokonuje agresji budzącej powszechny gniew i jednoczy naród przeciwko sobie — to tak by postąpił. Od czasu Bydgoszczy nauczyli się oni widocznie trochę lepiej przygotowywać do konfrontacji... Bo to jest incydent — Szkoła Pożarnicza... Ten incydent jest tak pomyślany, aby w wirażu, którym rząd wchodzi do konfrontacji... postawić Związek w sytuacji maksymalnej słabości.

Związek nie jest silniejszy, niż był. Związek jest słabszy, niż był, dużo słabszy i każdy działacz o tym wie. Jest słabszy, ponieważ nie ma, daleko nam do tej jednomyślności, jaką mieliśmy w końcu marca tego roku. Z kilku powodów. Zmęczenie kryzysem, zmęczenie końca kolejki. Są ludzie, którzy mają nam za złe przeciąganie się tego stanu rzeczy i wobec tego chcą od nas — „a, zgódźcie się”. I są ludzie przeciwnie, z tych samych powodów — zmęczenie kryzysem, brak perspektyw — zradykalizowani politycznie, którzy powiadają: „idźmy na maksimum, na całość, nie mamy się już na co oglądać, skończmy z nimi, stać nas na to”. I w tych warunkach Związek jest oczywiście narażony na to, że każda jego akcja i każde zaniechanie akcji spotka się ze sprzeciwem części jego członków, części jego zaplecza. Jest narażony na rozłam przy odpowiedniej grze ze strony władz. I wreszcie Związek jest dlatego mniej groźny dla władz, a więc słabszy, że nie tylko wobec własnych członków, ale i wobec władz mniej wiarygodna jest groźba użycia największej jego siły. Bo raz żeśmy zagrozili i jest jasne, że nie zdecydowaliśmy się — ze względu na konsekwencje jakimi to może grozić — na jej użycie. Dlatego jest słabością z naszej strony, jeżeli my zagrozimy tą bronią w taki sposób, że od razu będzie można pomyśleć: „groźą — nie zrobią”.

I tutaj wniosek pierwszy. Prezydium podjęło w dniu wczorajszym uchwałę, której tekst państwo znają. W tej uchwale jest sformułowane, że zostanie przewodniczącym Regionów przedsta-

wiona sprawa strajku powszechnego. Jeżeli w tej sprawie przewodniczący Regionów — żeby nie wiem jak radykalnie mówili — nie zaproponują Związkowi stanowiska, które będzie miększe (a Prezydium ma w tej sprawie twarde stanowisko, bo sformułowanie nie jest byle jakie, tu się byle czym nie grozi), które nie będzie miększe od tego — to proszę państwa żadna Komisja Krajowa nie oddali od nas topora, jaki sami sobie na tej sali nad głową zawiesimy. Ja już nie mówię o tym, że tu obecnych rozliczą członkowie w Regionach, bo mogą nawet nie zdążyć.

Sprawa druga. Sprawa polityki gospodarczej rządu. No, można powiedzieć tak: „my się nie zgadzamy na podwyżki cen i na inne cięcia gospodarcze, kiedy nie ma reformy i my protestujemy”. Co z tego, że my tak powiemy? My sobie zaprotestujemy, a ludzie zastrajkują.

BUJAK: — Karol, bo żeśmy nie zrozumieli, o co chodzi.

KURON: — Wróć do poprzedniego. Wy tłumacz to pierwsze.

MODZELEWSKI: — To pierwsze? Znaczy mówię, że jeżeli na tym zebraniu, z tego zebrania nie wyjdzie tekst zawierający stanowisko przewodniczących Regionów wobec strajku powszechnego w przypadku przyjęcia ustawy... ustawy o stanie wyjątkowym — to znaczy, że przewodniczący Regionów nie podzielili stanowiska Prezydium w tej sprawie. I jeżeli Komisja Krajowa nawet uchwali nie wiadomo co, to już nie będzie wiarygodne. Jasne?

Z SALI: — Jasne.

MODZELEWSKI: — Jeżeli Związek w taki sposób sięga po, zapowiada ewentualne — bo to przecież nie jest jeszcze proklamowanie żadnego strajku powszechnego, to jest zapowiedź, że na jakieś tam rzeczy odpowiedzią będzie strajk powszechny. Inaczej mówiąc, że na zarzynanie Związku odpowiedzią będzie strajk powszechny. Jeżeli z wahaniem wyciąga się rękę po taką broń, to znaczy, że można różnić.

Druga sprawa, to jest sprawa tej polityki gospodarczej. Owszem, można powiedzieć tylko „my protestujemy, bo rząd prowadzi antyrobotniczą politykę sprzeczną z interesami ludzi pracy, to rząd wprowadził to prowizorium, to rząd ceny itd. A my protestujemy, bo to nie jest powiązane z reformą gospodarczą”. Jeżeli my się ograniczymy do protestu, nic to nie pomoże. Ludzie — proszę posłuchać tego, co Rozwałak mówił — ludzie oczywiście staną. I rząd doskonale to wie. Tak samo, jak my to doskonale wiemy. Ludzie staną pod naszym, że tak powiem, przewodem albo bez nas. W jednej tylko sytuacji można przeprowadzić tę politykę gospodarczą. Słowo na czym ono polega, na czym polega to prowizorium. Nie tylko ceny przecież. To jest obciążenie

przedsiębiorstw wielkimi podatkami, pozostawienie ich na własnym rozrachunku przy jednoczesnym utrzymaniu całej struktury dotychczasowego systemu zarządzania, rozdzielnictwa i uprawnień centrali. Czyli przedsiębiorstwa ze związanymi rękami, takim narzutem do spłacenia centrali i własnym rozrachunkiem wchodzi w reformę negatywną. Tzn. bez plusów reformy każe się załogom zapłacić całe ryzyko cudzych decyzji i cały ciężar dotychczasowej sytuacji gospodarczej przez redukcje, bankructwa, obniżki płac czy jakkolwiek sobie każde przedsiębiorstwo to rozwiąże. A jednocześnie zamierza się wprowadzić podwyżki cen, które uruchomią parametry rynkowe. Te podwyżki cen Krasieńskiego... No proszę sobie wyobrazić, czy ludzie to ścierpią? Przecież ludzie widzą, że Związek im mówi i w sprawach ekonomicznych i w sprawach prowokacji politycznych: stop, nie wikłamy się w boczne konflikty, bo mamy naszą sprawę główną. I tą sprawą główną, tym, w co ludzie uwierzyli, był najpierw samorząd. Z chwilą kiedy ta sprawa główna umknęła jakoś tak w wyniku kompromisu, okazało się, że Związek już nie może utrzymać kontroli. Tą sprawą główną, tym w co ludzie wierzyli było następnie porozumienie, z którego dzisiaj mamy nici. Dziś mamy nici, ponieważ rząd szansę porozumienia swoimi projektami i posunięciami praktycznie przekreślił. Nie da się rozważać inaczej ani pobicia w Chorzowie, ani sprawy Szkoły Oficerów Pożarnictwa, ani zapowiedzi Olszowskiego, że tak właśnie będziemy postępować, niż w związku z tymi aktami przygotowywanymi obecnie. Dlatego, że po to, żeby móc przeprowadzić to prowizorium rząd musi zdusić Związek i obezwładnić społeczeństwo. Gdyby chciał być konsekwentny. Zapewne nie będzie go stać na tę konsekwencję. Ale my mu musimy pomóc w tym, aby na tę konsekwencję w żadnym wypadku nie było go stać.

Ustawa, którą zamierza się przegłosować, to nie jest oczywiście natychmiastowe wprowadzenie stanu wyjątkowego.

SILA-NOWICKI: — wojennego.

MODZELEWSKI: — Stanu wojennego, przepraszam. Tj... ona się nie nazywa stan wojenny, a... na tym praktycznie polega — według niedyskrecji, jakimi dysponujemy ze źródeł sejmowych w naszym regionie. To nie są sprawdzone jeszcze rzeczy, tzn. nie sprawdzone formalnie, ale od posłów. Zawiera ona tak: zakaz strajków, militaryzację gospodarki, polecenie przełożonego to jest rozkaz, odpowiedzialność przed sądami wojskowymi za niewykonanie takiego rozkazu, zakaz poruszania się po kraju poza miejscem stałego zameldowania bez specjalnego zezwolenia.

Z SALI: — Zakaz zgromadzeń. Zgromadzeń.

MODZELEWSKI: — Zakaz zgromadzeń jeszcze do tego. No, pro-

sze państwa, niechby był tylko zakaz strajków. Proszę sobie wyobrazić w obecnej sytuacji w Polsce jego realizację bez użycia przemocy. Przecież to jest konfrontacja, jeśli się chce realizować ten scenariusz. A nie można realizować jego części ekonomicznej nie realizując jego części policyjnej. I dlatego Związek stanął pod ścianą. I proszę jeszcze zwrócić uwagę na to, że po raz drugi, co najmniej drugi, stół rokowań został przekształcony w zielony stolik służący do oszukiwania społeczeństwa (...). Tutaj musimy ten błąd, sądzę, naprawić. Bo my tak musimy — odpowiedzieć wyraźnie. My nie robimy natychmiast strajku powszechnego, ani nie wszystko z naszych celów realizujemy strajkiem powszechnym. Strajkiem powszechnym musimy odpowiedzieć, jak się nam toporem wymachuje nad głową. I to jest jedno. Ten strajk powszechny nie musi być bezterminowy, bo to był błąd w Bydgoszczy z bezterminowym strajkiem powszechnym. Następnie on może być selektywny, o tym była zresztą mowa, ale ta broń — nie może, nie może być wątpliwości że Związek zdecydował się na jej użycie zanim zostanie zarzucony. Bo tu już nie chodzi o ukaranie jakiegoś winnego czy nie ukaranie jakiegoś winnego, chodzi o istnienie Związku. I po drugie: my musimy powiedzieć to, czego brakowało w negocjacjach z naszej strony. To jest jasne określenie minimum. Minimum, poniżej którego żadne porozumienie nie ma sensu, bo jest tylko wejściem w złotą klatkę, w złotą niewolę (...). Bo dla rządu byłoby ewentualnie jeszcze inne rozwiązanie: ...zamiast stanu wojennego takie porozumienie, gdy „Solidarność” wchodzi do FJN. Dyskredytuje się. Nic się nie zmienia w systemie rządzenia jednocześnie, tzn. mamy tylko wejście Związku w fasadę systemu. I wówczas — owszem — można posługiwać się środkami nadzwyczajnymi, a wtedy przeciwko strajkom dzikim, bo Związek jako związany już z tym FJN nic nie... *(zanik dźwięku)*.

Tej złotej klatki — oczywiście było jasne — my nie przyjmujemy. Błędem było to, żeśmy nie określili od początku, Komisja Krajowa, tego minimum. To minimum to jest taka zmiana w instytucjach państwowych, takie zmiany demokratyczne, żeby te instytucje po prostu mogły funkcjonować. Przecież to nie jest sprawa żądzy władzy, tylko sprawa przeżycia zwyczajnie. Przeżycia narodu. Jeżeli to państwo nie będzie mogło nadal funkcjonować... A ono nie może funkcjonować jako totalitarnie zorganizowane w warunkach, kiedy społeczeństwo jest demokratycznie zorganizowane i kiedy ten aparat jest totalitarny, ale za to bezsilny — niczym nie rządzi. Dlatego tu nie wystarczą te rady szczebla podstawowego, dlatego potrzebne są rady szczebla wojewódzkiego, bo to jest właśnie aparat władzy terytorialnej. I tu się zdobywa nad nim demokratyczną kontrolę, zwierzchność nawet nie kontrolę. Bo tu się nie ma co samoograniczać w tym punkcie. Dlatego konieczna jest kontrola społeczna nad gospodarką wraz ze Społeczną Radą Gospodarki Narodowej, którą myśmy powinni traktować jako przedsiónek do autentycznego przedstawiciel-

stwa parlamentarnego świata pracy, które będzie współtworzyć i kontrolować politykę społeczno-gospodarczą państwa. I dlatego konieczna jest reforma gospodarcza taka, jak myśmy mówili: przekreślenie prowizorium i ta reforma.

My z góry o te sprawy oprócz stanu wojennego w strajku generalnym nie powinniśmy stawiać — uważam. Z góry. Myśmy powinni postawić to jako pułap minimum, na gruncie którego może być nie wojna, lecz porozumienie z władzami. A teraz tak. Jeżeli te postulaty nie zostaną zaakceptowane, to wówczas — uważam — najkorzystniejsza dla nas z punktu widzenia szans strajkowej mobilizacji narodu sytuacja: wchodzimy w styczeń, przychodzi prowizorium wbrew naszemu stanowisku minimum i wtedy my powiadamy — „nie!” — poparte strajkiem o wszystkie te sprawy. I poparte strajkiem, proszę państwa, także w obronie bezpieczeństwa Związku. Dlatego w ogóle można było myśleć o desancie w Szkole Pożarniczej, dlatego w ogóle można było wprowadzić do Sejmu ten projekt ustaw nadzwyczajnych, że poprzednio Związek hamując się na tych bocznych frontach nie reagował na prowokacje i zaczepki. Drobne tu i ówdzie. A to pobili, a to przymknęli, puścili, śledztwo prokuratorskie wytoczyli. A przecież dla władzy to oczywiście są prowokacje, które zmierzały do wciągnięcia nas na boku w konflikt, ale jednocześnie oni łąpią teren i tego terenu nie puszczają. Z niego przechodzą dalej. Aż w pewnym momencie, według ich nauki, że tak powiem, ta ilość w jakość zaczęło się marzyć, że przejdzie.

Z SALI: — Karol?

MODZELEWSKI: — No więc my po prostu musimy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze musimy im jasno powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni — i to jest sprawa tego strajku, którego — jeżeli nastąpi stan wyjątkowy — odpuścić nie wolno i to musi być w uchwale. I drugie: musimy wytłumaczyć, na czym polega nasza polityka.

SOBIERAJ: — Karol, ale jak mówisz bój ostatni, to głośno, bo tak to cicho powiedziałeś.

MODZELEWSKI: — Widzę, że dosłyszałeś. Masz na to ucho wyostrzone.

SOBIERAJ: — Bo nie wiedziałem, o jaki bój tu chodzi.

MODZELEWSKI: — Na czym polega nasza polityka. I to powinno zawierać to minimum właśnie. To powinna zawierać uchwała w tej...

Z SALI: — Oczywiście.

2. UCHWAŁA KOMISJI KRAJOWEJ z 12 grudnia 1981 roku (autorstwa J. Rulewskiego)

Uchwalone 3 grudnia w Radomiu przez Prezydium KK i przewodniczących ZR stanowisko stało się zgodnym stanowiskiem Związku.

Nadto na podstawie konsultacji nad stanowiskiem radomskim Komisja Krajowa opowiada się za rozpisaniem ogólnokrajowego lub ogólnozwiązkowego referendum na tematy zasadnicze, dotyczące zarówno oceny jak i weryfikacji metod sprawowania władzy przez naczelne i terenowe organa administracji państwowej, ewentualnej potrzeby określenia ich zadań antykrzysowych z terminem realizacji oraz sposobem rozliczania przez społeczeństwo, odnowy wszystkich ciał przedstawicielskich oraz koncepcji samorządów terytorialnych i pracowniczych.

W referendum należy uzyskać opinię społeczeństwa względnie Związku co do metod, jakie należy zastosować dla wprowadzenia w życie wyrażonej w referendum woli społeczeństwa. Komisja Krajowa zaleca powołanie urzędu Komisarza do opracowania sposobu przeprowadzenia referendum, zakresu tematycznego pytań, uczestników itp. Komisarz na najbliższym posiedzeniu KK przedstawi projekt i termin przeprowadzenia referendum nie dalej niż do 15 lutego 1982.

W razie uchwalenia przez Sejm ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach dla rządu, przewidziany w punkcie 2 uchwały radomskiej ogólnopolski strajk protestacyjny rozpocznie się automatycznie o godzinie 9-tej najbliższego dnia roboczego, a w razie przyjęcia ustawy na posiedzeniu w dn. 21-22 grudnia — w pierwszym dniu po świętach. W przypadku zastosowania środków nadzwyczajnych lub innych represji uniemożliwiających normalną działalność władz Związku załogi winny przystąpić niezwłocznie do strajku powszechnego, nie oczekując na decyzje Komisji Krajowej lub Zarządów Regionalnych. Obowiązuje przy tym znówelizowana instrukcja strajkowa z marca 1981 roku.

3. OŚWIADCZENIE KOMISJI KRAJOWEJ z 12 grudnia 1981 roku (autorstwa K. Modzelewskiego)

1. Przez uporczywą obronę starego systemu sprawowania rządów władze partyjno-państwowe doprowadziły do katastrofalnego pogłębienia kryzysu, obecnie zaś wystawiają społeczeństwu kolejny rachunek kosztów swej polityki. Przedstawione Związkowi projekty reglamentacji żywności przewidują zmniejszenie podstawowej normy zaopatrzenia w mięso do 2,5 kg, a także ewentualność wprowadzenia reglamentacji chleba w wysokości 8 kg mie-

sięcznie. W związku z tzw. prowizorium systemowym przewiduje się w I kwartale drastyczną podwyżkę cen artykułów pierwszej potrzeby. Obciążenie gospodarki przedsiębiorstw, w tym funduszu płac wysokimi podatkami spowoduje obniżenie płac i redukcję zatrudnienia, lub podwyższenie przez przedsiębiorstwa cen wyrobów. Wszystko to zepchnie miliony Polaków poniżej granicy nędzy.

Tzw. prowizorium systemowe wprowadzone zostało w okresie negocjacji jednostronną decyzją rządu bez konsultacji z ruchem związkowym. W oczywistym związku z planowaną polityką gospodarczą pozostaje projekt ustawy o przyznaniu rządowi nadzwyczajnych uprawnień na pierwszy kwartał 1982 roku i propagandowe przygotowanie do konfrontacji. Zamiast porozumienia opartego na demokratycznej przebudowie państwa i reformie uzgodnionej ze społeczeństwem władze zdecydowały się narzucić społeczeństwu drastyczne wyrzeczenia drogą przemocy.

2. „Solidarność” odmawia zgody na centralnie zarządzane podwyżki cen towarzyszące wprowadzaniu prowizorium, a także na obniżki płac, lub redukcję zatrudnienia w przedsiębiorstwach. W odpowiedzi na żywiłowe podwyższanie cen przez same przedsiębiorstwa Związek zażąda dodatku drożyznianego zgodnie z Porozumieniem Gdańskim. Żądania te poprzemy wszystkimi środkami nacisku. Wiemy, że wyjście z kryzysu wymaga wyrzeczeń, ale nie pozwolimy narzucić ich narodowi bez reformy, bez demokratycznej przebudowy państwa, bez kontroli i bez zgody społeczeństwa, gdyż ofiary poniesione przez ludzi pracy zostaną w tych warunkach znów zmarnowane.

3. Komisja Krajowa przypomina, że wniesienie do Sejmu projektu ustawy o Związkach Zawodowych w wersji uzgodnionej z ruchem związkowym należy do minimalnych warunków porozumienia określonych w stanowisku radomskim z 3 grudnia. Warunek ten został złamany. W razie przeforsowania w Sejmie wprowadzonych przez rząd poprawek o antystrajkowym i antyzwiązkowym charakterze, „Solidarność” nie zastosuje się do nich i podejmie walkę o nowelizację ustawy. Poprawki te mogą być bowiem użyte zamiast ustawy o środkach nadzwyczajnych, stwarzając podstawę do zastosowania przymusu wobec strajkujących załóg lub władz związkowych. Ostrzegamy, że doprowadzi to automatycznie do konfliktu, w którym Związek postąpi zgodnie z punktem 1 uchwały radomskiej.

NSZZ „Solidarność” opowiada się za porozumieniem narodowym na rzecz demokratycznej przebudowy państwa i wspólnej walki z kryzysem. Porozumienia tego szukać będziemy ze wszystkimi siłami społecznymi i politycznymi, które występują przeciw polityce stanu wyjątkowego i konfrontacji, jednostronnych decyzji wymierzonych w interesy ludzi pracy i utrzymaniu monopolu władzy.

Społeczeństwo zaakceptować może niezbędne wyrzeczenia tyl-

ko wówczas, gdy uzyska realny wpływ na decyzje i kontrolę nad realizacją polityki gospodarczej państwa. Porozumienie narodowe oparte na demokratycznych podstawach oraz rząd obdarzony społecznym zaufaniem są do tego nieodzowne. Do rozmów z rządem przystąpić możemy z chwilą, gdy władze wyrzekną się planów działania przemocą przeciw narodowi, grożenia konfrontacją i przyjmą za podstawę negocjacji minimalne warunki określone w stanowisku radomskim.

HISTORIA NIE TAK ODLEGŁA

Krzysztof RUTKOWSKI

NAJNIŻSZY SŁUGA ROSYJSKICH CARÓW. ANDRZEJ TOWIAŃSKI I ROSJA

1.

Chelchowski w liście do Ignacego Domeyki (rękopis Biblioteki Polskiej w Paryżu, nr 1018) opisywał nieudaną wizytę Adama Mickiewicza i Andrzeja Towiańskiego w pałacu tuleryjskim 1 maja 1842 roku z okazji imienin miłościwie panującego króla Ludwika Filipa.

Imienin winszowały Ludwikowi Filipowi wszystkie stany, między innymi profesorowie Collège de France, w ich gronie tymczasowy profesor literatur słowiańskich — Adam Mickiewicz. Towiański postanowił pójść razem z Mickiewiczem, żeby przekonać króla do swej misji i naprowadzić Francuzów na drogę wyznaczoną im przez Boskie wyroki.

Wybuchł skandal. Zwolennicy mistrza Andrzeja (np. Tancredo Canonico, Szubertowa) twierdzą, że kłopoty wzięły się z przy czyn natury formalnej — Towiański zamiast we fraku, stawiał się w swym zapiętym wysoko pod szyję surducie, który obnosił jak mundur.

Chelchowski twierdzi inaczej — i jemu wierzę. Powiada mianowicie, że ponieważ najrozmaitsze magistratury i deputacje od

przeróżnych władz i dykasterii wchodziły do pałacu tuleryjskiego tłumnie, to Towiański niezauważenie przemknął się u boku Mickiewicza przez dziedziniec i pierwsze sale oraz antyszambry, ale później strażnicy dostrzegli nieproszonego gościa. Podobno Towiański zaczął krzyczeć przeraźliwie, w dodatku po polsku. Wzięto go za wariata i pod pachy. Wierzgającego straż wyprowadziła za bramę. Prefektura zainteresowała się cudzoziemcem i okazało się, że to kolejny niezdolny Polak siedzi w Paryżu za paszportem rosyjskim. „Rząd więc francuski — komentuje Chęłchowski — udał się do ambasady rosyjskiej o objaśnienie. Ambasador *se tient quoi?* Nawet wezwał do siebie Towiańskiego, nieśczęśliwy Mickiewicz i tam akompaniował mu — odbyła się scena, która być może, iż była wprzód ułożona, a może i nie. Ponieważ ambasadora nie chciał słuchać Towiański, przez to więc wchodził w kategorię emigrantów, pod prawo, które pozwala każdego jako takiego wypchnąć z Francji. I w mocy tego prawa, mając już nań zwróconą uwagę, wydała go policja po śmierci księcia następcy tronu”.

Chęłchowski trochę pokręcił. Ambasada rosyjska wezwała Andrzeja Towiańskiego do stawienia się w swej paryskiej siedzibie trochę wcześniej, jeszcze przed imieninami Ludwika Filipa i skandalem w pałacu tuleryjskim.

Towiański pojawił się w ambasadzie 6 kwietnia 1842 roku (25 marca starego stylu) i musiał się tłumaczyć, dlaczego bezprawnie przedłużył swój pobyt za granicą, przecież dostał paszport tylko na kurację u wód, a przyjechał do tego niecnego Paryża i zadaje z buntownikami przeciwko jedynej prawowitej władzy, a *Paljaki* knują, spiskują i nie potrafią docenić miłosierdzia Najjaśniejszego Pana, Cara Wszechrosji. Więc skoro on, obywatel ziemski z guberni wileńskiej, nadużywa cesarskiej łaskawości i paszportu, a na dodatek zadaje się, to niech wie, że może mieć przykrości. Majątek skonfiskujemy, mebelki zajmujemy, rubelki odłożone znajdziemy... Czy obywatel ziemski Towiański nie zdaje sobie sprawy, że Francja też ma już dosyć tych polskich buntowników, tego waszego jątżenia i krzyków, więc pewnego dnia... O przyszłości pomyśleć trzeba... Przebaczenia prosić... Tak mówił hrabia Kisielow do mistrza Andrzeja. Pełnił obowiązki *chargé d'affaires* ambasady; był człowiekiem rozumnym, wykształconym i umiarkowanym polakożercą.

Następnego dnia Kisielow wystosował raport do swego zwierzchnika w Petersburgu, słynnego szefa III Wydziału carskiej policji — hrabiego Benckendorffa, w którym zdał dokładnie spra-

wę z rozmowy z Towiańskim. Napisał, że Towiański stawiał się i oznajmił, iż przybył do Francji nie dla przyjemności i nie z samowoli, ale z objawionego mu „z wyżej” nakazu spełnienia misji, która polega — między innymi — na zbliżeniu i pojednaniu narodu rosyjskiego i polskiego; że jest najwierniejszym i najposłuszniejszym z cesarskich poddanych, ale nie może niestety wrócić do swej ojczyzny zanim nie zrobi tego, co do niego należy; że ma nadzieję zakończyć swą misję w ciągu roku i wtedy wróci natychmiast do siebie i odda się pod skrzydła łaskawej opieki Najjaśniejszego Pana.

Kisielow opatrzył raport krótkim komentarzem: „*Le ton mystique de cet individu dénote évidemment une raison altérée*” (S. Fiszman, *Archiwalia mickiewiczowskie*, Wrocław 1962, str. 132).

Natomiast historia Księcia Orleańskiego wydaje się nadzwyczaj skomplikowana. Prawdą jest, że następca tronu wypadł w trakcie przejażdżki z powozu i zabił się na miejscu pechowego 13 lipca 1842 roku; prawdą jest również, że tego samego dnia Andrzej Towiański otrzymał policyjny nakaz opuszczenia Francji. Zwolennicy mistrza stwierdzili — a on sam nie zaprzeczał — iż Francję spotkała zasłużona kara za wypędzenie męża Bożego z jej granic. Towiański miał przepowiedzieć nieszczęsny los księcia. Interpretacje tych zdarzeń mogą być różne, a powiązania między nimi tajemne — wiadomo jednak, że Towiański opuścił granice Francji i wyjechał do Belgii. Policja francuska i policja belgijska usłużnie wymieniały między sobą raporty. Agenci belgijscy nie spuszczali z oka ani mistrza, ani żadnego z jego uczniów, o czym przekonują nieznane dokumenty przechowywane w archiwum departamentalnym w Lille*.

Czy rząd Ludwika Filipa wyrzucił Towiańskiego na skutek interwencji ambasady rosyjskiej — nie wiadomo. Wiadomo jednak, że tajne policje obu krajów pozostawały w doskonałych stosunkach i z „najwierniejszym poddanym Jego Cesarskiej Mości” obchodziły się niezbyt życzliwie. Więc chociaż po emigracji rozeszła się zaraz plotka, że Towiański jest carskim agentem przysłanym przez tajną kancelarię III Wydziału, aby skompromitować polskich pielgrzymów, otumanic Mickiewicza i wydać wszystkich pod knut Moskala (wieść tę powtarzali agenci francuskiej policji prefektowi Paryża, a prefekt Paryża powtarzał ją ministrowi spraw wewnętrznych gabinetu królewskiego, który z kolei wypisywał listy do ministra oświecenia publicznego z żądaniem usu-

* Profesorowi Danielowi Beauvois dziękuję za udostępnienie ich odpisów.

nięcia Adama Mickiewicza z katedry w Collège de France, bo jest on omotany przez szarlatana i moskiewskiego szpiega i rozsiewa wrogą propagandę napoleońską, by osłabić morale oraz siłę obronną państwa francuskiego) Towiański carskim agentem nie był.

Hrabia Benckendorff z pewnością bardzo tego żałował. Ale też jego zmartwienie nie trwało długo, bo Andrzej Towiański, obciążony wielką misją dziejową, sprawował się lepiej niż cała sfera najlepszych agentów. Agenci nie wpadliby na tak dobre pomysły — potrzeba było fantazji opętania, by zachowywać się tak, jak mistrz Andrzej. Towiański w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu powiedział Kisielowowi prawdę. Cel jego misji polegał (też) na przybliżeniu narodów polskiego i rosyjskiego oraz pojednaniu obu nacji w imię wyroków Bożych.

2.

W początkach maja 1843 roku w Caen mistyk i — jak się później okazało — fabrykant fałszywych krwawiących hostii — twórca sekty pod nazwą *Ceuvre de la Miséricorde*, Pierre Michel Vintras, miał wizję.

Podejrzewam, że wizję sprowokował wcześniejszy list Towiańskiego do Vintrasa, gdyż francuski odnowiciel chrześcijaństwa zobaczył wszystko z nadzwyczajną dokładnością. W wizji występowali: Towiański, Mickiewicz oraz duch cara Aleksandra. Duch cierpiał okropne męki za swoje grzechy wobec Polski i wszelkie krzywdy wyrządzone Polakom oraz wieszczył, że jeśli Towiański mu przebaczy, to nie tylko położy kres jego cierpieniom, ale umożliwi parcie ducha cara Aleksandra na ducha cara Mikołaja, żeby car Mikołaj nie uciskał więcej Polaków, zwrócił im wolność oraz odbudował ojczyznę w granicach sprzed rozbiorów.

Duch cara Aleksandra wstąpił na drogę pokuty, bo zrozumiał prawdę objawienia Towiańskiego, wstąpił na jedynie słuszną drogę i odkupuje swoje winy i zaciągnięte przed Bogiem rachunki wierną służbą w Sprawie Bożej pod sztandarem Chrystusowym.

List sprawił ogromne wrażenie pośród towiańczyków. Aleksander Chodźko, przebywający w owym czasie w Brukseli na rekolekcjach u mistrza, zanotował: „Kiedy wszystko tu tak święte u Męża Bożego [tj. Towiańskiego], dowiadujemy się z Paryża, że 5 maja w Caen w widzeniu Sthrathanaela [tj. Vintrasa] dano mu rozkaz poświecić się i dać Adamowi krzyż łaski (*croix de*

grâce), którego N. Panna nazywa *l'homme de mes desseins*. Dniem przedtem Sthrathanael w widzeniu był w niebie z Andrzejem i tam otrzymał ich *accolade paternelle*; tam modlił się z nimi, on po francusku, oni po polsku, widział na ramionach Adama orla białego, a nad głową Andrzeja aureolę, błyszczącą słowami świętej obietnicy. Upiór Aleksandra w piekielnych mękach modlił się: Erdna [tzn. *André*, Andrzej], *pardonne moi*. [...] Najświętsza Panna rozkazuje posłać kopię tego widzenia Andrzejowi i Adamowi, a oryginał złożyć w świętych archiwach”.

Z powodu objawienia Vintrasa odsłaniającego dziejowe posłannictwo ducha cara Aleksandra w walce Polaków o niepodległość, Adam Mickiewicz wezwał wszystkich do uczestnictwa we mszy świętej w kościele Saint-Germain-des-Près za duszę rosyjskiego władcy przed ołtarzem św. Kazimierza.

Przed nabożeństwem Adam Mickiewicz czytał członkom Koła Sprawy Bożej nowy list Pierre Michela, w którym francuski Jan Chrzciciel nowego objawienia oznajmiał, że drogą iluminacji doszedł do wiadomości, że Słowo Boże stało się ciałem i zamieszkało między nami, i że tym Słowem wcielonym jest mistrz — Andrzej Towiański. W zakończeniu listu Vintras wołał: „Francjo! Na kolana przed Nową Polską! Cześć i chwała Polsce!”.

Nabożeństwo zostało odprawione 20 maja 1843 roku w kaplicy po lewej stronie krótszego ramienia świątyni, tam, gdzie znajduje się symboliczny grobowiec króla Jana Kazimierza. Ludzi było sporo, przeważnie Francuzów, zwolenników Vintrasa. W tym dniu wypadła również 30 rocznica bitwy pod Waterloo. Napoleon pognębiony przez Aleksandra też był wielkim duchem izraelskim, więc — wedle Towiańskiego i Mickiewicza — czekały go jeszcze wielkie czyny. Aleksander pograżył Napoleona pod Waterloo, bo Napoleon miał wykonać Boże posłannictwo, ale skrewił, w związku z tym zasłużył na docisk. Docisnął go Aleksander, ale on też planów nie wykonał, więc i on został docisnięty.

Właściwe duchowe powołanie cara Aleksandra polegało na odkupieniu win, które Rosjanie popełnili wobec Polaków. To, że naród polski spotkały tak liczne nieszczęścia, że utracili swój byt państwowy, przelewali krew, a młodzież wywożono na Sybir — ma swoje uzasadnienie. To kara za schodzenie z drogi powołania Bożego na „manowiec”. Naród polski ma misję do spełnienia wobec całej Europy, ba, wobec całego wszechświata, on został wybrany za narzędzie Bożej woli, pod jego przewodem

zejdzie Królestwo Boże na ziemię, ale... jeszcze nie dojrzał do swego przeznaczenia.

Andrzej Towiański jest tłumaczem tajemnego pisma Boga, tłumaczem Słowa. Jeśli emigracja — awangarda narodu, jego duchowa straż przednia (bo polscy chłopci, chociaż zachowali czysty zaród ducha, nie potrafili wydobyć go w działaniu) przejmie się posłannictwem mistrza Andrzeja, rachunki między niebem i ziemią wyrównają się i nastanie era powszechnej wolności pod przewodnictwem przeanielonej Polski. A jeśli mistrzowskie słowa odrzuci — szczególnie. Towiański z pomocą ducha cara Aleksandra i Adama Mickiewicza — Brata Wieszczą, a później, gdy Mickiewicz okaże się szatanem, z pomocą pułkownika Karola Różyckiego — Brata Wodza — dokona wielkiej rewolucji. Ale trzeba mu się pokłonić.

Istota pedagogiki Towiańskiego była bardzo prosta i streszczała się do fałszywej analogii: skoro cierpisz — zasłużyłeś sobie na to; skoro cierpisz — to dobrze. Stosował tę zasadę do rzeczy wielkich i małych.

Przebywającemu w Brukseli Aleksandrowi Chodźce wyjaśniał, że na Litwie nie mógł żyć po dawnemu, więc wyjechał za Bożym wezwaniem, aby dać biednym emigrantom ojczyznę zewnętrzną i ojczyznę wewnętrzną. Dzisiejsza epoka jest epoką łaski: Bóg domaga się — tłumaczył mistrz Andrzej, kładąc obie dłonie na piersi — aby wykazać, co każdy z nas w sobie nosi. Od tego zależy ostateczny triumf powołania emigracji. Emigracji polskiej Bóg kazał nauczyć Francję, jakim sposobem ma być Francją. Przybliżywszy okulary w drucianej oprawie do twarzy byłego carskiego posła w Persji, Towiański dodawał z naciskiem: widziałem na emigracji wielu najzaciewniejszych wewnątrz ludzi, lecz zewnątrz, to jest w postępowaniu, nikczemnych i małych, „bo nie mają odwagi być szczerze czem są istotnie”. Bóg domaga się ofiary ducha — tu wspiął się Towiański na palce, a głos zaczął mu wibrować — Bóg domaga się ofiary ducha. W tym leży tajemnica i wielkość czynu Chrystusa. On pierwszy wyniósł sztandar Pański, to jest objawił zewnętrznie całą swoją potęgę wewnętrzną. U tułaczy polskich Bóg upomina się o wyrównanie rachunków. I emigracja wyzwoli Polskę i świat cały z niewoli. Wspólnie z Francją — oblubienicą. Bo tylko trzy narody w powszechnych dziejach ludzkości powołane są do wielkich rzeczy: Polska, Francja i Izrael. I dlatego narody te spotykają w dziejach najrozmaitsze nieszczęścia, żeby wyrobiły się w sobie i oczyściły, a jeśli — jak w wypadku Polski — cierpienia te są nad rozum

człowieczy i wydają się niezasłużone — zasłużone są na pewno. Nie wolno mieć zatem pretensji do rosyjskich carów, generałów, czynowników i żołdatów za rzeź Pragi, sybirskie zsyłki, jęki, krew, pot i łzy. Oni są tylko narzędziem. Narzędziem sprawiedliwych wyroków Bożych. A czy można obwiniać młot kowala, że uderzając, płaszczy żelazo?

Cierpiący duch Aleksandra, podobnie jak cierpiący duch Napoleona, nam pomoże. Naciśnie wyższe na niższe, a wtedy stanie się cud, obróćą się niebieskie sfery, katedra Najświętszej Marii Panny w Paryżu rozleci się w pył i zaraz stanie odnowiona, żołdatom karabiny wypadną z ręki, same otworzą się bramy tium i stopnieją syberyjskie śniegi, mocarze tego świata, a car pierwszy odepchnie tron, połamie knut i wyciągnie ramiona, rozpocznie się wielki bal na planecie ziemi i wszystkich gwiazdach aż do siódmej sfery, ruszy z posad bryła świata i przebijie nieboskłon, na którym bocian wisi przybity za skrzydło.

Tłumaczył to wszystko Towiański braciom po wielokroć, z maniacką monotonią. Powtarzał się. Powtarzał i wierzył w magiczne moce powtórzenia. Dodawał często, że on sam jest prochem i nikim. Chodźce rzekł: „Wiem, że niejeden się oburza: jak można, aby szlachcic jak ja, nic nie znaczący, przyjechał z Litwy i stał się sprawcą tak wielkiego dzieła. W lesie jest mały robaczek przeznaczony do wielkich rzeczy. Bóg dotychczas nic jeszcze przez robaczków nie poczynił. Ale czy Bóg uczynić tego nie może, gdy uczynić zechce? Rzucony łachman podejmuję z błota ulicy; obwijam nim ramię, uderzam mieczem i potęgą ramienia Pańskiego, przepuszczona przez osobę wybrańca, ktokolwiek on jest, zwycięży”.

Cierpi Polska od Rosji — słusznie. Cierpi pojedynczy człowiek za swe grzechy — prawidłowo.

Attilo Begey, włoski wyznawca Towiańskiego, człowiek bardzo zasłużony i cieszący się powszechnym szacunkiem, opowiadał w jednej ze swych prac poświęconych mistrzowi Andrzejowi o historii pewnego ptaszka, na dowód troskliwości, wrażliwości i wyjątkowości osoby Towiańskiego. Historia ta pokazuje stałość i rozbijającą prostotę pedagogiki (i kosmologii) Towiańskiego. Leciwy już wtedy mistrz pozostawał w ciągłym „ruchu ducha” i widział to, co przed innymi zakryte.

Pewien sąsiad kupił ptaszka, którego śpiewem rozkoszował się mistrz. Ale Towiański dowiedział się, że ptaszek zamknięty jest w klatce i trzymany w ciemności, aby w tych warunkach nauczył się jeść, a potem ma być oślepiony, dla jeszcze piękniej-

szych treli. Mistrz oburzył się na tę wiadomość i w głębokim smutku odwiedził sąsiada, błagając go, by odstąpił od swego zamiaru.

Sąsiad nie odstąpił, więc mistrz chciał odkupić ptaszka za jakąkolwiek cenę. Sąsiad nie zgodził się, mimo nalegań. Zasmucił się bardzo Towiański, wziął kapelusz ze stołu i powiedział: „czuję dopust Boży w stosunku do owego ptaszka... poddaje się”.

Straszne są wyroki Boże: nad ptaszkiem i nad Polską, Mickiewiczem i wami wszystkimi, bracia. Odszedł mistrz wolnym krokiem, mrucząc pod nosem modlitwę za duszę cara Aleksandra.

3.

W czerwcu 1844 roku Adam Mickiewicz otrzymał od Towiańskiego z Solury list następującej treści: „Bracie Adamie! Potrzeba we wszelkim zetknięciu się z Rosją z tegoż tonu działać, z którego mówiłem w ambasadzie [...]. Służyłem wiernie Rosji [...]. Dobro człowieka, a razem dobro Rosji w postępie, w spełnianiu rozkazu w słowie Bożem danego. Na tej drodze potęga i szczęście Rosji konieczne dla spełnienia na ziemi słowa Bożego. [...] Z woli Bożej prawy związek między gałęziami jednego szczepu Bożego. Ułatwienie w nim, spełnienie myśli Bożych dla całego szczepu dających się — w spełnieniu tylko myśli Bożych wielkość trwała i potęga narodu.

Przeszłość, wzajemne krzywdy i rachunki jak nakazanego braterstwa używali, już przed Bogiem — a przed człowiekiem, który nie jest sędzią brata swojego, nieznana przez wieki miłość i szczerość bratnia i pomoc wzajemna dla interesu wzajemnego. [...] Na nowej drodze i silniej i prawdziwiej służyć Rosyi pragnę. [...] Rząd Rossyjski obliczy się przed Bogiem z użycia najczystszych wielu braci moich...”.

Wszelkie próby wybicia się przez Polaków na niepodległość za pomocą powstań, spisków, gabinetowych układów i dyplomatycznych zabiegów, a także przez nieostrożne manifestacje w Paryżu, które można by uznać za antyrosyjskie (Towiański pomyślał ze zgrozą o udziale Mickiewicza w pogrzebie Laffitte’a, rocznicy urodzin Napoleona lub pochodzie w rocznicę rewolucji lipcowej) — są bezcelowe, a nawet zgubne, gdyż powiększają tylko „rachunek” przed Bogiem między Rosją i Polską, co spowoduje jeszcze większy ucisk ze strony Rosji. Polacy muszą

pojąć, że nic nie dzieje się w Boskich planach bez przyczyny i ucałować nahażkę, co im zdziera skórę z pleców z chrześcijańskim miłosierdziem i przebaczeniem. A wtedy Rosja zadrzy, cesarz rozpłacze się i upadnie na kolana, a razem z nim uderzą w święty ryk wszyscy jego czynownicy: hrabia Benckendorff poda swemu monarsze chusteczkę, którą od niego otrzymał, by obetrzeć nią łzy ludu, zauważywszy wprawnym okiem policjanta, że samowładny pan Wszechrosji raczył usmarkać się z rozczulenia, hrabia Kisielow, hrabia Bibikow — kat Ukrainy, senator Nowosilcow niewyraźnymi kulfonami (z powodu zapłakania) podpisze ukaz zamieniający bazylikańską celę w bibliotekę publiczną dla wileńskiej młodzieży, a Paskiewicz, cały już spuchnięty od łez, rozpocznie zbiórkę na budowę pomnika ofiarom wyróżnionym na Pradze. W związku z tym patriotycznym obowiązkiem każdego Polaka jest pomóc duchowi cara Aleksandra w jego pozaziemskiej wędrówce i „tuczeniu” ducha cara Mikołaja. Zwycięskie wojska Paskiewicza nazwał Towiański „szykami bratnimi”, które obrońcy w 1831 roku niedojrzałych do wolności Polaków przed wielkim nieszczęściem, jakim stałby się dzień ich niewczesnych wyzwolin. Zanim naród rosyjski nie przyjmie myśli Bożej, zanim duchowa awangarda narodu polskiego — emigracja, nie uzna objawienia mistrza, zanim pierwszy szereg posłanników Słowa nie wypełni swojej apostołskiej misji — nie ma wolności dla wrogów wolności.

Przed taką dialektyką bracia zaczęli się bronić. Juliuszłowacki, do głębi oburzony, po raz pierwszy odszedł wtedy z koła Sprawy Bożej (choć później do niego wracał i znów odchodził) i postanowił walczyć o przyjsie Królestwa Bożego na ziemię w samotności. Oburzył się również bardzo pułkownik Mikołaj Kamieński, nie na tyle jednak, by z kołem zerwać. Rozchorował się ze wstydu generał Giedroyć — żołnierz dzielny i zawołany.

Towiański zdał sobie sprawę, że musi działać ostrożnie. Dlatego kazał Mickiewiczowi w tajemnicy układać list do cesarza Mikołaja na podstawie listu z czerwca 1844 roku, a na jego oddawcę i rzekomego autora upatrzył sobie Aleksandra Chodźkę.

15 sierpnia 1844 roku, trochę zmieszany Aleksander Chodźko w towarzystwie jeszcze jednego brata (nie wiadomo, kto nim był) w ścisłej tajemnicy przed Kołem, przekroczył próg ambasady rosyjskiej w Paryżu i wręczył zwinięty w rulon i starannie związany wstążką papier. Ambasador potraktował przybyszów z chłodną grzecznością, wypowiedział kilka stosownych frazesów i na tym audjencia się skończyła. Pismo przekazał carowi.

W liście pełnym uniżoności i rewerencji pod adresem cara, Mickiewicz (ukryty za Chodźką) powtarzał wizję Towiańskiego dotyczącą wzajemnych związków między Rosją i Polską wraz z filozofią „parcia”. „Zbawienie milionów powierzone tobie N. Panie. — Prowadząc tyle ludów Słowiańskich, berłu twojemu poddanych, ty dziś jesteś narzędziem Woli Bożej największem na ziemi. — Jeśli usłuchasz N. Panie wezwania Bożego, poddani twoi wierni Bogu, poświęcając się myśli Bożej w tobie złożonej, poświęcą się dla twojej wielkości, dla szczęścia twojego”. Czyli wszystko jasne: skoro Sprawę Bożą odrzucił Czartoryski, Ludwik Filip, Grzegorz XVI, Rotszylld również nie otworzył kiesy tak szeroko, jak się po nim spodziewano, generałowie z listopadowego powstania machnęli lekceważąco ręką — trzeba było uciec się do próby ostatecznej i radykalnej: przekonać cara, by poprowadził Zastęp Pański. Czy wtedy na odwrocie Sztandaru Sprawy Bożej, według kopii Wańkowicza obrazu Guido Renniego, przedstawiającego cierpienia Chrystusa w koronie cierniowej, mistrz kazałby wyhaftować dwugłowego orła? Pytanie retoryczne, bo car na czele sprawy nie stanął, chociaż list przeczytał i raczył wykazać zainteresowanie człowiekiem, którego były jego ambasador w Persji tak zachwalał. Informacji udzielił cesarzowi hrabia Jakub Tołstoj, który będąc w Paryżu, spytał wprost swego dobrego znajomego — Aleksandra Chodźkę — kto jest jego prorokiem.

Ale odpowiedzi od cara towiańczycy nie otrzymali. Cała sprawa — powtarzam — trzymana była w tajemnicy. Mickiewicz przeżywał coraz większe duchowe rozterki, nie mógł się pogodzić z treścią pisma, nie mógł się pogodzić z myślą, że za przyjaciela napisał w zakończeniu listu: „Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości najniższy, najposłuszniejszy sługa i poddany”, wszystko go bolało, był chory, był bardzo chory.

W dniu Święta Zmarłych zjawił się u Mickiewicza fałszywy hrabia, towiańczyk i tchórz, Seweryn Biberstein-Pilchowski i oświadczył, że ponieważ car nie odpowiada na „wyzyw” mistrza, to on się podejmuje zawieźć mu pismo osobiście. Czyli że pojedzie do Rosji.

Adam Mickiewicz czuł, że święci się coś bardzo niedobrego. Pilchowskiego nie cierpiał. Ale Andrzej Towiański oświadczył, że brat Seweryn jest wielkim duchem izraelskim i ma wypełnić swą wielką misję. Więc Mickiewicz uciekł w chorobę, chociaż nie symulował. Czuł, że kiedy Towiański każe mu publicznie przedstawić utajnione dotychczas pismo do cara Mikołaja, wybuchnie prawdziwy skandal, tym razem im nie przepuszczą, prze-

cież to już prawie apostazja i narodowa zdrada, jak ma przekonywać on, Adam Mickiewicz, o dziejowym posłannictwie cara — dobroczyńcy Polaków?

Pilchowski wyjechał do Szwajcarii do mistrza na rekolekcje i po instrukcje. Natomiast brat Adam musiał się przygotować do ujawnienia adresu Chodźki i w tym celu zwołał 21 listopada 1844 roku Siódemki. Rozkaz o ujawnieniu aktu przywiózł najprawdopodobniej Romuald Januszkiewicz, który powrócił w tym dniu ze Szwajcarii z listami od Towiańskiego.

Brat Adam musiał tak działać, aby członkowie Koła Sprawy Bożej uwierzyli, że nadszedł wreszcie czas realizacji i tylko mistrz wie, w jakim kierunku należy się zwrócić, aby osiągnąć upragniony cel. Musiał zatem podkreślić dwie rzeczy: nieomyślność Męża Bożego, czyli rozpalic po raz kolejny, ale tym razem do białości, kult Towiańskiego. Musiał przekonywać siebie i innych — nie miał innego wyjścia, że Andrzej Towiański jako posłannik Słowa, stał, stoi i stać będzie zawsze w prawdzie i to, co wydaje się nam dziwne i nieprzyjemne, a nawet ociera się o narodową zdradę — jest tajemnym pismem Boga, które potrafi czytać tylko ulubiony Boży lektor i nikt poza nim.

Ale musiał też z mocą podkreślić, że to już ostatnia ofiara i bój ostatni, że po jej złożeniu Zastęp Pański stanie zwarty i gotowy do ostatecznej rozprawy ze złem i wreszcie ruszymy gromadnie ku ojczystej zagrodzie, a bić będzie z braci poświata nieziemska i moc, której wszyscy ulegną się i pokłonią. Mickiewicz nie miał innego wyjścia, chcąc złagodzić wymowę listu do cara. Rozpalić musiał miłość do Mistrza i Pana, nieomyślnego ojca, namiestnika Chrystusowego na ziemi — Andrzeja Towiańskiego i obiecywał rychły koniec bezczynności i tułaczki po paryskim bruku. W ten sposób pomagał Towiańskiemu wzmocnić swoją pozycję, ale jednocześnie podpisywał wyrok sam na sobie. Mistrz Andrzej bowiem nie miał najmniejszego zamiaru podrywać swego stadka do czynu w znaczeniu dosłownym. Ani mu w głowie powstały obietnice rychłej przemiany Zastępu Pańskiego w jednostkę wojskową, jak obiecywał Mickiewicz.

Gdyby Adam nie rzucił całego swego autorytetu na szalę i nie naobiecował tego, czemu Towiański z gruntu był przeciwny, 29 listopada 1844 roku, w rocznicę Powstania Listopadowego, po odczytaniu listu brata Aleksandra Chodźki do cesarza Rosji, nastąpiłby rozpad Koła Sprawy Bożej i nic nie uchroniłoby Towiańskiego przed kompromitacją. Ale Mickiewicz rzucił na stos swego ducha — wielu zebranych nie mogło ruszyć się z oburze-

nia i nie spało do świtu. Nie mógł uwierzyć swoim uszom pułkownik Kamieński, że Adam Mickiewicz tu, w Paryżu, czytał wygnańcom suplikę do cara Mikołaja. Mickiewicz chcąc uprzedzić jawny bunt, zorganizował wieczorem ucztę braterską pod hasłem: „miłość żołnierska”.

29 listopada 1844 roku, po odczytaniu pisma Chodźki, Mickiewicz rozpoczął swoją rolę w tej bulwarowej komedii, zupełnie nie-boskiej, od słów: „Znalazł się w Kole brat, który poczuł powołanie [zawiezienia listu do Petersburga] [...] on jeden dojrzał już między nami. [...] Jest to dla nas pokazaniem, co to jest ofiara Koła: to przez ofiary i pojedyncze się robi. Liczba powołana, jak tylko dojdzie do swego punktu i stanie zwycięzcą świata, ziemi i szatana, wtenczas Koło przeciw światu zacznie działać. Brat ten pracuje nad dopełnieniem i wykonaniem warunków przez ziemię żądanych. On sam wam opowie, jak stanął przed Mistrzem i co od niego przynosi. Bratem tym jest brat Seweryn Pilchowski”.

Pilchowski przemówił, a następnie odczytał notę Towiańskiego dla siebie, która była — jak na styl mistrza — wyraźną groźbą: tych spośród braci, którzy nie będą posłuszni i nie zaakceptują listu do cara Mikołaja — spotka straszna kara i wieczne potępienie.

Znowu zabrał głos Mickiewicz i rozpoczął następny akt przedstawienia: „Otóż bracia, starajmy się poczuć stan, do jakiego brat Seweryn doszedł i przez zlanie się z nim zrobić krok do naszego zlania się ogólnego. Ja mam głębokie przeświadczenie, że gdyby Bóg nie pobłogosławił zlania się, jakie między mną a bratem Sewerynem wczoraj nastąpiło, dzisiejsze nasze zgromadzenie Koła byłoby nie doszło; nie wiem jak, ale byłoby zerwane”.

I Mickiewicz zatańczył wreszcie w finale duchowego kankana: rzucił się do nóg bratu Sewerynowi, a brat Seweryn rzucił się do nóg bratu Adamowi. W życiu Pilchowskiego był to wielki dzień. Była to równocześnie wielka klęska Mickiewicza, który od tej pory nie wiadomo żył jeszcze, czy umarły, zaczął jak Gustaw wieść dziwny żywot upiora. Staranna reżyseria przedstawienia w rocznicę listopadową o tyle poskutkowała, że oburzenie członków koła i emigracji rozłożyło się na kilka etapów i objawiło z opóźnieniem.

Mickiewicz był z siebie zadowolony o tyle, że nie doszło do skandalu natychmiast. Donosił o tym w listach Towiańskiemu,

ale Towiańskiemu Mickiewicz bardzo się już — z wielu względów — nie podobał.

Mickiewicz musi zginąć, bo uratował autorytet Towiańskiego, bo samowolnie podejmuje decyzje, bo stanął jak równy z równym z kimś, kto — wie o tym i mistrz, i Adam — godny jest tylko pogardy. Zrównując się i „zlewając” z Adamem, Pilchowski utylił Adama w błocie i zakaził swoją niskością, czego również wybaczyć się nie da. Nadszedł czas dla Pilchowskich, a nie dla Mickiewiczów. Mistrz podjął się trudu wychowania nowego człowieka, którego jedynym nauczycielem byłby on sam, a granice wiary wyznaczała Sprawa Boża. Nowy człowiek uwolniłby się od najbardziej uciążliwych obowiązków: myślenia i podejmowania decyzji. Nauczyłby się, że najważniejszą cnotą jest uległość, a najważniejszą miarą postępowania strach. Że strach i posłuszeństwo prowadzą do zaszczytów i awansów, że miarą własnego bezpieczeństwa jest oskarżanie innych i opłaca się być poręcznym „jak knut w ręku kata”.

Towiański wiedział, że Mickiewicza w nowego człowieka nie przerobi. Jeśli nawet Adam nauczyłby się władać językiem słów oderwanych od rzeczy, którym sens nadał Towiański zgodnie ze swoimi intencjami, językiem, w którym słowa: ojczyzna, miłość, duch, człowiek, wolność, brat, wiara, czyn i td. oznaczały coś zupełnie innego niż dotychczas, to nie zapomniaby języka starego, wyuczonego w młodości. Nowy język wczepi się natomiast silnie i głęboko w umysły i serca Pilchowskich. Mistrz zapanuje nad myślami i duszą brata Seweryna, ale nie nad duszą i językiem Mickiewicza. A jeśli nie zapanuje nad językiem — nie wychowa człowieka nowej epoki.

4.

Pilchowski napisał, że oddaje się Towiańskiemu we władanie jako pierwszy niewolnik i w tym upatruje znanie największej wolności. Akt był poświadczony notarialnie. Wydarzył się naprawdę taki wypadek pośród polskich emigrantów w Paryżu. Dostojewski opowiadając kilkadziesiąt lat później historię Szigalewa i stada rosyjskich biesów — jak się okazuje — prochu nie wymyślił. Mickiewicz to popierał i Pilchowskiego stawiał wszystkim za wzór do naśladowania. Przemawiał: „Powstaje nowa ojczyzna. Dawna zginęła tym, że nikt nikomu nie poddał się duchem. Szlachcic w królu, żołnierz w wodzu widział coś dobre-

go, ale miał się za coś wyższego we wszystkim innym. Zazwyczaj oddawał siebie taką częścią, że dziewięć dziesiątych sobie zostawiał. Pilchowski jest dziś dlatego naszym wzorem, że całego siebie oddał Mistrzowi. Dociągajmy się do tego wzoru, bo może później wyższy będzie postawiony i trudniejszy do dojścia”.

Wybuchła wreszcie sprawa pułkownika Mikołaja Kamińskiego. Miała ona dwa etapy. Kamiński nie wytrzymał i 16 lutego 1845 roku przedłożył „Urzędowi” oświadczenie, że z koła występuje i w rozpowszechnianiu idei „mongolsko-słowiańskiej” uczestniczyć nie będzie, że jest Polakiem, a nie carskim poddanym.

Pod koniec lutego zawrzało w całym Paryżu. Pisma emigracyjne trzęsły się z oburzenia: padały oskarżenia pod adresem towiańczyków i Mickiewicza o zdradę, głupotę, sprośność, nikczemność. Zaczęły krążyć odpisy utworów Słowackiego, specjalnie na tę okoliczność napisane, wśród nich straszny wiersz pt. *Matecznik*, w którym pojawiał się „mocarz [Towiański] zapowiedziany w prorocztwie oszusta [Mickiewicza]”. Między emigrantami rozrzuconymi po Europie i Ameryce krążyły listy podające tę nowinę. Hrabia Zygmunt Krasieński pisał na dobę znacznie więcej kartek, a uszy w ścianach salonów trzęsły się od plotek.

Mickiewicz postąpił w tej sytuacji genialnie. Wyciągnął mianowicie akt poddaństwa Mikołaja Kamińskiego, który trzymał dotychczas głęboko ukryty w szufladzie. Okazało się, że Kamiński jeszcze przed Pilchowskim zapisał się dobrowolnie Towiańskiemu w poddaństwo.

Poddaństwo Pilchowskiego było funkcjonalne i nosiło w sobie energię działania. Kamiński był uczniem krnąbrnym i mało pojętnym. Nigdy nie opanowałby tabliczki mnożenia nowej epoki. Dla niego „dwa plus dwa” zawsze równałoby się „cztery”. Jeśli by mistrz pewnego dnia miał znak „z wyżej”, że „dwa plus dwa równa się pięć”, Kamiński zacząłby się zastanawiać jak to możliwe, a następnie z rezygnacją, oskarżając się o brak lotności ducha przyznałby, że skoro tak objawiło się Towiańskiemu, to widocznie musi być prawdą, bo mistrz w prawdzie stoi przecież niezachwianie; ale cały czas dręczyłaby go — mimo wszystko — niepewność.

Dlatego Mickiewicz zataił akt poddaństwa Kamińskiego i użył go dopiero teraz jako przesłankę moralnego szantażu. W obronie Andrzeja Towiańskiego, Koła Sprawy Bożej i wszystkich swoich wrogów. W ten sposób Pilchowski rósł w siłę i nabierał pewności siebie. Namawiał braci, żeby i oni złożyli podobne akty

poddaństwa, żeby poddali się w niewolę Towiańskiemu. Bracia zebrali dla niego kilka tysięcy franków na podróż do Rosji. Fałszywy hrabia roztrwonił je na wino szampańskie. Do Rosji pojechał wiele lat później. Przyjął carską amnestię i przeszedł na prawosławie.

Zanim jednak dokonał tego bohaterskiego czynu, zawiązał z poręki Towiańskiego spółkę przeciwko Adamowi Mickiewiczowi w roku 1845, w czasie, gdy Brat Wieszczy przebywał u Towiańskiego w Szwajcarii.

5.

W sierpniu 1846 roku Pilchowski oświadczył Mickiewiczowi, że chce wyjechać do Rosji i poddać się carskiemu miłosierdziu, gdyż „żądanie amnestii w duchu Sprawy jest to chrześcijaństwo w polityce zrealizowane”. W ten sposób zamknęło się koło. Dialektyka ducha lansowana przez Towiańskiego, „najniższego i najpokorniejszego sługę Jego Cesarskiej Wysokości”, spełniła się w ordynarnej zdradzie. Adam Mickiewicz opublikował w prasie emigracyjnej oświadczenie potępiające Pilchowskiego i jego zaprzaństwo. Ale Adam Mickiewicz szedł już wtedy inną drogą niż mistrz Andrzej. Jego miejsce u boku Towiańskiego zajął Karol Różycki, mianowany przed niespełna rokiem Bratem Wodzem. On Pilchowskiego nie potępiał, bo nie potępiał go Towiański. Aleksander Chodźko zapisał: Różycki „pisze ogólnikami do Pilchowskiego, nazywa go bratem i w tonie najłagodniejszym wzywa go, aby zamierzone kroki swoje wstrzymał. Oto wódz polski piszący do zdrajcy” (Rkps Biblioteki Polskiej w Paryżu, nr 852).

Braterstwo *à la* Towiański miało za alternatywy zaprzaństwo albo śmierć. Kiedy do Seweryna Goszczyńskiego dotarła 30 listopada 1855 roku wiadomość o śmierci Adama Mickiewicza, brat Seweryn, oddany przez wiele długich lat mistrzowi, zanotował: „Adam Mickiewicz umarł w Konstantynopolu 26 t.m. około 9 wieczorem, po kilkogodzinnej chorobie (cholera). Czartoryjski odebrał tę wiadomość przez telegraf. Opowiedział mi Wincenty Budzyński, którego spotkałem przy Palais Royal. Szedłem właśnie na zebranie braci u brata Karola [Różyckiego], z powodu imienin Andrzeja Towiańskiego. Już tam wiedziano o śmierci brata Adama i poczuło ten wypadek jak należy. Wszyscy bracia w chrześcijańskim usposobieniu dla jego ducha: boleją, że śmierć

znalazła go na drodze niewłaściwej jemu, czują, że ten koniec jest skutkiem zaparcia się przez niego swojej misji. [...] Wypiliśmy potem na zdrowie Andrzeja Towiańskiego i spełnienie naszych powinności w Sprawie”.

Swoje powinności bracia spełnili. I będą jeszcze pisać do cara... (Fragmenty książki pt. *Braterstwo albo śmierć. Zabijanie Mickiewicza w kole Sprawy Bożej*).

Krzysztof RUTKOWSKI

WSPOMNIENIA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Z RADZIWIŁŁEM W PIWNICACH UB

Drukowany przed dwudziestu laty w *Kulturze* (Nr 11/241-12/242) wywiad Józefa Łobodowskiego ze zmarłym miesiąc wcześniej księciem Januszem Radziwiłłem przypomniany został ostatnio w nowojorskim *Nowym Dzienniku* z dnia 12 września 1986 roku, co z kolei przypomniało mi odległe o lat czterdzieści dni, podczas których dzieliłem z księciem i jego rodziną los więźnia najpierw NKWD, a potem polskiego już Urzędu Bezpieczeństwa. Ponieważ są to sprawy szerzej nieznane, sądzę, że opowieść ta zainteresować może czytelników.

Wiosną roku 1947 znalazłem się w sowieckim obozie transytowym w Brześciu nad Bugiem, rzekomo w drodze do Polski po dwuletnim więzieniu w szeregu obozów dla żołnierzy AK, po uprzedniej deportacji z obozu w Skrobowie w kwietniu 1945 roku.

Witający mnie u bramy brzeskiego obozu tłumacz Fritz, postać zasługująca na parę osobnych słów jako swoistego rodzaju synteza owych czasów, od razu rozwiął moje nadzieje na szybki powrót do kraju oświadczeniem, że „przyjdzie się poczekać” co najmniej pół roku, zanim zbierze się tu pięciuset Polaków, po mniejszą bowiem ilość osób urzędnicy Urzędu Repatriacyjnego zza Bugu

nie lubią się fatygować. Fritz mówił to na podstawie dwuletnich doświadczeń. Ten był polski podoficer, wydany z wojska za jakieś malwersacje, nie tylko zapalał nienawiścią do Polski, ale odnalazł i przyjął tradycje swej ongiś niemieckiej rodziny z taką gorliwością, że w okresie wojny, o czym zresztą nigdy jasno nie chciał mówić, znalazł się w szeregach służb specjalnych, jeśli nie *Sicherheitsdienst*'u, to co najmniej SS. Sprytem, bezczelnością i doskonałą znajomością zarówno rosyjskiego jak niemieckiego wydostał się z jenieckich obozów w centralnej Rosji, ale przez ostatnie, nadgraniczne sito kontrwywiadu przedostać się już nie mógł i w rezultacie osiadł tu jako *Dolmetscher-pierewodczik*, w rzeczywistości zaś poufne oko i ucho sowieckiego komendanta obozu. Lekko zgarbiony, chudy, zwinny i bystry, ubrany w oficerski mundur bez dystynkcji, snuł się zwykle między budynkami obozu, wystarczyło jednak, żeby major zakrzyknął nań z ganku sąsiadującego z obozem domku, a już Fritz truchtem przemyczał się przez specjalnie dla niego otwieraną bramę i stojąc w pełnej pokory i uszanowania postawie zasadniczej, wysłuchiwał rozkazów rozwalonego w krześle majora.

Nie wiem dlaczego tak się stało, ale swojej nienawiści do Polski Fritz nie przełał na mnie, przeciwnie, szukał mojego towarzystwa. Być może cieszyła go możliwość porozmawiania z kimś po polsku, byłem bowiem w tym okresie jedynym z obozie Polakiem, przywiezionym tuż po odejściu ostatniego transportu do kraju, może bawiły go nasze konwersacje prowadzone czasem dla zabawy w trzech równocześnie językach, a może zaś — to wydaje się najprawdopodobniejsze — liczył, że Rosjanie jakoś zapomną o jego ciemnej przeszłości, uznają za Polaka i wypuszczą z którymś z polskich transportów.

— Pan, jako Polak i oficer — tłumaczył mi przysiadłszy na ławeczce przed obozową kancelarią — nie będzie pewnie musiał chodzić do pracy. A może zechce pan pomóc mi w papierkowej robocie?

— Podobno mam jechać wkrótce do Polski? ? oponowałem słabo.

— *Lassen Sie das* — uciął zniecierpliwiony. — Posiedzi pan tu co najmniej do późnej jesieni.

Istotnie, wyglądało na to, że Fritz wiedział co mówi. W ciągu następnych miesięcy do Brześcia doszło tylko czterech jeszcze Polaków, z których każdy zasługiwałby na osobne studium polskiego losu, wzięty zaś razem z innymi był częścią tej najmniejszej lecz reprezentatywnej polskiej społeczności, jaką tworzyliśmy w pie-

ciu. Mały i pękaty Władziu pochodził z jakiejś głębokiej wileńskiej wsi, podczas gdy cyniczny i zblazowany Mietek wcielał najlepsze tradycje krowoderskich zuchów i krakowskiej AK. Całkowite jego przeciwieństwo stanowił krzepki, wesoły i zaradny Konrad, pochodzący ze Śląska podoficer *Wehrmacht*'u, za którym jak cień chadzał blady i chudziutki Bruno (*Ich heisse Bronek*), zmobilizowany pod koniec wojny do poznańskiego *Volkssturm*'u. Moje lubelskie pochodzenie stawiało mnie poniekąd geograficznie w centrum tej grupki, a oficerski stopień i pewne przywileje, jakie nie bez pomocy Fritza wywalczyłem sobie u komendanta obozu, początkowo próbującego zmuszać mnie do wychodzenia na roboty, pozwalały mi na roztoczenie pewnego rodzaju opieki nad moimi towarzyszami, co pozwoliło nam na przykład zamieszkać wspólnie w osobnym i z czasem zupełnie przyzwyczajonym pokoju. Tylko ten, kto przez trzy lata dzielił na wspólnej sali pryczę z setką kolegów zrozumie, jaki to był komfort.

Rzecz polegała na tym, że obóz w Brześciu przyjmował na krótkie okresy kilkusetosobowe transporty Niemców wracających z niewoli, będąc jednak, jak każdy sowiecki obóz, częścią systemu ekonomicznego, musiał sam na siebie zarabiać. Co rano więc stawali przed bramą „kupcy”, przedstawiciele różnych miejscowych przedsiębiorstw i instytucji, wypożyczających z obozu bezpłatną siłę roboczą, za co później płacili nie jeńcom, ale administracji obozowej. Heinz, niemiecki „starszy” obozu, wyznaczony na tę funkcję przez komendanta, do spraw tych w ogóle się nie wtrącał, pilnując jedynie porządku w obozowej strefie i swojej butelki, przydział więc robotników do poszczególnych zajęć spadał na Fritza, a w konsekwencji nierzadko i na mnie. Widzieliśmy, jak uważnie obserwowała nas niemiecka większość jeńców, od których trudno było spodziewać się sympatii, toteż po dłuższym zastanowieniu wpadliśmy na dość genialny plan wykorzystania „polskiej siły roboczej”: co rano dwóch naszych zgłaszało się do robót najcięższych, takich jak tłuczenie kamieni na szosie, wyładunek węgla czy kopanie rowów, podczas gdy dwóm innym udawało się wkręcić do brygad pracujących w rzeźni, mleczarni czy przy tym, co oświęcimskim wzorem nazywaliśmy „Kanadą”, a mianowicie rozładowywaniu przychodzących codziennie z Niemiec transportów wojennych *trofiei*, co każdemu jeńcowi dawało możliwość znalezienia rzeczy stanowiących w jego życiu prawdziwe skarby. Na przykład Konrad przyniósł któregoś dnia wkleśte lustro, przy którego pomocy produkowaliśmy w naszym pokoju „promienie śmierci”, kierując ogniskową w szpary ścian, gdzie po

sekundzie z hukiem wybuchały obżarte naszą krwią pluskwy... Kiedy indziej Mietek zdobył parę kilo kminku i ta przyprawa służyła nam przez następne parę tygodni do wszystkiego, wodnistej zupy, kaszy, chleba, przynoszonych z rzeźni flaków czy zjełczałego sera darowywanego z łaski przez mleczarzy. W sumie jednak żywiliśmy się nienajgorzej i mogliśmy sobie pozwolić na *dolce far niente*, gdy obozowy kwatermistrz wyczerpawszy przydział produktów zwoływał roboczą brygadę, a wyposażwszy ją w wory gonił wzdłuż brzeskiej szosy w poszukiwaniu pokrzyw, mających stanowić zasadniczy i jedyny składnik wieczornej zupy.

Kiedy pod koniec sierpnia doczekaliśmy się wreszcie szóstego, nowego członka naszego zgranego kolektywu, przyjęliśmy go jak brata, tym bardziej, że był to Jurek Dzierżyński, oficer nowogródzkiej AK a mój kompan z Riazania. Od niego też dowiedzieliśmy się o jedynej w dziejach gułagu zbiorowej głodówce trzech tysięcy naszych, o represjach i śmierci generała „Marcina” Tumidajskiego, o rozbiciu obozu na szereg drobnych grup i rozrzuceniu ich po całej Rosji. Jurek, jak zwykle obojętnie znoszący ciekawość Rosjan zwabionych jego nazwiskiem, starał się wśród nas zapomnieć o tych wszystkich przeżyciach ostatnich miesięcy, odejść się i odespać za całe trzy lata niewoli.

W takiej więc sytej bez trosce siedzieliśmy przed jednym z budynków opalając się i grając w szachy, gdy 8 września 1947 roku brama obozu otworzyła się, wpuszczając wyładowaną mnóstwem bagaży ciężarówkę, za którą wkroczyła niewielka grupka cywilnych osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Ani nowa grupa, ani kobiety i dzieci nie były w brzeskim obozie ewenementem, mievaliśmy już tam bowiem Niemców i Niemki, Austriaków, Węgrów i Rumunów płci obojga i z przychówkiem, zwożonych tutaj z całej Rosji, mytych, strzyżonych, kąpanych i po cichu poddawanych ostatniej kontroli, zanim pozwolono im przekroczyć Bug, poza którym był już inny, wolny świat. Toteż nie oderwałem się nawet od partii, w której Konrad podstępem wybił mi wszystkie figury przed przystąpieniem do ostatecznego ataku. Ale Władziu, cichy i jak zawsze wścibski, pobiegł się dowiedzieć i po chwili wrócił rozgorączkowany.

— Czy Jurek wie, że to polskich grafów przywieźli? — zapytał zwracając się do mnie jak zwykle w trzeciej osobie, mimo naszego bardziej niż demokratycznego braterskiego niemal współżycia.

— Sapieronie, to jest już ale koniec! — powiedział po chwili milczenia Konrad i jednym ruchem ręki rozrzucił wygraną prawie

partię szachów. A stojący jak zwykle za jego plecami Bruno zawtórował mu zgodnym:

— *Ja, das Ende der Legende...*

Nie rozumiejąc co mieli na myśli, Mietek na wszelki wypadek splunął siarczyście, podczas gdy my z Jurkiem popatrzyliśmy na siebie i wzruszyli ramionami. W końcu podał mi bluzę i powiedział:

— Idź, przedstaw się. Jesteś tu przecież seniorem.

Poszedłem więc obejrzeć sobie „polskich grafów”, którzy właśnie wyładowywali z ciężarówki przedmioty w obozie od lat niewidziane, a mianowicie prawdziwe, solidne walizy. Zapachniało nagle Europą. W małej tej gromadce wyróżniał się wzrostem, postawą i piękną, siwą głową mężczyzna około siedemdziesiątki, jemu też przedstawiłem się służbiście i zdumiałem się, usłyszawszy w odpowiedzi:

— Janusz Radziwiłł.

Zdumienie moje było tym większe, że w krasnogorskim obozie, skąd mnie do Brześcia przed pół rokiem przywieźli, słyszałem o Radziwille i grupie polskich arystokratów umieszczonych w obozie centralnym, tym się od innych wyróżniającym, że — jak wieść głosiła — był to obóz tak reprezentacyjny, że rosyjskie władze dopuszczały do niego nawet inspekcje Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, co w innych obozach byłoby nie do pomyślenia. Trzymano tam też wszelkiego rodzaju znakomitości, od niemieckich feldmarszałków i lotniczych asów poczynając, a na absolwentach tamtejszej szkoły antyfaszystowskiej kończąc, był bowiem Krasnogorsk kuźnią, w której z wielu milionów jeńców Rosjanie wykuwali kadrę przyszłych budowniczych NRD. Sprawy te znałem zresztą nie tylko z Krasnogorska, ale także z Brześcia, przez który szły transporty tych reedukowanych aktywistów, i niejedną noc spędziłem próbując wybadać ich prawdziwe poglądy. Zdarzało się też nieraz, że w przypływie zaufania powiadał mi ten czy ów odjeżdżający, co ma zamiar zrobić z całą tą antyfaszystowską literaturą, gdy tylko przekroczy granicę NRF, a projekty te nie nadawały się do głośnego powtórzenia. Konrad i Bruno, którzy nieraz pracowali przy sprzątaniu wagonów wracających zza Odry opowiadali, jak to pokryte są one napisami otwarcie interpretującymi przyjaźń sowiecko-niemiecką, przy czym odcyfrowanie skrótu *Sozialistische Einheitspartei*, SED, jako *Stalins Ergebene Diener* należało do najłagodniejszych. Do złudzenia przypominało to nasze PPR, odczytywane jako Płatne Pacholki Rosji.

Księżę Janusz przedstawił mnie swojej kompanii, synowi i synowej z dziećmi, państwu Branickim i Zamoyskim, od styczniowej ofensywy 1945 roku razem więzionym w Krasnogorsku, gdzie przed pół rokiem zmarła pani Radziwiłłowa. Przywieziono ich tu teraz z obietnicą natychmiastowej repatriacji.

Było mi ogromnie przykro, ale musiałem im powtórzyć opinię Fritza i ostudzić radość przyjazdu nad granicę.

— Jak to — dziwili się — po pół roku jest tu was dopiero sześciu?

— Od dzisiaj jest nas dwadzieścioro — roześmiałem się.

— Nie, to niemożliwe. Nie mogą nas tu trzymać, nie po to nas przywieźli spod Moskwy. Mamy zapewnienie. Obiecywali. Chyba, że...

Okazało się już w trakcie tej pierwszej rozmowy, że i moja osoba nie była im całkowicie obca. Gdy w okresie Bożego Narodzenia przewieziono mnie z Riazania do Krasnogorska i przez tydzień trzymano *incognito* w biurach komendy Grupy Obozów, wieść o obecności tajemniczego Polaka, nieomal „więźnia w żelaznej masce”, dotarła jako plotka do centralnego obozu i wywołała duże zaciekawienie, w Krasnogorsku bowiem Polaków nie trzymano, a tamtejsze obozy poza Niemcami wypełnione były Węgrami, Włochami i Japończykami. Dopiero tu, w Brześciu, mogliśmy wyjaśnić tajemnicę anonimowego więźnia i podzielić się wrażeniami na temat Krasnogorska, a wszystko wskazywało na to, że będziemy mieli dużo czasu na takie wspominki...

Na szczęście pomyliłem się tym razem, już bowiem nazajutrz pojawił się w obozie gość niespodziewany a upragniony, a mianowicie pułkownik w polskim mundurze, ceremonialnie wprowadzony przez sowieckiego komendanta. Ten pierwszy przedstawiciel władzy ludowej wyglądał nawet dosyć cywilizowanie, jakkolwiek mnie osobiście raziła noszona berlingowska moda polowa furazerka przy obwieszonym odznaczeniami frenczu. Natomiast towarzyszący mu młody podporucznik był, wypisz wymaluj, najwerniejszą kopią przedwojennych „pistoletów”, od wspinających, kawaleryjskich butów aż po haftowany srebrem kołnierzyk i rogatywkę z granatowym otokiem. Jak się później przekonałem, był to ulubiony fason oficerów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Bezpieczeństwa, jednym słowem ubowców.

Cała ta imponująca trójca pomaszerowała wprost do kwatery nowoprzybyłych, wobec czego nie przerwailiśmy nawet kolejnej partii szachów, udając, że skupiamy się na grze i nic nas, mówiąc słowami Swinburne'a, pozbawionych nadziei i lęku, nie obchodzi

to, co nas i tak nie dotyczy. Toteż drgnąłem, gdy tuż za mną rozległ się głos pułkownika:

— Poruczniku, zabierajcie swoje rzeczy, jedziecie z transportem do kraju.

— Ja?

— Pośpieszcie się, mówię. Maszyna na dworzec zaraz odchodzi.

Niewiele miałem tych „rzeczy”, chuda zawartość plecaka zostawiałem kolegom, Mietka obdarzyłem połówką z orłem, o której zawsze marzył, sobie zostawiając tylko furazerkę, być może za przykładem wiozącego mnie do kraju pułkownika, skrzętnie za to chowałem w zakamarkach munduru adresy, a w cholewie buta notesik z wierszami pisanymi od pierwszych dni niewoli w 1944 roku, przemycany przez niezliczone rewizje, notesik, który potem przejszł mi przez wiele jeszcze rąk, zanim nie wrócił do mnie po trzydziestu pięciu latach, odnajdując mnie w Ameryce... Ale to miało dopiero nadejść, na razie trzeba się było pożegnać z przyjaciółmi i ruszać w drogę, ciągle jeszcze pełen niewiary w jej pomyślne zakończenie, doświadczenie bowiem ostatnich trzech lat nauczyło nie ufać nikomu ani niczemu.

Załadowana bagażem i siedzącymi na nim ludźmi ciężarówka wyjechała za bramę obozu, zawróciła i przedelfowała wzdłuż drutów, zza których patrzyli za nami koledzy i chudy, coraz bardziej zgarbiony Fritz, który pewnie do końca życia zza drutów nie wyjdzie. Po kilkunastu minutach zajechaliśmy przed ciągle jeszcze straszący ruiną dworzec, potem włączono nas do wagonu czwartej klasy, otwartego wewnątrz, co pozwalało obu konwojującym nas oficerom na stałe trzymanie nas na oku, w końcu wagon przyczepiono do towarowego pociągu i tuż po zachodzie słońca, o jasnym, wrześnieowym zmroku, przejechaliśmy przez Bug na polską ziemię. A gdy tylko pociąg przystanął w Terespolu, wagon zapełnił się jakimiś mężczyznami w cywilu, milcząco i sprawnie zajmującymi strategiczne stanowiska koło drzwi i kilku otwartych okien. Było to tak demonstracyjne, że książę Janusz nie mógł się powstrzymać i wprost zapytał podporucznika:

— Skoro już jesteśmy w Polsce, po cóż ta honorowa eskorta?

— A bo widzi pan — odparł bez zająknięcia młody człowiek — gdyby tutejsza ludność dowiedziała się, kogo wieziemy, mogliby próbować zrobić wam krzywdę...

Książę pokiwał tylko głową, wszelka dyskusja była bezna-
dziejna.

Rozlokowaliśmy się po kątach wagonu i przedrzemali tę

pierwszą noc na ojczystej ziemi, spędzoną w dziwnym towarzystwie, ale gdy rankiem pociąg zbliżał się począł do Warszawy, przyglęliśmy do okien, nie zwracając uwagi na pogróżki zdenerwowanych cywilów. W milczącym zapatrzeniu mijaliśmy podwarszawskie miejscowości, ale gdy pociąg minął Targówek i wolno wtaczać się zaczął na Most Gdański, w wagonie zapadła cisza tak przeraźliwa, że dosłyszeć można było bicie naszych przerażonych serc. Bo oto otwierała się przed nami panorama zburzonego miasta, jego czarne od ruin wzgórze odbite w chłodnej wodzie, krajobraz księżycowo pustynny, niewyobrażalny w swojej martwocie, Nowe Miasto, Stare Miasto, uniwersytecka skarpa, Powiśle, szkielet Prudentialu, puste nazwy oznaczające niegdyś żywe części miasta, dzisiaj, tego smutnego poranka, będące tylko synonimami pustki, zniszczenia, śmierci. Wszyscy byliśmy świadomi tragedii Warszawy, ale po raz pierwszy na własne oczy oglądaliśmy ogrom spustoszenia, przewyższający wszystkie oglądane po drodze z Moskwy Smoleński, Miński i Brzeście. Któraś z naszych pań zaczęła się głośno modlić, powtarzaliśmy za nią słowa pacierza.

Pociąg tymczasem przetoczył się przez Dworzec Gdański i sunął dalej, aż w końcu zatrzymał się gdzieś za Dworcem Zachodnim, gdzie wśród rojowiska opuszczonych torowisk odczepiono nasz wagon, otoczony zeskakującymi ze schodków konwojentami. Zaraz podjechały dwa wozy, pokryty budą dodge i duży, otwarty džems, nasi opiekunowie sprawnie przerzucili na platformę bagaż, a pasażerów upchnęli pod budę ciężarówki. Nie wiem, czemu to zawdzięczać, brakowi miejsca czy jakiemuś sentymentowi dla mego munduru, ale kazano mi siąść na stercie walców, dzięki czemu miałem wolny i szeroki widok na otwierające się przed nami ulice Warszawy, którymi na dużej szybkości pomknęła nasza karawana.

Jechaliśmy Alejami Jerozolimskimi, wśród rozwalonych domów, wśród których wyrosnąć już zdążyły prowizoryczne sklepiki i budki, wymijaliśmy nielicznych przechodniów tego szarego i ubranego w najrozmaitszej proveniencji mundury tłumu, gdzieś tylko ubarwionego kolorowymi mimo wszystko sukienkami kobiet. Przelecieliśmy przez skrzyżowania z Marszałkowską i Nowym Światem, obok cudem zachowanych bloków BGK i Muzeum Narodowego, przez potraskany ale czynny Most Poniatowskiego, z Ronda Waszyngtona skręciliśmy w lewo i już otwierała się przed nami żywa, kolorowa, gwarna Targowa, ten kawałek przedwojennej Warszawy tętniący jej dawnym życiem. Po przerażającym krajobrazie widzianym przed godziną z okna wagonu

to był wyraz nadziei, potwierdzenia wiary w niezniszczalność tego miasta, w jego siły mocniejsze od narodowych tragedii i klęsk. I już skrociliśmy za cerkwią i zatrzymaliśmy się przed budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa przy Cyryla i Metodiego, o którym warszawska ulica mówiła ze swoistym humorem, że Cyryl, jak Cyryl, ale te metody...

Wprowadzono nas do obszernego, biurowego pokoju, tym tylko od zwykłych biur innego, że łączył się z łazienką, a okna miał do połowy zamalowane farbą. Ale okna były u góry otwarte, widać przez nie było soczystą zieleń kasztanów, a z pobliskiej ulicy dobiegał zgrzyt i dzwonienie tramwajów, ludzkie głosy, okrzyki. Byliśmy, mimo wszystko, w Warszawie.

Trzy dni prowizorycznego koczowania na własnych bagażach, mężczyźni, kobiety i dzieci w jednym pokoju, dłużyły się niepomniernie. Karmiono nas jakąś żołnierską strawą, a papierosów nie brakło, gdyż moi współtowarzysze zaopatrzyli się jeszcze w Rosji w większe ilości tytoniu, jako kapitał zakładowy na pierwsze dni w rzekomo pozbawionej luksusów Polsce. Nie wiedzieliśmy wtedy, że Warszawa zawałona była Chesterfieldami i Camelami, paliliśmy więc Dukaty i Białomory w grzesznym poczuciu puszczenia z dymem kapitału, ale była to ostatecznie jedyna przyjemność, na jaką sobie można było w tych warunkach pozwolić. Nie odwiedzał nas nikt, z nikim nie można się było porozumieć.

Dopiero 12 września zaczęto po kolei wywoływać nasze panie, a w kilkanaście minut później usłyszeliśmy, jak przechodząc pod oknami demonstracyjnie głośno zastanawiały się, dokąd pójść odzyskawszy pełną wolność. Gdy tylko jednak kobiety wyprowadzono, sytuacja na naszym koczowisku zmieniła się natychmiast. Ordynarni, brutalni konwojenci krzycząc i pchając spędzili nas wszystkich do ciemnej, piwnicznej celi, gdzie oczekiwały tak dobrze znane utensylia więzienne — wspólna prycza, śmierdzący kibel, zakratowane okienko pod sufitem i goła na nim żarówka.

Byłem już starym i doświadczonym więźniem, toteż nie okazując zaskoczenia ani zdziwienia rozścieliłem na pryczy przezornie z obozu zachowaną ciepłą kurtę, podłożyłem pod głowę plecak i szykowałem się do możliwie spokojnego przespania tej nocy. Mój spokój nie udzielał się jednak współmieszkańcom celi. Gdy tylko zatrzęsnęły się za nami okute blachą drzwi, stary książę zaczął walić w nie pięścią, dopóki nie otwarto judasza.

— Cegół-tam? — zapytał młody głos wartownika.

— Proszę zawołać jakiegoś oficera.

— Nikogój ni ma, do domu już posły — odrzekł flegmatycznie.

Ale w księcia wstąpił lew. Nie odstępując od drzwi huknął wielkim głosem:

— Z tobą, parobku, nie będę rozmawiał. Daj mi tu natychmiast oficera!

Jakoż po kilku minutach zjawił się jakiś poruczniczyna i zastraszonym, pokornym głosem tłumaczyć począł, że już późno, w urzędzie nikogo nie ma, ale jutro rano bezzwłocznie zamelduje komu należy. Do tego czasu powinniśmy spokojnie czekać, odpoczywać, spać. Księżę mruczał jakieś przekleństwa, ale dał się w końcu uspokoić.

Mnie jednak nie było dane spędzić spokojnej nocy. Gdzieś koło dziesiątej, ledwie zdążyłem zasnąć, zbudził mnie wartownik, kazał zabierać rzeczy i iść za sobą. Nim zdążyłem się pożegnać, już wypchnął mnie na korytarz, schodami poprowadził na piętro, gdzie po chwili znalazłem się, zupełnie jak we wszystkich opowieściach z sowieckich więzień, w bardzo elegancko urządzonym pokoju, gdzie powitał mnie z wyszukaną uprzejmością jakiś major Braude i przepraszając za nieporozumienie, umieszczenie w piwnicy „z tymi tam”, zaproponował, żebym przespał się do rana na wygodnej kanapie, rankiem zaś, obiecywał, odwiozą mnie do-
kądkolwiek zechcę.

— Czy znaczy to, że jestem wolny? — spytałem.

— Oczywiście. W każdej chwili, ale teraz, rozumiecie, samego was nie możemy wypuścić w nocy.

Za szeroko otwartymi drzwiami balkonu stała ciepła, wrześniowa noc, pełna gwaru pobliskich ulic, poprzez liście drzew przebłykiwały nieliczne światła z drugiego brzegu Wisły. I tak się w tę wolną, nie odgradzoną kratami noc zapatrzyłem, że nie zauważyłem początkowo, jak weszło trzech młodych ludzi meldując majorowi o ukończeniu służby. Dopiero gdy usłyszałem, że jeden z nich jedzie do śródmieścia, ocknąłem się z zamyślenia.

— Na jaką ulicę? — zwróciłem się wprost do chłopaka w czarnej, skórzanej kurtce.

— Na Tamkie — odpowiedział, nie pozostawiając wątpliwości, że istotnie wraca na Powiśle.

— Obywatelu majorze, o ile wiem, mój ojciec mieszka przy uniwersytecie, czy mógłbym skorzystać z okazji, nie czekając do rana?

Widziałem, że zawodowa nieufność walczy w nim z ambicją dotrzymania słowa, w końcu machnął lekceważąco ręką.

— Jak chcecie, na własną odpowiedzialność. Kierowca was podrzuci na Krakowskie Przedmieście, a jutro wróćcie tu po kartę repatriacyjną. Powodzenia.

Podał mi rękę, stuknąłem obcasami i porwawszy mój skromny dobytek zbiegłem za kierowcą na podwórze. Wartownik przepuścił mnie bez słowa, telefony widać działały sprawnie.

Nie pamiętam, jak przejechaliśmy Pragę i Most Poniatowskiego, dopiero gdy willys zatrzymał się przed wysoką kratą uniwersyteckiej bramy, a portier poinformował mnie, że istotnie ojciec mieszka w dawnym budynku wydziału prawa, tuż na prawo od biblioteki, zrozumiałem, że wróciłem do domu.

Ojciec i siostra byli już uprzedzeni o moim przyjeździe z Rosji, gdyż młoda księżna Radziwiłłowa uważała za swój obowiązek zawiadomić moją rodzinę zaraz po wyjściu na wolność, za co, *nota bene*, spotkała ją miła niespodzianka, gdy bowiem na pytanie o dalsze plany odpowiedziała, że nie ma żadnych, ojciec mój zaproponował jej polecenie do pracy w nowootwartym Państwowym Instytucie Wydawniczym. Myli się więc pani Watowa, gdy w swoich wspomnieniach *Wszystko, co najważniejsze* rekomendację tę przypisuje prof. Kotarbińskiemu, który sprawy nie znał, bo znać jej nie mógł a protekcyjna uwaga „była świetną sekretarką” raz jeszcze świadczy, jak trudno niektórym ludziom pozbyć się tonu pani dyrektorowej ludowej. Radziwiłłowa sekretarką? Czyją? Nie, księżna Radziwiłłowa nie była niczyją sekretarką, ale przez lat przeszło dwadzieścia samodzielnie prowadziła powierzony jej dział wydawnictwa, podczas gdy karuzela tymczasowych władców i dyrektorów kręciła się coraz szybciej, wyrzucając większość z nich po drodze do socjalizmu.

Pozostałych uczestników tamtych dni, wypuszczanych zresztą z piwnic UB w ciągu następnych paru tygodni, spotykałem niekiedy na ulicy, wymienialiśmy parę słów i porozumiewawczych uśmiechów, szły bowiem czasy, które nie sprzyjały kultywowaniu ani znajomości, ani wspomnień ze wspólnie przeżytych przygód, dopiero dziś, po latach czterdziestu, przypadkowo przeczytane wspomnienie każe przywołać ich wierną pamięcią i serdecznym słowem.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

CI, CO ODESZLI

Władysław ZELEŃSKI

JERZY ŁOJEK

Niespodziany zgon Jerzego Łojka 7 października 1986 roku oznacza wielką stratę dla kultury polskiej. Historyk, pisarz polityczny, autor 29 książek i setek rozpraw i artykułów, Łojek miał zaledwie 54 lata i zdawał się być w pełni twórczości. Był namiętnie czytany w szerokich kręgach, którym przynosił nie tylko świetny opis ale i nowe spojrzenie, odmienną interpretację najboleśniejzych wydarzeń naszych dziejów. Podważał i wręcz odrzucał wiele przyjętych ustaleń i ocen, wykładanych przez powagi profesorskie. W tym swoistym, nierównym dialogu, na jego argumenty odpowiadano bądź milczeniem bądź brzydką, z pańska gburowatą połajanką. Nieuległy, szukał swojej prawdy, torując drogę przyszłym rozstrzygnięciom, zresztą nigdy definitywnym.

Urodzony w roku 1932, wcześniej naznaczony był śmiercią ojca w Katyniu i wszystkim tym, co potem w Polsce Ludowej widział i przeżył. Pasowało go to na buntownika. Obdarzony żywą inteligencją, pamięcią, nienasyconym głodem książki, darem pióra, nieodczownie skierował się ku historii i literaturze. Zdolności jego docenił niepospolity wychowawca, prof. Uniwersytetu Warszawskiego Emil Kipa, dyplomata. W roku 1961 Łojek uzyskał doktorat, w sześć lat później habilitację i docenturę. Wcześniej zwrócił na siebie uwagę szkicami historycznymi i literackimi, znaczącymi polemikami ze Stanisławem Mackiewiczem i Aleksandrem Bocheńskim. Stopniowo przybierały opracowania rzeczowe z epoki Stanisława Augusta i Wieku Oświecenia, o *Misji Debolego*,

ostatniego naszego posła w Petersburgu, o instrukcjach królewskich do niego, o *Stosunkach polsko-rosyjskich za Sejmu Czteroletniego*. Wprowadził do Polski dotąd prawie nieznaną i niedocenioną, monumentalną pracę o *Drugim Rozbiorze Polski*, opartą na nieznanych przedtem źródłach, pióra Amerykanina Roberta H. Lorda, późniejszego doradcy Wilsona na konferencji paryskiej.

Efektownym odgałęzieniem są dwie książki, które zdobyły rekordową poczytność i powtórzone nakłady: *Wiek markiza de Sade i Dzieje pięknej Bitynki*, czyli żony targowiczanina Szczęsnego Potockiego. Do tego doszła następnie rzecz o *Potomkach Szczęsnego*, a teraz w *Kierunkach*, już pośmiertnie ukazują się rozdziały przyszłej książki: *Dzieje zdrajcy, Szczęsny Potocki* (Łojek nigdy nie obwijał sądów w bawełnę). Na biurku zostały pierwsze strony zaczętej monografii: *Stanisław Antoni zwany Augustem*.

Równolegle Łojek podjął pionierskie studia nad prasą polską od jej narodzin w XVIII wieku (w tym także prasą w języku francuskim) i jej wpływem na bieg wydarzeń historycznych. Nawiązał stosunki z badaczami zagranicznymi tej nowej specjalności, przyjmował ich w Polsce, był zapraszany na wykłady we Francji.

Ale pojmując swe prace jako posłanie polityczne, Łojek rozszerzył je na erę powstania 1830 roku. Badawczy charakter mają jego studia nad oddziaływaniem dzienników na wybuch i przebieg owej *rewolucji*, bojowy wyraz mają rozpatrywania w niej wielkiej, lecz gęstej książce *Szanse Powstania Listopadowego* (dwa wydania). Oskarżenia przywódców i dowódców o brak charakteru, determinacji i woli zwycięstwa są miazdzące, natomiast konkluzje — znów z kontekstem o zaprzepaszczonej możliwościach — stały się zapłonem żywych polemik.

Koronny spór rozgorzały z racji Łojka łączy się ze Stanisławem Augustem. Po raz pierwszy spór na ten temat rozgorzał przed wojną, w ankiecie *Wiadomości Literackich*, gdy Rosja wydała nam jego zwłoki, pozostałe w Petersburgu od hańbiącej gościny byłego króla u Katarzyny. Już wtedy sądy były ostro podzielone. Dzieło Łojka *O genezie i upadku Konstytucji 3 maja*, wieńczące wiele lat poszukiwań i rozważań, jest tak wymowne, że cenzura nie dopuściła do wydania go w całości, lecz na raty i to... w odwróconym porządku członów, nie mówiąc o skąpym nakładzie. Paradoksalnie, w roku 1986 rzecz ukazała się we właściwym układzie i w całości, choć nadal z wielu cięciami w przedśłowiu. Uderza zmieniony przez autora tytuł: *słowo upadek zastąpił obaleniem*. O ile w Dwudziestoleciu postawa króla wobec Targowicy i imperatorowej mogła być rozpatrywana we względnym spokoju umysłów, w jakże złudnym wyobrażeniu, że to rozdział dziejów już na dobre zamknięty, teraz pytania i rekryminacje Łojka drażnią aktualność i mają wymowę tragiczną.

Jeszcze przed wybuchem „Solidarności”, w roku 1979, Łojek włączył się w nurt wypowiedzi podziemnych. Pod pseudonimem

Leopold Jerzewski wydał w bibliotece *Głosu* rzecz o *Agresji 17 Września (studium aspektów politycznych)*, druk zaczepny, niestety jednak wobec krótkich poszukiwań za granicą nie pogłębiony. Po czym w roku 1980 *Dzieje sprawy Katynia*, obie publikacje potem wznowione. Pisał też jako Łukasz Jodko w *Zeszytach Historycznych*. Nawiązywał do Piłsudskiego, wypowiadał się za federacją z narodami zniewolonymi. Był współorganizatorem budowy pomnika ofiar zbrodni katyńskiej, zaraz w nocy zniszczonego. Zaangażowanie jego było tak widome, że karano go poniżającymi szykanami, jak rozbieranie obojga z żoną do naga przy wyjazdach za granicę itd. W nocy 13 grudnia 1981 porwano go brutalnie, ale na szczęście po kilku godzinach desperacka interwencja żony Bożeny wymogła zwolnienie: Łojkowi groziła każdej chwili śmiertelna zapasć: od chłopięcych lat chorował na cukrzycę, życie zależało od częstych zastrzyków insuliny. Tę ciężką chorobę znosił ze stoicyzmem i skrycie, by nie powstało wrażenie, że liczy na „taryfę ulgową” i mimo wielokrotnych zemdleń na ulicy mało kto o tym zagrożeniu wiedział.

Wraz ze zwolnieniem musiał przejść na emeryturę i odejść ze stanowiska w Instytucie Badań Literackich PAN. (W Instytucie Badań Historycznych nigdy nie był, nie dostąpił też awansu na profesora, choć się o to przekornie dopominał). Mimo rosnącego osłabienia — dołączyła się ciężka choroba serca — wydał poza cenzurą jako Antoni Jałowiecki *Kalendarz historyczny*, rodzaj syntezy naszych dziejów, do czego pomysł dał Jerzy Giedroyc.

Był do końca wzorem koleżeńskiej życzliwości i uczynności, posuniętej aż do samozaparcia. I ja tego doświadczyłem, szukając przez niego kwerend i ocen. Od 15 lat znajomości przegadaliśmy we czworo wiele wieczorów i wymienili setkę gęstych listów.

Na Powązkach zegnało go kilkaset osób i wiele przemówień. Proboszcz kościoła Karola Boromeusza na tym cmentarzu w rozmowie z *Tygodnikiem Powszechnym* przyrównał tę manifestację do pogrzebów Władysława Tatarkiewicza i Jana Parandowskiego.

Władysław ŻELEŃSKI

RECENZJE

Janusz KOWALEWSKI

„MOJE ZDERZENIE Z BOLSZEWIKAMI WE WRZEŚNIU 1939 ROKU” *

„Nasz dowódca zbliżył się do najbliższego czołgu (sowieckiego — J.K.) i salutując rozpoczął składać raport (...) uchyliła się pokrywa czołgu, a z niej wykrzywiona wściekłością gęba. Padł strzał z pistoletu, opadła gwałtownie salutująca ręka porucznika, a on sam wyprężył się, jakby w ostatnim pozdrowieniu swoich braci bolszewików, po czym miękko osunął się na bruk (...) zagrzmiął jazgot broni maszynowej całego dywizjonu czołgów (...) w naszym kierunku (...). Czołg (...) rozpoczął sobie jeździć to po jednej stronie nasypu, to po drugiej, miażdżąc gąsienicami i wtlaczając w trawę czerwonoszarą substancję ciał naszych żołnierzy, leżących bezbronnie po obu stronach nasypu (...). Karabin maszynowy na wieży maszyny pancерnej siekł bez przerwy do każdego kto się poruszył”... („Zderzenie”..., str. 13).

Nie wszystkie wspomnienia zawarte w tym cennym dokumencie, złożonym z dwunastu wspomnień, są tak makabryczne i mają taką wymowę. Ale wszystkie, jak fragmenty mozaiki, składają się na pełny obraz tego historycznego „zderzenia”. Słusznie inicjatorzy konkursu na ten temat nadali mu nazwę właśnie taką — *zderzenie*. Nie spotkanie, nie zetknięcie.

* „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 roku”. Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn i Fundusz Kazimierza F. Vincenza, Szwajcaria, 1986. Stron 224. Zbiór wspomnień pod redakcją Krzysztofa Rowińskiego. Zawiera 12 prac nagrodzonych i wyróżnionych spośród 46 nadesłanych na konkurs, zainicjowany i zorganizowany przez Halszkę Vincenz-Poniatowską (wdowę po Kazimierzu, współzałożycielkę i kierowniczkę Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii).

Sens tego słowa zawiera w sobie elementy nagłości, niespodzianki, a przede wszystkim niszczycielskiej katastrofy.

Wiele wspomnień i dokumentów o katastrofie zderzenia bolszewizmu z Polską i z cywilizacją zalega już sale bibliotek i półki archiwów. Ale wciąż należy je gromadzić, bo każde indywidualne zderzenie ma swoje osobliwe momenty i barwy. Zdarzenia opisane w dwunastu wspomnieniach-opowiadaniach książki, o której piszemy — jak słusznie mówi w „Słowie wstępnym” do książki generał Klemens Rudnicki — „stanowią pomocnicze a niezbędne źródła historyczne dla badacza polskich dziejów ostatniej doby. Zawierają one zeznania naocznych świadków jednego z najtragiczniejszych wydarzeń tych dziejów, którego oficjalna historia obecnej Polski nie odważy się jeszcze wziąć na warsztat, a to, co o nich mówi teraz, jest dalekie od prawdy”.

I właśnie dlatego książka ta — jak i szereg jej podobnych — jest tak cenna, bo spełnia tę rolę, jaką tylko emigracja może spełniać wobec narodu, wobec jego historii.

Wartość tych wspomnień polega i na tym, że pisane są żywo — jak reportaże radiowe o wydarzeniach dziejących się aktualnie — nie przez ludzi reprezentujących jakieś oficjalne czynniki i raporty ambasad czy sztabów wojskowych, ale przez zwykłych, tak zwanych „szarych” ludzi. I dlatego trafia do równie zwykłego „szarego” czytelnika, poszerzając jego wiedzę o tym co było i jest przyczyną tego co jest.

Dobrze że redakcja książki dała w zakończeniu opowiadanie — Heleny J. Gładkowskiej — nawiązujące do chwili obecnej: „Zbrojny wysiłek naszej bohaterskiej Armii i Narodu nie przyniosły Polsce upragnionej Wolności. Może 'Solidarność', gdy się rozszerzy na inne uciemnione kraje, osiągnie pożądaną skutec? Nie tracę nadziei”.

Książka zawiera ponadto informacje o „Funduszu Kazimierza F. Vincenza” i jego życiorys, napisany przez jego wiernego przyjaciela i współpracownika, pisarza i publicystę Wiesława Wohnouta.

Janusz KOWALEWSKI

OKRUCHY HISTORII

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ DO NARODU POLSKIEGO

POLACY!

Wbrew wszelkim oczekiwaniom przy rozstrzyganiu sprawy polskiej zwyciężyły nie zasady słuszności i zobowiązania wynikające z umów międzynarodowych, lecz fakty dokonane i narzucone. Samozwańczy twór polityczny, złożony z komunistów i agentów obcych, ma stać się „rządem polskim”. Znalaziono paru Polaków, którzy uznali za możliwe przyłożyć do tego rękę. Uczynili to w chwili, gdy całe polityczne i wojskowe kierownictwo po przeszło pięcioletniej bohaterskiej walce Kraju z Niemcami postawiono w Moskwie przed sądem i proces przeprowadzono wedle dobrze znanych metod.

Rządy sojusznicze Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ten „rząd tymczasowy”, mieniający się — jakby na urągowisko — „Rządem Jedności Narodowej”, mają uznać za rząd polski i mają cofnąć uznanie prawowitemu Rządowi Rzeczypospolitej, wiernemu towarzyszowi pięcioletniej walki o wolność narodów.

W takiej chwili jest naszym obowiązkiem raz jeszcze rozpatrzyć drogę, którą szliśmy dotychczas — i tę, którą musimy iść w przyszłości.

Naród Polski w ciągu całej obecnej wojny postępował w sposób wyjątkowo czynny i ofiarny. Postawa jego była świadoma i dobrowolna — zmierzała do jednego celu. Tym celem jest przywrócenie Polsce pełnej niepodległości w ramach jej nieuszczupłego terytorium państwowego. Dla Polaka bowiem najwyższym dobrem na ziemi jest życia w wolności. Dążyliśmy do złamania

tyrании, zagrażającej nam i całemu światu. Za świadomie podejmowane decyzje naród polski zapłacił cenę najwyższą. Żaden inny ze Zjednoczonych Narodów w stosunku do swych możliwości nie wniósł tak wiele do wspólnej sprawy i nie poniósł tak wielkich ofiar.

Według zasad cywilizacji rząd jest wyrazicielem i wykonawcą woli narodu. Przestaje być rządem, gdy popada w sprzeczność z wolą narodu w zakresie samych podstaw życia zbiorowego. Zgodnie z tym każdy rząd polski musi popadać w sprzeczność z własnym społeczeństwem, jeśli nie broni: niepodległości, terytorium stanowiącego rękojmię tej niepodległości oraz zasad cywilizacyjnych i moralnych, które naród ukształtowały i utrzymują go przy życiu. Istnieje w tym zakresie pewne minimum, którego żaden Rząd Polski wyrzec się nie może. Wskazywano nam na konieczność coraz dalej idących ustępstw — oskarżano nas o brak politycznego rozsądku i nierozumny upór. Niepodobna jednak oczekiwać, by Naród Polski, w imię rzekomego rozsądku popełnił samobójstwo i na domiar splamił się hańbą.

Obecny Rząd Polski powstał dnia 29 listopada 1944 roku, w chwili, gdy polityka polska doszła do kresu swych ustępstw i gdy każdy dalszy krok w tym kierunku groził stoczeniem się po równi pochyłej w przepaść. W Rządzie tym czołowe stanowiska objęli wybitni przywódcy polskiego ruchu podziemnego, będący najlepszymi wyrazicielami woli i dążeń walczącego w Kraju społeczeństwa. Rząd ten ma również za sobą zaufanie i poparcie Polskich Sił Zbrojnych, które tak piękną i krwawą kartę zapisały w dziejach wojny obecnej. Rząd wie, że może przemawiać w ich imieniu, zarówno jak w imieniu szerokich rzesz Polaków, rozsianych po świecie.

Obecny Rząd Polski próbowano niekiedy nazywać szyderczo rządem oporu. Określenie to Rząd Polski przyjmuje z dumą. Tak, jest on rządem oporu. Oporu przeciwko zamachom zmierzającym do zagłady niepodległości Polski.

Rząd Polski nie mógł zgodzić się na zabór połowy terytorium Rzeczypospolitej wraz z tak drogimi dla całego narodu miastami jak Lwów i Wilno.

Rząd Polski nie mógł zgodzić się na narzucenie Polsce ustroju społecznego, obcego jej pojęciom wolności, ładu prawnego i tradycji moralnych.

Rząd Polski nie mógł się zgodzić na udzielenie jakichkolwiek uprawnień samozwańczemu komitetowi, składającemu się z członków nielicznej w Polsce partii komunistycznej, zależnej od czynników obcych.

Rząd Polski nie mógł zgodzić się na przekreślenie porządku prawnego, na którym opiera się byt państwa.

Rząd Polski nie mógł zgodzić się na rozerwanie tysiącletnich związków Polski ze światem cywilizacji i kultury zachodniej.

Decyzje te Rząd Polski podejmował z pełnym poczuciem ciężkiej na nim odpowiedzialności. Gdyby nawet w chwili ich podej-

mowania mógł znać obecny bieg wydarzeń, nie wolno by mu było postąpić inaczej. Rząd Polski nie po to został powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, by miał przykładać rękę do likwidacji niepodległości Polski.

Polska pierwsza wystąpiła zbrojnie przeciw dążeniu Niemiec do panowania nad światem.

Pragnąc przyjaznego współżycia z Rosją, oparła się wszystkim namowom niemieckim wspólnego uderzenia na Związek Sowiecki. Walczyła wtedy, gdy inni jeszcze paktowali z Hitlerem. Nie zachwiała się ani na chwilę w wierności sojuszniczej, a w przełomowych dniach 1940 roku stała u boku Wielkiej Brytanii w samotnej walce. W wielkiej bitwie powietrznej, która przechyliła szalę wojny, lotnicy polscy przyczynili się do zwycięstwa. Polacy nie nadużyli życzliwej gościny i przyjaźni, okazanej im przez naród brytyjski. W ciągu długich ciężkich lat wojny naród polski trwał, walczył i wierzył.

Dziś na strzępach Rzeczypospolitej ma powstać twór zupełnie nowy: bez należnych Polsce granic, bez ciągłości prawnej i ustrojowej, bez tradycji cywilizacyjnej, w której Polska żyła przez lat tysiąc.

Prawowite władze Rzeczypospolitej nie mogą uznać takiego narzuconego rozwiązania. Prezydent i Rząd Rzeczypospolitej są mandatariuszami woli narodu do chwili przeprowadzenia w Polsce wolnych i uczciwych wyborów. Koła kierownicze Zachodu zdają się pokładać wielkie nadzieje w ustalonej w Jałcie zapowiedzi przeprowadzenia w Polsce wyborów „wolnych i nieskrępowanych”. Jest jednak rzeczą jasną, że o wyborach takich mowy być nie może póki w Kraju pozostaje wojsko sowieckie i sowiecka policja polityczna, póki nie ma swobody życia politycznego, wolności prasy i zgromadzeń oraz póki z granic Polski nie zostanie zdjęta żelazna kurtyna, oddzielająca ją od reszty świata.

Rząd Polski nawet w razie cofnięcia mu uznania nie przestanie być prawowitym Rządem. Wywodzi on bowiem swoje istnienie nie z uznania innych, lecz z woli swojego narodu oraz z praw Rzeczypospolitej.

Składając tę zapowiedź, niewiele wam możemy obiecać na czas najbliższy. Pamięć przywołuje słowa Premiera Churchilla z czasów, kiedy Ojczyzna jego znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niczego nie możemy wam obiecać na dziś i na jutro oprócz trudu, cierpień i wysiłku. Lecz trud nie będzie daremny. Podeptane obecnie wartości moralne naszej cywilizacji odrodzą się i zwyciężą. Do odrodzenia tego przyczynić musimy się wszystkimi siłami i nadejście jego przyspieszyć. Polaków w tym okresie czekają zadania szczególne. Ich naczelnym obowiązkiem jest zachowanie godności narodowej przez karność i opanowanie, solidarność oraz nieskazitelność postępowania w życiu osobistym i zbiorowym. Na każdym posterunku i na każdym im dostępnym polu winni dawać przykład wytężonej pracy i twórczego, celowego wysiłku.

Pamiętamy, że słowa nasze przeznaczone są dla ludzi ciężko doświadczonych i wyczerpanych. Los Polaków nie będzie jednokowy. Jedni borykać się będą w Kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego, inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych.

Droga nasza jest trudna, lecz u jej kresu spełni się Polska naszych żarliwych pragnień: Wolna i Niepodległa Polska swobody i sprawiedliwości, Polska miłości Boga i ludzi.

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Londyn, 26 czerwca 1945 r.

Nerin E. GUB

PRÓBY ROZMÓW SOWIECKO-NIEMIECKICH W 1943 ROKU

Historyk amerykański Nerin E. Gub, który jako korespondent szeregu pism był w Berlinie na początku drugiej wojny światowej (był wówczas obywatelem tureckim) opracował na podstawie istniejących archiwów i relacji świadków historię stosunków pomiędzy Hitlerem i Stalinem. M.in. opisuje, jak latem 1943 roku Niemcy i Związek Sowiecki próbowali odbudować swoją współpracę z 1939 roku. W tych pertraktacjach odgrywał rolę pośrednika Willy Brandt, który w tym okresie był mężem zaufania poselstwa sowieckiego w Sztokholmie.

Wkrótce po 21 czerwca 1943 roku, kiedy wojska niemieckie poniosły już klęskę pod Stalingradem, ale wciąż jeszcze znajdowały się daleko w głębi terytorium sowieckiego, podjęta została — choć trudno w to uwierzyć — próba nawiązania dialogu dyplomatycznego między Moskwą i Berlinem. Zajmowało się tym trzecni obywatele sowieckich, którzy odegrali uprzednio pierwszoplanową rolę przy zawarciu paktu z 1939 roku: Władimir Siemionow, Władimir Gieorgijewicz Dakanasow i Bogdan Góbułow.

Za pośrednictwem Willy Brandta, który był mężem zaufania poselstwa sowieckiego w Sztokholmie, wspomnianemu trio omal nie udało się spotkać Ribbentropa, któremu chcieli przedstawić projekt zawieszenia broni. W rzeczywistości chodziło o nową propozycję sojuszu przeciw Aliantom. Warunki sojuszu nie odznaczały się oryginalnością: powrót do granic z 1914 roku, odstąpienie Sowietom Bosforu i Dardaneli, podział Azji i Afryki na sfery wpływów...

Dekanasow był wpływowym współpracownikiem Berii, minis-

tra **Spraw Wewnętrznych** i szefa sowieckiej policji politycznej. **Beria** podobnie jak **Stalin** był od 1938 roku przekonany, że Niemcy — hitlerowskie lub nie — są zbyt silnym i zbyt dynamicznym narodem, aby można go było wymazać z mapy Europy. Kazał więc przed wojną **Dekanasowowi** zbadać możliwości paktu z Niemcami. **Dekanasow** wziął sobie do pomocy **Semionowa** i **Gobułowa**, **Gruzinów** jak i on, i cała trójka kilkakrotnie udawała się do **Berlina**, spotkała się z **Hitlerem**, zorganizowała stałą komórkę, którą kierował **Rudolf Herenstadt**, przedstawiający się jako antyfaszysta. Zerwanie paktu i wojna sowiecko-niemiecka nie pociągnęły za sobą żadnych złych skutków dla jego twórców: nie tylko nie popadli w niełaskę, ale **Dekanasow** został wiceministrem **Spraw Zagranicznych**, **Siemionow** ambasadorem, a **Gobułow** generałem.

W okresie najzaciętszych walk kontynuowali podziemną akcję. Z ich punktu widzenia najlepszym rozwiązaniem było rozbicie i wcielenie Niemiec do strefy sowieckiej. Pierwsza próba zbliżenia spaliła na panewce kilka tygodni przed **Stalingradem**. Dopiero latem 1943 roku agent niemiecki nazwiskiem **Edgar Clauss** zgodził się na nawiązanie kontaktu z wysłannikami sowieckimi. Rozmowy zdawały się owocne, skoro **Ribbentrop** postanowił wysłać oficjalnego negocjatora, **Peter Kleista**. Misją **Kleista** było — polegam tu na świadectwie pani **von Ribbentrop** — zorganizowanie spotkania **Ribbentropa** z pełnomocnikiem sowieckim. Póki co miano przestrzegać nieoficjalnego zawieszenia działań wojennych, aby nie zaognić sytuacji. **Dekanasow** był gotów przyjechać do **Sztokholmu** na spotkanie z **Ribbentropem**. Pierwsze spotkanie miało mieć miejsce 12 września. **Hitler** w ostatniej chwili zdecydował swojego ministra **Spraw Zagranicznych**. Nadal wierzył w ostateczne zwycięstwo i nie życzył sobie kompromisowego pokoju. Tym razem **Dekanasow**, **Siemionow** i **Gobułow** bezpowrotnie popadli w niełaskę.

Nerin E. GUB

NOUVEL OBSERVATEUR z 22-28 sierpnia 1980.

Jerzy DREWNOWSKI

POZBAWIENIE GENERAŁA ANDERSA OBYWATELSTWA POLSKIEGO

P. Jerzy Drewnowski w swoich wspomnieniach drukowanych w *Przeglądzie Tygodniowym* pisze:

« Na jednym z pierwszych posiedzeń RM, na którym byłem obecny (26 września 1946 roku) **Mikołajczyk** wiał się jak piskorz. Projekt uchwały

Rady Ministrów pozbawiał obywatelstwa polskiego Władysława Andersa i 75 podwładnych mu wyższych oficerów, pozostających na emigracji. Sam Anders był w owym czasie jedną z głównych figur rządu emigracyjnego w Londynie. Cóż miał uczynić Mikołajczyk, do niedawna premier rządu na emigracji, szef opozycji w kraju, a jednocześnie wicepremier rządu Polski Ludowej? Na tym posiedzeniu występował wielokrotnie. Radził „nie zamykać furtki dla powrotu”. Przypominał przysięgę, którą składali oficerowie przed wojną na wierność rządowi polskiemu, a przecież Londyn powołuje się... (tu bodaj przerwał i dopiero po chwili dodał) na swoją legalność. Po ostrej dyskusji w końcu sformułował ostatecznie swe stanowisko. Wezwał ministrów, a zwłaszcza PSL-owców: Kiernika i Wycecha, a także Jana Stańczyka, ministra opieki społecznej (prawicowego socjalistę, który powrócił z Londynu) oraz zgłaszającego w dyskusji wątpliwości Putka, aby przyłączyli się do tego stanowiska. 75 oficerów wiąże dyscyplina — mówił. Nie mają oni swobodnego wyboru, a zatem nie można im odbierać obywatelstwa. W sposób zagmatwany scharakteryzował Andersa. Opinię sformułował w ten sposób, iż m.in. wynikało z niej, że obciąża Andersa odpowiedzialnością za śmierć gen. Władysława Sikorskiego. Ale nie powiedział tego wyraźnie. Rada Ministrów podjęła uchwałę większością głosów w brzmieniu zgodnym z projektem uchwały. Patrząc z perspektywy dziesięcioleci uważam, że trzeba było pozostawić tym oficerom możliwość powrotu do ojczyzny. W czasie głosowania na RM byłem jednak wówczas innego zdania.

Warto dodać, że już wówczas wiedziałem, iż Kiernik i Wycech skłaniają się do współpracy z partiami Bloku Demokratycznego, ale i na tym posiedzeniu RM nawet pół słowem nie zaznaczyli swych odmiennych od Mikołajczyka poglądów.

Wspominam szczególnie ostro wręcz zaciekle wystąpienia Władysława Gomułki na forum Rady Ministrów w całym okresie Rządu Jedności Narodowej na temat „oddziałów leśnych” korzystających z obrony i opieki ze strony Mikołajczyka i jego sztabu. Przypomnę liczby, o których wówczas często mówiono. Od lipca 1944 do końca 1945 roku dokonano w naszym kraju ponad 12 tys. napadów, w tym ok. 5 tys. na tle politycznym. W ich wyniku zginęło ponad 7 tys. osób. Obliczano, iż w końcu 1945 roku dobrze uzbrojone oddziały leśne liczyły ok. 25 tys. ludzi. W październiku 1946 roku wiceminister bezpieczeństwa gen. Franciszek Jóźwiak „Witold” podał, że do tego czasu zostało rozbitych 86 uzbrojonych oddziałów, występujących z bronią w rękę przeciwko władzy ludowej i ujęto ok. 2 tys. ich członków. Natomiast milicja i służby bezpieczeństwa straciły ok. 2 tys. zabitych i rannych. W grudniu 1946 roku podano, że w ostatnich 3 miesiącach miało miejsce 3 tys. napadów, w czasie których zginęło 600 osób. Przypomniane dane świadczą, iż utworzenie Rządu Jedności Narodowej w czerwcu 1945 roku nie spowodowało likwidacji zbrojnego podziemia ».

Jerzy DREWŃOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Monachium, 25 czerwca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 76 *Zeszytów Historycznych* ukazało się interesujące opracowanie Stefana Borowicza pod tytułem „Kluby Inteligencji Katolickiej po Sierpniu 1980 roku”. Pod datą 18 października 1980 odnotowuje autor — posługując się cytatem z artykułu Jacka Wejrocha — spotkanie w warszawskim KIK-u poświęcone polskiej kulturze, historii i wzajemnym uwikłaniom. Miałem przyjemność w tym spotkaniu uczestniczyć jako obserwator (byłem człowiekiem spoza stolicy, nie miałem zaproszenia, więc wszedłem jedynie dzięki znajomościom) i pragnę poszerzyć kilkoma informacjami zapis pana Borowicza.

Elementem spinającym wystąpienia Stanisława Stommy, który otworzył imprezę, profesora Aleksandra Gieyszтора, Andrzeja Kijowskiego i Jacka Woźniakowskiego — głównych prelegentów — było hasło: „O jedność kultury polskiej”. W posierpniowej gorączce, w okresie odsłaniania prawd starannie ukrywanych, w oczekiwaniu na prawne uznanie „Solidarności”, w czasie samokrytycznych ocen niektórych stowarzyszeń i związków (np. SDP, ZLP), w chwilach, kiedy pokolenia Polaków usilnie pragnęły dowiedzieć się, kim jest Czesław Miłosz, laureat literackiej nagrody Nobla — zebranie w niewielkiej salce przy ulicy Kopernika w Warszawie było, z zachowaniem wszelkich proporcji, projekcją Kongresu Kultury Polskiej zorganizowanego w ponad rok później, gwałtownie unicestwionego stanem wojennym.

Profesor Gieysztor mówił nie tylko o obowiązku zlikwidowania białych plam w historii narodowej, ale i o potrzebie takiego jej nauczania, popularyzowania, które zlikwidowałyby konwencję „patriotycznych anegdot”.

Andrzej Kijowski domagał się uwłaszczenia kultury polskiej, wyrwania jej spod przemożnego panowania administracji. Jacek Woźniakowski poruszył kwestię państwowego ograniczania środków na działalność wydawniczą i cenzuralnych sporów związanych z wydaniem tomu wierszy Czesława Miłosza.

Tradycje kulturalne polskiej emigracji, polityka wydawnicza, „mysie” działania cenzury, Polska wśród sąsiadów, kultura i nowopowstała „Solidarność”, perspektywy nauki, polityczna tolerancja i odmienności religijne, tradycje żydowskie w Polsce i potrzeba ratowania ginących zabytków — w dyskusji trwającej, o ile sobie przypominam, ponad trzy godziny, wszystkie

te wątki spletały się w polski warkocz, jeszcze nie uczesany, jeszcze rozsypujący się, ale bardzo swojski.

Głos zabierali, między innymi — Adam Michnik, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Krzysztof Śliwiński, Michał Komar, Andrzej Drawicz, Władysław Bartoszewski.

Właśnie w salce warszawskiego KIK-u Stefan Kisielewski „zdemaskował” publicznie pisarza Tomasza Stalińskiego, wydającego swoje utwory w paryskim Instytucie Literackim. W felietonowym wystąpieniu Kisiel naigrywał się z cenzury, która z równym uwielbieniem wycinała mu z publikacji nazwisko Stalina, co i Gomułki, Hitlera, co i Gierka... nazwisk wyliczył chyba czterdzieści.

Obecnym na sali w pamięci zapewne zostanie krótkie wystąpienie młodzieńca z „Solidarności” — Zbigniewa Bujaka. Opowiedział on o niedawnej wizycie u Prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, który zaproponował związkowcom utworzenie biblioteki mogącej być wzorem dla każdego Polaka. Wręczył im przy tym książkę, która miała wytyczyć poziom księgozbioru. Chcielibyśmy — mówił Zbigniew Bujak — by wszyscy twórcy kultury mieli na uwadze wysokie, najwyższe wartości tej książki. Było to „Pismo Święte”.

Miałem, że spotkanie w Klubie Inteligencji Katolickiej w dniu 18 października było, jak na owe czasy, bardzo charakterystyczną próbą swobodnego, nieskrępowanego docierania do własnej tożsamości. Podobne rozmowy toczyły się wówczas w wielu miejscowościach. Posierpniowa atmosfera stanowiła bardzo silny zaczyn rozmów, dyskusji, działań, które w sferze szeroko pojętej kultury owocują do dzisiaj. Mimo stanu wojennego i represji, mimo spleczania polskiej kultury wojskowym dryblem i partyjną doktryną.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

Piotr ZAŁUSKI

P.S. Moje uwagi byłyby obszerniejsze, gdyby nie pewien incydent w nocy z 12 na 13 grudnia 1981, kiedy pozbawiono mnie większości notatek (oraz, na czas jakiś, wolności). Także, gdyby nie ten incydent, list przesłałbym z Wrocławia, a nie z Monachium.

P. Z.

SPIS TREŚCI

<i>Sprawa Bergu</i>	3
<i>Od Redakcji</i>	3
<i>Sprawozdanie Komisji do Rozpatrzenia Spraw Łącz-</i> <i>ności z Krajem</i>	4
<i>Zasady ogólne</i>	5
<i>Okres lat 1945-1950</i>	8
<i>Organizacja akcji</i>	9
<i>Okres lat 1951-1952</i>	14
<i>Wniosek Ministra Sprawiedliwości K. Okulicza o</i> <i>wszczęście sprawy Bergu przed Sądem Obywa-</i> <i>telskim</i>	73
Piotr Wandycz: <i>Harriman a Polska</i>	88
Józef Mirski: <i>Problemy językowe w kościołach rzymsko-</i> <i>katolickich na Białorusi i na Ukrainie po drugiej</i> <i>wojnie światowej</i>	116
Marcin Polny: <i>Z literką „P”. Rozmowa z Marianem Ter-</i> <i>leckim</i>	138
Maria de Hernandez-Paluch: <i>Ja byłem krytyczny... Rozmo-</i> <i>wa z prof. dr. hab. Pawłem Bożykiem, kierownikiem</i> <i>wydziału KC PZPR, szefem zespołu doradców Edwarda</i> <i>Gierka</i>	148
Karol Modzelewski: <i>„Solidarność” w przededniu wojny ..</i> <i>Dokumenty:</i>	167
1. <i>Wystąpienie na obradach radomskich 3 grudnia 1981</i>	189
2. <i>Uchwała Komisji Krajowej z 12 grudnia 1981 (autor-</i> <i>stwa J. Rulewskiego)</i>	194
3. <i>Oświadczenie Komisji Krajowej z 12 grudnia 1981</i> <i>(autorstwa K. Modzelewskiego)</i>	194
	237

HISTORIA NIE TAK ODLEGŁA

- Krzysztof Rutkowski: *Najniższy sługa rosyjskich carów.*
Andrzej Towiański i Rosja 197

WSPOMNIENIA

- Jerzy R. Krzyżanowski: *Z Radziwiłłem w piwnicach UB* .. 213

CI, CO ODESZLI

- Władysław Żeleński: *Jerzy Łojek* 224

RECENZJE

- Janusz Kowalewski: *„Moje zderzenie z bolszewikami we
wrześniu 1939 roku”* 227

OKRUCHY HISTORII

- Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do Narodu Polskiego* 229
Nerin E. Gub: *Próby rozmów sowiecko-niemieckich w
1943 roku* 232
Jerzy Drewnowski: *Pozbawienie generała Andersa obywatelstwa polskiego* 233

LISTY DO REDAKCJI

- Piotr Załuski: *Uzupełnienia do artykułu Stefana Borowicza
pt. „Kluby Inteligencji Katolickiej po Sierpniu 1980
roku” (Zeszyty Historyczne nr 76)* 235

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 30 JANVIER 1987
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1987.

N° d'imprimeur 8071.

